

— MISTRZOWIE SF I FANTASY —

# Anne McCaffrey



TA, KTÓRA  
SEYSZAŁA  
SMOKI



**McCAFFREY ANNE**

**Ta, Ktora slyszala smoki**

# ANNE MCCAFFREY

A więc to pani jest Anne McCaffrey?

Nigdy nie jestem pewna, jak wyobrażają sobie mnie czytelnicy na podstawie moich książek. Ale, zasadniczo, gdy słyszę: „To pani jest Annę McCaffrey?” – nie śmiem zapytać, czego się spodziewali. Ich ton wyraża całą gamę znaczeń, od sceptycyzmu po głębokie rozczarowanie i niedowierzanie. Mimo to opiszę się: „Włosy mam srebrne, oczy zielone i jestem pigowata. Reszta podlega niezauważalnym zmianom” – „reszta” to cała prawdziwa ja.

Na szczęście twarze autorów nie są tak szeroko prezentowane jak oblicza sławniejszych osobistości. Czasami na skrzydełku obwoluty albo z tyłu książki znajduje się – często oficjalne – zdjęcie autora, którego niewielu ludzi kojarzy z osobą siedzącą obok nich w samolocie czy spacerującą w centrum handlowym.

Kiedyś, na promie z Nowego Jorku do Bostonu, zostałam rozpoznana. Tego dnia brałam udział w południowym talk show w Boston TV. Dobrze pamiętam program, ponieważ w czasie przerwy na reklamy siedziałam na widowni, czekając na swoją kolej, kiedy nagle wpadła Ethel Merman. Miała promować swoją autobiografię, co też zrobiła i równie szybko wypadła.

Wtedy, ku mojemu przerażeniu, poproszono mnie przed kamery.

Nadal byłam w swego rodzaju transie (lubiłam śpiewać piosenki wylansowane przez Ethel Merman), kiedy redaktor zapytał mnie, skąd czerpię takie fantastyczne pomysły.

–Zapewniam pana, że wystąpienie po Ethel Merman jest znacznie trudniejsze – odparłam, wzbudzając śmiech i brawa.

Jakieś' dwie godziny później, gdy wchodziłam na prom, jakaś dziewczyna poklepała mnie po ramieniu i zapytała, czy jestem Annę McCaffrey.

–Jesteś fanką? – zapytałam, zadowolona.

–Nie, tylko wydawało mi się, że widziałam panią w programie z Ethel Merman.

Już na początku kariery nauczyłam się nie przyznawać współpasażerom w samolocie (szczególnie w czasie długich lotów), że zarabiam na życie pisaniem.

Przyznanie się stanowi pewny wstęp do wysłuchania kolejnego „niezwykłego” pomysłu na bestseller, nieodmiennie zawierającego wątki autobiograficzne. Pytana wprost, czym się zajmuję, zwykle odpowiadam: 1) jestem plantatorem ziemniaków, 2) hodowcą koni, 3) jadę odwiedzić wnuki. To ostatnie na ogół skutkuje, wyłączając największe gaduły. Kto chce oglądać zdjęcia cudzych, zawsze nad wiek rozwiniętych dzieciaków?

Dwa razy towarzysze podróży dostarczyli mi znacznej satysfakcji. W 1980 roku, w czasie krótkiego lotu z Melbourne do Sydney, byłam okropnie przeziębiona i siedziałam pogrążona w rozwiązywaniu krzyżówki. Mając miejsce przy oknie, nie zwracałam większej uwagi na pozostałych dwóch pasażerów w moim rzędzie.

Kiedy podniosłam głowę, ze zdumieniem zobaczyłam, że siedzący obok mnie mężczyzna – po trzydziestce, atrakcyjny, elegancko ubrany w szary flanelowy garnitur, jedwabną koszulę i krawat od Countess Mara – jest pochłonięty lekturą książki z nadzwyczaj znajomą okładką: *Dosiąć Pegaza*. Zaczekałam, aż przewróci kartkę i sceptycznym tonem spytałam, czy książką jest dobra.

Spojrzał na mnie i przytaknął, zaraz potem dodając, że lubi wszystkie książki tej autorki.

–To dobrze – powiedziałam – bo siedzi pan obok niej!

Przedstawił się jako David Ogilvy, dyrygent z opery w Sydney, gdzie miał dyrygować Joan Sutherland w koncertowej wersji *Łucji z Lammermooru*. Gawędził mi przyjemnie do samego lądowania i odtąd zaliczam go do grona moich bardziej prestiżowych czytelników.

Za każdym razem, gdy jestem w księgarni *Andromeda* w Birmingham, jestem proszona o podpisanie książki dla Boba Monkhouse'a.

–Musimy przestać się spotykać w ten sposób!

W kwietniu 1984 roku, w czasie jednego z tych niesamowicie zygzakowatych lotów z Nowego Jorku na Alaskę, w Dallas na pokład wsiadło dwoje nowych pasażerów: śliczna dziewczyna siadła na środkowym fotelu, a od strony przejścia usadowił się chudzielec, który natychmiast zaczął ją zagadywać. Dziewczyna była kosmetyczką i leciała do Seattle, a on właśnie skończył kurs pierwszej pomocy dla pilotów śmigłowców i wracał do Fairbanks na Alasce, mojego celu podróży. Przysłuchiwałam się ich rozmowie, nie odzywając się.

Kiedy dziewczyna wysiadła w Seattle, zapytałam go o pogodę w Fairbanks. Był dość uprzejmy, ale najwyraźniej chciał wrócić do lektury – czytał coś z science fiction.

Zapytałam, czy lubi ten gatunek, a on na to, że lubi fantastykę, ale nudzi go fantasy. Z grzeczności zapytał, po co lecę na Alaskę, więc powiedziałam mu, że jestem plantatorem ziemniaków.

Jako pisarka spędziłam cudowne chwile w rezydencji w Fairbanks. Jeździłam psimi zaprzęgami, zajadałam się spaghetti z mięsem losia, podziwiałam zorzę polarną – i psułam uczniów liceum i studentów University of Alaska – każdego, kto wpadł mi w ręce. Byłam tam w swoje urodziny i uczniowie miejscowej szkoły gastronomicznej upiekli błyskawicznie ciasto Biały Smok, tak wielkie, że starczyło dla wszystkich w bufecie Fairbanks Arts. W ostatnią sobotę rozdawałam autografy w jednym z centrów handlowych, kiedy wszedł mój znajomy z samolotu, obładowany książkami, z żoną i córkami. Zatrzymał się przede mną i rzucił na stół wszystkie moje powieści, łącznie z trzema romansami Dell.

–Nie powiedziała mi pani, że jest sławna – rzekł z wyrzutem.

–Nie zapytał pan!

Czasem na konferencjach ludzie nie zdają sobie sprawy, że mają do czynienia z gościem honorowym. Lubię siadać w recepcji, kiedy tylko pozwala mi czas, i obserwować ich reakcje.

W Baltimore w 1977 roku (w którym odkryłam, że stałam się postacią kultową), siedziałam w recepcji, kiedy schludnie ubrana w sukienkę od Villager kobieta z dwiema ciężkimi torbami Lord Taylor, zbliżyła się do biurka. Absolutnie nie wyglądała na miłośniczkę science fiction. Pomyślałam, że może pomyliła hotele. Zapytała, czy tego dnia ma się odbyć wykład Annę McCaffrey. Przytaknęłam. Zapytała, o której, więc powiedziałam jej (dwoje recepcjonistów starało się zachować poważne miny).

–Jest pani pewna?

–Tak, jak najbardziej, ręczę za to. Jest tutaj i wystąpi o drugiej.

Dopiero wtedy zapłaciła za bilet wstępu.

Po wykładzie podeszła do mnie, nadal taszcząc dwie torby. Zerknęła na mnie, a potem się uśmiechnęła.

–Nabrała mnie pani. – Wysypała z toreb wszystkie moje powieści, łącznie z romansami, i czasopisma, w których ukazały się moje opowiadania.

–A pani mnie – odparłam, wskazując torby. Wybuchnęliśmy śmiechem.

Pamiętam, jak pewien chłopak zapytał mnie, czy znam Doris Pitkin Buck, autorkę poruszających opowieści, zdradzających wnikliwą znajomość natury ludzkiej oraz pogodnych opowiadań utrzymanych w lżejszym tonie. Gdy poznałam ją w Milford w Pensylwanii, była już po siedemdziesiątce. Kiedy przytaknęłam, zapytał, ile ma lat.

–A jak myślisz? – zapytałam.

–Dwadzieścia parę. – Najwyraźniej dla niego był to już wiek zaawansowany.

–Jak się domyśliłaś?

Ano, czemu nie? Doris pisała w młodszy, romantycznym stylu współczesnym, i można powiedzieć, że podczas pisania faktycznie miała dwadzieścia parę lat.

Rozdwojenie tożsamości (na fakty i fikcję) zaczęło się u mnie pod koniec lat sześćdziesiątych, niedługo przed masakrą studentów w Kent.

Mój syn Alec, który w tym czasie zaczął karierę demonstranta, poprosił mnie o pozwolenie na skorzystanie z powielacza SFWA, żeby odbić ulotki na marsz w Sea Chff na Long Island, gdzie mieszkaliśmy. Alec krzątał się po moim gabinecie, przedstawiając mnie studentom Columbii, którzy mieli wziąć udział w marszu. Jeden z nich zwrócił uwagę na tytuły książek na półkach.

–Słuchaj, kto tu czyta fantastykę? – zapytał.

–Moja matka – odparł Alec. W tym czasie nie był do końca przekonany, czy chce być synem autorki dzieł science fiction.

–Czemu twoja matka ma po kilka egzemplarzy książek Annę McCaffrey? – pytał dalej chłopak.

–Bo to ona jest Annę McCaffrey – odparł Alec z irytacją.

–Bez jaj! – zawołał student nie bez podziwu.

Myślę, że wtedy Alec uświadomił sobie, że bycie synem autorki SF wcale nie jest takie tragiczne.

Alec nigdy nie był namiętnym czytelnikiem i z pewnością nie tak oddanym fantastyce jak jego brat, Todd.

Prawdę mówiąc, przeczytał Jeźdźców Smoków dopiero wtedy, gdy został zawstydzony przez klientów w księgarni 100 Flowers, którą kierował w Cambridge.

Dziś jest dumny z moich sukcesów. Skrupulatnie liczy, ile moich książek jest wystawionych w lokalnych centrach handlowych, i gdzie tylko może, reklamuje moje utwory.

Pewnego dnia szukałam egzemplarza pierwszej opublikowanej książki Todda, Slammers Down (W potrzasku), powieści przygodowej wzorowanej na wojennych opowieściach Davida Drake'a.

Kierownik sklepu The B. Dalton poznał mnie i z dumą wskazał moje tytuły na wystawie.

–Szukam powieści Todda Johnsona – powiedziałam, zbijając go z tropu. – Jest moim synem, to jego pierwsza powieść! – dodałam, puchnąc z macierzyńskiej dumy.

–Przecież pani nazywa się McCaffrey... – zaczął kierownik.

–Co nie przeszkadza mi być matką Todda Johnsona!

Todd też spotykał się z podobnym niedowierzaniem.

To zrozumiałe, bo po rozwodzie wróciłam do panińskiego nazwiska. Pewnego wieczoru Todd pełnił dyżur w szkole w Lehigh, umilając sobie czas czytaniem Białego Smoka, który dopiero co się ukazał. Jeden z uczniów zapytał:

–I co, dobre?

–Nieźle, ale ma mnóstwo literówek. – Todd zawsze był szczerzy do bólu.

–Tak? Powiesz wydawcy?

–Nie, powiem Annę McCaffrey.

–Ośmielisz się?

–To moja matka.

–Trudno mi w to uwierzyć – odparł student i odszedł.

Po tym zdarzeniu powieść Decyzja w Doone, z bohaterem wzorowanym na niesamowitej postaci Todda zade dykowałam „Toddowi Johnsonowi, rzecz jasna”.

Kiedy później tego samego roku przybyłam do Lehigh, podpisałam wszystkie egzemplarze Decyzji w tamtejszej księgarni, zapewniając:

–Tak, jestem jego matką!

Todd wstąpił do wojska, by służyć w Boblingen w zachodnich Niemczech. Kiedy raz buszował po księgarni, wypatrując nowych tytułów, z zaskoczeniem zobaczył swojego kapitana w dziale science fiction. Wdali się w rozmowę o autorach i nowych tytułach. Kapitan wybrał powieść Moreta, polecając ją Toddowi.

–Dziękuję, panie kapitanie, już czytałem.

–Przecież dopiero co ją dostali.

–Czytałem rękopis.

–Jakim cudem, Johnson?

–Ona jest moją matką!

–Bez jaj! – (Znowu) Fani w użytecznych miejscach to zjawisko, które zdarza się, gdy się go najmniej spodziewa i najbardziej potrzebuje.

Najlepsze „na przykład” miało miejsce w 1979 roku, w czasie męczącej trasy promocyjnej Białego Smoka – dwadzieścia dwa miasta w trzydzieści dwa dni. W Toledo w Kansas miałam tak podniesiony poziom adrenaliny, że nie spałam od pięciu nocy. Mojej ochronie udało się załatwić, by podczas lunchu z prasą siedział ze mną lekarz (również był czytelnikiem). Przepisał mi środek uspokajający, który rzeczywiście zmniejszył napięcie, ale, niestety, nie pomógł mi zasnąć. Wieczorem miałam ruszyć do Minneapolis, a o wpół do czwartej nad ranem jeszcze nie zmrugałam oka. Zadzwoeniłam do recepcji, żeby zapytać o pogotowie. Recepcjonista wezwał taksówkę, którą pojechałam do najbliższego szpitala.

Byłam jedyną pacjentką, więc zostałam od razu przyjęta. Wyjaśniłam pielęgniarce, która zmierzyła mi puls, temperaturę i ciśnienie, na czym polega mój problem i na dowód pokazałam jej napięty plan podróży. Zostawiła mnie w gabinecie i poszła po dyżurnego lekarza. Usłyszałam jej szept:

–Nie wie pan, kim ona jest?

Może nie wiedział, ale ona wiedziała, i dostałam pigułki nasenne – tylko dlatego, przypuszczam, że „byłam, kim byłam”, nie tylko zmęczoną podróżą panią w średnim wieku. Wróciłam do hotelu i zatopiłam się w cztery godziny błogosławionej nieświadomości.

Przeprawką do Irlandii oszczędziła mi wielu wizyt niespodziewanych gości, choć to zdumiewające, ilu ludzi zadaje sobie trud „znalezienia” Dragonhold (Smoczej Warowni) podczas podróży po tym kraju. Wolę być uprzedzana o wizycie – wtedy mogę uporządkować salon, w którym zwykle panuje miły memu sercu rozgardiasz, i sprawdzić, czy mam dos'ć ciastek do kawy czy herbaty.

Pamiętam młodego człowieka, który zjawił się w czasie, gdy narowi sta klacz uciekła z zagrody i pogalopowała drogą. Młodzieniec przytomnie rozłożył ręce, żeby nakłonić ją do powrotu. Przybył w dzień Smoczej Warowni – kiedy dosłownie wszystko idzie nie tak, jak trzeba.

Z reguły goście, których chce się zatrzymać na obiad, po godzinie spieszą do wyjścia, a nudziarze siedzą i siedzą bez końca. Na szczęście, moja bratowa Sara Brooks, która ze mną mieszka, w mig rozpoznaje sytuację i podsuwa odpowiedni pretekst do zakończenia wizyty.

Kiedyś odbyłam bardzo gorącą dyskusję z dziewczyną, która uparła się, że na Pernie musi być religia. Nie wyobrażała sobie, by kolonia mogła istnieć bez wierzeń.

Próbowałam ją przekonać, że Pern jest moim światem i mogę z nim robić, co mi się podoba. Oszczędziłam Pernowi religii, żeby wyeliminować zbrodnie popełniane w imię takiego czy innego bóstwa. Niestety, z pewnymi ludźmi po prostu nie można dyskutować. Na dany znak Sara „przypomniała” mi, że niebawem zjawi się mój księgowy i powinnam przygotować dokumenty.

Istnieje też kategoria gorliwych i nadgorliwych reporterów, niektórych bardzo młodych. Ponieważ niedawno pojawiły się w prasie błędne informacje na mój temat – z rodzaju tych, których sprostowanie jest wielkim problemem, gdy się je kwestionuje – poprosiłam pewną miłą, bardzo młodą reporterkę, żeby pozwoliła mi przeczytać swój artykuł przed

opublikowaniem. Zgodziła się, tryskając dobrą wolą.

W czasie wywiadu posiłkowała się dwoma książkami, miała włączony magnetofon i robiła notatki. Nazajutrz zadzwoniła do mnie z informacją, że materiał natychmiast idzie do druku, więc nie będę mogła go przejrzeć, ale zapewniła, że nie ma w nim błędów.

Były koszarne. Ani razu nie napisała poprawnie mojego nazwiska, pomieszała dwa tytuły, zmieniła zawód mojej bratowej. Jakby tego było mało, kazała mojemu ojcu umrzeć w czasie wojny krymskiej. Kiedy zadzwoniłam z prośbą o sprostowanie, stwierdziłam, że dziewczyna nie ma bladego pojęcia, ile lat dzieli te dwie wojny. Obie zaczynają się na „k”: koreańska czy krymska, co za różnica? To wojna i to wojna, prawda? Z tej bzdury i jej podobnych wynika, że mam 134 lata, a moja matka urodziła mojego młodszego brata pos'miernie. Kiedy powiedziałam o tym Kevinowi, usłyszałam, że zapewne dlatego miał w życiu tyle kłopotów!

W Boże Narodzenie 1991 roku wybrałam się w odwiedziny do rozrzuconych po całym kraju członków mojej rodziny i przy okazji zgodziłam się podpisywać swoje książki w Dayton w Ohio, w Saint Louis w Missouri, w Las Vegas w Nowadzie i w Los Angeles.

Odkryłam dwie nowe kategorie czytelników: 1) „dzieciaki”, które wychowały się na seriach Harper Hali i teraz przedstawiają książki następnemu pokoleniu i 2) dzieciaki, które muszą czytać albo The Smallest Dragonboy (Najmniejszy smoczek) albo jedną z powieści Harper Hali w klasie.

Miałam bardzo mieszane odczucia co do umieszczania opowiadań w szkolnych podręcznikach albo na liście lektur obowiązkowych. Generalnie nie cierpiałam książek, które musiałam przeczytać. Tak więc w Saint Louis, kiedy trzech chłopców poprosiło mnie o podpisanie Smoczych werbli, zebrałam się na odwagę i zapytałam, czy im się podoba.

–Nie była taka zła – odparł chłopak w typie Tomka Sawyera. – Właściwie całkiem niezła.

–Mnie się podobała – powiedział drugi.

–Widzicie tego pana na ławce? – zapytałam, wskazując mojego brata Kevina, srebrnowłosego jak ja i absolutnie niewzruszonego. – To mój brat, pierwowzór Keevana – bohatera The Smallest Dragonboy. – Jego też powinniście poprosić o autograf.

–Jego? – zapytał z niedowierzaniem trzeci chłopak.

–Kiedyś też był młody, i bardzo odważny, jak Keevan.

Dostali autograf od Keve'a. Czemu ja miałam odwalać całą robotę?

Nie powiem, że uwielbiam podpisywanie książek: w czasie ostatniej podróży promocyjnej nabawiłam się łokcia tenisisty. Ale te spotkania zapewniają autorowi, który wiele samotnych godzin spędza nad klawiaturą, możliwość nieocenionego bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem.

Odpowiadają też w pewnym sensie na pytanie: „A więc to pani jest Annę McCaffrey?” ta, która słyszała smoki Araminę obudziły głosy rodziców: natarczywy, przeکوUTnujący szept ojca i lękliwa odpowiedź matki. Leżała nieruchomo, z początku myśląc, że matka miała kolejne ze swoich „widzeń”, ale wtedy głos Barli był pozbawiony emocji. Wytężając słuch, Aramina próbowała skupić się tylko na słowach rodziców, ignorując nocne odgłosy dobiegające z ogromnej jaskini Igeny, w której chroniły się setki bezdomnych mieszkańców Pernu.

–Obwinianie kogokolwiek w tych okolicznościach nie ma sensu, Barło – szeptał ojciec. – Ani wypieranie się dumy ze zdolności Araminy. Musimy odejść. Natychmiast.

Tej nocy.

–Zbliża się zima – jęknęła Barla. – Jak ją przetrwamy?

–Tutaj też nie wszyscy przetrwalimy zeszłą zimę. Jest zbyt wielu ludzi do podziału schwytej zwierzyny – powiedział Dowell, upychając szybko rzeczy do pojemnej torby. – Wiele słyszałem o jaskiniach Lemos. A w Lemos...

–Są lasy! – W głosie Barli zabrzmiała gorycz. – W Igenie nic nie odpowiada.



–Kobieto, straciliśmy dom, ale nie godność i honor.

Nie wezmę udziału w planach Thelli, Władczynie Bezdomnych. Nie pozwolę tak wykorzystać naszej córki. Pozbieraj natychmiast swoje rzeczy. Ja obudzę dzieci.

Kiedy Dowell dotknął jej ramienia, Aramina zdusiła strach. Nie lubiła samozwanczej Władczynie Bezdomnych – Thelli, która dopytywała o nią w czasie paru ostatnich wizyt w grotach Igeny, gdy werbowała ludzi do swoich łupieżczych band. Fascynował ją i jednocześnie odrażał Giron, prawa ręka Thelli, jeździec bez smoka, przyglądający się jej wnikliwie. Z trudem wytrzymywała spojrzenie jego zimnych i pustych oczu. Jeździec, który stracił swojego smoka, był tylko połową człowieka – przynajmniej tak mówiono. Thella napomknęła o przywilejach dla jej rodziny. Zasugerowała, że może nawet dostaną gospodarstwo, ale Aramina nie była głupia, by przywiązywać wagę do takich obietnic. Argument Thelli, że bezdomni muszą trzymać się razem i dzielić wszystkim, co mają, także nic nie znaczył dla dziecka, które już dawno się nauczyło, że nic nie przychodzi darmo.

–Przepraszam, ojcie – wyszeptała z lękiem i skruchą.

–Za co przepraszasz, dziecko? Aha, słyszałaś? To nie twoja wina, 'Mina. Zajmiesz się siostrą? Musimy odejść.

Aramina pokiwała głową. Wstała i zwinnie zawiązała koc na ramionach, robiąc nosidełko dla Naxy. Często nosiła ją w ten sposób, gdy wędrowali na wschód. Nexa oparła główkę na jej chudym ramieniu i wtuliła się w koc, nie budząc z głębokiego snu.

Aramina rozejrzała się, odruchowo sprawdzając, czy zabrali wszystko.

–Ułożyłem na wóz, co możemy zabrać – powiedział Dowell.

–A matka myślała, że ci złodzieje Nerat znowu nas okradli. – Aramina była trochę zła, bo spędziła cały dzień w pobliżu ich hałaśliwego obozowiska, próbując wypatrzeć niby skradzione rzeczy.

Barla już spakowała swoje bezcenne garnki, owijając je w stare ubrania, żeby nie narobiły hałasu. W szalu kryła się reszta rzeczy rodziny, pilnie strzeżonych przed złodziejami z jaskini.

–Cicho! Idziemy. Musimy wykorzystać pełnię księżyców.

Po raz pierwszy Aramina pożałowała, że w podziękowaniu za stolarskie usługi ojca przydzielono im częściowo odgrodzoną niszę przy końcu wyrzeźbionej w piaskowcu wielkiej jaskini. Było tu chłodno w czasie upalnego lata, ciepło i zaciszenie podczas przenikliwych zimowych wichur, ale teraz, kiedy przeciskali się ostrożnie wśród śpiących, wysłanie wydawało się nieskończenie dalekie.

Aramina często przekładała Nexę z ramienia na ramię w czasie wędrowki po piasku do rzeki, starając się omijać stare doły na odpadki i sterty s'mieci. Nie mając warowni, z której mogliby być dumni, bezdomni nie dbali o swoje tymczasowe siedziby. Każdą, nieważne, jak długo zajmowaną, otaczały nie me świadectwa ich obecności.

Wzeszły księżycy, jasny Belior wysoko na niebie i mniejszy, ciemniejszy Timor o połowę niżej, oświetlając rzekę Igen. Aramina zastanawiała się, od jak dawna ojciec planował ucieczkę. Mieli nie tylko światło, ale również gwarancję względnie łatwej i bezpiecznej przeprawy na stronę Lemos, bo letnie słońce obniżyło poziom wody. Wiedziała, że Thella i Giron po południu zajrzeli do jaskini, więc prawdopodobnie nie zjawią się w najbliższym czasie, co zapewniało uciekinierom pewne bezpieczeństwo. Dziś, na szczęście, zostawili ją w spokoju, ale może rozmawiali z Dowellem. Zresztą bezpośredni powód nagłej ucieczki nie miał znaczenia. Aramina cieszyła się, że opuszcza hałaśliwą, cuchnącą, przeludnioną jaskinię. Wiedziała, że Barla też będzie zadowolona. Jej brat Pell, który uwielbiał przechwalać się swoją rodziną, teraz będzie miał za słuchaczy tylko whery i węże tunelowe mieszkające w górach i lasach.

Zwierzęta pociągowe były już zaprzęgnięte do nie dużego wozu, wystarczającego dla czterech osób. Ponieważ Aramina słyszała smoki i dzięki temu wiedziała, kiedy nastąpi Opad Nici, rodzina mogła podróżować swobodnie.

Ten jej dar, do niedawna uważany za najcenniejszy skarb rodziny, Władczynie Bezdomnych Thella pragnęła wykorzystać do własnych niecznych celów.

Aramina jeszcze raz przełożyła śpiącą siostrę, bo bolały ją ręce, a Nexa, jak każde brzemie, z każdym krokiem robiła się coraz cięższa. Pell rozbudził się zupełnie; wcześniej Dowell musiał zakryć mu usta dłonią, by stłumić pierwszy wybuch

protestu. Teraz dreptał obok ojca, dźwigając tobolek z szala, i marudził pod nosem. Aramina podeszła do brata.

– Gdybyś tyle nie gadał, żeby się popisać, nie musielibyśmy uciekać – szepnęła cicho.

– Nie uiekamy – odburknął i stęknął, gdy tobolek uderzył go w gołeń. – Nie uiekamy. Zmieniamy obóz! – odgryzł się, powtarzając jej słowa, którymi przy poprzednich okazjach łagodziła piętno ich bezdomności. – Ale dokąd pojeziemy – nagle jego ton stał się płaczący – żeby Thella nas nie znalazła?

– To na mnie jej zależy, a mnie nie znajdzie. Będziesz bezpieczny.

– Nie chcę być bezpieczny – odparł Pell mężnie – skoro musisz uciekać przeze mnie.

– Sza! – przykazał Dowell ostro. Dzieci milczały przez resztę drogi.

Zwierzęta pociągowe, Trącaj i Popchaj, odwróciły głowy i cicho zamruczały na widok zbliżających się znajomych ludzi. Dowell zostawił im w workach dość ziarna, by nie narzekały. Barla weszła na tył wozu krytego skórą, wzięła śpiącą Nexę od Araminy i tobolek od Pella, po czym ruchem ręki kazała dzieciom iść na przód, gdzie Dowell odwiązywał lejce od kamienia. Ulokowali się po obu stronach zaprzęgu, by przynaglić bydłęta do wejścia do rzeki i wyjechania na brzeg po drugiej stronie. Dowell i Barla mieli iść z tyłu, żeby w razie czego popchnąć wóz.

Mimo pory i okoliczności wyjazdu, Aramina odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie ruszyli w drogę. Dwa Obroty temu bardzo się ucieszyła, że nie musi już dłużej brnąć dzień po dniu w nużącym tempie Trącają i Popchaj a. Teraz nawet męcząca podróż była dużo lepsza od perspektywy udziału w podstępnych knowaniach Thelli.

– Nie jesteśmy bezdomni z wyboru, Aramino – powtarzała często Barla – bo twój ojciec żył godnie pod rządami Lorda Kale z Warowni Ruatha. Och... – Barla kręciła głową i przyciskała ręce do ust pod wpływem strasznych wspomnień. – Co za przewrotny i zdradziecki, jak okrutny i bezlitosny człowiek! W ciągu jednej strasznej godziny wymordował całą rodzinę władcy! – Tutaj Barla brała się w garść, dumnie podnosiła głowę. – Twój ojciec nie będzie służyć Lordowi Faxowi z Wysokich Rubieży. – Barla zachowała godność mimo wszystkich zniewag, jakie spotykały bezdomnych. Nie należała do osób szafujących słowami. Jej zjadłość więc tym bardziej zapadała w pamięć i Aramina, podobnie jak rodzeństwo, znała Faxa jako łajdaka, grabieżcę i tyрана, nie posiadającego ani jednej pozytywnej cechy. – Mieliliśmy dość dumy, by odejść, kiedy wydał ten haniebny rozkaz... – Barla często rumieniła się i bladła, wspominając tę część historii. – Wasz ojciec zbudował ten wóz, żebyśmy mieli czym jeździć na Zgromadzenia. – Barla wzdychała. – Uczestniczyć w nich jako szanowani gospodarze, nie wólczyć bez domu i przyjaciół.

W tym czasie Władcy innych Warowni woleli nie sprzeciwiać się Faxowi i choć wasz ojciec był pewny, że wszędzie zostanie przyjęty z otwartymi ramionami, stało się inaczej. Nie jesteśmy dziećmi. Zachowaliśmy honor i nie będziemy służyć Faxowi, który jest samym złem.

Choć Barla pomijała milczeniem pewne rzeczy, ostatnio dorastająca Aramina zaczynała pojmować znaczenie tych nie domówień. Mimo niedostatków czterestu Obrotów koczowniczego życia i licznych cięż, będących dowodem poważania Dowella, Barla zachowała piękną twarz i szczupłą figurę. Aramina wiedziała, że Barla jest piękniejsza od większości bezdomnych kobiet; zauważyła też, że kiedy wjeżdżali do nowej Warowni, skrywała lśniące włosy pod wystrzępionym szalem i zakładała wiele warstw ubrań, jak zmarznięta biedaczka.

Dowell był świetnym cieślą. Miał skromne, ale dochodowe gospodarstwo na ziemiach Lorda Kale w lasach Ruathy. Wieści o zdradzieckiej masakrze dotarły w górskie lasy długo po wydarzeniu, kiedy oddział nieokrzesanych żołnierzy Faxa wpadł na podwórze i obwieścił zdumionemu gospodarzowi zmianę władcy. Dowell pochylił głowę, ukrywając skrzętnie pogardę i strach. Miał nadzieję, że żaden z żołnierzy nie wie, iż jego żona, Barla, spodiewająca się wówczas pierwszego dziecka, również ma w żyłach krew ruathańską.

Jeśli Dowell liczył, że potulna akceptacja losu i odosobnienie ustrzeże go przed zainteresowaniem Faxa, to się przeliczył. Dowódca żołnierzy nie był ślepy. Jeśli nawet nie odgadł pochodzenia Barli, to wystarczył mu rzut oka, by poznać się na jej urodzie, godnej Lorda Faxa.

Dowell dostrzegł jego badawcze spojrzenie i opracował plany awaryjne, poczynając od ukrycia wozu i dwóch zwierząt pociągowych w ślepej górskiej dolinie od strony Tilleku. Kiedy minęło pół Obrotu i nikt nie zajrzał do leśnego gospodarstwa, Dowell doszedł do wniosku, że był zbyt ostrożny i źle ocenił reakcję mężczyzny na urodę Barli.

Niedługo później Lord Fax z dwoma dziesiątkami ludzi wypadł galopem z wąskiej przezinki na podwórze. Zrobił straszną

minę, gdy zobaczył Barłę w odmiennym stanie. ' < – Cóż, niebawem się oszczeni. Zabrać ją za dwa mie-t siące. Dopilnować, żeby czekała na wezwanie swoje gdf Władcy!

Nie oglądając się za siebie, Fax zawrócił spienionego jł biegusa i smagając go biczem z surowej skóry odjechali tam, skąd przybył.

Dowell i Barla opuścili gospodarstwo w ciągu godzin ny. Siedem dni później nastąpił przedwczesny poród i chłof piec zmarł. Na domiar złego uciekinierzy nie znaleźli schronienia w warowni Tillek.

–Nie tak blisko Faxes, człowieku. Może dalej na zachodzie – poradził im pierwszy gospodarz. – Nie chcę, żeby zapukał do drzwi mojego domu. Nie on!

Tak właśnie Dowell i Barla rozpoczęli długą wędrówkę. Ruszyli na zachodnie pogranicze Tilleku. Znaleźli tam krótkie wytchnienie, podczas gdy Dowell rzeźbił misy i kubki albo składał szafy lub wozy. Spędzali po parę tygodni tu, pół Obrotu tam. Aramina, pierwsze dziecko Barli, które przeżyło poród, przyszła na świat w drodze przez góry Fortu. Wieści o śmierci Faxesa dopędziły ich na rozległych równinach Keroon nie długo po narodzinach Nexy.

–Warownia Ruatha przyniosła Faxowi tylko chorobę i kłopoty – oznajmił harfiarz w Warowni Keroon, gdzie Dowell budował stajnie.

–W takim razie możemy wrócić i upomnieć się o nasze gospodarstwo.

–Jeśli jest o co. Ale słyszałem, że Lytol jest uczciwym człowiekiem i potrzebuje dobrych robotników – rzekł harfiarz, spoglądając na poznaczone belki, które dopasowywał Dowell.

–Wobec tego wrócimy – powiedział Dowell do Barli – kiedy wywiążę się z umowy z Mistrzem Cechu.

Ponad pół Obrotu później rozpoczęli długą podróż w górę półwyspu Keroon, z podrośniętą córką, synkiem i niemowlęciem.

Wtedy Nić zaczęła opadać na zieloną krainę, sięjąc spustoszenie wśród mieszkańców, którzy niemal zapomnieli o istnieniu swego odwiecznego wroga. Raz jeszcze smoki zapełniły niebo ognistym oddechem, paląc w locie plagę, ratując żyzne ziemie przed poze rającą wszystko Nicią.

Dla bezdomnych podróże stały się bardziej ryzykowne niż zwykle. Ludzie pragnęli bezpieczeństwa, jakie dawały im kamienne ściany, solidne drzwi i tradycyjne przywództwo władców. W Warowniach niewiele miejsca znajdowało się dla tych, którzy nie mieli prawa do opieki Władcy, zapasów i schronienia. Strach padł na nieszczęśników, z różnych powodów niemających własnych gospodarstw czy możliwości wstąpienia do Cechu.

W przypadku Dowella i Barli grozę lekko uśmierzał niespodziewany dar Araminy, która słyszała smoki. Kiedy pierwszy raz w dobrej wierze opowiedziała rodzicom o zasłyszanych rozmowach, dostała cięgi za zmyślanie. Potem nadszedł dzień, gdy z uporem powtarzała, że smoki mówią o rychłym Opadzie. Ze łzami w oczach nie odwołała swoich słów nawet pod groźbą drugiego lania i odesłania do łóżka bez kolacji. Dowell musiał ją przeprosić, gdy zobaczył na niebie czołowy skraj Nici, srebrną smugę upstrzoną ognistymi kwiatami smoczych odchów. Wszyscy byli jej wdzięczni, kuląc się pod wąską skalną półką, która z ledwością ich osłaniała.

–Władcy Ruathy zawsze udzielali gościny jeźdźcom smoków – powiedziała Barla, osłaniając ramieniem popłakującą Notę. Wypłuła piasek z ust. – Nikogo w mojej najbliższej rodzinie nie zabrano w czasie Poszukiwania, ale też za mojego życia nie było wielu Poszukiwań. Aramina dostała swój dar prawem krwi.

–I pomyśleć, zawsze narzekałem, że moje pierwsze dziecko jest dziewczynką – mruknął Dowell, uśmiechając się do Araminy skulonej w najbezpieczniejszym zakamarku pod skalną półką. – Zastanawiam się, czy Nexa też będzie słyszeć smoki.

–Załóżę się, że ja będę, gdy podrosnę – oświadczył Pell, nie chcąc, by wszystkie zaszczyty przypadły starszej siostrze.

–W czasie podróży przez Równiny Telgaru do Ruathy będziemy bezpieczni, bo Aramina ostrzeże nas przed Opadem. Nie będziemy musieli prosić żadnego Władcy o schronienie!

Dowell był dumnym człowiekiem, więc życie bez ograniczeń i zobowiązań wiele dla niego znaczyło. Z nadejściem Opadu

bezdumni cierpieli dotkliwsze niż zwykle upokorzenia ze strony posiadaczy, wielkich i drobnych.

Gospodarze i rzemieślnicy pod byle pretekstem odmawiali im gościny, sprzedawali towary po zawyżonej cenie, pozbawiając ich nielicznych przecięż marek, zmuszali do wielu godzin ciężkiej pracy za sam przywilej ochrony przed Nicią, odzierali z godności i honoru, a nade wszystko żądali wdzięczności nawet za najbliższe dobrodziejsstwo.

Radość niewielkiej rodziny nie trwała długo, bo ich zwierzęta pociągowe uciekły ze strachu przez Opadem.

Dowell musiał wrócić pieszo do Warowni Keroon, gdzie za twardo wytargowaną stawkę wynajął się do pracy na czas następnego Obrotu. Wrócił z nową parą zwierząt do kryjówki, gdzie jego bliscy czekali w obawie przed bezdomnymi i Nicią.

Po wywiązaniu się z umowy Dowell zawrócił zaprzęg na zachód. Poronienie i gorączka Barli zmusiły ich do szukania schronienia w wielkiej grocie w Igenie. Zostali tam, kiedy determinacja Dowella osłabła pod wpływem szeregu nieszczęs'ć, najwyraźniej mających na celu uniemożliwienie im powrotu do Warowni Ruatha.

Teraz jechali przez noc, starając się uciec przed kolejnym niebezpieczeństwem grożącym ich honorowi i planom.

Dowell zdobył skądś mapę Warowni Lemos z naniesionymi drogami, szlakami i ścieżkami. W górzystym i lesistym Lemos nie korzystano z dróg wodnych, jak w innych częściach Permu. Dowell wybierał najmniej uczęszczane szlaki i pilnował, żeby zacierać wszelkie ślady po obozowiskach. Kiedy wreszcie zezwolił ludziom i zwierzętom na chwilę odpoczynku, zbliżało się południe. W czasie krótkiego popasu zmiażdżył liście i zabarwił skórzaną budę na zielono, żeby wóz był mniej widoczny dla wypatrujących oczu.

–W lasach Lemos będziemy bezpieczni – powiedział, podnosząc na duchu rodzinę i siebie. – W górach nie brakuje jaskiń, których nikt nie znajdzie...

–W takim razie jak my to zrobimy? – zapytał Pell przytomnie.

–My będziemy pilnie szukać – odparła Aramina, nim ojciec zdążył się rozżłościć.

–Aha!

–Zamieszkamy tam sami i będziemy żyć z tego, co dadzą nam lasy – mówiła Aramina. – Będziemy mieć drewno na opał, a do jedzenia orzechy i korzenie, bo umiemy je znajdować, i jagody, i pieczone whery...

–Pieczone whery? – Pell uśmiechnął się na myśl o takim przysmaku.

–Umiesz przecież robić doskonałe sidła...

–W Igen zawsze łapałem więcej węży tunelowych niż ktokolwiek inny – zaczął Pell. Nagle przypomniał sobie, że uciekają na złamanie karku z powodu jego przechwałek, więc zakrył usta ręką i ze wstydu zwinął się w kłębek.

–W leśnych jaskiniach powinno być mnóstwo węży, prawda, mamó? – zapytała Aramina, chcąc rozjaśnić zasmuconą twarz matki i litując się nad bratem, którego przygniatało poczucie winy.

–Powinno – zgodziła się Barla z roztargnieniem rodzica, który tak naprawdę wcale nie słucha paplaniny dzieci.

Dowell wydał rozkaz i wyruszyli. Parę godzin później Trącaj odmówił posłuszeństwa, a kiedy Dowell zamierzył się na niego kijem, opadł na kolana. Wyprzągłszy krnąbrne bydło, zmusili Popchaja do wciągnięcia wozu w krzaki przy szlaku.

–Trącaj ma swój rozum – mruknął Pell do siostry, gdy zmęczone dzieci zbierały gałęzie do przysłonienia wozu.

–Ojciec też. Ja wcale nie chcę pomagać Thelli ani... – Aramina wstrząsnęła się z obrzydzenia – temu jeźdźcowi bez smoka, Gironowi.

–Są źli jak Fax.

–Gorsi.

Gdy Barla zaczęła rozdzielać suchy prowiant, stwierdziła, że Aramina i Pell już śpią.

Dopiero kiedy cztery góry rozległego pasma Lemos odgradziły ich od rzeki Igen, Dowell zmniejszył tempo. W trakcie jazdy po wąskich ścieżkach, bardziej przecinkach niż drogach, nie napotkali żywego ducha.

Nie byli zupełnie sami, gdyż smoki przemykały w powietrzu na codziennych patrolach. Aramina upajała się ich rozmowami. Powtarzała je z humorem, żeby ożywić wieczory przy ognisku – Dowell uznał, że niewielkiego, bezdymnego ognia nikt nie wypatrzy w gęstym lesie.

–Dzisiaj znowu była zielona Path z Hethem i Monarthem – powiedziała dziesiątego dnia po ucieczce z jaskini Igen. – Lamath, królowa, zniosła trzydzieści pięknych jaj, ale Monarth mówi, że nie ma wśród nich królewskiego- Nie zawsze są jaja królewskie – przypomniał Dowell, widząc jej smutną minę.

–Tak powiedziała Path. Nie mam pojęcia, czemu Monarth był rozdrażniony.

–Nie wiedziałem, że smoki gawędzą między sobą – zdziwiła się Barla. – Myślałam, że rozmawiają tylko ze swoimi jeźdźcami.

–Och, tak – zapewniła Aramina. – Heth stale mówi do K'vana, kiedy odbywają samotny patrol.

–Dlaczego dziś są trzy? – zapytał Pell.

–Bo zbliża się Opad.

–Dlaczego nas nie uprzedziłaś? – zapytał Dowell ostro, zirytowany powściągliwością córki.

–Zamierzałam. Sądzą, że Nić spadnie na Lemos jutro po południu.

–Jak przeżyjemy Opad w tych lasach? – Dowell ze złością się w końcu.

–Mówiłeś, że w Lemos jest mnóstwo jaskiń – przypomniał Pell, krzywiąc buzię do płaczu.

–Musimy znaleźć jedną! – rzekł Dowell ponuro. – Zaczniemy poszukiwania jutro z samego rana. Aramino, ty i Pell będziecie szukać z przodu, na zboczu. Nad nami jest nagie urwisko i gdzieś tam musi być grota nadająca się na schron.

–Potrzebujemy też więcej korzeni i wszystkiego, co tylko nadaje się do jedzenia – dodała Barla, pokazując pusty rondel. – Suszone mięso i warzywa już się skończyły.

–Dlaczego Nić spada zawsze wtedy, gdy nie ma się gdzie schować? – zapytał Pell, choć nie spodziewał się, że ktoś mu odpowie.

Miał okazję do dalszych narzekań nazajutrz rano, kiedy tylne koło trafiło w przysłoniętą liśćmi dziurę, złamało przetyczkę i leniwie przewróciło się na bok. Bydłęta pociągnęły wóz kawałek dalej, orząc osiä ziemię. Dowell z ponurą miną obejrzał zniszczenia. Z westchnieniem długo wystawianej na próbę cierpliwości zabrał się do zakładania koła.

Rzecz jasna, koło spadło nie po raz pierwszy, więc Araminie i Pellowi nie trzeba było mówić, że mają poszukać mocnych konarów i pomóc wtoczyć kamień pod wóz.

Operacja przebiegała sprawnie. Gdy tylko Dowell i Barla dźwignęli łożę wozu, dzieci wsunęły pod spód dwa kamienie. Dowell założył koło i stwierdził, że nie mają już w zapasie sworzni ani przetyczek. Ostatnie zużył w czasie podróży do jaskini Igen, a w czasie długiego Obrotu nie miał powodów, żeby zrobić nowe.

–Dowell, jesteś 'my w środku lasu – zgañiła go Barla, ucinając potok oskarżeń, jakimi się obrzucał. – Znajdziemy twarde drewno. Wystruganie nowych kołków nie zajmie dużo czasu. Dzieci w tym czasie mogą poszukać jedzenia i jaskini. Ruszaj się! – Podała mu toporek. – Ja ci pomogę. Aramino, weź worek i skórzany kubełek. Pell, zastaw sidła, jak zobaczysz ślady węża. Nexa, zabierz łopatkę, ale uważaj, żebyś nie zgubiła jej w lesie.

–Aramino, jeśli usłyszysz coś więcej o Opadzie od smoków, natychmiast mi powiedz – przykazał Dowell, idąc do twardego drzewa dostrzeżonego ze szlaku. – Od razu.

Troje dzieci gnanych duchem przygody pobiegło szlakiem, który zygzakiem wspinał się pod górę. Pokonały cztery zakosy, mając las po obu stronach. Pell wypatrzył parę szarych skał i uparł się, żeby je sprawdzić, mimo że nie wyglądały obiecująco. Dalej przecinka biegła prosto i nikła za skalnym załomem. Na stromym zboczu na prawo od ścieżki drzewa rzedły, ustępując

nagiej skale.

–Pójdę się rozejrzeć, 'Mina! – krzyknął Pell i pobiegł co sił w nogach. Nexa przywołała Araminę do skupiska przywiedłych czerwonych kłaczy rosnących po drugiej stronie ścieżki.

Aramina przez chwile patrzyła, jak Pell wspina się po stromym i śliskim zboczu. Potem poszła pomóc Nexie szukać jedzenia. Niedługo później usłyszała gwizd Pełła, umówiony sygnał alarmowy. Przestraszona, że zranił się w czasie wspinaczki, biegiem wróciła na szlak.

–Znalazłem jaskinię, 'Mina! Znalazłem jaskinię. – Pell zsuwał się z urwiska. – Głęboką. Jest też miejsce dla zwierząt. – Jego głos wznosił się i opadał, gdy na w górę zbiegał, na w dół zjeżdżał do siostry.

–Zgubiłeś to, co zdobyłeś – powiedziała surowo, wskazując połamane gałązki z orzechami, które ścisnął w rękę. – Żadna strata. – Pell wyrzucił bezużyteczne kawałki i strzepał wilgotne liście ze skórzanych spodni. – Jest ich pełno, gdzie... – urwał z niepewną miną, zatrzymując rękę w powietrzu.

–Hmm, znowu rozprute – powiedziała Aramina ze zniecierpliwieniem. Złapała brata i okręciła dookoła, żeby zobaczyć jego spodnie. Westchnęła, z trudem panując nad złością. Pell nigdy nie myślał o ryzyku ani konsekwencjach.

–Puścił szew. Skóra jest cała. Mama naprawi! W jaskini, którą znalazłem, jest mnóstwo miejsca. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, chcąc rozweselić siostrę, i rozłożył ręce, żeby pokazać wspaniałość swojego odkrycia.

–Daleko stąd? – Aramina z zadumą zmierzyła nachylenie stoku. – Nie jestem pewna, czy Trącaj i Popchaj dadzą radę.

–Dadzą, bo tam jest trawa i woda...

–Jaskinia jest wilgotna?

–Nie! Sucha tak daleko, jak tylko wszedłem. – Pell przekrzywił głowę na bok. – Pamiętałem, żeby nie iść do samego końca, przed czym zawsze mnie przestrzegałaś.

Tylko na tyle, żeby zobaczyć, że jest duża i sucha. I widziałem ślady węzów tunelowych. Pyszności! – Przewrócił oczami i obliznął usta, myśląc o czekającej ich uczcie. – Jest nawet strumień i... kaskada.

Aramina zawahała się, patrząc na stromy stok. Zastanawiała się, czy Pell nie przesadza. Jej brat przejdzie przez życie, widząc tylko to, co będzie miał nadzieję zobaczyć.

Ale w tej chwili liczyło się tylko schronienie. Nieważne, czy Pell przesadzał, ważne, że znalazł jaskinię. Ojciec zdecyduje, czy się nadaje.

–Jak daleko?

–Trzeba wejść na szczyt... – Pell wyciągnął rękę – a potem w dół za gajem orzechów. Gdy skreślisz w prawo przy rozwidlonej brzozie, na wprost zobaczysz wejście.

Ma dobry nawis. Chodź, pokażę ci.

–Nie, zaczekasz tutaj. Nexa jest na dole, szuka korzonków... – Aramina skrzywiła się na widok kwaśnej miny brata – które są tak samo potrzebne jak jaskinia. – Znow się zawahała. Może jednak powinna najpierw obejrzeć grotę, żeby nie rozbudzać fałszywych nadziei. – 'Mina, przecież nie zmyślałbym co do schronu.

Aramina uważnie przyjrzała się twarzy brata. Nie, Pell nie kłamałby w tak ważnej sprawie. Promień słońca przebił się przez chmury i korony szumiących drzew, przypominając, że zostało niewiele czasu, jeśli chcą się ukryć przed opadem Nici.

–Nie odchodź! Wiesz, jak Nexa się boi. – Aramina zręcznie zawiązała sznurkiem worek z korzonkami i położyła go z boku ścieżki.

–Nie odstąpię jej na krok. Ale chyba będzie lepiej, gdy rozejrę się za drewnem na ognisko. – Wykręciwszy się od zniechęconego kopania korzeni, Pell sumiennie zabrał się do zbierania chrustu.

Aramina zwawo schodziła w dół szlaku, długie warkoczki uderzały ją po ramionach i pośladkach. Cechowała ją zwinność

ruchów, której pozazdrościłby jej każdy goniec z Warowni.

Słońce podążało w ślad za nią, oświetlając zarośniętą ścieżkę, tak miękką, że marsz był czystą przyjemnością.

Aramina zwolniła, gdy zaczęły się zakręty. Pilnie nasłuchiwała, lecz słyszała tylko własne kroki. Przecież wystruganie kołków nie mogło zająć ojcu aż tyle czasu! Dowell i Barla powinni już być w drodze. Dlaczego nie słysząc poskrzypywania wozu ani pokrzykiwań ojca, popędzającego bydłęta?

Aramina wypatrywała krytego wozu między gęsto rosnącymi drzewami. Niepokój ją popędzał i pędziła w dół ścieżki, nie mogąc się doczekać uspokajającego widoku czy dźwięku. Biegła coraz szybciej, teraz już pewna, że stało się coś złego. Czyżby Władczyni Bezdomnych, Thella jednak ich dopędziła?

Chcąc skrócić drogę, ścięła następny zakręt i przedarła się przez krzaki. Wreszcie dostrzegła między drzewami wysmarowaną na zielono budę wozu. Teraz posuwała się ostrożnie. Wóz stał w tym samym miejscu co dwie godziny temu.

Drżąc ze strachu Aramina zatrzymała się, nasłuchując głosów, basowego dudnienia Girona czy skwaszonego altu Thelli. Słyszając tylko szum wiatru w bezlistnych gałęziach, krok po kroku posuwała się dalej, aż znalazła się tuż przed wozem. O mało nie krzyknęła, przestraszona, po czym zsunęła się po skarpie i zadrżała z przerażenia, gdy zobaczyła głowę i ramiona ojca wystające spod wozu. Kamienie obsunęły się i koło znów leżało na boku.

Aramina już była pewna, że ojciec nie żyje zmiażdżony, gdy nagle dostrzegła kamień, który wpadł pod łożę wozu i podtrzymywał największy ciężar.

Dopiero gdy usłyszała chrapliwe stęknięcie i szloch, uświadomiła sobie, że matka próbuje dźwignąć wóz.

–Mamo!

–Nie dam rady, 'Mina! – załkała Barla, opierając się o drąg ze zmęczenia. – Próbuję i próbuję...

Aramina, nic nie mówiąc, mocno nacisnęła drąg. Jednak mimo że Barla pomagała jej ze wszystkich sił, obie były za lekkie, żeby podnieść wóz więcej niż na szerokość palca.

–I co teraz zrobimy, 'Mina? Nawet jeśli zawołamy Pella i Nexę, niewiele nam pomogą... – Barla z płaczem osunęła się na ziemię.

–Podniosłyśmy dość wysoko. Pell i Nexa mogliby go wyciągnąć... – Aramina odwróciła się do ojca. Jego ogorzała twarz aż poszarzała. Puls na szyi bił powoli, ale miarowo. – Pell znalazł jaskinię, niedaleko stąd. Zaraz wróć.

Nie czekając na sprzeciw Barli, Aramina szybko pobiegła w górę szlaku. Pell i Nexa mają dos'ć siły. Muszą.

Nie miała odwagi myśleć, co będzie, jeśli się myli. Muszą się pospieszyć. Słońce zaglądające jej w oczy ostrzeżało, że mają niewiele czasu na uratowanie Dowella i zaprowadzenie wozu do jaskini. Aramina skupiła się na najważniejszych sprawach i mało brakowało, a zauważyłby ją smok szybujący po niebie. Zatrzymała się gwałtownie, o mało co nie upadła.

Smoku, smoku, wysłuchaj mnie! Pomóż mi! POMOCY! Nigdy dotąd nie próbowała porozumieć się ze smokami, ale pomyślała, że smoczy jeździec nie zostawi jej w potrzebie. Z pewnością jest na tyle silny, by pomóc.

Kto wzywa smoka?

Poznała głos Hetha.

To ja, Aramina. Na ścieżce, nad rzeką w lesie. Proszę, pomóż mi. Wóz przycisnął mojego ojca. I niebawem spadnie Nić! Podskakiwała na ścieżce, gorączkowo wymachując rękami. Błagam, pomóż!

Nie musisz krzyżeć. Słyszałem za pierwszym razem.

Mój jeździec chce wiedzieć, kim jesteś.

Aramina z ulgą zobaczyła, że smok zawraca, opadając w stronę szlaku.

Mówiłam ci, jestem Aramina.

Mam mu powiedzieć?

Aramina nieczęsto spotykała się z takimi względami.

Tak, oczywiście. Ty jesteś Heth?

Jestem Heth. Mój jeździec nazywa się K'van.

Jak się masz?

Miałbym się znacznie lepiej, gdybyśmy cię widzieli.

Stoję tułaj, na środku ścieżki. A wóz jest duży..– Mój ojciec pomalował go na zielono. Gdybyś poszybował niżej...

Jestem smokiem, nie wherem... K'van zobaczył wóz.

Aramina rzuciła się na przelaj przez krzaki i dotarła do wozu wtedy, kiedy smok i jeździec. Barla omal nie zemdlą, przestraszona ich niespodziewaną wizytą.

–Nie bój się, mamo. Oni nam pomogą. Są znacznie silniejsi od Pella i Nexy. – Aramina spostrzegła, że Trącaj i Popchaj zdecydowanie nie mają ochoty przebywać w pobliżu smoka. Złapała je za kółka w nosach i przywiązała mocno do kamienia. Specjalnie sprawiała im ból, żeby oderwać ich uwagę od smoka.

Na szczęście, jeździec skierował Hetha za wóz, który osłonił go przed wzrokiem zwierząt.

Aramina nieco zmieszana stwierdziła, że smok i jeździec są bardzo młodzi. Zawsze myślała, że spizowe smoki muszą być wielkie. Faktycznie na niebie Heth wydawał się ogromny. Dopiero teraz zobaczyła, że jest młodziutki, a jego jeździec, K'van, niższy i młodszy od niej.

K'van wyczuł jej rozczarowanie, bo wyprężył ramiona i poderwał brodę. Podszedł do drąga opartego o głaz i popatrzył na leżącego Dowella.

–Może jesteśmy weyrzątkami, ale zdołamy ci pomóc – powiedział bez cienia urazy. Odwrócił się do smoka. – Naciśnij na to przednimi łapami, Heth. Chodź, Aramino.

Aramina oderwała oczy od spizowego smoka, który przysunął się i oparł pięciopalczaste szpony na drągu.

–Na mój znak, Heth. – K'van uśmiechnął się do Araminy, gdy uklękli przy nieprzytomnym Dowellu, wsuwając ręce pod jego pachy. – Już, Heth! Naciskaj!

Błyskawicznie wyciągnęli Dowella spod wozu. Z krzykiem niewysłowionej ulgi Barla przypadła do męża i rozpięła mu koszulę, żeby ocenić obrażenia. K'van przytomnie podłożył drugi kamień pod wóz.

–Trzeba założyć koło – powiedział do Araminy. – Spisałeś się, Heth.

–Jestem bardzo silny – odparł smok z nutką przechwałki. Niebieskawa zielen wirowała w jego wielkich oczach, gdy naciskał na drąg.

–Rzeczywiście, jesteś pięknym stworzeniem – zawołała Aramina.

–W porządku, Heth, możesz puścić – powiedział K'van, przytrzymując kamień. – Powoli.

Wóz osiadł na kamieniu, skrzypiąc. K'van rozejrzał się dokoła i triumfalnie podniósł kołki, które leżały w trawie.

–Mamo? – zapytała drżącym głosem Aramina, odwracając się w stronę ojca.

–Nie ma złamanych kości – odparła niepewnie Barla – ale spójrz... – Wskazała straszliwą siną pręgę w poprzek piersi. Odgarnęła włosy z czoła Dowella z troską tak pełną czułości, że dwoje młodych ludzi wymieniło zakłopotane spojrzenia.

K'van dotknął ramienia Araminy.

–Wiesz, jak założyć koło na oś? – Popatrzył na nią ze smutkiem. – Ja nie.



–Skąd miałbyś wiedzieć? – Aramina wzięła od niego kołki i z ukłuciem bólu zauważyła, z jaką starannością Dowell wyłobił otwór do przetyczki. – Jesteś smoczym jeźdźcem.

–Od niedawna – odparł K'van z uśmiechem, pomagając jej podnieść koło i zatoczyć do wozu. – Wyrzątka uczą się po trochu z każdego fachu potrzebnego w Weyrze. Nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się przydać. Jak teraz! – zakończył ze stęknieniem. Razem pchnęli koło, próbując osadzić je na osi.

–Błoto zaschło na piasku – powiedziała Aramina, gdy K'van przestał próbować i nie wiedział, co począć. Nożem zdrapała zaschłe błoto, znalazła spory kamień i mocno uderzyła w koło, wbijając je na oś. Uderzała kilka razy, a potem wsunęła sworzeń i przetyczkę.

–Dobra w tym jesteś – powiedział K'van z podziwem.

–Mam doświadczenie.

Z pomocą Hetha wyjęli kamień spod wozu.

–Daleko jedziecie? – zapytał K'van. – Niebawem spadnie Nić, a o ile dobrze pamiętam, gospodarstwo leśników leży kawał drogi stąd.

Barla wstrzymała oddech, ale Aramina miała gotową odpowiedź.

–Wiem, ale mamy opóźnienie przez ten wypadek – skłamała spokojnie. – Na szczęście, niedaleko jest jaskinia, tam prze czekamy Opad.

–Duża? – zapytał K'van.

–Wystarczająco. A co? – zapytała Aramina, nagle czujna.

–Chwilę przed twoim wezwaniem... – K'van uśmiechnął się niewinnie – Heth zauważył gromadę jeźdźców za rzeką. Są z wami?

–Nie. – Barla jęknęła głośno i ze strachem w oczach spojrzała na Araminę.

–W tej części lasów Lorda Asgenara nie powinno być nikogo innego. – Aramina udała wielkie oburzenie. – Ale ostrzeżano nas, że w okolicy kręcą się bezdomni jeźdźcy.

–Bezdomni? – K'van natychmiast okazał czujność.

–Jeśli tak, uciekną na mój widok. Słuchaj, pomogę wam ułożyć ojca na wozie. Jedźcie do jaskini, ja zajmę się jeźdźcami. I uprzedzę Lorda Asgenara.

Aramina nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, ale podziękowała K'vanowi, grając do końca swoją rolę w tej farsie. Odpięła klapę z tyłu wozu i razem dźwignęli Dowella. Potem, gdy K'van stał przy smoku i patrzył, obie z Barlą wsiadły na wóz i pognały zwierzęta najpierw stępem, potem truchtem w górę szlaku.

Musiały się postarać, żeby zaprzęg nie zwalniał. Trącaj buntował się, odwracając rogaty łeb i mucząc żałośnie, ale Aramina nie miała dla niego litości. Kobiety i zwierzęta były złane potem, kiedy wreszcie dotarli pod urwisko. Pell wydierał się na całe gardło, dopóki Aramina nie powiedziała mu, żeby przestał się wygłupiać i pomógł.

W paru słowach wyjaśniła, co się stało. Pell powoli pokręcił głową.

–Nie mam pojęcia, jak zaniemiemy ojca – powiedział, oceniając skalę problemu. – Nie powinnaś' odsyłać smoczego jeźdźca,

–Ranny ojciec to nie wszystko, Pell. K'van widział żołnierzy po drugiej stronie rzeki...

Pell jęknął i jego niepokój udzielił się Nexie, która przyglądała im się z szeroko otwartymi oczami, z niepewnym wyrazem twarzy. Dzie wczynka wybuchnęła płaczem.

–Poza tym trzeba schować wóz. Ukryć zwierzęta.

–Zbliża się Opad. Musimy zanieść ojca do jaskini i...

–Pell zająknął się, zdjęty strachem.

–Jakoś' musimy to zrobić – powiedziała Aramina, rozglądając się w poszukiwaniu osłony dla dużego wozu. – Może, jeśli K'van ich wystraszył, wróć tam, skąd przyszli... Może, jeśli zrobimy nosze, zdołamy zanieść ojca na górę...

–Może, może, może! – Pell dosłownie podskakiwał, ogarnięty poczuciem niemocy.

–Nie kłóćcie się teraz – zgaśniła ich Barla. – Musimy obudzić ojca... Ile mamy czasu do Opadu, Aramino? Nie zapytałaś smoczego jeźdźca?

Aramina odwróciła głowę, zawstydzona pełnym wyrzutem matki. Jej oczy zatrzymały się na kępie wiecznie zielonych krzewów, parę smoczych długości w górę szlaku.

–Tam! – zawołała dramatycznie, gwałtownie machając rękami. – Tam schowamy wóz, za tymi krzakami. Są dość wysokie!

Mając konkretne zajęcie, nawet Nexa przestała płakać.

Ostrożnie zdjęli Dowella z wozu i okryli futrem, a potem zabrali się do wozu. Nexa zamiatła ślady kół, gdy Aramina i Pell zmuszali bydlęta do wciągnięcia wozu w krzaki rozchylone przez Barłę. Artystycznie udrapowane gałęzie dopełniły kamuflażu.

Następnie Barla posłała Pella i Nexę do jaskini z futrami i cennym kociołkiem, a sama z Aramina próbowała ocucić Dowella. Zwykle aromaty trzeźwiące nie przyniosły pożądanego skutku. Kobiety wymieniły zaniepokojone spojrzenia, kiedy nagle Trącaj i Popchaj zamuczały przestraszone, szarpiąc postronki.

–Nic? – sapnęła Barla, pochylając się nad mężem.

–Nie – zawołała Aramina. – Smoki! Wielkie smoki! – Rzeczywiście, wydawało się, że przysłoniły niebo. Młode drzewka chwiały się w podmuchach ich potężnych skrzydeł.

–Aramino, jak to się stało, że ten smoczy jeździec nam pomógł? Zawołałaś go? – Aramina w milczeniu pokiwała głową, na co Barla krzyknęła zrozpaczona. – Zabiorę cię do Weyru, gdy się dowiedzą, że słyszysz smoki i umiesz z nimi rozmawiać! Co wtedy zrobimy?

–Jak inaczej uratowalibyśmy ojca? – zapytała Aramina, choć ona też żałowała tego, co zrobiła.

Słyszę, Aramino – powiedział Heth.

Och, proszę, Heth, odejdz. Powiedz, że nie możesz mnie znaleźć.

Przecież mogę! Nie bój się. Nie zrobimy ci krzywdy.

Nim Aramina zdążyła się odezwać, trzy smoki miękko opadły na szlak. Trącaj i Popchaj stanęły dęba i naprężyły postronki, chcąc zerwać się z uwięzi. Barla i Aramina jednoczesnie skoczyły w ich stronę. Skręciły kółka w nozdrzach, żeby ból sparaliżował głupie, płochliwe bydlęta.

Pójdziemy w dół ścieżki – powiedział Heth, gdy Aramina zmagala się z szalejącym Trącajem. Kiedy smoki oddaliły się na bezpieczną odległość, Aramina i Barla puściły zwierzęta.

Zbliżyło się troje jeźdźców.

–Jestem T'gellan, spizowy jeździec Monartha, a to Mirrim, która dosiada zieloną Path – rzeź najstarszy. – K'van dobrze zrobił, wzywając nas do przepędzenia stąd bezdomnych jeźdźców. Postanowiłem sprawdzić, czy bezpiecznie dotarliście do schronu przed Opadem.

Barla wiedziała, że potrzebują pomocy, jednak bała się smoczych jeźdźców, bo mogli zabrać jej córkę.

Mirrim uklękła przy Dowellu i rozchyliła koszulę, potem zagwizdała przeciągle.

–Nie wyczułam połamanych kości, ale nie odzyskuje przytomności. – Barla rozsądnie zacydowała, że najważniejsze jest dobro męża.

–Jeśli przygniół go wóz, jak mówi K'van, to mnie nie dziwi – odparła Mirrim. – Opiekowałam się chorymi w Weyrze. Najpierw zabierzmy go do jaskini.

–Nie ma czasu do stracenia – dodał Tgellan, łypiąc na strome zbocze. – Ale nie wyobrażam sobie, jak przeniesiemy tam nieprzytomnego mężczyznę!

–Czy przed jaskinią jest wolne miejsce? – zapytała Mirrim.

–Niewielka polanka – odparła Aramina. Miała nadzieję, że opis Pella okaże się zgodny z faktami.

–Path? Mogłabyś? – zapytała Mirrim zieloną smoczycę.

Nie mam nic przeciwko. Aramina ledwo uwierzyła własnym oczom, gdy wielka smoczyca, jakby płynąc w powietrzu, bez poruszania skrzydłami i łapami, zbliżyła się do grupy. Głupie bydlęta, prawda? – dodała, bo znów rozległo się przerażone porykiwanie.

Aramina musiała zająć się zwierzętami. Uspokoily się, gdy tylko Mirrim, Path, Dowell i Barla zniknęli za horyzontem.

–Uznałem, że lepiej wysłać też twoją matkę, Aramino – wyjaśnił Tgellan, śmiejąc się z jej zdziwienia. – Ty także ruszaj w drogę. Nic niebawem zacnie opadać.

–Nie mogę... Trącaj i Popchaj...

K'van wyszczerzył zęby.

–Siadaj na jednego, złap mocno postronek drugiego.

Rozruszamy je! – Wskazał kciukiem dwa smoki, które obserwowały ich wirującymi łagodnie oczami.

Aramina w życiu nie przeżyła bardziej szalonej przejażdżki. Po pierwsze, zwierzęta pociągowe z krótkimi karkami i nisko spuszczone łbami nie bardzo się nadawały do jazdy wierzchem, a po drugie, nie miały ochoty wspinać się pod górę. Jednak łopoczące smocze skrzydła były wystarczającą zachętą, by Trącaj i Popchaj skoczyły w ogień.

Błyskawicznie pokonały stok co najwyżej czterema potężnymi susami, choć kopyta ślizgały się po wilgotnym podłożu. Z impetem wpadły na szczyt i pogalopowały w dół, niemal zderzając się ze skałą. Zatrzymały się tak gwałtownie, że Aramina przeकोziołkowała nad rogami Trącają i upadła na ziemię, uderzając się mocno.

Zjawił się Pell, zaskoczony jej gwałtownym przybyciem.

–Dziewczyna na zielonym smoku przywiozła ojca i mamę. Nie przypuszczałem, że dziewczynom wolno jeździć na bojowych smokach.

–Pomóż mi wprowadzić je do jaskini, zanim znowu się spłoszą – powiedziała Aramina. Ją też zdziwił widok Mirrim i Path.

–Patrz, lecą! – zawołał Pell z radością, która przemieniła się w zawód, bo szybujące smoki szybko zniknęły. – Zawsze mija mnie to, co najlepsze – sarknął.

–Wprowadź Popchaję do środka! – Aramina nie miała czasu, żeby roztkliwiać się nad rozczarowanym bratem.

Szturchnęła go tak mocno, że musiał jej przypomnieć, iż nie jest starym pociagowym bydlęciem.

Szarpnął za postronek i zwierzę posłusznie potruchtowało za nim. Ryknęło, gdy zadrapało się o ścianę wąskiego przejścia. Aramina pchnęła nakrapiany bok we właściwą stronę. Pociągnęła Trącają prosto do wejścia i na wszelki wypadek przykręciła kółko w nosie. Zwierzę ryknęło z bólu i weszło do jaskini. Wpadło na Araminę, która przystanąła, zdumiona widokiem.

–Prawda, że cudowna, 'Mina? Znalazłem dobrą jaskinię, prawda? Może przyniesiemy tutaj wszystkie nasze rzeczy? Może nawet moglibyśmy tu zamieszkać. – Ostatnie zdanie Pell powiedział zduszonym szeptem. – Czyż nie jest wielka jak

Warownia, 'Mina? – Podskakiwał z emocji, zapominając o trzymanym postronku. Przez chwilę pragnął tylko pochwały z ust siostry.

Aramina spojrzała na poważną twarz Nexy, która tuliła głowę ojca na stercie futer, i na matkę zajęętą rozniecaniem ognia w kręgu kamieni. Dopiero potem przyjrzała się dokładnie jaskini.

–Naprawdę jest wystarczająco duża na Warownię – powiedziała z zachwytem, żeby sprawić przyjemność bratu.

–Większa od wielu gospodarstw, w których byliśmy, 'Mina – dodał Pell z ogromną satysfakcją. – Znacznie większa. Niemal tak wielka jak największe jaskinie Igeny.

Aramina obejrzała wysoki strop. W s'wietle, sączącym się od wejścia wyglądał na suchy. Wyczuwała raczej, niż widziała, że jaskinia nie kończy się na komorze, w której stali.

–Jest nawet coś, co może być zagrodą dla zwierząt – paplał radośnie Pell, ciągnąc Popchaja w głąb groty.

Po przywiązaniu bydła oboje wrócili bliżej wejścia, gdzie Barla rozpałała niewielkie ognisko. Cichy jęk zmącił ciszę, gdy Dowell przekręcił głowę na kolanach Nexy.

Dziewczynka poderwała ręce, jakby jej dotyk mógł zaszkodzić ojcu. Jej przestraszone oczy szukały pociechy.

–Mówiłam ci, Nexo, że oprzytomnieje – powiedziała Barla, podnosząc się od buzującego ognia. – Aramino, będzie my potrzebować świeżej wody. Jak najzimniejszej.

Oblóżymy stłuczenia zimnymi kompresami, nic więcej nie mamy. Pospiesz się. Smoczy jeźdźcy powiedzieli, że Opad zacznie się za parę minut. – 'Mina... – Pell złapał wiaderko po drugiej stronie, wychodząc z siostrą z jaskini – słyszysz już smoki?

Aramina przystanęła w wejściu, nasłuchując pilnie.

Uśmiechnęła się do Pella i szybko wyszła na zewnątrz.

–Pokaż mi, gdzie jest woda – poprosiła.

Pell w podskokach pobiegł przodem.

–Tutaj! Tutaj! – wyśpiewywał z uśmiechem, pokazując nie wielką kaskadę, która spadała z boku góry.

Woda była zimna jak lód i w ciągu paru sekund Araminie zdrętwiały palce. Napełniła wiaderko. Wchodziła do jaskini, gdy Pell zagwizdał z przejęciem. W tej samej chwili usłyszała liczne głosy, podekscytowane i pełne wyczekiwania.

–Są! Widzę ich! Zobaczyłem ich pierwszy! – Pell triumfował, znalazł w końcu słabą stronę w darze siostry.

–Ale ja słyszę, jak rozmawiają!

–Mogę tym razem popatrzeć, jak smoki walczą z Nicią, 'Mina? Mogę?

Aramina uciszyła go, sprawdzając nawis jaskini. O ile Nić nie będzie spadać z ogromną prędkością i pod skosem, nie powinna być niebezpieczna. Obroty Opadów uspokoiły ją nieco.

–Tak, chyba możemy stąd popatrzeć. – Ostrzegawczo przyłożyła palec do ust i szybko zaniósła matce wiaderko zimnej wody, a potem wróciła do brata.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Pella niewiele było do oglądania. Widzieli formacje smoków, wiszących bez ruchu w czystym górskim powietrzu, ze skrzydłami i ciałami błyszczącymi w słońcu. Potem nagle coś zamajaczyło na niebie i pojawiła się srebrna mgła, czoło Opadu.

Dopiero wtedy smoki wyrwały się z chwilowego stanu zawieszenia i ruszyły na spotkanie ze śmiercionośnym deszczem, ziejąc ogniem, zwęglającym pasożytniczą Nicią.

Pell wstrzymał oddech, patrząc z zachwytem na śmiałe wypadki mniejszych smoków, i krzyknął, gdy wystrzelił długi jęzor płomieni. Srebrna mgła przemieniła się w czarny dym, który rozproszył się leniwie. Ogień znaczył szlak pościgu smoków za

odwiecznym wrogiem, aż w końcu wzgórze i drzewa zasłoniły widok.

–Krótko... – powiedział Pell z przygnębieniem.

–Jestem pewna, że dla jeźdźców i smoków dość długo – Aramina łagodnie wytknęła mu bezdusność. – Pamiętałeś, żeby zabrać korzenie?

–A kto by chciał jeść korzenie! Tu są całe akry orzechów.

–W takim razie nie będziesz miał kłopotów z napełnieniem worka, prawda?

Po wejściu do groty Aramina usłyszała jękliwy głos ojca.

–Nie rozumiem, jak tego dokonałaś, mając do pomocy tylko Araminę.

–Pell też się przyłożył – powiedziała Barla uspokajającym tonem, wyzymając chłodny okład. Rzuciła Araminie surowe spojrzenie.

–To było proste, ojcze. Ciągłe nam powtarzasz, że gdyby mieć wystarczająco długą dźwignię, można by odsunąć Pern od Czerwonej Gwiazdy – dodała Aramina z uśmiechem.

–Nie pora na żarty – skarciła ją Barla surowo.

–Czemu nie? Tata się ocknął, mamy tylko dla siebie wielką jaskinię, a Pell poszedł po więcej smakołyków. – Aramina dłońią zgmiotła dwa orzechy. – Widzisz? – Podąła je Barli.

Po kolacji z gotowanych korzonków i chrupiących orzechów, Aramina i Pell w ostatnich promieniach słońca zebrali zapas paszy dla bydła, a potem gałązki i wonną paproć na posłania.

Aramina była zmęczona, lecz nie mogła usnąć. Wpojono jej prawdomówność, a dziś postępowala na przekór wszelkim naukom. Zasugerowała K'vanowi, że są właścicielami gospodarstwa, podróżującymi w interesach swojego władcy. Minęła się z prawdą w rozmowie z ojcem – na życzenie Barli, która nie chciała go zmartwić.

Tak czy inaczej, niebawem prawda wyjdzie na jaw.

Ale... K'van przepędził Władczynię Thellę i bandę, która deptała im po piętach. I... udało im się bezpiecznie ulokować Dowella w jaskini bez zostawiania śladów, którymi mogłaby podążyć Thella. Jednak... żeby osiągnąć cel, zdradziła jeźdźcom z Weyru Benden swój sekret. I... smoczy jeźdźcy teraz dokładnie wiedzieli, gdzie jej szukać. Aramina nie mogła wyobrazić sobie kary, jaka może ją spotkać za kompletną lekkomyślność, jaką wykazała w ciągu tego długiego dnia.

Skulona u jej boku Nexa popłakiwała przez sen. Aramina otuliła ją futrem i gładziła po ramieniu, aż mała się uspokoiła. Przez chwilę przeszkadzał jej oddech Dowella.

Ojciec pochrapywał, bo musiał spać na plecach, ale miarowy rytm w końcu ukołysał ją do snu.

Wydawało się, że minęła tylko chwila, gdy Pell pociągnął ją za ramię i podekscytowany wyszeptał jej do ucha: – 'Mina! 'Mina! K'van tu jest! I przywódca Weyru!

Chce rozmawiać z tobą! Jest też wielu nieznanym.

–Tutaj? – Aramina usiadła, gorączkowo przecierając oczy. Jęknęła, czując wczorajsze siniaki i zadrapania oraz tępy ból nadwężonych mięśni pleców.

–Nie, na szlaku. Ludzie są uzbrojeni w łuki, strzały i włócznie. Myślę, że przyłecieli na smokach. – Pell z przejęcia szeroko otwierał oczy. Za nim stał K'van.

–Nic się nie stało, Arami no, naprawdę – powiedział cicho, żeby nie zbudzić pozostałych. – Chodzi o tamtych jeźdźców.

Aramina wysunęła się spod futer i delikatnie otuliła siostrzyczkę.

–Nadciągają? – Chrapliwy szept Pella zdradzał trwogę. Aramina szybko zakryła mu usta. Strach przyciemniał jego oczy, gdy

spoglądał na siostrę.

Ten maty nagle się przestraszył- Aramina usłyszała głęboki, aksamitny głos.

Ona bardziej boi się bezdomnych. Drugi smoczy głos był głęboki i ponury, jak staw czarnej wody, który Aramina widziała w Igenie.

–Nie boję się ciebie – powiedziała dzielnie.

–Mnie? – zapytał zdziwiony K'van z ręką na piersi.

–Nie ciebie. Tych smoków. – Nie, Aramina nie bała się smoków. Lękała się ich jeźdźców i nieuchronnie zbliżające się sprawiedliwości, która miała zostać jej wymierzona za wszystkie wczorajsze kłamstwa. Miała nadzieję, że K'van nie będzie o niej źle myślał.

–Nie myślę o tobie źle – zapewnił K'van, gdy wyszli na słońce. – Cemu miałbym? Uważam, że wczoraj byłaś cudowna. Naprawiłaś koło i zabrałaś wszystkich do bezpiecznej jaskini...

–Och, nie rozumiesz – powiedziała Aramina, próbując zapanować nad łamiącym się głosem.

–Heth też nie, ale...

Wszystko będzie dobrze – rzekł Heth z przekonaniem.

Stanął na szczycie urwiska. Aramina musiała przytrzymać się drzewka, bo nogi się pod nią ugięły na widok zbrojnych i smoków, startujących i lądujących na szlaku. Niedaleko, przy ogromnym, spizowym smoku i niemal równie wielkim, brązowym, stał Flar, przywódca Weyru, i F'nor, dowódca skrzydła. Młodszy mężczyzna miał na ramionach pelerynę obszytą futrem. Rozmawiali poruszeni z dwoma jeźdźcami w błyszczących kolczugach.

–Oni są tymi, kim myślę? – wyszeptał Pell z szacunkiem. W dwóch rękach trzymał dłoń siostry, szukając otuchy. Zamarł, gdy ich dostrzeżono. F'nor uśmiechnął się i ruchem dłoni przywołał ich na dół.

Aramina modliła się w duchu, żeby nie stracić oparcia i nie narobić sobie wstydu. Poczuła pomocną dłoń K'vana.

Pell się pośliznął i sturlał ze stoku niemal pod nogi mężczyzn. Przywódca Weyru śmiejąc się, pomógł mu wstać.

Aramina i K'van dołączyli do grupy.

–Jak się czuje twój ojciec? – zapytał F'lar, uśmiechając się współczująco.

–Jest okropnie posiniaczony, ale śpi, Lordzie F'lar – wydukała Aramina. Czy użyła właściwych słów, zwracając się do przywódcy Weyru? Przygotowała się na najgorsze.

–Mam nadzieję, że mu nie przeszkodzimy, gdy zaczniemy. Ci bezdomni rabusie nie uciekli po Opadzie. – Lekko ściągnięte brwi F'lara zdradzały irytację.

–Dlatego... – F'nor podjął wyjaśnienia – Lord Asgenar zamierza im w tym pomóc. – Uśmiechnął się szeroko, wskazując wysokiego mężczyznę.

Aramina ledwo stała na nogach, onieśmielona towarzystwem Władcy Warowni. Na jego ziemie wtargnęli najeźdźcy, ścigający rodzinę również przejeżdżającą bez pozwolenia. Słyszała, jak Lord Asgenar zastanawia się, dlaczego bezdomni zapuścili się tak daleko w jego lasy.

Widziała ludzi maszerujących w dół szlaku, cichych i karnych.

–W górnym obozie są leśnicy, ale nie pojmuję, dlaczego najeźdźcom miałoby zależeć na pociętych pniach – niówił Lord Asgenar.

Teraz wszystko się wyda. Aramina musiała wyznać prawdę, żeby uratować niewinnych ludzi przed brutalnymi jeźdźcami Władczyni Thelli.

–To przeze mnie.

Głos jej się łamał i prawie nikt nie zwrócił uwagi na ciche wyznanie. Spizowy smok ryknął i nagle F'lar obrzucił dziewczynę ostrym, przenikliwym spojrzeniem.

–Powiedziałaś', Aramino, że to przez ciebie?

Dwaj mężczyźni odwrócili się, by na nią popatrzeć.

Pell ścisnął jej dłoń.

Nie bój się, dziecko.

–Mnemoth ma rację, Aramino. Wyjaśnisz?

–To moja wina. Bo słyszę smoki. I Władczyni Bezdomnych Thella...

–Thella? – zawołał Lord Asgenar, sięgając do rękojeści miecza. – Na pierwsze jajo, od dawna pragnę ją spotkać!

–Thella cię ściga, dziecko?

Aramina zaczęła wyrzucać z siebie urywane zdania, pragnąc jak najszybciej uwolnić się od ciężaru wcześniejszego kłamstwa. Mówiła trochę bez ładu i składu, choć w głowie słyszała trzy smocze głosy, uspokajające ją, odradzające pośpiech i zapewniające, że nie musi się o nic martwić.

–Zatem Thella rości sobie pretensje do osoby, która według prawa należy do Weyru? – W bursztynowych oczach F'lara rozbłysnął ogień nie mniej straszny niż smocze tchnienie. – A ty z rodziną opuściłaś jaskinię w Igenie ledwie przed dziesięcioma dniami? Dołożyliście starań, żeby uciec przed tą kobietą. Skąd pochodzicie?

–W czasie zeszłego Obrótu mój ojciec pracował w Keroon...

–Jesteście w takim razie Kerończykami?

–Nie, Lordzie F'lar. Moi rodzice mieli małe leśne gospodarstwo w Ruacie...

Aramina urwała w połowie zdania, zaskoczona zdziwieniem i zrozumieniem na twarzach smoczych jeźdźców.

–Powinna przyjść tu Lessa, F'lar – powiedział F'nor, uśmiechając się porozumiewawczo do przywódcy Weyru.

–Więc staliście się bezdomni za sprawą Faxesa, Aramino? – Głos F'lara brzmiał łagodnie, choć z oczu strzelały mu iskry.

Aramina pokiwała głową, niezdolna wykrztusić słowa.

–I twój ojciec był leśnikiem? – zapytał Lord Asgenar.

Przytaknęła ruchem głowy.

–Jest najlepszym cieślą i stolarzem na całym Pernie – wtrącił Pell, wyczuwając współczucie, którego Aramina, przytłoczona poczuciem winy, nie była w stanie dostrzec.

–Naprawdę? Tak myślałem. – F'lar podjął rozmowę, dając jej czas na odzyskanie panowania. – Chociażby wasz wóz na Zgromadzenia. Pierwszorzędną robotą! Dobrze go ukryliście, prawie go nie widać, prawda, Asgenarze?

–Rzeczywiście jest dobrze schowany. Ale musimy ruszać. Moi ludzie są gotowi. Zostawimy strażników przy jaskini, Aramino, żebyście nie musieli niczego się obawiać ze strony Thelli. Teraz ani nigdy. Dopilnujemy tego.

Na jego znak dwaj żołnierze ustawili się za Araminą, K'vanem i Pellem. Aramina patrzyła, jak wysoki młody władca oddała się szlakiem, żeby dołączyć do swoich ludzi. Pierwszy raz od spotkania z Thellą i Gironem czuła się bezpieczna.

–My też musimy odejść – powiedział F'lar do F'nora. – Nie mogą zobaczyć smoków na niebie w pobliżu tej góry. Aramino, K'van przyniesie od naszego uzdrowiciela leki dla twojego ojca.

–Nie lubimy być niczymi dłużnikami – odparła Aramina zgodnie z naukami wpojonymi przez rodziców. – Mamy wszystko, czego nam trzeba. – Zakryła usta, żeby nie powiedzieć kolejnego kłamstwa.

–Ale my... – F'lar skłonił się lekko – jesteśmy ci winni za zwabienie tej diablicy Thelli na nasze tereny.

–Och!

–Weź lekarstwa, dziecko. Uśmierzą ból – powiedział F'nor, kładąc ciepłe dłonie na ramionach Araminy. Uścisnął ją delikatnie. – I nie bój się.

–Nie boję się – odparła, bo nie bała się ludzi z Weyru. Ale co powie jej dumny ojciec, gdy usłyszy o jej poczynaniach?

Obaj jeźdźcy zwinnie dosiedli swoich smoków. Sadząc potężnymi susami w chmurach pyłu, kamyków i liści, dwie bestie wzbily się w powietrze. Nagle szlak opustoszał, ludzie i smoki zniknęli. Zapadła cisza, tylko poranny wiatr szemrał w lesie.

–Ciekawe, czy zabraliby mnie ze sobą, żebym mógł zobaczyć, jak dają Thelli nauczkę – powiedział Pell, kręcąc głową i uśmiechając się do przydzielonych im żołnierzy.

–Dlaczego nie zapytałeś, młodzieńcze? – powiedział starszy. – A ty, młoda damo, prowadź do waszej jaskini...

–K'van, gdzie jest Heth? – Pell rozglądał się po lesie, jakby się spodziewał, że spizowy smok siedzi na pobliskim drzewie.

–Jest na górze, przy jaskini. Pewnie śpi na polance... jeśli jest wystarczająco duża. Smoki lubią wylegiwać się na słońcu, a wczoraj mieliśmy ciężki dzień.

–Moglibyście wyciąć schody w tej skarpie – zawołał młodszy żołnierz, zsuwając się prawie do podnóża.

–Nie możemy – odparł Pell. – To nie nasza jaskinia.

Chociaż chciałbym tu zamieszkać – dodał z takim żarem, że starszy strażnik zaśmiał się w odpowiedzi. – Umiecie robić sidła? Bo w tej jaskini roi się od węży tunelowych.

Po długich miesiącach samych korzeni i ryb są przepyszne.

–Ja robię całkiem dobre wnyki – powiedział K'van, przytrzymując się drzewka i wciągając na szczyt skarpy.

–Ty? Przecież jesteś smoczym jeźdźcem.

–Nie zawsze nim byłem – przyznał K'van, uśmiechając się nad głową Pella do Araminy. – Zanim zostałem smoczym jeźdźcem, byłem zwyczajnym chłopcem w Weyrze, i to małym. Zastawiałem sidła na węże tunelowe. Moja przybrana matka dawała mi po osiem marek za piętnas'cie sztuk.

–Naprawdę? – Pella bardzo oszołomiła myśl o innych niż kulinarne korzyściach z łapania węży. Po chwili przestał marzyć. – Jestem sakramencko dobry w łapaniu węży, prawda, Aramino?

–Nie, jeśli używasz słowa „sakramencko” – zganiała go, nie chcąc, by żołnierze sobie pomyśleli, że brakuje im nie tylko domu, ale i manier.

Dotarli na polanę, gdzie zwinięty w kłębek Heth zajmował całą dostępną przestrzeń. Żołnierze patrzyli z uśmiechem, jak Pell robi wielkie oczy, ostrożnie okrążając śpiącego mosiężnego smoka.

–Gdzie jest jaskinia, młoda damo? – zapytał dowódca.

Aramina wyciągnęła rękę.

–Tam!

–Po prawej jest woda – dodał Pell tonem gospodarza – i gaj orzechowy za kępą, jeśli jesteście głodni.

–Dzięki, chłopcze, mamy prowiant. – Strażnik poklepał pękata kabzę. – Choć łyk zimnej wody nie zaszkodzi. Podróżowanie pomiędzy wysusza usta. Idź przodem, uprzedź swoich, żeby się nie przestraszyli. My zostaniemy tutaj na straży.



–Wolałbym zostać z wami – wyznał Pell konfidencjonalnie.

Aramina, widząc minę strażnika, natychmiast się sprzeciwiła.

–Aramino, ty wczoraj miałaś sporo zabawy.

–Zabawy? – Aramina mocno złapała go za ramię i pociągnęła w kierunku jaskini.

–Może później, Pell – powiedział K'van, przyjmując rolę rozjemcy – po śniadaniu. Wiem, że wyrwałem cię z głębokiego snu. Mam tyle kłahu, że starczy dla wszystkich, i trochę chleba, bo Mende wiedziała, że wczoraj nie mieliście okazji upiec swojego. – K'van uśmiechnął się zachęcająco, a Aramina pospiesznie odmówiła przyjęcia poczęstunku.

–Chleb? Klan? Co jeszcze masz w tym worku, K'van?

–Pell, niczym największy ordynus z igeńskiej hołoty, próbował otworzyć kabzę i obejrzeć zawartość.

–Pell! – Szept zgorszonej Araminy przypomniał mu o śpiących rodzicach i karygodnym zachowaniu.

–Ale 'Mina, wiesz, od kiedy nie mieliśmy kłahu?

–Obiecałem przyrządzić go strażnikom, 'Mina – powiedział K'van tonem, dzięki któremu wielu ludzi pobłażało jego zachciankom. – Kubek wypity z przyjaciółmi...

Aramina ustąpiła, choć była pewna, że dostanie burę za to, i za inne swoje przewinienia. Wiedziała, że kłah przepędzi zimno z brzucha i drżenie z kolan, i da jej siłę na spotkanie z innymi niespodziankami, jakie mógł przynieść ten dzień.

Aromat parzonego napoju zbudził s'piących. Barla najpierw spojrzała na twarz męża. Uspokojona cichym pochrapywaniem, płynącym z lekko otwartych ust, pociągnęła nosem, wachając.

–Nie mamy kłahu. – Popatrzyła groźnie na Araminę, nie zwracając uwagi na K'vana kucającego przy małym ognisku.

–Moja przybrana matka, Mende, przysłała go razem z fellisem i balsamem z odrętwiającego ziele do złagodzenia obrażeń twojego męża – powiedział K'van, podając jej kubek świeżego napoju. Uśmiechnął się rozbajająco.

Aramina ze zdumieniem przyjrzała się mosiężnemu jeźdźcowi.

–Moi dowódcy kazali mi sprawdzić, czy wydobrzeł po wypadku – wyjaśnił.

–To miły gest, młody K'vanie, ale zbyteczny. Nie lubimy być niczymi dłużnikami. – Barla udawała, że nie dostrzega podsuniętego kubka. Aramina zauważyła, że jej nozdrza drżą z rozkoszy, gdy wdychała aromatyczną parę.

K'van uśmiechnął się do niej czarująco.

–Wychowałem się w Weyrze – powiedział, niezniechęcony – więc dobrze wiem, co myślisz o zobowiązaniach.

–Na widok niedowierzającej miny Barli dodał: – Zanim zaczęło się Przejsie, Weyrowi Benden żałowano wszystkiego, bo... – jego głos stał się płaczący, a oczy zamruwały wesoło na znak, że kogoś naśladuje – jak wszystkim wiadomo, Nic już nigdy nie spadnie na Pern! – Uśmiechnął się szelmowsko, widząc reakcję Barli. Na jej twarzy najpierw odmalowało się zdumienie, a potem zrozumienie. Życie mieszkańców Benden rzeczywiście kiedyś niewiele się różniło od bezdomności: tolerowano ich, kiedy nie dawało się tego uniknąć, ignorowano, kiedy było to możliwe, i przeklinano przy każdej okazji za bezużyteczność. – Pij, dobra pani, i niech ci idzie na zdrowie. Mende przysłała też chleb, wiedząc, że nie mogliście upiec go wczoraj.

–Mamo, może pošlemy Mende jedną z drewnianych łyżek, które ojciec wystrugał w Igenie? – podsunęła Aramina, chcąc rozwiązać skrupuły matki.

–Dobrze, możemy się wymienić – odparła Barla.

Z wdzięcznością pochylając głowę, wreszcie wzięła kubek z rąk K'vana.

Aramina z ulgą przyjęła kapitulację matki i ostrożnie ukroiła grubą kromkę okrągłego chleba, a potem obficie posmarowała ją dżemem, który K'van wyjął ze swojego worka niespodzianek. Rzuciła srogie spojrzenie Pellowi, który

łapczywie rzucił się na jedzenie.

Sama zjadła dopiero po obsłużeniu innych, delektując się smakiem kłahu i chrupiącego chleba z dżemem jagodowym. Zwiłżonym palcem starannie zebrała okruszki z kolan. Kiedy K'van i Pell wyszli na zewnątrz, żeby poczęstować strażników, Barla przywołała ją do posłania, gdzie ostrożnie smarowała balsamem siniaki na piersi Dowella.

–Dlaczego ten jeździec wciąż tu jest?

–Wrócił dziś rano, mamó. – Aramina zaczerpnęła powietrza, uświadamiając sobie, że tylko prawda może jej wyjść na dobre. Unikanie odpowiedzi było równie nieuczciwe jak kłamanie, niezależnie od pobudek. Obecność smoczych jeźdźców i Lorda Asgenara miała zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Aramina szczerze opowiedziała o swojej roli we wczorajszych i dzisiejszych wydarzeniach. – Przywódca Weyru Benden przybył tutaj z Lordem Asgenarem i swoimi ludźmi, ponieważ śledziła nas Władczyni Bezdomnych Thella. Lord Asgenar skorzystał z okazji, że by zastawić zasadzkę na nią i jej okropną bandę. Teraz będziemy bezpieczni. Lordowi Asgenarowi i Lordowi F'larowi podobał się ojca wóz na Zgromadzenia. Nazwali go tak, jakby zawsze służył jedynie do tego.

–Po to go zbudowałem – rzekł Dowell ze smutkiem, trochę drżącym głosem, bo nawet płytkie oddechy sprawiały, że ból przenikał opuchnięte ciało.

–Proszę, Dowell. Wypij fellis – powiedziała Barla, podnosząc drewniany kubek do jego ust.

–Fellis? Nie miałeś my fellisu!

–Teraz mamy, Dowell. Nie bądź taki hardy. Duma czasem boli! – Barla postanowiła na jakiś czas wyrzec się honoru, nad wszystko inne przedkładając zdrowie męża.

Dowell przełknął łyk i zmrużył oczy z bólu.

Barla zwróciła uwagę na pełną czułości, zatroskaną minę Araminy.

–Balsam niedługo zadziała. Jestem bardzo wdzięczna tej Mende. Może damy jej łyżkę i miskę z piaskowca?

Kobieta nigdy nie ma ich w nadmiarze. – Westchnęła. – Jestem naprawdę wdzięczna. I... – Odwróciła się do Dowella, który opuścił powieki na znak milczącego przyzwolenia – myślę, że powinniśmy być wdzięczni również tobie, córko... chociaż zdaje się, że zapomniałaś, jak powinnaś się zachowywać.

Aramina ze skrucną pochylała głowę. Po chwili dotarło do niej, że choć matka mówiła ostrym tonem, w jej słowach nie było złości. Dyscyplina wymaga karcenia, tym razem jednak była to tylko forma. Podniosła głowę, uradowana niespodziewanym rozgrzeszeniem, i z trudem powstrzymała się od uśmiechu. – 'Mina, jeśli Lord Asgenar... – zaczął Dowell słabym głosem, oddychając płytko między słowami – zaszczyca nas... swoją obecnością... musimy poprosić... o pozwolenie na zamieszkanie... w tej jaskini... dopóki nie będę w stanie... ruszyć w dalszą drogę.

–Powiem mu. I wspomnę o tym strażnikom.

Dowell pokiwał głową i zamknął oczy. Jego rysy trochę złagodniały, gdy fellis i balsam zaczęły uśmierzać ból.

Barla podniosła się i dając znak Araminie odeszła od posłania.

–To dobra, sucha jaskinia, 'Mina – powiedziała, jakby dopiero teraz oceniła grotę. – Na zewnątrz są strażnicy? Musimy ich ugościć.

–Pell pamiętał o poczęstunku, mamó, i mówią, że mają z sobą prowiant.

–Nie o to chodzi, 'Mina, dobrze wiesz o tym. Na łące, którą Nexa wczoraj znalazła, jest więcej korzonków? I orzechów? Upieczemy smaczny chleb.

Aramina starała się ukryć niezadowolenie. Przygotowanie wystarczającej ilości mąki wymagało mnóstwa orzechów i wielu godzin mielenia.

–Przyniosę orzechy i może znajdę też parę dzikich cebul – zapewniła. Dobrze wiedziała, że ledwo uniknęła kary. Postanowiła dziś być posłuszna.

–Gdzie się podziwiał Pell? Niech idzie z tobą.

–Jest z K'vanem, mammo. – Aramina zabrała worek, oczyściła nóż i schowała go do pochwy. Przed wyjściem, wiedząca nawykami osoby, która musi z wyprzedzeniem myśleć o czekających ją obowiązkach, rozejrzała się po jaskini.

Na zewnątrz stali tylko strażnicy. Nie było widać Pella ani K'vana, choć między drzewami pobłyskiwała mosiężna skóra Hetha.

–Chłopcy poszli zastawić sidła na whery – powiedział starszy strażnik, rozbawiony młodzieńczą gorliwością. – Tam są korzenie. – Wskazał na skalne siodło, za którym leżała dolinka.

–Pieczony wher byłby prawdziwym rarytasem. – Aramina uśmiechnęła się do strażników.

–Och, z pewnością, młoda damo. – Kiedy ruszyła w kierunku gaju orzechów, starszy złapał ją za ramię. – To ciebie pilnujemy. Dokąd idziesz?

–Tylko za grań... – Aramina wskazała na południe – po orzechy.

–Rzucimy okiem. – Strażnik ruszył u jej boku, omijając śpiącego Hetha.

Zatrzymał się, znów przytrzymując jej rękę i obserwując spokojny gaj. Wyrośnięte drzewa orzechowe miały tak gęste gałęzie, że zacięły skąpe poszycie, którego nie zabił kwas z korzeni. Leśne węże biegały w trawie, spłoszone nadejściem ludzi, a w powietrzu brzęczały ostatnie letnie owady. Wokół leżało mnóstwo orzechów.

–Pomogę ci – powiedział strażnik, widząc, że wystarczy zgarniać orzechy z ziemi.

Dwie pary rąk chętnych do pracy prędko uporały się z zadaniem.

–Ile potrzebujesz? – zapytał, kiedy Aramina zaczęła wiązać torbę z kamizelki.

–Matka chce zrobić chleb orzechowy.

Mężczyzna wznosił oczy do nieba.

–Pycha! Wystarczy też... – mrugnął do niej – do nadziania whera, którego zamierza schwytać twój brat. Zaniosę je twojej matce. Nie odchodź daleko.

Aramina nie miała takiego zamiaru, ale skierowała się na drugą stronę gaju, zastanawiając się, czy można tam znaleźć inne jadalne rośliny. Po drodze zbierała orzechy i gdy doszła do celu miała pełną kamizelkę. Tam grunt opadał, zasłany rozkruszonymi głazami. Popatrzyła na szczyt góry, na której zboczach stała. W dole widziała zakole rzeki płynącej wąwozem, ledwie widoczne za drzewami. Samotność, po tylu Obrotach życia w tłoku, sprawiała jej niezwykłą przyjemność. Może wdzięczny Lord Asgenar rzeczywiście zezwoli im na dłuższy pobyt w jaskini. Grota byłaby bardzo wygodna, nawet w czasie najsroźszej zimy.

Mogliby zbudować zagrody dla bydła, a gdyby Lord Asgenar nie miał nic przeciwko, wyciąć stopnie na wzniesieniu. Z powalonych drzew sporządzić meble. Ojciec mógłby nawet suszyć drewno w suchym końcu jaskini i mieć prawdziwy warsztat. Jej wyobrażenia mnożyła oszałamiająca możliwość. Wreszcie, będąc praktyczną dziewczyną, niewesołym westchnieniem skwitowała swoją głupotę. Powinna się zadowolić myślą o bezpiecznej siedzibie na czas powrotu ojca do zdrowia. Nie musi być zachłanna.

Nadstawiła ucha, wsłuchując się w odgłosy niesione z rzeki. Wiatr muskał jej twarz. Zastanawiała się, czy banda Thelli wpadła w zasadzkę i to, co słyszy, to odgłosy bitwy. Zadrzała. Choć bała się Władczyni Thelli i Girona, nie życzyła im śmierci. Zależało jej tylko, żeby przestali im zagrażać.

Usłyszała ciche, coraz bliższe kroki. Przekonana, że wraca strażnik, dała się zaskoczyć. Szorstka dłoń zakryta jej usta, a silne ramiona przycisnęły jej ręce do boków.

Usłyszała chrapliwy głos.

–W sumie dobrze się złożyło, Giron.

Brutalnie szarpnięta za włosy, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała prosto w brudną, spoconą twarz Władczyni Bezdomnych Thelli.

–W końcu złapaliśmy dzikiego whera, a pułapka zastawiona przez Asgenara jest pusta.

Heth! Heth! Pomóż mi! Thella! – Nawet gdyby ciężka ręka Girona nie zakrywała jej ust, Aramina nie mogłaby krzyknąć. Strach sparaliżował ją zupełnie. Bezmyślnie powtarzała w duchu sylabę, która oznaczała ratunek. Heth!

Heth! Heth!

Giron warknął na Araminę, ciągnąc ją przez gaj.

–Nie szarp się, dziewczyno, bo stracisz przytomność.

Zamierzył się wielką pięścią. – Jeśli ona słyszy smoki, one mogą słyszeć ją.

–Nigdy nie była w pobliżu Weyru! – odparła Thella z pogardą, ale zastanowiły ją słowa Girona. Krzywiąc gniewnie twarz, znów mocno szarpnęła dziewczynę za włosy. – Miech ci do głowy nie przyjdzie wzywać smoka!

Aramina nie mogła przerwać bezgłośnie j litanii, ale dziko przewróciła oczami na znak, że posłucha rozkazu. Wszystko, byle tylko Thella przestała zadawać jej ból.

–Za późno! – Giron odepchnął Araminę, w ręku Thelli została garść włosów i skóry. Aramina stoczyła się na skraj przepas'ci... z której wyłaniał się Heth, z oczami czerwonymi z gniewu. Z rykiem wpadł między drzewa, s'cigając Thellę i Girona. Z drugiej strony gaju nadbiegło dwóch strażników, Pell i K'van miotający przekleństwa. Giron i Thella zniknęli w lesie. Strażnicy co sił w nogach popędzili za nimi, ale Heth musiał się zatrzymać, bo las był dla niego zbyt gęsty.

Trzęsąc się po tym przeżyciu, Aramina osunęła się pod najbliższym drzewem, przytrzymując się pnia i usiłując nie szlochać jak dziecko. – 'Mina! Co ci się stało? – Pell ukląkł obok niej, jego ręka zawisła nad krwawiącą raną na głowie. – To naprawdę Thella? Kto z nią był?

K'van stanął przy niej i poklepał ją po ramieniu.

–Dobrze zrobiłaś, 'Mina. Heth cię usłyszał i dał mi znać.

Zastawialiśmy wnyki. Heth wezwał posiłki. Nie uciekną daleko. Gdyby drzewa nie rosły tak gęsto, już by ich dopadł!

–Smoki... – chlipnęła – nie nadają się... do biegania po lasach. – Pociągając nosem, wskazała na Hetha, który cofał się, klucząc między drzewami i warcząc, gdy skrzydła zahaczały o gałęzie. Wyglądał przezabawnie! Aramina nie powinna śmiać się z kochanego smoka, który ocalił ją przed Thella i Gironem, ale najpierw zachichotała pod nosem, a potem nie mogła się powstrzymać od głośnego śmiechu.

–Co cię tak bawi? – zapytał Pell, zirytowany zachowaniem siostry.

–Histeryzuje, wcale jej się nie dziwię – odparł K'van.

–Chwyć ją pod drugą rękę, Pell. Musimy zabrać ją do jaskini.

–A co z Hethem?

Heth dołączył do nich, jego ryki przycichły do gardłowych pomruków.

Mówiłem jej, że nadchodzę! Mówiłem, że ją słyszę! Nie słyszałaś mnie, 'Mina? Heth okręcił szyję wokół K'vana, by zerknąć niespokojnie na Araminę.

Tak się bałam... – myśli się jej rwały. – Nie słyszałam nawet siebie.

–Na skorupy! – zawołał K'van, gdy szum wiatru dał znać, że przyleciały smoki. Heth popatrzył w tamtą stronę.

Strażnicy ścigają ich w lesie!\*I Wszyscy troje poderwali głowy. Aramina słyszała urywki słów, nakładające się komendy i potwierdzenia. Ze zdumieniem patrzyła, jak smoki kolejno odrywają się od formacji, by lecieć we wszystkie strony w

poszukiwaniu renegatów.

–Tgellan dowodzi skrzydłem – powiadomił ich K'van, umiejętnie wychwytyjąc z gwaru rozmów informacje, które jej umknęły. – Zaczynają poszukiwania. My mamy wrócić do jaskini.

–Och, mój worek z orzechami! – zawołała Aramina.

–Ona martwi się o orzechy! W takiej chwili! – Pell był wyraźnie zde gustowany.

Aramina znowu zaczęła płakać, niezdolna powstrzymać łez.

–Mama potrzebuje ich na mąkę na chleb...

–Wróć po nie – zawołał Pell głosem piskliwym z frustracji. – Wróć!

Nie do końca uspokojona, ponieważ dobrze знаła brata, Aramina przyjęła oferowaną pomoc i pozwoliła się zaprowadzić do jaskini. Matka wpadła w popłoch na jej widok, ale szybko się opanowała. Obmyła i opatrzyła ranę na głowie i zadrapania będące skutkiem brutalnego traktowania przez Girona. Miała zacis 'nięte usta i pobladłą twarz, jednak nie skrzyczała córki. Pell pod surowym okiem K'vana wrócił po orzechy, a potem K'van zaparzył kłah. Aramina z wdzięcznością przyjęła kubek i odetchnęła z ulgą, gdy przyjemne ciepło rozlało się po żołądku.

Aramino, Lessa czeka – powiedział Heth. – Na twoją matkę też.

–Mamo, jesteście proszone na zewnątrz – powiedziała Aramina.

–Przez kogo?

–Przez Lessę, Władczynię Weyru – powiedział K'van.

–Heth tylko przekazuje wiadomość.

Barla popatrzyła na córkę, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu.

–Ty nie tylko słyszysz smoki – powiedziała ze zdziwieniem – one słyszą ciebie i rozmawiają z tobą, i ty możesz im odpowiadać?

–Bardzo przydatna cecha – zaśmiał się K'van i zaraz potem dodał: – Lessa czeka.

–Jest na mnie zła? – zapytała Aramina lękliwie.

–Czemu miałyby być na ciebie taka zła? – zdziwił się K'van.

Me możemy się na ciebie złościć, Aramino... Aramina dotąd nie słyszała tak pięknego smoczego głosu. – Śmiało. – K'van mocno ujął ją pod ramię, wychodząc z jaskini. – Nie każ Lessie czekać.

Aramina zdumiała się na widok smukłej kobiety stojącej na polanie. Władczyni Weyru Benden była drobnej postury, o całą głowę niższa od niej. Ale gdy stanęła na wprost niej, żywe oczy i bijąca od niej siła natychmiast zmusiły ją do zapomnienia o takich drobiazgach jak niski wzrost. Heth nie wspomniał, że F'lar i Lord Asgenar również czekają.

–Moje drogie dziecko, na pewno dobrze się czujesz?

–Na twarzy Lessy rysowało się zaniepokojenie, gdy jej ręka zatrzymała się nad brzydką raną na głowie Araminy.

–Nie mam pojęcia, jak ta łajdaczka Thella zdołała nas ominąć – powiedział Asgenar, zgrzytając zębami ze złości. – Złapaliśmy resztę jej bandy. Mniej kłopotów dla was i dla nas. Przykro mi, Aramino, że mimo ostrożności znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

–Nic mi nie jest, Lordzie Asgenar. Heth mnie uratował, a mama opatrzyła obrażenia fellisem i odrętwiającym ziołem.

–Jesteście ci ogromnie wdzięczni – wtrąciła Barla – za te szczodre dary.

–Szczodre! – zawołała Lessa z przyganą. – Byłabym znacznie bardziej szczodra, pani Barlo, gdyby nie twoja ruathańska

duma.

Barla okazała ogromne zaskoczenie, ale, choć pozwoliła sobie na lekki usmiech, w oczach Araminy wyglądała na bardziej dumną niż kiedykolwiek.

–My, ruathańscy, mamy powody do dumy, Lady Lesso.

–Trzeba jednak uważać, żeby duma nie przyćmiła rozumu, Lady Barlo. Lytol mówi mi, że gospodarstwo Dowella nadal stoi puste. Wymaga remontu, bo pod rządami Faxa nikomu nie powodziło się zbyt dobrze. Chcielibyście tam wrócić? Lord Asgenar... – Asgenar skłonił się na dźwięk swojego imienia – również jest zainteresowany cieślą.

Barla przenosiła spojrzenie z władczyni na władcę.

–Według prawa należymy do Ruathy.

–Niech tak zostanie, pani Barlo – powiedziała Lessa i z jej miny Aramina poznała, że pochwała taką odpowiedź.

–Lordzie Asgenar, jestem pewna, że mój mąż z przyjemnością zbuduje ci wóz... w zamian za pozwolenie na czasowe mieszkanie w jaskini.

–Pod warunkiem, że przyjmie tyle marek, ile jego Cech wyznacza za pracę – oświadczył Asgenar z szerokim uśmiechem.

–Oczywiście, Aramina uda się do Weyru Benden – rzekła Lessa, wbijając oczy w twarz Barli.

–Ale ja chcę wrócić do domu, do Ruathy! – zawołała Aramina, kurczowo czepiając się ramienia matki, chwytając się marzenia, które pielęgnowała od dzieciństwa, marzenia o powrocie do rodzinnego domu.

–Dziewczyna, która słyszy smoki, należy do Weyru – powiedziała Barla, mocno ściskając jej rękę.

–To nie znaczy, że nie będziesz mogła odwiedzać swoich bliskich – powiedziała Lessa lekkim tonem. – Ja tak robię. Ale my, ruathańscy, służymy naszym Weyrom i stawiamy się na wezwanie, ilekroć nas potrzebują.

Proszę, 'Mina. Drżący szept Hetha wdarł się w jej splątane myśli. Proszę, pójdź do Benden ze mną i K'vanem.

Przyjmujemy cię z radością.

Będziesz mile widziana w Weyrze Benden, dodał mroczny, głęboki głos Mnetnenta.

–Jaja twardnieją w wylęgarniach – mówiła Lessa przekonującym tonem. – Benden potrzebuje dziewczyny, która słyszy smoki.

–Bardziej niż rodzina? – zapytała Aramina przekornie.

–Znacznie bardziej, przekonasz się o tym – odparła Lessa, wyciągając do niej rękę. – Idziesz?

–Nie mam wyboru, prawda? – A jednak Aramina się uśmiechnęła.

–Nie, kiedy Lessa i smoki Benden podjęły decyzję za ciebie – odparł F'lar ze śmiechem.

Smoki na szlaku ryknęły gromko na zgodę.

Aksamitne pola Naturalnie, wprowadziliśmy się do miast planety – którą teraz musimy nazywać Zobranoirundisi – kiedy Federacja Światów wreszcie pozwoliła na założenie tam kolonii.

Inspektorat obserwował planetę przez ponad trzydzieści lat i choć było jasne, że miasta pozostają w stanie gotowości, w oczy rzucał się brak mieszkańców. Ponieważ przedstawiciele sekcji Zasobów Naturalnych i Zaopatrzenia przekonywali radę do zajęcia kolejnej bogatej planety w tym sektorze galaktyki, a Zobranoirundisi nie była zamieszkała, zostaliśmy tam skierowani z licencją na uzyskanie samowystarczalności w pierwszym roku gwiazdowym i wyprodukowanie nadwyżek w drugim.

Staralirny się unikać miast, wprost stworzonych dla humanoidalnych form życia – wprowadziliśmy się tylko do czterech osiedli – lecz później się okazało, że nasze wysiłki skierowane były w złą stronę. Przypuszczam, że gdybyśmy nie byli tak

zajęci hodowlą, pragnąc wywiązać się ze statutowych obowiązków kolonij odkrylibyśmy \ znacznie pręde j, że nasza decyzja była poważnym błę- I dem. Wokół nie brakowało wskazówek. ', Malowidła zdobiące prawie wszystkie ściany w segmentach mieszkalnych dawały mgliste pojęcie o filozofii naszych gospodarzy, nieodmiennie wyobrażonych w postawie wiernopoddańczego hotdu wobec dominującego symbolu Drzewa: widać było wyłącznie plecy, kuliste, porośnięte puchem głowy i ręce wyciągnięte do przodu. Co ciekawe, nigdzie na tej bogatej planecie nie znaleźliśmy ani jednego Drzewa.

Dunlapil, inżynier urbanistyczny, mimo wszelkich wysiłków nie potrafił rozwiązać wszystkich zagadek miast, w których zamieszkaliśmy. Ale mając na karkach sekcję ZNiZ, naglącą nas do produkowania, produkowania i produkowania, nie mieliśmy czasu na zgłębianie tych niepokojących nieprawidłowości.

Dunlapil ze zwykłą wielkomięską pogardą do botaniki żartobliwie udowadniał Martinowi Chavezowi, naszemu ekologowi, że Drzewo było drzewem życia, tym samym więc wytworem mitologii.

–Rozszerz analogię – droczył się – a znajdziesz wyjaśnienie, dlaczego już tu nie ma czcicieli Drzewa. – Tak ich nazywaliśmy, zanim poznaliśmy prawdę. – Jakiś dysydent zerwał Jabłko i wszyscy zostali wyrzuceni z Rajskiego Ogrodu.

W istocie, planeta ta mogła być wzorem Edenu, pełna aksamitnych pól, szumiących lasów i falistych równin.

Wśród tych wspaniałości leżały śliczne nie duże miasta zbudowane z prasowanych włóknistych bloków. Bloki malowano na estetyczne kolory w czasie produkcji, której charakter denerwował Dunlapila tak mocno, jak Chaveza brak Drzew.

Tak oto, tłumiąc przytłaczające wrażenie wyrządzenia szkody, zajęliśmy porzucone siedziby. Starając się nie wprowadzać żadnych nieodwracalnych zmian, rozmieściliśmy sprzęt. W zasadzie je dynym nie tutejszym urządzeniem, które ja, komisarz kolonii, pozwoliłem ulokować na terenie miasta, była plasistalowa wieża łączności. Port kosmiczny poleciłem zbudować za niewysokim pasmem wzgórz na jałowej równinie w pewnej odległości od miasta, w którym mieściła się moja kwatery główna. Łożysko rzeki okazało się wygodnym łącznikiem umożliwiającym przewożenie ładunków, więc odległość nikomu nie przeszkadzała. Nie chcieliśmy plugawić tych ślicznych miast brudem i chaosem kosmicznego handlu.

Wypasalis'my bydło na starannie oddzielonych aksamitnych polach. Martin Chavez stropił się, kiedy bliższa inspekcja wykazała, że każde z pól leży na osobnym, grubym na dziesięć metrów fundamencie prastarej, twardej jak skała gliny. Fundamenty zawierały coś, co wyglądało na system głębokej irygacji.

Poprosiłem o zbadanie intrygującej kwestii braku roślinożerców na planecie, która wydawała się dla nich wręcz idealna. Martin skatalogował kilka gatunków zwierząt wszystkożernych, szeroką gamę ptactwa i mnóstwo ryb. Odkrył skamieniałości roślinożerców, ale wyłącznie z czasów będących odpowiednikiem naszego plejstocenu.

Na tej podstawie wysnuł wniosek – poparty w obszernym raporcie licznymi przykładami z sąsiednich galaktyk – że jakiś kataklizm, być może ten sam, który później stał z powierzchni planety istoty czle kopodobne, na wcześniejszym etapie spowodował wymarcie zwierząt roślinożernych.

Niezależnie od charakteru – bakteryjnego, wirusowego czy bardziej ezoterycznego – katastrofa nie powtórzyła się w okresie naszej kolonizacji. Dobrze nam się wiodło na tej planecie. Pierwsze dzieci, poczęte pod błękitnym obcym niebem, urodziły się niedługo po wysłaniu nadwyżek z pierwszego roku produkcji. Życie biegło zgodnie z rytmem pór roku; krowy, owce, konie, nawet windoery w ramach eksperymentu sprowadzone ze Świata Grace, mnożyły się na aksamitnych polach. Te żyzne pola dawały nam odpowiednik stuletnich zbiorów z pól tuzina światów. Naturalnie, zdarzały się niepowodzenia, gdy otrzymywaliśmy niejadalne lub groteskowo zdeformowane mutacje, lecz generalnie sprawa kończyła się na krótkiej wzmiance w raportach Chaveza. Farmerzy tylko wzruszali ramionami.

Kiedy kolonista ma co jeść i wie dzie wygodne życie, mając czas na zabawy z dziećmi i urlop z żoną na leniwych morzach południowych, zniesie bez słowa skargi mniejsze porażki i utrapienia. Mimo wszechobecnego poczucia winy, że bez pozwolenia narusza cudzą własność.

Nie ja jeden czułem się nieswojo w ślicznych miastach.

Od czasu do czasu opadały mnie wyrzuty sumienia, ale wmawiałem sobie, że skoro mamy pod ręką puste mieszkania, budowanie nowych budynków byłoby niedorzeczne. Wprawdzie Dunlapilowi nie udało się rozgryźć tajemnic istniejących w nich urządzeń, ale radzilis'my sobie całkiem dobrze. Z czasem przestalis'my zwracać uwagę na anomalie, których nigdy do końca nie zbadalis'my, skupiając się na powiększaniu naszych ogrodów i rodzin.

Zaczynał się dziesiąty rok, było zaskakująco ciepło, kiedy Martin Chavez poprosił mnie i Dunlapila o rozmowę. Dodatkowo

zapropował spotkanie w Dzień Odpoczynku, co było tyleż denerwujące, ile niezwykle.

–Po prostu na wypadek, gdybyśmy musieli zwołać zebranie kolonii – powiedział, kiedy się sprzeciwiłem. To oświadczenie, połączone z naleganiem na spotkanie, wzbudziło we mnie niepokój. Choć Martin martwił się z byle powodu, nie był głupi. Nikomu nie zwracał głowy drobnymi problemami ani nie zwoływał niepotrzebnych zebrań.

–Mam do zakomunikowania niezwykle informacje dotyczące nowej rośliny, która pojawiła się na aksamitnych polach, komisarzu Sarubbi – oznajmił, zwracając się do mnie formalnie. – Rozwój nie jest typowy dla prostych roślin jednolis'ciennych. Porównałem okazy z pól zagospodarowanych i leżących odlego. Zauważyłem niepokojące deformacje u roślin z pól wykorzystywanych.

–Chcesz powiedzieć, że sprowadziliśmy wirus, który powoduje mutację tutejszych traw? – zapytałem. – A może uaktywnił się ten stary, który zabił zwierzęta roślinożerne?

–Dotąd nie sklasyfikowano podobnej mutacji i nie sądzę, by oznaczała ona nawrót dawnego kataklizmu. – Chavez chmurnie ściągnął brwi.

–Daj spokój, mistrzu cierpiętniku – rzeź Dunlapil z nutą dezaprobaty. – Nie ogłaszaj planetarnej kwarantanny, kiedy mamy śliczne saldo kredytowe.

Chavez zachnął się z oburzenia.

–Martin nic takiego nie mówił, Dun – powiedziałem.

Zastanowiłem się, czy powodem złości inżyniera nie jest przypadkiem fakt, że być może Chavez bliższy jest rozwikłania tajemnicy Drzewa niż on poznania działania miast.

–Proszę o wyjaśnienie, specjalisto Chavez.

–Niedawno spostrzegłem dziwną mutację, odstępstwo od rodziny wiechlinowatych, którą dotychczas przypominały te rośliny. – Włączył ręczną przeglądarkę i wyświetlił przezrocze na jedynej w biurze ścianie, na której nie było wszechobecnych fresków. – Guzkowate wypustki obecnie rozwijające się na aksamitnych polach wykazują brak cech charakterystycznych dla traw. Nie mają kolankowych łodyg ani smukłych blaszkowatych liści z pochwą obejmującą źdźbło. – Upewnił się, czy obejrzałem przezrocze, a następnie pokazał drugie, powiększenie materiału komórkowego. – Przekrój poprzeczny wskazuje na rodzaj Helianthus, co byłoby nieprawdopodobną mutacją. – Chavez wzruszył ramionami, bezradny wobec sprzeczności pokazanego materiału. – Jednakże pod każdym słońcem jest coś nowego. Jeszcze nie określiliśmy, jak niebieskie światło naszego słońca wpływa na wzrost roślin przez długi czas wystawionych na jego działanie. Możemy mieć do czynienia z efektem Bragae Dwa.

–Zaraz powiesz, Martin – wtrącił Dunlapil, chcąc zapobiec dyskusji na temat galaktycznych porównań – że rośliny są obcymi, którzy zbudowali te miasta. – Uśmiechnął się do mnie szeroko.

–To chyba oczywiste – powiedział Chavez zupełnie bez urazy, tak że moje niedowierzanie rozwiło się w jednej chwili. – Komisarzu... – Chavez wbił we mnie ponure oczy – możesz inaczej wytłumaczyć mi fakt, że w każdym mieście znajdują się ogrodzone działki, rozmieszczone w taki sposób, by otrzymywać jak najwięcej światła dziennego? Dlaczego aksamitne pola z dominującym symbolem Drzewa są przedmiotem czci obcych – przepraszam – tubylców?

–Przebież są humanoidami – zaprotestował Dunlapil.

–Ich kultura ma charakter agrarny. Na całej planecie nie znaleźliśmy ani jednego roślinożercy. I ani jednego przekłętogo Drzewa – jeszcze nie!

Wtedy naprawdę zacząłem się niepokoić.

–Nie ma zwierząt roślinożernych – mówił Chavez – bo zostały wyeliminowane w celu ochrony aksamitnych pól i tego, co teraz na nich rośnie.

–Chcesz powiedzieć, że kiedy w końcu wyrosnie, obcy powrócą? – zapytał Dunlapil.

Chavez pokiwał głową.



– Chyba że nieodwracalnie zmieniliśmy cykl rozwoju- Czysta fantazja! Cała cywilizacja nie może być zależna od szalonego, kto wie jak długiego, cyklu życia roślin! – Dunlapil zapienił się z oburzenia.

– Wszystko jest możliwe – odparł Chavez mentorskim tonem.

– Przeprowadziłeś wyczerpujące badania? – zapytałam, choć robiło mi się niedobrze na myśl o nadchodzącej katastrofie.

– Na tyle, na ile pozwolił skromny sprzęt i moja wiedza ksenobotaniczna. Z przyjemnością przedstawię swoje odkrycia radzie specjalistów z większym doświadczeniem w zakresie ezoterycznych form życia roślinnego. I, z całym szacunkiem, proszę niezwłocznie przysłać zespół z Centrali Kolonialnej. Obawiam się, że już wyrządziliśmy nieobliczalne szkody... organizmom rosnącym na tych polach – dokończył z ponurym uśmiechem.

Znaczeniowy niuans wstrząsnął mną do głębi. Jeśli Chavez choć w przybliżeniu miał rację, możemy spodziewać się wizyty ksenobotaników i ksenobiologów, ale też ekipy dochodzeniowej ze Światów Sfederowanych. Specjaliści zbadają rozmiar naszej ingerencji na planecie, która ostatecznie nie była porzucona jak Marie Celeste, tylko leżała odlego – z mieszkańcami czekającymi spokojnie na swój czas.

Teraz sobie przypominam, że po wyjściu z biura, gdy szliśmy w kierunku wieży łączności, czułem się trochę głupio i bardzo się bałem, jak dziecko, które coś przeszkrobało i nie chce przyznać się rodzicom, ale wie, że musi to zrobić. Plastistalowa wieża nigdy nie wyglądała tak obco, tak nie na miejscu, i tak świętokradczo jak wtedy.

– Hej, zaczekajcie – zawołał Dunlapil. – Wiecie, że ekipa dochodzeniowa oznacza...

– Trzeba zrobić wszystko, żeby ograniczyć skutki naszego przestępstwa – Chavez przerwał mu nerwowo.

– Cholera! – Dunlapil przystanął w pół kroku. – Nie zrobiliśmy nic złego.

– Faktycznie! Być może okaleczyliśmy całe pokolenie. – Teraz Chavez mówił z nieopisanym smutkiem.

– Jest mnóstwo pól, których nawet nie tknęliśmy.

Obcy... autochtoni mogą z nich korzystać...

Chavez uśmiechnął się ponuro i delikatnie zdjął rękę Dunlapila ze swojego ramienia.

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, i z prochu znowu powstaniesz.

Wtedy Dunlapil zrozumiał potworność naszej zbrodni.

–Chcesz powiedzieć, że rośliny i autochtoni są jednym i tym samym?

–A nie mówiłem? Rodzą się z Drzew.

Czekając na przybycie specjalistów i grupy dochodzeniowej, zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

Najpierw usunęliśmy zwierzęta i uprawy z każdego pola. Uprzątnęliśmy z miast wszelkie ślady naszej kolonialnej obecności. Ekipa dochodzeniowa, złożona z pięciu niehumanoidów i trzech przedstawicieli gatunków humanoidalnych, przybyła na długo przed pierwszą falą ksenospecjalistów. Nikt nie skomentował naszych przygotowań, mających na celu naprawienie błędu, nikt nie miał nic przeciwko zamieszkaniu w barakach spiesznie zbudowanych na nagiej, pylistej równinie w sąsiedztwie hałaśliwego portu kosmicznego. Członkowie zespołu ograniczali się do obserwacji prowadzonych w złowróżbnym skupieniu.

Naturalnie, z wyjątkiem opuszczenia miast – warto dodać, że ich zajęcie było najbliższym z naszych przestępstw – nasze próby naprawienia wyrządzonych szkód okazały się całkiem niewystarczające. Krzywda byłaby mniejsza, gdybyśmy zamiast zabijać i zjadać bydło, zostawili je na aksamitnych polach. Powinnis'my pozwolić zbożu dojrzeć, obumrzeć i wrócić do tej szczególnej gleby, która je wykarmiła. Na ogołconych przez nas polach wyrosły najgorsze koszmary. Ale skąd mieliśmy wiedzieć?

Teraz, oczywiście, wiemy aż nazbyt dobrze. Do dziś dnia dźwigamy brzemień winy i ponosimy karę za nieodwracalne rozczłonkowanie inteligentnych istot: zjedzonych, strawionych, wydalonych przez roślinożerców, i ponownie zjedzonych, strawionych i wydalonych przez tych, którzy spożywali mięso zwierząt. Z niezliczonych rozproszonych autochtonów, wydartych z rodzinnej gleby przez mimowolnych zbrodniarzy, żaden nie wyda owocu na obcej glebie. A tutaj, przypominam, ogołoczone przez nas pola wydały najgorsze koszmary...

Pamiętam, jak ośmiu sędziom z grupy dochodzeniowej przedstawiono ostatni raport. Sędziowie nie tracili czasu. Zostałem wezwany do pokoju konferencyjnego, gdzie miał być ogłoszony wyrok. Sędziowie siedzieli na podwyższeniu kilka stóp nad moją głową. Samo to ostrzegło mnie, że straciliśmy dotychczasowy status w Światach Sfederowanych.

Nieznaczny ruch nadgarstka skierował moją uwagę na jednego z trzech ludzi w składzie sędziowskim. Pokornie pochyliłem głowę, ale nawet na mnie nie spojrzął.

–Dochodzenie zakończone – oznajmił beznamiętnie.

–Dopuszciliście się najpotworniejszego aktu eksterminacji w historii galaktyki.

–Wysoki... – Drugi nie znoszący sprzeciwu gest uciął moje protesty.

–Ksenobiolodzy donoszą, że rośliny na aksamitnych polach osiągnęły trzeci etap rozwoju. Zauważyli

uderzające podobieństwo między drugą fazą rozwoju tej formy życia a ewolucją celulozowej fauny z Brandon Dwa. – Chavez już powiedział mi o tym podobieństwie. – Obecnie rośliny przypominają egzorhizomorfy z Planariae Pięci nie ulega wątpliwości, że po trzecim etapie pojawia się j-ozumne istoty przedstawione na malowidłach w tutejszych miastach.

–Przybylis'cie tutaj jako rolnicy i nimi będziecie, na 1 polach tych, których okaleczyliście. O charakterze osta-^tecznego zadośćuczynienia zadecydują ofiary waszej zbrodni. Poddając się karze, poprawicie wizerunek waszego gatunku w oczach Konfederacji Światów.

Umilkł i odprawił mnie ruchem ręki. Wyszedłem, żeby przekazać wyrok oszołomionym kolonistom. Natychmia-i stowe stracenie byłoby łaską w porównaniu z tym, co nas czekało. Ale w obecnych świątłych czasach sąd nie znał litości dla tych, którzy naruszyli cudzą własność.

Nie mogliśmy nawet złożyć apelacji w oparciu o pozwolenie na zajęcie planety, bo statut kolonii wyraźni^stwierdzał, że koloniści ponoszą wszelką odpowiedzial-^\* ność za swoje poczynania. Korzystaliśmy, a teraz mieliśmy za to drogo zapłacić.

Pracowaliśmy od tego dnia do Czasu Pączkowania\* j który nastąpił pod koniec tej koszmarnej jesieni. Patrzyli-, śmy z niepokojem, jak młode egzorhizomorfy rosną w za- s wrotnym tempie, osiągając trzy, siedem, siedem i pół me-», tra, przemieniając się w drzewa o grubych pniach i konarach obsypanych zielonym trójkątnym listowiem.

W połowie lata wiedzieliśmy, dlaczego na planecie nie znaleźliśmy ani jednego Drzewa: one wyrastały raz na sto lat. Były to Drzewa Życia i rodziły Owoce Zobranoirundisi w swych komórkach, po dwa na gałęzi, których było od trzech do jedenastu. Na zdrowych nienaruszonych polach.

Na innych...

Galaktyka świadkiem, że próbowaliśmy odpokutować naszą zbrodnię. Wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – pielęgowali pokrzywione, skarłałe, zdeformowane Drzewa z kikutami konarów, rosnące żałośnie na sprofanowanych polach. Z rosnącym przerażeniem patrzyliśmy, jak każdy nowy dzień przynosi kolejne dowody naszego świętokradztwa. Straszna była różnica między tymi prostymi, wysokimi, pięknymi Zobranoirundisi a... innymi. Byliśmy gotowi ponieść najgorszą karę.

Pewnego dnia, rankiem po pierwszym porządnym przymrozku, kiedy zimno zwarzyło szypułki, pierwszy Zobranoirundisi wy dostał się ze swojego roślinnego łóżyska.

Potrząsnął smukłym ciałem, odwrócił się i złożył hołd swojemu rodzinnemu Drzewu Życia, zjadł glebę spod jego korzeni i trójkątne liście... i wiedział! Żadne słowa nie opiszą naszych katuszy, kiedy wszyscy Zobranoirundisi stanęli przed nami, swoimi oprawcami, żeby obwieścić nam karę. Pokornie chyliłiśmy głowy, godząc się z nieuniknionym, bo wiedzieliśmy, że wyrok będzie sprawiedliwy i prosty jak Kodeks Hammurabiego.

Musieliśmy oddać glebie to, co z niej zabraliśmy. Bezręki Zobranoirundisi, rozpoznając komórki brakującej kończyny w palcach dziecka wykarmionego mlekiem krów wypasanych na aksamitnych

polach, miał bezsprzeczne prawo do odzyskania swojej własności. Beznogi Zobranoirundisi nie mógł być skazany na życie kaleki, kiedy terrańskie dziecko dzięki jego brakującym tkankom przez siedem lat biegało po ziemi, po której dotychczas stąpali tylko Zobranoirundisi.

Oddaliśmy wszystko, co prawnie należało do Zobranoirundisi – co do nasionka z aksamitnych pól, co do drobiny żyznej gleby, która miała zostać zregenerowana w czasie następnego cyklu.

Nie mogliśmy uniknąć wymaganego zadośćuczynienia, bo patrzyły na nas oczy całej galaktyki. Z dumą będę powtarzać, choć już nie mam języka: Ludzkość może żyć z czystym sumieniem. Ani jeden z nas nie wzbraniał się przed oddaniem swego ciała, żeby odpokutować za krzywdy Zobranoirundisi!

Euterpe na wagarach Szukając w starych teczkach czegoś zupełnie innego, natknąłem się na notatki sporządzone podczas wywiadu z madame Florence Foster Jenkins. Zwłaszcza że środowisko muzyczne w owym czasie znacznie bardziej zainteresowane było osobliwą i krótkotrwałą karierą niejakiego Petera Pelty, który niespodziewanie zastąpił tenora w Metropolitan Opera House, nigdy nie zrobiłem z notatek artykułu. Przeglądając je teraz – po prawie piętnastu latach – zdumiałem się, jak dobrze pamiętam tamto wydarzenie.

Oczywiście, madame Florence Foster Jenkins miała świetną pozycję w nowojorskim świecie recitali. Rozmowa z nią przekonała mnie o jej wyjątkowości.

Ostrożnie rozłożyłem dwa pozółkłe i kruche wycinki przypięte do zagryzmołonych kartek. Nagle poczułem się tak, jakbym wrócił w ciemny kąt ponurego starego Seymour Lounge, gdzie madame Jenkins zgodziła się ze mną spotkać.

Pierwszy artykuł – karygodne, tylko w ostatnim akapicie! – opisywał jej debiut w Carnegie Hali, w wieku lat siedemdziesięciu sześciu. Byłem tam. Nie potrzebowałem dalszej zachęty. Z szerokim uśmiechem czytałem:

Swoim stylem, swoją radością śpiewania, swoją techniką zapisała jedną z najbardziej odświeżających kart w rocznikach historii muzyki. Dała się poznać jako mistrzyni skali ruchomej, utalentowana orędowniczka altów. Uskrzydłona muzyką, oczarowała słuchaczy swoją umiejętnością śpiewu ćwierć tonu wyżej lub niżej zapisanej nuty.

Rzeczywiście, dokładnie tak, a nawet lepiej brzmiała w moich zdumionych uszach jej interpretacja arii Królowej Nocy z Czarodziejskiego fletu.

Drugi wycinek traktował o ciekawym i niespodziewanym debiucie amerykańskiego tenora Petera Pelty, do dziś stanowiącym znacznie bardziej kontrowersyjną tajemnicę muzyczną niż występ madame Foster Jenkins.

Och, pomyślałem z nagłym zdziwieniem, czyżby?

Pelty wystąpił w roli Radamesa w sobotniej popołudniówce w Metropolitan Opera, gdy znany z afiszów tenor został ranny w wypadku samochodowym. Ludzie na widowni przysięgali, że nigdy nie

słyszeli tak wspaniałego głosu – opinia ta potwierdzona została przez Milтона Crossa, a także przez pana Aaronsky'ego, dyrektora Metropolitan, madame Neroni, która śpiewała partię Aidy, i maestro Di Saltę, dyrygenta. Radiosłuchacze wyrażali diametralnie odmienne zdanie o wokalnych dokonaniach Pelty'ego. Cały świat muzyczny aż huczał o aferze, pomyślałem więc, że na wstępie zapytam madame Jenkins, obecną na spektaklu, o te rozbieżne oceny.

–Tenorzy są najbardziej szczęśliwi wtedy, gdy stoją na środku sceny – mówiła madame Jenkins, pochylając się w moją stronę, co zwykła robić, by podkreślić swoje racje. Jej głos, dotąd dystyngowany i wytworny, nagle aż kipiał odrazą. – Przeworsował się, za co może winić wyłącznie siebie. Wychodzenie osiemnaście-razy przed kurtynę jest wręcz niestosowne, zwłaszcza gdy robił to sam.

–Już więcej tego nie robi – wtrąciłem, pamiętając, że tenor wyzionął ducha przed dziewiętnastym podniesieniem kurtyny, gdy rozentuzjasmowana publiczność po raz kolejny chciała wyrazić mu wdzięczność za niewiarygodne wykonanie.

–Niech będzie to nauką dla innych. Nie należy przekraczać granic operowej przyzwoitości. – Znowu wychyliła się lekko do przodu, ściągając usta na znak dezaprobaty.

Sama była zdumiewającą postacią, filigranową i tak ściśniętą gorsetem, że niemal słyszałem cichutki trzask żeber, ale przecież wiele wokalistek przed występem sznuruje się dla lepszego oddechu. Twarz miała okrągłą, z podbródkami, które często są zmorą śpiewaczek i szpecą skądinąd urodziwe twarze, ona jednakże z tym mankamentem wyglądała wiktoriańsko, niczym królowa. Jej mysie włosy, starannie ułożone w fale, nasuwały na myśl modę przedwojenną, a wiśniowa suknia, dodająca kolorów dość bladej karnacji, krojem nawiązywała do epoki sprzed szalonych lat dwudziestych. Ale ten styl jej pasował.

–Nie dziwi pani, madame, że zupełnie nieznaney osobie pozwolono zastąpić tenora w Metropolitan?

–Absolutnie – odparła, co mnie zaskoczyło. – Pan Pelty był nie tylko oddanym widzem Metropolitan Opera Society, ale również znał na pamięć wszystkie libretta. – Na jej wyrazistej, drobnej twarzy odmalowała się najpierw irytacja, a zaraz potem skrucha. – Siedział blisko mnie, rozumie pan.

–Siedziała pani blisko niego, madame Jenkins? Nie rozumiem.

Wdzięcznie machnęła ręką, przygotowując się, żeby mnie oświecić.

–Od kiedy wykupiłam miejsce na sobotnie popołudniówki, w moim uchu stale brzmiał jego głos.

–Jego głos w pani uchu...?

–To proste, młody człowieku. Zajmował miejsce na skos za mną w rzędzie H. Ja siadywałam w rzędzie G.

Jestem troszeczkę krótkowzroczna – dodała poufale. Wyprostowała ramiona i z wiktoriańską

precyzją spłotła ręce na podołku. – Przez dwadzieścia cztery lata na każdej operze nucił każdą jedną arię tenorową i deklamował, proszę zauważyć, deklamował recytatywy. Nikt więcej niż raz nie siadał obok niego, miejsca po obu stronach pozostawały wolne, ale... – Zadrżała lekko, przymknęła oczy, rysy jej bladej, okrągłej twarzy ułożyły się w wyraz wyrozumiałej cierpliwości – ale nie powinien był tego robić.

–To musiało być okropnie irytujące – powiedziałem ze współczuciem.

–Irytujące? – Jedna ręka z gracją wzniosła się w geście konsternacji. – To było wyjątkowo niekulturalne. Moi rodzice po pierwszym takim incydencie powiedzieliby kierownikowi parę słów do słuchu. Naturalnie, ojciec nie był miłośnikiem opery, choć bywał na przedstawieniach, gdy trupa zjechała do Filadelfii, gdzie mieszkaliśmy. Jednakże samotna kobieta, bez osoby towarzyszącej, rozmawiająca z mężczyzną, któremu nie została przedstawiona... Nie, wprost nie do pomyślenia.

–Skoro psuł pani przyjemność...

Szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

–Irytujące, młody człowieku, było to, że często śpiewał znacznie lepiej od wykonawcy na scenie.

Pamiętam, że wytrzeszczyłem oczy ze zdziwienia.

–Kiedy wystąpił jako Radames... – nigdy nie słyszałam bardziej olśniewającego wykonania. On tchnął życie w tę postać. On cierpiał. On żył tą rolą. – Głos drżał jej ze wzruszenia na każdym czasowniku. – Oczarował wszystkich swoim magicznym głosem.

–Naprawdę? – Musiałem powstrzymać się od śmiechu, gdy słuchałem jej niespodziewanych pochwał i wspominałem kakofonię, która płynęła z radia. – Na szczęście, tylko przez pierwszy akt Aidy.

–Młody człowieku – upomniała mnie, potrząsając upierścienionym palcem – wiem, co mówię. Byłam na widowni. Pan nie. Widziałam Aidę jakieś... – spojrzała w sufit, rachując – jakieś dwadzieścia razy i nigdy nie słyszałam lepszego wykonania. Co więcej, w przeciwieństwie do innych, pan Pelty trzymał się w tempie partytury maestro Verdiego, nie wstawił też tych drobnych ozdobników, które uwielbiają tenorzy. Pan Pelty śpiewał głosem bez skazy przez całe przedstawienie. Amneris...

–Pani wybaczy, madame Jenkins, słyszałem pierwszą scenę. Amneris madame Schezani utrzymana była w tonacji, natomiast Pelty...

–Radio dopiero się rozwija, młody człowieku – oznajmiła z protekcyjnym usmiechem. – My na widowni, co do jednego, słyszeliśmy dokładnie to, co mieliśmy słyszeć – nadzwyczajną, niezapomnianą partię Radamesa w olśniewającym wykonaniu.

–Madame, wie pani, że mój kot z ogonem przytrzaśniętym w drzwiach lodówki śpiewa jak Nellie Melba?

–Madame Melba, młody człowieku, była sopranistką – zganiła mnie. – Nawet pan Cross... – uśmiechnęła się łaskawie na to wspomnienie – nie potrafił zrozumieć, dlaczego rozgłosnia NBC gorączkowała się z powodu czegoś, co dla nas wszystkich było niepowtarzalnym przeżyciem.

Wspominał o tym kilka razy... zanim odmówił wypowiedzi na ten temat. Powiedział mi, że własne uszy nie mogły go zwieść. W końcu pan Cross jest autorytetem. Moje skromne zdanie jest niczym w porównaniu z jego opinią, ale w tym się zgadzamy!

–Hmm, tak, ale jak pani powiedziała, nie chce rozmawiać na ten temat. Wydaje mi się, że także pan Aaronsky dostał oficjalną naganę...

–I słusznie... – znów udało jej się mnie zaskoczyć – bo nie zapewnił dublera na popołudniówki, co jest regułą w przypadku spektakli wieczornych.

–Chyba nie wini pani pana Aaronsky'ego za wypadek pana Sostenuto?

Zmierzyła mnie surowym wzrokiem, opuszczając wydatny podbródek.

–Naturalnie, że nie. Ale za moich młodych lat brano pod uwagę wszelkie możliwości. W konsekwencji nasze społeczeństwo było bardzo dobrze zorganizowane.

–Zapewne, zapewne.

–Raz – podjęła, kiwając głową na moje potulne przeprosiny – kiedy pan Aaronsky wyszedł przed kurtynę, żeby wyjaśnić przyczynę opóźnienia, pomyślałam, że posłał po pierwszego zastępcę tenora. Wprawdzie pan Sostenuto nigdy w życiu nie opuścił przedstawienia – w sezonie mieszka na Wschodniej Sześćdziesiątej Drugiej ulicy – brak dublera był wielkim zaniedbaniem ze strony dyrektora.

Pamiętam, że nie mogłem oprzeć się pokusie i postanowiłem jej dokuczyć.

–Choć dzięki temu miała pani okazję zobaczyć ten zdumiewający debiut?

–Zabezpieczenie przeciw niespodziewanym wypadkom to zupełnie inny problem. Winie go dlatego, nie za to, że pozwolił panu Pelty'emu zaśpiewać partię Radamesa.

–Rumieniec zaróżowił jej blade policzki. – To było szczęśliwe zrządzenie losu!

–Nie rozumiem, madame, jak on w ogóle dostał się na scenę. – Pytanie powtarzano na okrągło. Jeśli madame Jenkins znała odpowiedź, mogłem napisać sensacyjny artykuł, nie zapchajdziurę.

–Naturalnie, kiedy pan Pelty wstał ze swojego miejsca, uznałam, że zbiera się do wyjścia. Przez myśl mi przeszło, że zamierza ubiegać się o tę rolę. – Urwała, jeszcze bardziej prostując się na brzeжку krzesła. – Może pan wyobrazić sobie moje zdumienie, kiedy niedługo później pan Aaronsky znów pojawił się na scenie i ogłosił, że pan Pelty wykona partię Radamesa.

–Przecież pan Pelty był zupełnie nieznany...

–Ja go znałam, choć nasza znajomość nigdy nie wyszła poza grzecznościowe ukłony.

–Poza tym Metropolitan Opera cieszy się reputacją godną pozazdroszczenia. Niewielu kandydatów przechodzi dalej niż wstępne przesłuchania. Każdy wszak może mówić, że zna rolę, ale...

–Młody człowieku – przerwała mi z gestem zniecierpliwienia -już mówiłam, że od lat nucił i recytował partie tenorowe prosto do mojego lewego ucha...

–Pamiętam, ale jego... głos? – Skrzywiłem się na wspomnienie tonów, które zaatakowały moje uszy za pośrednictwem zwykle wiarygodnego radia.

–Pan Aaronsky kilkakrotnie podkreślał, że pan Pelty miał przesłuchanie. Dlatego pozwolił mu wystąpić.

Moja twarz musiała zdradzić niedowierzanie.

–Madame Neroni, która śpiewała partię Aidy, oraz maestro Di Saltsa – mówiła, gromadząc dowody na korzyść Pelty'ego – również byli obecni. Madame Neroni oświadczyła, że z radością zaśpiewa jako Aida z takim Radamesem, a i dyrygent nie miał nic przeciwko. Ponadto śpiewacy często przechodzą z jednej sceny operowej na drugą, ograniczając się wyłącznie do prób ruchów scenicznych.

Pan Cross oświadczył, że pan Pelty zapewnił ich, że oglądał wystawienie Aidy wystarczająco często, by potrzebować suflerki tylko okazjonalnie. W momencie, gdy rozgłosnia czekała na transmisję opery, nie miało to większego znaczenia.

Bez względu na to, co pan sobie myśli, a także, co pan słyszał w radiu... to naprawdę wstrętny wynalazek.

Ja z pewnością nigdy nie zaśpiewam dla tego medium, skoro tak bardzo zniekształca ludzki głos. Niezależnie więc, co pan słyszał, my na widowni mieliśmy zaszczyt być tego dnia świadkami niedoścignionego wykonania Grand Operah (Wielkiej Opery)! – Oczy jej rozbłysły na to wspomnienie, twarz rozświetliło wewnętrzne ciepło i zapach.

–O, nie – szepnąłem.

–Och, tak – sprzeciwiła się grzecznie, nie podchwytyjąc mojego żartobliwego tonu. – Na pewno wie pan... – podjęła lekko mentorskim tonem – że Radames śpiewa swoją wielką arię, cudowną Celeste Aida, niedługo po podniesieniu kurtyny. – Przerwała, by pocmokać cicho i westchnąć. – Częstokroć zdarza się, że tenorzy oszczędzają głos, wychodzą na scenę nieprzygotowani do oddania wspaniałoś'ci tej arii. Są w niej, jak panu wiadomo, trzy bemole, i muszę przyznać, że wielokroć słyszałam wyraźnie niższą tonację na drugim. I dwa... nie, trzy razy tenor skrócił ten ostatni ton.



–Niewybaczalne!

–Oczywiście, nie brakuje tenorów, którzy, jak to się mówi, „doją” ostatni bemol dłużej, niż życzyłyby sobie maestro Verdi. Pan Pelty jednak był w świetnej formie. – Znowu wzniosła oczy ku niebu, wymownie kierując ręce w tę samą stronę. – Każda nuta czysta, wibrująca, cudownie podparta.

W tej kwestii ona i otumaniona widownia byli jednomyślni, choć wszyscy w zasięgu aparatów radiowych słyszeli skrzyżowanie wrzaskliwego gulgotu z zawodzeniem katowanego zwierzęcia. Nim pan Pelty skończył pierwszą arię, do NBC napłynęła fala protestów oburzonych radiosłuchaczy. Rozgłosnia bezceremonialnie przerwała transmisję na żywo z Opery i zastąpiła ją nagrany, ale nieskończenie lepszym wykonaniem. Pan Cross w rozmowie telefonicznej ze wściekłym dyrektorem studia z uporem powtarzał, że przedstawienie naprawdę jest niezapomniane, tenor wprost uduchowiony i że z pewnością wina leży po stronie sprzętu. We wczesnych latach trzydziestych urządzenia radiowe w Metropolitan Opera pozostawiały wiele do życzenia. Pomimo to, co ciekawe, pan Cross nie chciał uwierzyć, że domniemana usterka zniekształca jedynie głos tenora.

–Jego styl – mówiła madame – jego prezencja, jego siła wyrazu... ach, wszystko było bosko natchnione! – Jej oczy wróciły ku ziemskim horyzontom, choć nadal lśniły od rozpamiętywanego uniesienia. – Ponadto, oczywiście, występ sceniczny miał niezaprzeczalną zaletę: nie musiałam słuchać nucenia za uchem.

Chyba pęcherzyk powietrza utknął mi w tchawicy, bo zacząłem się krztusić.

–Kelner, poproszę szklankę wody – poleciła przytomnie pani Jenkins.

–Och, dziękuję, to bardzo miło z pani strony, madame. Przepraszam – wysapałem pomiędzy łykami. – Przyłączy się pani do mnie? To znaczy, napije się pani? Może likieru?

Wyprężyła się z wielką godnością i wycedziła:

–Czy ryba umie pływać?

Kelner musiał energicznie poklepać mnie po plecach, nim minął drugi atak.

Kiedy przyniósł drinki, byłem trochę osłabiony, ale zdolny do rozmowy. Spróbowałem wrócić do tematu występu Petera Pelty.

–Dość czasu straciliśmy na tenorów, młody człowieku – powiadomiła mnie madame. – Sądziłam, że prosił pan o wywiad dotyczący mojej osoby. – Nacisk położony na zaimek był wytwornie delikatny.

–Tak, proszę o wybaczenie, madame Jenkins. – Przewróciłem kartkę w notatniku. – Tak, Carnegie Hali w przyszłym tygodniu.

Obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem i podniosła torebkę z podłogi.

–Przyjdzie pan, naturalnie?

Nie miałem tego w planach, ale okoliczności zmusiły mnie do entuzjastycznego przytaknięcia.

–Agencje biletowe nigdy dokładnie nie księgują sprzedaży – powiedziała. Po krótkich poszukiwaniach wyjęła okazały plik biletów przepasanych grubą gumową opaską. Przewertowała je z dużą wprawą, wyciągnęła jeden, który sprawdziła przed podaniem mi pełnym gracji ruchem.

–Jestem swoim menedżerem – oznajmiła z uroczym uśmiechem. – Dwa dolary, proszę. W rządzie H.

Nie miałem innego wyboru, jak wyłuskać dwa dolary z portfela i zakończyć wymianę z maksymalnym wdziękiem. Przelotnie zastanowiłem się, czy madame ma tupet obciążać kosztami także krytyków muzycznych.

–Zapotrzebowanie na bilety na moje recitale było tak wielkie, że musiałam przenieść się z Sherry-Netherland do Carnegie Hali – powiedziała, gdy dołożyła moje dwa wymięte banknoty do okazałego rulonu, również w gumowej opasce. Schowała pieniądze i bilety do staroświeckiej czarnej torebki, którą odstawiła na podłogę.

–Nigdy nie ufałam tenorom, agentom i menedżerom.

Stwierdziłam, że doskonale dam sobie bez nich radę – oznajmiła bez cienia urazy. – Słucham! – Skromnie złożyła ręce na podołku i przekrzywiła głowę, czekając na moje pytania.

–Czy artys'ci zazwyczaj nie zaczynają kariery wcześniej niż pani, madame? – Postarałem się, żeby pytanie zabrzmiało dyplomatycznie. Nie każda siedemdziesięciolatka debiutuje w Carnegie Hali. Słyszałem, że rodzice zabraniali jej śpiewać, mąż także. Na nieszczęście biedak miał atak serca i zmarł nie pozostawivszy testamentu, więc madame odziedziczyła znaczny majątek nieobłożony żadnymi ograniczeniami i z miejsca założyła Verdi Society;

Giuseppe był jej ulubionym kompozytorem operowym.

–Byłam artystką koncertową, w swój skromny sposób, od 1924 roku – wyznała bez ostentacji. – Jak wszystkie młode dziewczęta... – w jej ustach zabrzmiało to bardziej jak „dziewczęta” – za moich czasów, umiałam grać na fortepianie i akompaniować własnym wokalnym interpretacjom po kolacji. Zawsze wierzyłam, że jeśli czegoś mocno się pragnie i nie żałuje starań, pewnego dnia osiąga się cel. Mój papa i mama byli bardzo surowi, co zresztą powinno być regułą w przypadku wszystkich rodziców. Uważali, że kariera sceniczna nie jest odpowiednia dla młodej kobiety o mojej pozycji społecznej. W tej kwestii pochwalam dzisiejszą tolerancję, do pewnego stopnia. Ostatecznie żyjemy w nowoczesnych czasach.

–Rzeczywiście. Prawda. Bardzo liberalnie z pani strony.

–Oczywiście, nigdy nie marzyłam o zaprezentowaniu się w czymś tak niesmacznym jak ten okropnie szybki musical Oklahoma, na którego punkcie publika dostaje szału. „Publika” zdecydowanie nie

należała do tej samej sfery co bywalcy opery. Zachęcająco pokiwałem głową, ale madame Jenkins nie potrzebowała zachęty.

–Scena koncertowa natomiast zawsze cieszyła się dużym poważaniem.

–W istocie.

–Kiedy więc drogi pan Jenkins zostawił mnie finansowo niezależną, przysięgłam wspierać moją prawdziwą miłość – operę – i rozpocząć karierę, którą moi rodzice uważali za niestosowną z uwagi na nakazy społeczne.

Spojrzała na zegarek przypięty do plisowanej koronkowej spódnicy. Gdy wstała, zerwałem się na równe nogi jak pociągnięty za sznurki.

–Pan McCoon, mój akompaniator, czeka. Jest wzorem cierpliwoś'ci i wyrozumiałości. Niewielu pianistów ma dar nadążania za mną, gdy uskrzydla mnie muzyka. Jutro występuję w popołudniówce. Życie artysty jest podporządkowane s'cisłym rygorom i muszę liczyć się z czasem.

–Tak, tak, była pani wielce łaskawa, madame, ale ostatnie pytanie...?

Uosobienie łagodnego wdzięku minionej epoki uśmiechnęło się.

–Pan Pelt... – zacząłem, niezręcznie chwytając ostatnią okazję, niezdolny sformułować myśli.

Zrobiła skruszoną minę.

–Obawiam się, że mogę wyrazić się o nim nie do końca życzliwie. Tenorzy, wie pan, są krzyżem, który my, sopranistki, dźwigamy w imię sztuki. Mimo to jestem pewna, że mogłabym odłożyć na bok osobiste odczucia, by zaśpiewać Leonorę z Peltym w roli Manrica. – Westchnęła teatralnie, jakby żałując utraconej okazji. – W pełni zasłużył na brawa i liczne wywołania przed kurtynę. No, może nie osiemnaście razy, ale jaki to cudowny sposób zejścia dla artysty!

–Tak, wspaniały! – Na szczęście nie złapała ironii. – Ale, madame, nie sądzi pani, czy to możliwe... To wyjaśniałoby, dlaczego radiosłuchacze słyszeli jedno, a pani na widowni co innego... Czy Pelt mógł zrobić coś... odwrotność Trilby?\* \* Trilby – śpiewaczka mogąca śpiewać tylko w stanie hipnozy, w którą wprowadzał ją jej nauczyciel, demoniczny Svengali z powieści Trilby George'a Du Mauriera (wszystkie przypisy tłumacza).

Zamarła, jej całe ciało wyprężyło się niczym struna, oczy utraciły dotychczasową łagodność i stały się przeszywające.

–Co u licha, pan sugeruje? – zapytała lodowato. – Że... zahipnotyzował widownię i... widzowie słyszeli... – dukałem, zwalniając z każdym słowem z powodu strasznej, niepokojącej zmiany na twarzy madame Jenkins.

–Całą widownię Metropolitan i pana Crossa? Zahipnotyzował? – zapytała z wyniosłą i miażdżącą pogardą.

–Cóż, to możliwe. Wszak pięćdziesiąt tysięcy radiosłuchaczy nie mogło się omylić, nieprawdaż?

Odetchnęła głęboko, najwyraźniej odzyskując panowanie.

–A dlaczego nie? – wycedziła. – Radio jest urządzeniem mechanicznym, w najlepszym wypadku trzeszczącym, z przekazem wątpliwej jakości. Radzę zapomnieć o takiej nedorzecznej teorii, młody człowieku. Między artystą a widownią powstaje mistyczna więź, niepojęta dla niektórych umysłów!

–Tak, oczywiście, madame. Sugerowanie czegoś takiego było głupotą. Impertynencją.

–Dokładnie tak!

Po kolejnym przenikliwym spojrzeniu odprężyła się nagle i uśmiechnęła z typową łagodnością.

–Proszę nie spóźnić się na koncert – przykazała, odwracając się do wyjścia. – Mogę panu obiecać nadzwyczajne przeżycie muzyczne. Dokładnie wiem, gdzie będzie pan siedział, i w czasie wiązanki pieśni rzucę panu kwiaty.

Oszołomiony taką perspektywą, z szacunkiem skłoniłem głowę, gdy wychodziła z sali. Ale jestem pewien, że usłyszałem, jak mówi:

–Pelty? Svengali? Niemożliwe! Był tylko tenorem!

Nic nie mogłoby mnie powstrzymać od pójścia na koncert. Carnegie Hali pękał w szwach. Róże, które śpiewaczka szczodrą ręką rzucała z koszyka pasującego do kostiumu drezdeńskiej pasterki, minęły rząd H. Koncert był... niezapomniany. Ale, z drugiej strony, taka była madame Florence Foster Jenkins.

W późniejszych latach wielu wykonawców próbowało naśladować jej nadzwyczaj wyjątkowy styl s'piewu. Zachowały się nagrania jej recitali, lecz madame nigdy nie wystąpiła dla radia. Ciekawe, czy miało to cos' wspólnego z Peterem Pelty i jego podwójnie pechowym debiutem.

A może przyczyną był brak „mistycznej więzi między artystą i widownią”? Nie ulega wątpliwości, że potrafiła zaczarować widownię i, na swój sposób, pozostała wyjątkowa: Euterpe na wagarach!

Obowiązek wzywa Ostatnimi czasy Sojusz ciągle miał pecha, nic więc dziwnego, że eskorta i konwój wróciły do normalnej przestrzeni w samym środku kosmicznego śmietniska.

Wyszliśmy z niesamowitej pustki napędu FTL w niewiarygodny gwiazdobraz sektora tak szczelnie wypełnionego systemami słonecznymi, że musieliśmy wejść z powrotem (znacznie szybciej niż życzyłyby sobie admirał, biorąc pod uwagę pobliskie pozycje Khalian). Ale nie mieliśmy wyboru. Konwój musiał opuścić mrok FTL w stosunkowo „otwartym” kosmosie, żeby bez przeszkód

zredukować prędkość z 63 do 1 procenta C, co miało zabrać pół roku, a następnie wejść na orbitę nękaną kłopotami Perswazji, naszego celu podróży. Ponadto zwolnienie było konieczne z powodu natłoku gwiazd, bo studnie grawitacyjne mogłyby rozerwać lub, co gorsza, rozproszyć flotę, a wówczas grasujący Khalianie bez trudu wyłapałoby poszczególne jednostki. Admirał wykreślił kurs pozwalający na dwustopniowe wytracenie prędkości z wykorzystaniem studni grawitacyjnych pobliskich układów gwiazdnych. I tak oto powtórnie wyszliśmy z FTL, niemal oślepieni jaskrawym światłem gwiazd, które zniemacka przysłoniła chmura kosmicznego śmiecia. Potem, o rany! Wszystkie alarmy na pancerniku Gormenghast dostały szału.

Ze względu na zajmowaną pozycję, na lądowisku tuż przed główną sekcją mostka, natychmiast wkroczyłem do akcji. Doskonale wiedziałem, że im szybciej uprzątniemy śmieci, tym lepiej, bo: 1) latające okruchy mogły podziurawić cysterny zaopatrzeniowe, holowane przez frachtowce i 2) bylis'my okropnie blisko kolonii, którą Khalianie podbili trzy galaktyczne lata temu. Jeśli rozmieścili skanery na orbicie, to mogli wykryć promieniowane Czerenkowa z naszej broni plazmowej. Dlatego jak konwój długi i szeroki walono w śmieci ze wszystkiego, z czego tylko się dało.

Uwielbiam strzelanie do celu – pod jednym warunkiem, że nie ja nim jestem (służę jako pilot admirałkiej szalupy, więc bywam celem częściej, niż życzyłyby sobie normalny człowiek) – a w walce z kosmicznym rumoszem nie mam sobie równych. Z radością waliłem z dziobowego i burtowego działka, kiedy otrzymałem pilną wiadomość z mostka.

–Hansing? Przygotować się do odbioru map i danych dla obszaru ASD 800/900. Gotów do lotu?

–Tak jest – odparłem. Admirałska szalupa zawsze jest gotowa, inaczej przewozi nieczystości. Poznałem głos adiutanta, komandora Heta Lee Winga, mojego częstego pasażera i sprytnego stratega cieszącego się pełnym zaufaniem admirała Bana Corrie Eberharda. Komandor Het opracował kilka z bardziej udanych wypadów przeciwko siłom khalianińskim, które najechały planety Sojuszu. Nie grzeszy poczuciem humoru; też bym nie tryskał dowcipem, gdybym w połowie składał się z części wymiennych, a co bardziej przydatne elementy już nie działały. Przypuszczam, że te wszystkie części zapasowe padły mu na mózg.

Ze mnie z kolei tylko tyle pozostało, ale pielęgnuję swoje poczucie humoru, chociaż jest trochę pokręcone. – Dane odebrane.

–Bacność, Bil – powiedział. Zdusiłem jęk. Kiedy Het staje się przyjacielski, ja zaczynam się martwić. – Admirał!

–Panie Hansing... – baryton admirała, dźwięczny i czysty, brzmiał odrobinę zbyt jowialnie, bym mógł zachować spokój umysłu – mam dla pana zadanie. Rekonesans na trzeciej planecie ASD 836/929; osadnicy zwą ją Bethesda.

Wziedzie pod nami za pół roku świetlnego. Piraci zajęli ją parę lat temu. Trzeba sprawdzić, czy Khalianie wiedzą o naszym przelocie. Nie chcę, żeby przyczepili się nam do tyłka. Musimy doprowadzić konwój nienaruszony do kolonii. Liczą na nas.

–Rozkaz! – Postarałem się, żeby mój ton wyrażał właściwą dozę aprobaty i zapału.

–Zabierzesz mięśniaka, żeby nawiązać kontakt z naszym lokalnym agentem, który na szczęście jeszcze żyje.

Jak ci wiadomo, koloniści poddali się Khalianom. Nie mieli do obrony nic poza bronią ręczną. – Brzmienie głosu admirała zdradzało dezaprobatę dla ludzi niezdolnych obronić się przed inwazją. Z drugiej strony, wiele najwcześniejszych kolonii było wspieranych przez cywilizacje nieagresywne na długo przed tym, nim Sojusz natknął się na Khalian.

A może to oni natknęli się na nas? Nie pamiętam, jak to było, bo pierwszy kontakt miał miejsce kilka pokoleń temu, przynajmniej tak mi się zdaje. Sam walczyłem z nimi przez całe dorosłe życie. W każdym razie, werbowanie w każdej kolonii po paru „obserwatorów”, wyposażonych następnie w zaimplantowane odbiorniki, jest standardową procedurą operacyjną na właśnie taką okoliczność, jak zajęcie Bethesdy. – Het poda ci koordynaty agenta – podjął admirał. – Musisz uratować tę operację, Bil, jesteś w tym najlepszy. Kosmiczny pył! To dopiero! – Potrafiłem zrozumieć jego odrazę na myśl o naszym pechu. – Przydzielam ci specjalnego męśniaka partnera, Bil. Ona wprowadzi cię w sytuację.

To mi się nie spodobało, ale decydował czas. Admirał musiał przygotować plany awaryjnego poderwania wielkiej floty na wypadek kosmicznego ataku Khalian. Nie wiedzieć czemu, mimo najnowocześniejszej techniki taki manewr zawsze skutkuje zmniejszeniem konwoju: w czasie startu parę kryp nieodmiennie traci orientację i przepada bez wieści. Statki handlowe są gorsze do upilnowania od owiec i często dorównują im inteligencją. Tak, pamiętam, jakie są owce.

–Tak jest, sir – wyskandowałem służbiście i, jak miałem nadzieję, z przekonującym entuzjazmem. Nie cierpię agentów lokalnych (AL-ów): to paranoicy czystej wody, bojący się zdemaskowania przez Khalian i zakapowania przez planetarnych kolegów, zagrożonych przez samo ich istnienie. A kroki odwetowe Khalian są wyjątkowo złośliwe. Cieszyłem się, że nie na mnie spoczywa obowiązek skontaktowania się z AL-em.

W trakcie rozmowy z admirałem odbierałem natłok danych z baz Gormenghasta. Komputery na szperaczach Ocelot, nawet taki Mark 18, którym zarządzałem, są zaprogramowane głównie na taktykę uników, konserwację, naprawy doraźne i tym podobne duperele, z pamięcią ograniczoną do bieżącego zadania. Nie wiemy, czy Khalianie nie włamują się do naszych programów, ale rozdawanie ich za darmo, gratis, za friko, na piękne oczy, raczej nie ma sensu, no nie? Nawet przy bardzo małym prawdopodobieństwie, że któryś z nas wpadnie w ich brudne łapy.

Strach myśleć o współczynnikach zgonów i wpadnięcia w niewolę, więc o nich nie myślę. Dzięki temu większość moich komórek mózgowych jest w stanie radzić sobie z bieżącymi problemami. Mięśniaki mają jeszcze niższy „wskaźnik przeżywalności” niż zwiadowcy: nie potrafią funkcjonować bez niebezpieczeństwa, ryzyka i niepewności, więc dostają to wszystko w potężnych dawkach.

Zastanawiałem się, jaka jest „ona”. Jak to powiedział starożytny poeta, „Samice danego gatunku są

bardziej zabójcze niż samce"? Cóż, miał rację, sądząc z tego, co widziałem w kosmosie czy na powierzchni.

–Powodzenia, Bil!

–Dziękuję, sir.

Admirał Eberhard nie musi robić odpraw z takimi pilotami-zwiadowcami jak ja, ale doceniam jego uprzejmość.

Jak powiedziałem, śmiertelność wśród małych statków jest wysoka, a taki drobny osobisty kontakt dodatkowo motywuje pilota, który przechodzi samego siebie, żeby pomyślnie zakończyć misję.

–Proszę o pozwolenie wejścia na pokład. – Głos, trochę niższy niż się spodziewałem, płynął z komunikatora w słuzie.

Rzuciłem okiem i mało brakowało, a przepaliłyby mi się obwody. „Ona” była kocicą, jak na zamówienie, w sam raz dla szperacza Ocelot, a jej nitro... Krótkie gęste płowe futro pokrywał chaotyczny wzór cętek, ciapków, plamek, kropek w różnych odcieniach brązu, od beżowego po brunatny. Była chuda, jak przystało na wojownika, a na przedramieniu i klatce piersiowej miała parę pręg, które mogły, lecz nie musiały być bliznami. U jej stóp leżał rulon jakiegoś materiału, mocno ściśnięty paskami.

Rzecz jasna, widziałem już wcześniej Hrrubańczyków: są w Sojuszu jednym z nielicznych gatunków będących, jak ludzie, naturalnymi drapieżnikami i w konsekwencji bardzo dobrymi wojownikami. Nie chcę wypowiadać się źle o naszym Sojuszu, ale, bez pokazywania palcem, niektórym gatunkom zdecydowanie brakuje potencjału bojowego. Z drugiej strony trzeba przyznać, że jako personel pomocniczy są bezkonkurencyjni i we własnych specjalnościach nieocenieni w wojnie z Khalianami.

Ta przedstawicielka gatunku hrrubańskiego była niezbyt wyrosnięta w porównaniu z innymi; niektórzy ich żołnierze to naprawdę wielkie kociesyny. Dorosłe samice dorównują wzrostem najwyższym mężczyznom, więc uznałem, że jest młoda – wolno im walczyć znacznie wcześniej niż ludziom.

Z ludzkiego punktu widzenia miała dziwnie ściśnięte ramiona i jej ręce zwisały pod dziwnym kątem. Od miednicy w górę lekko pochylała się do przodu, ciężar ciała wspierając na piętach; uda i łydki biegły pod skosem, z kolanami wysuniętymi przed palce porośniętych futrem stóp. Hrrubańczycy jednakowo dobrze radzą sobie na dwóch i na czterech kończynach. Khalianie też kiedyś byli czworonogami, ale teraz opadali na cztery łapy tylko przed zdechnięciem.

I tylko tak chciałem ich widywać.

–Proszę o pozwolenie... – zaczęła cierpliwie, trąc nogą tobołek. Otworzyłem słuzę i wpuściłem ją.

–Przepraszam, ale dotąd nie widziałem takiej Hrrubanki...

–B'ghra Hrrunalkharr – przedstawiła się – starszy porucznik, wsparcie bojowe.

Jak już mówiłem, wskaźnik przeżywalności mięśniaków jest niski. Co do personelu wsparcia bojowego, szkoda gadać. Skoro dosłużyła się stopnia starszego porucznika, naprawdę musiała być dobra.

–Cześć, jestem Bil Hansing – odparłem radośnie.

Nasza znajomość mogła być krótka, ale wolałem, żeby była przyjemna.

Machnęła ręką, salutując szybko wnętrzem „dłoni” w stronę głowy, bo budowa nadgarstka uniemożliwiała właściwe oddanie honorów. Potem kąciki jej kocich ust uniosły się lekko i zuchwa opadła, co chętnie uznałem za uśmiech.

–Możesz mówić mi Ghra, to łatwiejsze do wymówienia niż cała reszta. Wielu z was łamie sobie języki na r.

–Chcesz się założyć? – Powtórzyłem poprawnie jej imię.

–Jestem pod wrażeniem – powiedziała, lekko przeciągając spółgłoskę s. Wtargała swój tobołek na pokład i rozejrzała się po maleńkiej kabine Ocelota. – Gdzie mam to upchnąć, Bil?

–Pod koją na dziobie. Nam, Ocelotom, brakuje przestrzeni!

Zobaczyłem jej kły, i koniuszek różowego języka, gdy naprawdę się uśmiechnęła. Szybko schowała tobołek i odwróciła się, żeby mi się przyjrzeć.

–Tak, najszybsze statki w galaktyce – powiedziała tak ciepło, że z mety ją polubiłem. – Panie Hansing, proszę poinformować mostek o moim przybyciu. Zakładam, że ma pan dane. Resztę informacji przekażę po starcie.

Była uprzejma, ale twarda jak skała, zdecydowana uporać się z zadaniem, które mogło okazać się trudne. Spodobało mi się jej podejście. Z nadzwyczajną gracją opadła na fotel z lewej strony i zapięła uprząż, potem jej zdumiewające „ręce” (w zasadzie nie były łapami – Khalianie mają łapy – bo palce miała chwytne i wyraźnie oddzielone jeden od drugiego, z mniejszą fałdą między nimi niż u kotów) spoczęły na podłokietnikach. Koniec porośniętego gęstym futrem ogona kołysał się leciutko za oparciem fotela. Obserwowałem go zafascynowany. Nigdy nie przypuszczałem, jak wymowny może być taki puszysty drobiazg.

Obowiązek wzywał, więc powiadomiłem mostek, że jesteśmy gotowi. Otrzymałem zgodę na natychmiastowy start. Zwolniłem ciśnieniowe zaczepy śluzu, dałem odpychaczom na sterburcie trochę mocy i odsunąłem się ostrożnie od Gormenghasta.



Lubię pilotować Ocelota. Jest kochanym statkiem, prowadzi się jak marzenie, w razie konieczności może okręcić swoje trzydzieści metrów dokoła ogona i zawrócić, choć niewielu w to wierzy. Przypominam niedowiarkom, że to model Mark 18, najnowsze dziecko naszej macierzystej jednostki badawczo-rozwojowej. Wprawdzie sprzed pięciu galaktycznych lat standardowych, ale jest w pierwszorzędnym stanie. Sam nadzoruję wszelkie naprawy i poza normalnymi zadrapaniami, wgnieceniami i urwanym czubkiem jednego statecznika, gdzie oberwałem od Khalian w drugim roku pilotowania, kiedy wpadliśmy z Hetem na piracką blokadę w FCD 122/785, nie można mu nic zarzucić.

Rzecz jasna, Ocelot jest lekko uzbrojony, ma tylko cztery działka plazmowe, na dziobie i na rufie, i obrotowe na burtach. Wolę polegać na prędkości i zrywie niż na sile ognia: statek jest szybki, a ja jestem cholernie dobrym pilotem. Mogę tak mówić bez fałszywej skromności, bo mam na to dowody. Po pięciu latach galaktycznych służby nadal jesteśmy na chodzie.

Dałem gazu i flota szybko zniknęła w czerni kosmosu.

Przez jakiś czas blada luna majaczyła tam, gdzie nadal strzelali do przekłętego pyłu – te zdradliwe emisje mogły okazać się bardzo niebezpieczne. Rzecz jasna, jeśli Khalianie patrzyli w naszą stronę. Kosmos jest wielki, a konwój znajdował się w odległości dwóch lat świetlnych od perswazji; zwalniał, by przejść bezpiecznie przez tłoczne globularne skupisko ASD i wejść na docelową orbitę ASD 836/934. W tej młodej gromadzie było pełno pyłu, który mimo niewielkich rozmiarów był niebezpieczny.

Flota konwojowała statki przez sektor sąsiadujący z obszarem kontrolowanym przez Khalian, żeby zaopatrzyć dużą i ważną kolonię górniczą na Perswazji 836/934 – i wzmocnić obronę dwóch pobliskich planet Sojuszu: wodnego świata Persepolis, z oceanami pełnymi jadalnych form życia morskiego, źródła cennych protein tak dla humanoidów, jak dla szczerowatych Khalian, i porośniętej bajkowymi lasami Poinsecji, z drzewami wspanialszymi i bardziej wszechstronnymi pod względem zastosowania niż tek, mahoń czy sekwoja razem wzięte. W sektorze ASD Khalianie mieli tylko trzy planety, ubogie, nadające się wyłącznie na bazy wypadowe. Z tego względu atak na bogatsze światy Sojuszu opatrzone był wysokim współczynnikiem prawdopodobieństwa, który to współczynnik Sojusz postanowił zmniejszyć poprzez wysłanie konwoju. Jeśli posiłki nie dotrą na miejsce, wielkie natarcie na Cel, główną bazę khalianką w przestrzeni Sojuszu, znowu zakończy się fiaskiem.

Po wyjściu z FTL konwój stawał się łatwym łupem dla khaliankich złodziei, mogących przypuszczać ataki przez całe sześć miesięcy, bo tyle miał zająć manewr hamowania. (Nie ma szybszego sposobu podróży niż FTL, ale po wyjściu wytracenie prędkości zabiera koszmarnie dużo czasu. Nic za darmo; takie jest życie.) Aby zwiększyć szansę konwoju, Naczelne Dowództwo Sojuszu zorganizowało parę dywersji w sektorach BRE, BSF – ataki na dwie dość ważne, zajęte przez Khalian planety – i pozorowane zmasowane natarcie w KSD: strategia najwyraźniej zdawała egzamin, o czym świadczył brak widocznych śladów sił khaliankich w okolicy. W FTL wszyscy są ślepi, czy to Sojusznik, czy Khalianin, ale w normalnej przestrzeni emisje napędu tworzą stale rozszerzające się stożki, wyraźnie widoczne dla każdego statku, który je przecina. Ogromna liczba statków lecących w naszym konwoju zwiększyła współczynnik wykrywalności. Na szczęście, stożki

są niewykrywalne z planet, ale jeśli Bethesda dysponowała odpowiednim sprzętem, Khalianie mogli zauważyć promieniowanie z broni plazmowej.

Jeśli nam się poszczęści, a los oszczędzi nam kolejnych przykrych niespodzianek, konwój wesprze Perswazję i inne światy, zanim pirackie statki wezwą siły uderzeniowe do obszaru ASD.

Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem Khalianina z bliska. Może moja ciekawie umaszczona towarzysza miała w tym względzie większe doświadczenie. Zamierzałem ją wypytać zaraz po wejściu na kurs. Koniuszek jej ogona drgał leciutko, gdy Ocelot osiągał prędkość rejsową. Zaprogramowałem kurs na Bethesdę i wejście w normalną przestrzeń na orbicie planety, po ciemnej stronie. Sprawdziłem obliczenia, a następnie, uprzedziwszy Ghrę, włączyłem napęd FTL i jaaazda! Statki zwiadowcze z pilotem mojego pokroju – przypominam, nie jestem zarozumiały – mogą korzystać z napędu FTL między systemami, na co nigdy nie poważy się flota złożona z wielu okrętów, chyba że kicha na . zachowanie bodaj pozorów porządku.

Ghra odpięła pas bezpieczeństwa i przeciągnęła się, prężąc ogon za plecami. Dobrze, że nie mogła zobaczyć, jak się na niego gapię.

–Jeśli dasz na ekran obszar portu kosmicznego Bethesda, Bil, zorientuję cię w sytuacji – powiedziała, pochylając się nad terminalem. Wyświetliłem odpowiednią mapę. Wsunęła pazur, wskazała mi miejsce lądowania. – Lecimy na północ od portu kosmicznego, nisko, gdzie nie będą niczego szukać. Tam jest mnóstwo dolin i wąwozów.

I skały wulkaniczne, parę większych od Ocelota. Będiesz udawać fragment starej góry, gdy ja przespaceruję się do osiedla na spotkanie z AL-em.

–Udawanie nie zda się na wiele, gdy wszędzie słońce i światło odbije się od kadłuba.

Jej śmiech przypominał zadowolone mruczenie.

–Do wschodu słońca będziesz już zamaskowany – powiedziała, wskazując ręką koję, pod którą leżał jej tobołek.

–Zamaskowany?

Znów zamruczała i opuściła szczękę w hrrubańskim uśmiechu.

–Tak samo jak ja.

–Co? Widać cię na kilometr.

–Niekoniecznie. Wiesz, dlaczego zwierzęta na drodze ewolucji wykształciły różne kolory i wzory futra? To proste: plamy, cętki, tatki i kolory pomagają im stać się niewidzialnymi dla naturalnych wrogów albo równie naturalnych ofiar. W twoim ojczystym świecie doskonałym przykładem są duże kotowate... – Poruszyła delikatnymi wąsami na znak rozbawienia, a może protekcjonalności wobec

ubogich krewnych. – Tygrysy mają pręgi, ponieważ są mieszkańcami dżungli, lwia sierść zlewa się z płowym kolorytem sawanny czy stepu, czarne cętki pozwalają panterom ukrywać się na konarach i w cieniu drzew.

Ich ulubione ofiary również mają barwy ochronne, zwodzące oko myśliwego, gdy stoją w bezruchu.

Główny przełom w badaniach biologicznych sugeruje, że Khalianie są ślepi na pewne kolory i wzory. – Wskazała plamiste boki. – Dzięki takiemu futru stanę się niewidzialna.

–Wybacz, Ghra, nie mogę tego kupić!

–Posłuchaj mnie. – Podniosła rękę, w jej dużych lśniących oczach rozbłysło coś, co mogło być rozbawieniem, ale mnie skłoniło do posłuszeństwa. – Wiemy, że choć Khalianie mają doskonały wzrok, o świcie i zmierzchu są krótkowidzami. Mój obecny kamuflaż jest dostosowany do tej planety. Mogę poruszać się bezkarnie rano i wieczorem, i całkiem możliwe, że będę niewidoczna również za dnia, nawet dla Khalian przechodzących tuż przy mnie.

Pod warunkiem, że dobrze wybiorę tło. W każdym razie, umiejętność maskowania jest elementem naszego wczesnego szkolenia. Umiemy też trwać w absolutnym bezruchu przez długie godziny. – Uśmiechnęła się, słysząc moje sceptyczne parsknięcie.

–W dodatku Khalianie, coraz bardziej polegający na zdobyczach technologicznych, utracili pierwotną czułość węchu. Biorąc to wszystko pod uwagę, wątpię, by mnie zauważyli. – Jej nozdrza rozděły się lekko i wąsy zadrżały z niesmakiem. – Ja potrafię wyczuć Khalianina z odległości ponad pięciu kilometrów, Khalianin zaś nie wykryje, co tu więc mówić o rozpoznaniu, mojego zapachu. Głupcy. Zaniedbali albo zaprzepaścili większość wartościowych, naturalnych cech. Już nawet nie umięją poruszać się na czterech łapach. My byliśmy dość mądrzy, by kultywować i udoskonalać nasze wrodzone atuty. Być może to nie skomplikowana technika przechyli szalę zwycięstwa w tej wojnie. Już dowiedliśmy, że jesteśmy nieocenionymi wojownikami dzięki temu, czym obdarzyła nas natura.

–Wy, Hrrubańczycy, cieszycie się cholernie dobrą opinią – zgodziłem się wspaniałomyślnie. – Masz doświadczenie bojowe? – zapytałem taktownie. Ogólnie rzecz biorąc, wytrawni wojownicy są raczej powściągliwi, a Ghra perorowała jak najęta. Nie wyglądała na osobnika w pełni dojrzałego, może więc w ten sposób przygotowywała się psychicznie do misji.

–Mam. – Lakoniczna odpowiedź wprawiła mnie w przekonanie, że faktycznie tak jest. Ghra palcami lewej ręki wybiła szybki rytm. – Khalianie rzeczywiście są groźnymi przeciwnikami. Bardzo. – Rozpostarła palce, błyskając kompletem śmiertcionośnych pazurów. – Niebezpiecznymi w walce wręcz choćby z uwagi na wagę. W pełni rozwinięty dorosły Khalianin sięga mi do piersi. Trzeba uważać na krótkie, ale niewiarygodnie silne górne kończyny.

Niektóre z ostatnich kawałów związanych z „krótkimi rękami” są obleśne, budzą obrzydzenie i generalnie świadczą o chorym poczuciu humoru. Człowiekowi robi się niedobrze, ale co ciekawe, gorliwie puszcza je w dalszy obieg.

–Khalianie wolą używać technologii – mówiła Ghra – lecz całkiem nieźle radzą sobie w walce wręcz. Widziałam, jak jeden złapał żołnierza za nogi, poderwał go w górę i w trzy sekundy przeciął mu ścięgna podkolanowe. Czasami rzucają się do piersi, s'ciskają płuca w potężnym us'cisku i przegryzają żyłę szyjną. Co ciekawe, zauważyliśmy, że wyraźnie unikają Hrrubańczyków – dodała ze zrozumiałą dumą. – Na szczęście, nie mamy nic przeciwko walczeniu w mieszanych zespołach.

Słyszałem parę niewiarygodnych historii o wyczynach mieszanych zespołów i w zasadzie byłem dumny, że tyle różnych gatunków Sojuszu potrafi zapomnieć o dzielących ich różnicach i zjednoczyć się w imię wyższego celu. Słyszałem też makabryczne opowieści o tym, co Khalianie robili z jeńcami z tych mieszanych kompanii. (Pozbywanie się rannych szybko stało się regułą.) Rzecz jasna, takie opowieści zawsze krążą w jednostkach bojowych. Czasami myślę, że ich celem jest nie tyle zachęcenie żołnierzy do zacieklejszej walki, ile oswojenie z czekającym ich koszmarem.

–Ale zwycięży nie brutalna siła, tylko wyższa inteligencja. My, Hrrubańczycy, mamy nadzieję na zinfiltrowanie sił lądowych wroga z wykorzystaniem kamuflażu. – Ghra przeciągnęła rękami po smukłych, muskularnych udach. – Zamierzam dowieść, że to możliwe.

–Powodzenia – mruknąłem, nadal pełen sceptycyzmu wobec malunków na jej ciele. Jako bojowy pilot kosmiczny znałem się na strategii i wiedziałem, że w przestrzeni wygrywamy jedynie bitwy: ostateczne zwycięstwo nastąpi wtedy, gdy planety uczestniczące w wojnie zostaną zabezpieczone przed najeźdźcami. – Jeszcze jedno. Może zdołasz zamydlić oczy tym szczerom, ale co z ludźmi i innymi mieszkańcami Bethesdy? Dla nich będziesz widoczna, wiesz. ^ Ghra zachichotała.

–Na podbitych planetach obowiązuje godzina policyjna i nikt nie ma prawa plątać się po nocy. Posadzisz statek na niezamieszkanym terenie. Nikt się tam nie zapanuje, a patrole powietrzne zobaczą tylko siatkę maskującą.

Na to liczyłem, co wcale nie znaczy, że bałem się Khalian w powietrzu czy na ziemi. Przede wszystkim Ocelot jest szybszy od ich statków atmosferycznych i kosmicznych. Khalianie wolą wielkie krypy z liczną załogą. Gdy się zastanowić, ma to trochę sensu – krótkie ręce i nogi nie ułatwiają im obsługi wielofunkcyjnych pulpity sterowniczych. W ich sterowniach musi panować okropny tłok, chyba że mają chwytne palce nóg.

–Tak, ale musisz skontaktować się z AL-em, który przebywa w ludzkim obozie. Jak tam zamierzasz stać się niewidzialna?

Wzruszyła wąskimi ramionami.

–Będę ostrożna. Przecież ludzie nie będą się spodziewać Hrrubanki na Bethesdzie, prawda? – Znowu opuściła szczękę i teraz już byłem pewien, że to rozbawienie zapala iskry w jej wielkich brązowych oczach. – Ludzie, szczególnie ci w niewoli, mają skłonność do dostrzegania tylko tego, co spodziewają się zobaczyć. A nie chcą zobaczyć czegoś niezwykłego czy niewiarygodnego. Jeśli nawet mnie zauważą, nie uwierzą własnym oczom. Nikt nie popędzi z jęzorem do Khalian.

Ghra przeciągnęła się, aż chrupnęło jej w stawach.

–Ile do wejścia, Bil? Zdążę się zdrzemnąć? – Opuściła szczękę w hrrubańskim uśmiechu i podniosła pokrywę kapsuły głębokiego snu.

–Zależy, jak długo chcesz spać. Jeden miesiąc, dwa?

–Statki zwiadowcze są szybkie, ale podlegają tym samym prawom fizyki FTL co wszystkie inne. Ja też musiałem wytracić prędkość, jak konwój, tyle że mogłem zrobić to w krótszym czasie. Zamierzałem wyhamować w studni grawitacyjnej słońca Bethesdy.

–Zabierz nas do układu. Będziemy mieć akurat tyle czasu, żeby się nie zanudzić opowiadaniem dowcipów – powiedziała, podchodząc do długiej szafki, w której mieścił się zbiornik głębokiego snu. Wyciągnęła go i patrzyła, jak nastawiam mechanizm zegarowy i odmierzam dawkę gazu. Z aprobatą pokiwała głową, wyciągnęła się na koi, włączyła aparaturę podtrzymywania życia i z wprawą założyła maskę odpowiednią dla jej gatunku. Mrugnęła do mnie na pożegnanie, opuściła pokrywę, zamknęła oczy.

Jej smukłe ciało odprężyło się w chwili, gdy gaz wypełnił kapsułę.

Ghra wiedziała, że długie przebywanie w ciasnej, zamkniętej przestrzeni, bez możliwości wyładowania energii, prędzej czy później prowadzi do zgrzytów. My, mózgotatki, jesteśmy przyzwyczajeni do samotności, choć rekrutom Korpusu Elitarnego spieszę donieść, że pierwsze miesiące nie są łatwe. Przechodzimy długi trening, ucząc się funkcjonować w ograniczonej przestrzeni, zanim dopuszczą nas do dużego, niebezpiecznego sprzętu. Dobrze, że człowiek ma zdolność adaptacji, choć może sprawa sprowadza się po prostu do ograniczonego wyboru. Jeśli nie chcesz być martwy, istnieje alternatywa: może nie zespalamy się ze swoim statkiem tak całkowicie jak bywa to w przypadku żywych pocisków, ale nadal jesteśmy użyteczni i muszę przyznać, że z czasem polubiłem swoje nowe życie.

Ocelot nurkował w kierunku niewidocznej planety, będącej celem misji. Włączyłem zewnętrzne alarmy i wszedłem w trans pamięciowy.

Po zbliżeniu się do celu, w miarę ładnej kosmicznej szklanej kulki, ciemnobłękitno-zielonej pod cienką pokrywą chmur, statek zbudził Ghrę i mnie. Ghra ocknęła się w okamgnieniu, jak przystało na dobrze wyszkolonego wojownika. Chwyciwszy pojemnik z dozwolonym drinkiem posennym, zajęła miejsce w fotelu i oboje odczytaliśmy autoraporty Ocelota.

Detektory zidentyfikowały na orbicie Bethesdy tylko zwyczajne klamoty – satelity komunikacyjne, górniczy sprzęt transferowy, panele słoneczne – bez śladu urządzeń, które mogłyby wykryć konwój. Absolutną pewność mogliśmy zyskać tylko w jeden sposób: schodząc na dół. Ghra przyznała mi rację. Dzień wstawał nad jednym ze zbiorników wodnych, które urozmaicały powierzchnię planety.

Wyglądało na to, że woda wypełnia ogromne kaldery, ale to nie powinno dziwić. W przeszłości na Bethesdzie panowała duża aktywność wulkaniczna.

–Jak to zrobimy, Bil? Khałianie mogą nas zauważyć, choć wokół Bethesdy krąży sporo różnego

śmiecia.

–Ustawiłem Ocelota na trajektorii roju meteorów. Widzisz, planeta jest dziobata, krater na kraterze. Idealnie.

Nawet jeśli mają dostatecznie czuły sprzęt, by wykryć statek, wezmą nas za meteor.

–Przejrzałam informacje dostarczone przez Heta – powiedziała Ghra. – Port kosmiczny Bethesda jest dostosowany do obsługi wielkiej kolonii. Ostatnimi statkami, które zawinęły tam przed najazdem Khalian, były towarowe lichtugi. Port jest dość duży, by przyjąć i średnie myśliwce pościgowe i największe khalianie krążowniki i niszczyciele.

–Czy Het wspominał coś o czasie inwazji Khalian?

Ghra wzruszyła ramionami.

–Nie jest znany. Dowiemy się. – Wyszczrzyła zęby, kiedy usłyszała moje niezadowolone chrząknięcie. Muszę przyznać, że dysponuję niezłym repertuarem odgłosów. – Cóż, może są zajęci gdzieś indziej. Wiesz, jacy oni są. Jak się do czegoś doczepią, to nie ma na nich mocnych, a potem zapominają o sprawie na dziesięć lat.

–Miejmy nadzieję, że termin nie upłynie akurat wtedy, gdy będziemy w tym sektorze. Ale do wejścia mamy jeszcze parę dni. Słyszałeś, jak...

Ghra opowiedziała mi parę historyjek, których nawet ja nie słyszałem, nim nadszedł czas wejścia na wyliczoną trajektorię. Lecieliśmy z prędkością roju meteorów, gdy Ghra wymyśliła geologiczną grę. Założyła się, że meteoryty zbombardują północne pustkowia, zanim wyrównamy na ostatniej prostej. Do licha, po czyjej była stronie?

Schodziliśmy jak burza, ale trochę się bałem, że nigdy nie ujrzymy końca przeklętego roju.

Zanurkowałem pod lekką pokrywą chmur, kierując się w stronę portu kosmicznego i obsługującego go miasteczka. Leciłem na niewielkiej wysokości, po ciemnej stronie planety. Wprawdzie Khalianie w jedyne znany sposób sterroryzowali nielicznych ludzkich mieszkańców, ale co im szkodziło wysłać nocne patrole?

–Tu jest nasz cel, Ghra – powiedziałem, kiedy zbliżyliśmy się do miejsca lądowania. Dałem obraz na ekran.

Zwęziła oczy, mamrocząc czy mruczając pod nosem, gdy zapamiętywała ukształtowanie terenu. Miasto zbudowano nad morzem; były tam chyba nabrzeża i pirsy, ale ani śladu jednostek pływających. Na płaskowyżu niedaleko za miastem leżał całkiem spory port kosmiczny z wieżami, antenami, biurami i czymś, co wyglądało na hangary remontowe. Skan w podczerwieni ukazał dwa stygnące kręgi na płycie, ale to niewiele nam powiedziało. Widok dziobów i stateczników paru statków (zimnych, co znaczyło, że co najmniej od dwudziestu czterech godzin stały na ziemi) też nie na wiele się przydał.

Nie zdążyliśmy określić ich typu ani liczby, bo zniknęły za nadmorskim wzgórzem.

W porę wyrwałem się z roju meteorów, włączając napęd grawitacyjny i powstrzymując Ocelota od wybicia nowego krateru.

–Tam... – wskazałem strzałką na ekranie – upodobnię się do skały. Będiesz mieć tylko pięć kilometrów do miasta.

–Dobrze. – „Rz” zabrzmiało warkliwie. Mrużąc oczy, Ghra uważnie przyglądała się obrazowi. Jej ogon zakreślił trzy szybkie łuki. – Możesz dać powtórkę portu?

Spełniłem jej prośbę, odtwarzając zarejestrowany widok w zwolnionym tempie.

–Nie mają tak szybkiego statku, by mnie złapać, Ghra, ani w atmosferze, ani w kosmosie – oznajmiłem nonszalancko. Skopiowałem taśmy z naszego przylotu do kapsuły ratunkowej. Komandor Het nie lubi marnowania dwóch rzeczy: wody i informacji. – Przypnij się, Ghra, wyłączam silniki. Het znalazł mi prostą drogę przez ten wąwóz i zamierzam z niej skorzystać.

To kolejna zaleta Ocelota: potrafi szybować. W każdej chwili byłem gotów wyłączyć odpychacze, bo trasa wybrana przez Heta okazała się prawdziwym sprawdzianem.

Z dumą przyznaję, że przeszedłem go zwycięsko. Szybowaliśmy z należnym szacunkiem dla powłoki Ocelota, przemykając wśród mnóstwa skał wulkanicznych, niektórych, zgodnie ze słowami Ghry, wielkości szperacza. Ledwie wylądowaliśmy, Ghra wyjęła swój pakunek i zaniosiła go do śluzy. Zamknięty w swojej hermetycznej komorze, nie mogłem służyć pomocą przy rozkładaniu siatki maskującej, ale sama dała sobie radę. Była szybka, zwinna i bardzo silna.

–Masz komunikator, Bil? – zapytała po powrocie, oddychając ciut szybciej niż normalnie. Przeszła obok konsoli do małego kubryka i wzięła rację wody. – Będiesz wiedział, jak mi idzie. – Pociągnęła długi łyk. – Smaczna. Importowana?

–Tak, ani Het, ani admirał nie lubią wody z odzysku.

–Zachichotałem. – Szarża ma pewne przywileje, wiesz.

Bezwstydnie wytrąbiła drugi kubek.

–Muszę napić się na zapas, skoro cały dzień mam leżeć bez ruchu. Tutaj jest lato. – Czubkiem pazura przesunęła tarczę na szafce z suchym prowiantem. Wcisnęła guzik, marszcząc nos. – Nie cierpię racji polowych. – Zdecydowała się na mieszankę wysokobiałkowo-wysokowęglowodanową. Patrzyłem, jak chowa sprasowane tabliczki w czymś, co dotąd uważałem za fałd skóry na przedramieniu. W rzeczywistości były to zmyślnie zamaskowane kieszenie.

–Co jeszcze tam trzymasz? – Ciekawość wzięła górę nad taktem.

Zaprezentowała swój niepowtarzalny uśmiech.

–Parę sztuk poręcznej broni. – Podniosła komunikator, który umieściłem na konsoli. – Cacko! Jaki ma zasięg?

–Piętnaście kilometrów.

–Będę trzymać się w zasięgu, Bil. – Przypięła małe guziczek za lewym uchem, metalowa powierzchnia zniknęła w gęstym futrze. – Dzięki. Ile do s'witu?

Podaliśmy jej godzinę fałszywego i prawdziwego świtu.

Ghra zasalutowała radośnie i zeszła z Ocelota, a ja słuchałem jej cichych kroków. Gdy zewnętrzne czujniki przestały je wychwytywać, zamknąłem służbę. Poruszała się na czworakach. Mając w pamięci edukacyjne filmy o starożytnych kotowatych Ziemi, wyobrażałem sobie jej gibkie ciało sunące z gracją po nierównym terenie. Przez krótką chwilę zazdrościłem jej. Potem zacząłem się o nią martwić.

Znałem ją dłużej niż większość przypadkowych pasażerów, ale nie zdążyliśmy się sobą znudzić. Jej ciche, pełne cierpkiego humoru towarzystwo sprawiało mi dużą przyjemność. Gdyby była mniej zwierzopodobna, wszedłbym w swoją dawną skórę... no cóż! To jeden z mankamentów mojego obecnego stanu.

Ghra jasno dała do zrozumienia, że jej kamuflaż spełni swoją rolę. Nie manifestowała pewności typu „w mówiłam to sobie”, tylko chłodne przekonanie „spokojnie, pójdzie bez problemu”. Ja wołałbym do ochrony coś bardziej konkretnego niż farba. Z drugiej strony, jestem produktem cywilizacji wysoko rozwiniętej technicznie, natomiast Ghra stawia na instynkt i naturalne zalety. Cóż, chcąc pokonać khaliankich piratów, Sojusz musi sięgać po wszelkie atuty.

Krótko przed wschodem słońca Ghra złożyła raport.

–Jestem na miejscu, Bil. Nie wyłączę komunikatora, więc będziesz wiedział, co robię. Nasz kontakt śpi. Leżę wyciągnięta na gałęzi sporego, szerokolistnego drzewa przed jego oknem. Mam nadzieję, że facet nie jest nerwowo.

Półtorej godziny później oboje stwierdziliśmy, że nie jest. Za to zaliczał się do niedowiarków. Swoją drogą też byłbym pełen rezerwy, gdyby z liści za oknem zagadało do mnie coś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak odcieleśniony uśmiech. Z pewnością nie takiego widoku spodziewał się Fildin Escobat, kiedy jego implant zasygnalizował zbliżającą się wizytę.

–Kto tam? – zapytał, gdy Ghra wypowiedziała hasło.

–Hrrubanka – odparła wyraźnym szeptem. Usłyszałem szelest, gdy przysunęła się bliżej okna.

–Cholera!



Zapadła cisza, przerwana przez parę gardłowych gulgotów.

–Co to jest Hrrubanka?

–Hrrubańczycy to kotowate z Sojuszu.

–Ludzie-koty? – Fildin posiadał podstawy wiedzy o społeczeństwie.

–Mam kamuflaż.

–To widać.

–Nie jestem Khalianinem...

–Każdy może mówić, że popiera Sojusz. Możesz być Khalianinem w przebraniu.

–Widziałeś kiedy Khalianina chodzącego na czworakach? Mojego wzrostu? Z taką twarzą i zębami? Albo ogonem?

–Nie... – Ton nie zdradzał ani krzty entuzjazmu.

–Mówisz gałaktyckim?

–Jasne – odparł Fildin kwas'no. Wszystkie podbite gatunki były zmuszone uczyć się prychająco-syczącego języka Khalian. Khalianie porażacze i kwasowe bicze skutecznie zachęcały do wkuwania słówek. – Co teraz?

–Powiesz mi, co muszę wiedzieć.

–Ja nic nie wiem. Dobrze o to zadbali – burknął Fildin z nieukrywanym gniewem. Ściszył głos, gdy uświadomił sobie, że może go usłyszeć ktoś niepowołany.

–Co robiłeś przed inwazją?

–Byłem inżynierem górnikiem. – Niemal widziałem, jak AL z dumą wypina pierś.

–A teraz?

–Jestem zakichanym zamiataczem ulic. I to mi wystarcza. Nie mam pojęcia, co mógłbym zrobić dla ciebie czy dla Sojuszu.

–Z pewnością więcej niż myślisz – odpowiedziała gładko Ghra. – Masz oczy i uszy.

–Chciałbym je zachować.

–Zachowasz. Możesz swobodnie poruszać się po mieście?

–Po mieście, tak.

–W pobliżu portu kosmicznego też?

–Tak. – Ton Fildina stał się podejrzliwy i nerwowy.

–Więc wiedziałbyś o startach myśliwców?

–Nie było żadnych startów. – Żadnych?

–Przecież mówię. Ale słyszałem, że niedługo coś wylądaje.

–Kiedy?

–Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. – Teraz Fildin mówił z rezygnacją.

–Pracujesz dzisiaj?

–Pracujemy codziennie, od świtu do zmierzchu, dla tych popapranych gryzoni.

–Możesz zbliżyć się do portu kosmicznego? Policzyć statki i podać, jakiego są typu?

–Mógłbym, ale co to da, skoro przylecą następne?

–Wiesz to na pewno?

–Nikt nie wie niczego na pewno. A co? Czy zostaniemy zaatakowani? Po to ci te informacje? – Fildin chyba powątpiewał w sens kontrataku.

–Bezpośrednie plany Sojuszu nie dotyczą waszej planety.

–Nie? – Głos dla odmiany zdradzał oburzenie. – A dlaczego? Nie jesteśmy dość ważni?

–Jesteście, Fildin. – Mruczenie Ghry było gładkie i krzepiące. – Jeśli zdobędziesz dla mnie te informacje, odegrają one ogromną rolę w wyzwoleniu twojej planety bez rozlewu krwi i innych nieprzyjemności.

Parsknął.

–Nie rozumiem, co komu przyjdzie z wiedzy o tym, co stoi na ziemi.

–Ja też nie – odparła Ghra, zabarwiając jedwabisty ton odrobiną urazy. – O tym decydują moi zwierzchnicy.

Ale ryzykuję życiem, żeby zdobyć te informacje, więc muszą być bardzo ważne. Chcesz zrzucić jarzmo ciemności, chcesz odzyskać dawny prestiż i honor? Pomożesz Sojuszowi?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Niemal słyszałem, jak pracuje mózg mężczyzny.

–Mam tylko policzyć, co stoi na ziemi?

–Tak, ale muszę też znać typy statków, rozumiesz, zwiadowcze, krążowniki, niszczyciele i tak dalej, i ile z każdego rodzaju. Poznasz pancerniki?

–Nie ma pancerników – odparł z niesmakiem. – Nie mogą lądować.

Skoro na Bethesdzie mogły lądować kolonialne transportowce, to khalianie pancerniki też, ale on nie musiał tego wiedzieć. Ważne, czy mieli tu krążowniki lub niszczyciele zdolne do ruszenia w pościg za naszym konwojem. Nawet zwiadowca mógł przysporzyć nam kłopotów, wchodząc w FTL i s'ciągając flotę z Celu. Tylko myśliwce i krążowniki eskorty były dość zwrotne, by stawić czoło atakującym Khalianom. Nie byłyby w stanie obronić konwoju złożonego z powolnych, pękatych transportowców, holowanych cystern i zdalnie sterowanych kapsuł. A jeśli cysterny przepadną, to samo spotka resztę konwoju, bo zwalnianie wymaga ogromnych ilości paliwa.

Za mały łut szczęścia uznałem fakt, że Fildin nie zameldował o wzmożonej aktywności wroga. Może to zadupie nie zostało uzbrojone przez khalijskich najeźdźców.

–Krażowniki, niszczyciele i szperacze – powtórzyła Ghra. – Ile z każdego rodzaju, Fildin. To niezwykle istotne informacje.

–Kiedy zostaniemy wyzwoleni?

–Niebawem. Jak dobrze pójdzie, nie będziesz długo czekać.

–Co jak dobrze pójdzie?

–Im mniej wiesz, Fildin, tym lepiej dla ciebie.

–Nie dostanę zapłaty za nadstawianie karku? Te porażacze i bicze kwasowe wcale nie są zabawne.

–Jaka jest wasza jednostka monetarna?

–A po co mi te śmieci? – parsknął Fildin.

–Wobec tego co wynagrodzi ci ryzyko?

–Mięso. Czerwone mięso. Racje są skąpe i z przyjemnością zjadłbym przyzwoity posiłek.

Niemal widziałem, jak się ślini. Cóż, są gusta i guściki.

–Myślę, że da się coś załatwić – wymruczała Ghra. – Spotkam się z tobą o zmierzchu, Fildin.

–Uważaj tylko, żeby nikt cię nie zobaczył! Jakby co, to odejdz.

–Nikt mnie nie zobaczy, zapewniam.

–Hej, gdzie... Co u licha? Gdzie to coś się podziało?

Okrzyki zdumienia szybko ucichły. Usłyszałem ostre sapnięcie Ghry, następnie równiejszy, ale przyspieszony oddech, a potem dudnienie, jakby wylądowała na twardej powierzchni. Zaszeleściły kroki na miękkim podłożu. Nagle zapadła cisza.

–Ghra? – wymówiłem jej imię tak, że zabrzmiało bardziej jak przedłużone „gr”, a nie wyraźne słowo.

–Później – usłyszałem w odpowiedzi.

To mi musiało wystarczyć na cały długi dzień. Od czasu do czasu słyszałem jej powolny oddech. Mógłbym przysiąc, że w upalne popołudnie zwolnił do rytmu snu. Po zachodzie słońca z komunikatora dobiegło beczenie, odgłosy pościgu i walki, ostry chrzęst i trzask, zapewne zębów zamykających się na upolowanej zwierzynie. Słyszałem szuranie, jakby coś wlokła, gwałtowne stęknięcie, a potem, przez denerwująco długi czas tylko cichy szmer stóp, gdy wracała do kwatery Fildina Escobara.

–Kurka! Jak go zdobyłaś? Gdzie? O rany, dawaj, zanim ktoś zobaczy.

–Chciałeś czerwone mięso, prawda? – Głos Ghry był jedwabście gładki.

–Nie całe kurkowane bydlę. Gdzie ja je schowam?

–Myślałam, że jest do zjedzenia.

–Nie dam rady zjeść całego!

–W takim razie ci pomogę.

–Nie! – Rozpaczliwy krzyk zakończył się sapnięciem, gdy Fildin spostrzegł, że mimowolnie podniósł głos. Do tej pory mówił zduszonym szeptem. – Usłyszą nas sąsiedzi. Nie możemy porozmawiać gdzieś indziej?

–Po godzinie policyjnej? Odsuń się od okna.

–Nie, nie, nie... och. – Różnica w brzmieniu głosu poinformowała mnie, że Ghra wskoczyła przez okno prosto do kwatery.

–Nie kładź. Zakrwawi podłogę. Co ja zrobię z tym mięsem? – Ton zdradzał ogrom radości i tyle samo zmieszania.

–Ugotuj to, co się nadaje. – Wywiązawszy się z umowy, Ghra miała w nosie jego problemy. – Mów.

–Co? Aha, dobrze... – To zdecydowanie było łatwiejsze od poradzenia sobie z nagrodą. Fildin płynnie wyrecytował liczbę i typy statków, które widział w porcie. Nagrałem jego raport.

–Nadal nie wiadomo, kiedy przybędą nowe statki? – zapytała Ghra.

–Nie. Zasięgnąłem języka. Ostrożnie, wiesz. Znam paru facetów, którzy pracują w porcie. Wiedzą tylko tyle, że coś ma przylecieć, to wszystko.

–Statki zaopatrzeniowe?

–Nie! Nie wiesz, że podbite planety muszą utrzymywać swoich okupantów? Dobrze im się tu żyje, tym fregmekking szczurom. A my zjemy ochłapy.

–Dziś najesz się do syta i zostanie ci jeszcze trochę na zapas, przyjacielu Fildin. Może to będą transportowce z wojskiem, co?

–A skąd ja mam wiedzieć? Na tej, planecie już jest więcej Khalian niż ludzi.

Bethesda była wielką, skąpo zaludnioną planetą. Naczelne Dowództwo Sojuszu dotąd nie miało pojęcia, czemu Khalianie nagle ją najechali. Ich atak był niespodziewany i szybki. Potem aktywność wroga w tym rejonie spadła do zera, choć w pobliskich systemach było kilka nadających się do zamieszkania, bezpiecznych planet.

Naczelne Dowództwo doszło do wniosku, że Khalianie spróbują umocnić swoją dominację w sektorze ASD, przypuszczając atak na trzy zasobne planety Sojuszu: perswazje ze złożami miedzi, wanadu i obecnie cennego germanu, lesistą Perswazję i Persepolis z niewyczerpanymi zasobami protein. (Khalianie pochłaniają kolosalne ilości stworzeń morskich, głównie na surowo, i między innymi dlatego inwazja na względnie suchą Bethesdę wzbudziła takie zdziwienie.) Wysyłanie konwoju tej wielkości było niezwykle pod każdym względem. Naczelne Dowództwo miało nadzieję, że Khalianie nie uwierzą, iż Sojusz jest skłonny narazić tyle statków, towarów i personelu. Podejmując takie ryzyko, admirał Eberhard kładł na szali swoją karierę, ale nie działał pochopnie. Wykorzystując studnie grawitacyjne pobliskiej gwiazdy SD 836/932 i Perswazji do zredukowania prędkości maksymalnie skracał czas pobytu w normalnej przestrzeni, kiedy stożek światła, stożek konwoju jest łatwy do wykrycia.

Ci popaprani Khalianie mieli taką dobrą passę! Lepiej, żeby szczęście wreszcie uśmiechnęło się do nas, i to jak najszybciej. Może Bethesda poprawi nasze notowania.

Wys'wietliłem mapę sektora, próbując wykombinować, skąd Khalianie przysyłają te swoje posiłki, czy co to tam było. Jeśli lecą przez sektor ASD, to nie ma mocnych, przetną szlak emisji. Było to aż nazbyt prawdopodobne, gdyż kontrolowali znaczną część przestrzeni poza sektorem. Ale ja nie miałem innych map ani aktualnych informacji o ruchach wroga. Gormenghast miał. Trzeba niezwłocznie powiadomić admirała o nadlatujących statkach. Ghra równie szybko przeanalizowała sytuację.

–Dobrze byłoby wiedzieć, skąd lecą – powiedziała do Fildina. – I dlaczego tutaj. Wydaje się, że na miejscu jest dos'ć statków do bezpośredniej obrony i nadzoru.

–A skąd niby ja mam wiedzieć? Jestem pewien, że się nie dowiem. Jestem tylko zamiataczem. Zrobiłem dokładnie to, co kazałaś. Na tym koniec.

–Rozumiem, Fildin Escobat. Wykonałeś dobrą robotę. Smacznego!

–Hej, wracaj...

Głos Fildina ucichł. Usłyszałem posapywanie Ghry.

Dałem jej czas na wyjście spoza zasięgu słuchu AL-a.

–Ghra? Możesz bezpiecznie rozmawiać?

–Tak – odparła. Zaraz potem rozległ się cichy tupot.

Domyśliłem się, że biegnie.

–Co planujesz?

–Czemu sądzisz, że coś planuję?

–Powiedzmy, że zgadłem z posiadanych informacji.

–W takim razie zgaduj dalej – odparła z rozbawieniem.

–Idziesz do portu kosmicznego, żeby się dowiedzieć, skąd nadlatuje ta eskadra.

–Zgadłeś za pierwszym razem!

–Ghra? To niebezpieczne, lekkomyślne i do tego prawdopodobnie ryzykujesz życiem. – Życie jednostki jest niczym w porównaniu z bezpieczeństwem konwoju.

–Bohatersko z twojej strony, ale co będzie, gdy cię złapią?

–Nie sądzę. Poza tym istnieje program infiltracji każdej khaliańskiej bazy. Dlaczego Bethesda ma być wyjątkiem? Nie martw się, Bil. To będzie proste, jeśli dotrę na miejsce w odpowiednim czasie, czyli o zmierzchu.

–Dobry pomysł, ale niepraktyczny – zauważyłem cierpko. – Wokół portu nie ma drzew, krzaków ani nawet trawy.

–Jest za to mnóstwo starych kraterów...

–Masz trochę inny kolor... -...idealnych stert towarów i parę nieużywanych hangarów remontowych.

–A może zamiast tego – zacząłem rozsądnym tonem – wystartujemy, wejdziemy na orbitę lunarną i będziemy oczy szeroko otwarte? Jeśli coś wypatrzymy, wystarczy wysłać sygnał i admirał będzie wiedział o wszystkim.

–A teraz kto struga bohatera? Zresztą twój pomysł też jest niezbyt praktyczny. Nikt nie powinien się dowiedzieć o naszej obecności. Ponadto mamy zapobiec wyjściu konwoju. Chyba wiem jak. Bil, ta misja ma kilka celów. Jeden z nich polega na wykazaniu, że zamaskowani Hrrubańczycy mogą niepostrzeżenie infiltrować pozycje Khalian i zdobywać cenne informacje.

–Ghra, wracaj!

–Nie!

Wyklócanie się z tą wyjątkowo miłą, ale zawziętą uparciucha nie miałooby większego sensu, więc nie próbowałem. Ani nie posunąłem się do pogrózek. Ghra była wolnym duchem i przypominanie jej, że jestem starszy stopniem, miałooby się z celem. Poza tym mogła zdobyć nadzwyczajne informacje, decydujące o bezpieczeństwie konwoju.

W tej chwili mieliśmy pewność, że Khalianie stacjonujący na Bethesdzie nie wykryli plazmowych strzałów, którymi konwój oczyszczał drogę. Gdybyśmy jeszcze mogli wyeliminować zagrożenie, jakie wiązało się z przecięciem naszego stożka światła przez wrogie okręty! Rozpaczliwie potrzebowaliśmy odrobiny szczęścia.

–Gdzie jesteś, Ghra? Mów, dopóki będzie to bezpieczne i relacjonuj wszystko szczegółowo. Możesz opisać zabudowania portu?

–Z tego, co widzę, Bil, jest tutaj tylko to, co przywieźli kolonizatorzy. – Ghra postawiła na swoim, ale nie dała mi tego odczuć. Miałem nadzieję, że potrafi o siebie zadbać.

Nagrałem jej relację z bezszelestnej wędrówki wokół portu. Wreszcie dotarła na drugą stronę rozległego płaskowyzu, gdzie wznosiło się parę wzgórz z dość niechlujnie podkopanymi zboczami; koloniści przedłużyli w ten sposób lądowiska dla swoich wielkich transportowców. Ghra Przystanęła, żeby się napić, i mruknęła, że woda na Ocelocie jest znacznie lepsza.

–Ach – parsknęła z odrazą. – Łańcuch czujników, których z pewnością nie przywieźli koloniści.

–Nie zdołasz przez nie przejść, wykryją cię. Nawet gdybyś dała radę je przeskoczyć, w co wątpię.

–Wiem! – burknęła, popadając w zadumę.

–Ghra, daj spokój. Pakuj manatki i wracaj. Możemy prowadzić obserwację z orbity. Mogę spróbować schować się w studni. – Była to nie lada sztuka, nawet dla Ocelota.

Latanie na samym obrzeżu studni grawitacyjnej słońca stanowiło wyzwanie dla każdego zwiadowcy.

–Jesteś dzielny, Bil, ale chyba wymyśliłam sposób na zneutralizowanie czujników. Naturalny sposób.

–Co?

–Nawet mam odpowiednie materiały.

–O czym ty mówisz, Ghra? Wyjaśnij!

–Stoję na szczycie stromej skarpy ziemnej, z paroma dość okazałymi głazami pod ręką. Jeśli ta masa nagle osunie się na pierścień czujników, przerwie kontakt.

–I ściągnie z bazy wszystkich Khalian. Idę o zakład, że najpierw zbombardują okolicę i poderwą w powietrze eskadrę, która stoi na płytach.

–Ale kiedy zobaczą, że to tylko ziemia i kamienie...

–Które połamią ci kości. Poza tym jak zamierzasz je sturlać?

–Ostrożnie, bo skarpa nie jest dość dobrze zabezpieczona.

Usłyszałem, jak posapuje z wysiłku i poczułem się zobowiązany przypomnieć jej o ryzyku, choć potrafiłem sobie wyobrazić, że nie ma ochoty słuchać dobrych rad. Jeśli Khalianom zaświta myśl, że lawina nie zeszła sama z siebie, zorganizują szeroko zakrojone poszukiwania i... złapią nas oboje. Mrok pogłębiał się i już niedługo ich oczy będą równie sprawne jak za dnia. Jeśli Ghra liczyła wyłącznie na swój kamuflaż...

Usłyszałem trzask, stęknienie, a potem umiarkowanie głośny rumor.

Ghra zawarczała, pędząc co sił w nogach.

–Już! Mówiłam!

Usłyszałem zawrodoenie khaliankich syren alarmowych i moje zewnętrzne kamery zarejestrowały snopy światła nad horyzontem.

–Ghra!

–Nic mi nie jest, Bil. Jestem teraz dużym głazem obok dwóch mniejszych i nie mogę nawet drgnąć przez całą noc.

Od czasu do czasu miewam niespokojne noce, ale ta była najgorsza ze wszystkich. Jak przewidziałem, Khalianie rozpoczęli intensywne poszukiwania powietrzne i naziemne. Osiem czy dziewięć razy przelecieli nad Ocelotem – w chwili zagrożenia są cholernie wytrwali – ale muszę przyznać, że kamuflaż spisał się doskonale. Prawie s'witało, gdy wreszcie odwołali poszukiwania i



zgasili jasne światła w porcie.

–Ghra? – zapytałem szeptem.

Głębokie ziewnięcie poprzedziło jej odpowiedź.

–Bil? Jesteś. Dobrze.

–Nadal udajesz kamień?

–Tak. – Syknęła ostrzegawczo.

–Ale nie ten sam, prawda?

–Znowu zgadłeś.

–Gdzie jesteś, Ghra?

–Tworzę fragment fundamentu stanowiska dowodzenia.

–Stanowiska dowodzenia...?

–Mów jedną decybele głośniej, Bil, a ich nasłuch cię wychwyci. Świta. Nie pisnę słowa przez cały dzień. Odezwę się o zachodzie słońca. Czekałem krócej, ale i tak miałem wrażenie, że minął cały cholerny rok jowiszowy. Dopiero po paru nanosekundach zaskoczyłem, że znów do mnie szepcze.

–Nadlatują z kwadrantu siedemset, Bil. Prosto od Celu.

Jak gdyby planowali przejąć konwój. Jutro do południa wejdą w osiemsetkę. Nie ma mowy, żeby minęli stożek zaburzeń. Musisz powiadomić admirała, żeby zdążył rozproszyć konwój. Natychmiast. Startuj. – Zaśmiała się cicho. – Trzymanie ich na nogach przez połowę nocy było dobrym pomysłem. Większość odsypia. Nie zobaczą cię, jeśli będziesz lecieć nisko i powoli.

–Zwariowałaś, Ghra? Nie mogę teraz odlecieć. Jesteś unieruchomiona do zmroku.

–Nie dyskutuj ze mną, Bil. Nie ma czasu. Nawet jeśli cię wykryją, nie dadzą rady cię złapać. Leć. Wejdź w FTL zaraz za studnią grawitacyjną i ostrzeż flotę. Wyobrażasz sobie, jaką minę zrobi admirał, gdy wreszcie będzie miał okazję skopać tyłki Khalianom? Pospiesz się, żeby zdążył rozproszyć konwój i wezwać myśliwce z Perswazji. Mogą uzupełnić paliwo z cystern. Co to będzie za bitwa! Admirał nie musi martwić się o karierę! My też nie. O mnie się nie martw. I tak miałam przetestować kamuflaż, prawda?

–Jej cichy głos zafalował z niepojętej dla mnie wesołości.

–Ale...

–Leć! – warknęła ostro, niemal ze złością. – Bo jak nie, będzie po konwoju. Startuj. Natychmiast. Póki śpią.

Miała rację, wiedziałem. Żaden mózgowatek nie zostawia mięśniaka w potrzebie, ale konwojowi groziło poważne niebezpieczeństwo. Wzywał wyższy obowiązek. Życie wielu istnień ważniejsze jest od życia jednostki, która poświęca się z własnej woli.

Podniosłem się powoli, używając minimum mocy. Ocelot był w tym dobry; unosił się lekko jak piórko. Trzymałem się nisko nad ziemią, co, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu, wymagało mistrzowskiego pilotażu. Leciałem pomalutku, żeby nie stracić siatki maskującej. Gdybym musiał nagle usiąść, mogła ocalić mi skórę.

Nie jestem przyzwyczajony do takiego marudzenia, Ocelot też nie, choć nie brakuje nam wymaganej finezji i drygu. Wróciłem przez wąwóz nad wodę, kierując się w stronę nadciągającej nocy. Chciałem wykorzystać zachód słońca, żeby ukryć ucieczkę; zwiększenie wysokości wymaga większej mocy. Na szczęście, byłem już dość daleko od wielkich czujników w porcie kosmicznym, więc mogłem zaryzykować. Może jeszcze śpią. Z całego serca życzyłem tym szczurom głębokiego snu – i przytępienia zmysłów. Gdy poderwałem nos ku czystej, ciemnej nocy głębokiego kosmosu, siatka maskująca spadła, rozpostarła się na wodzie i po chwili zatonała.

Ciągnąc w górę, wykorzystałem dwa mniejsze księżyce Bethesdy jako tarcze. Nabrałem prędkości z grawitacyjnej studni słońca i wreszcie włączyłem napęd FTL.

Od chwili, gdy AL wspomniał o nadciągającej eskadrze Khalian, przeliczyłem mnóstwo kursów z Celu przez kwadrant 700 do układu Bethesdy. Nie ma cudów, trafią na szlak emisji konwoju, a potem rzucą się na bezradne, zwalniające statki. Zajrzałem do planu admirała. Niebawem konwój rozpocznie manewr hamowania przy pierwszej studni grawitacyjnej. Musiałem zapewnić im trochę więcej czasu. Postanowiłem udawać szperacz wysłany przez okręty z zupełnie innego kierunku.

Zaplanowałem powrót do normalnej przestrzeni na kursie prostopadłym do tego, jakim zgodnie z logiką powinni lecieć Khalianie zaraz po wyjściu z FTL. Czujniki na ich okrętach wychwycą mój stożek światła na długo przed tym, nim dotrze do nich stożek konwoju. Jeśli rozegram to właściwie, polecą za mną. Nieczęsto się zdarza, by admiralska szalupa miała okazję zaważyć na losach długotrwałej wojny. To było zbyt piękne, żeby się udało. Ale musiało.

Wariacki plan miał parę plusów. Flota już wyszła z FTL, nieprzyjaciel jeszcze nie. Potrzebowałem tylko chwili na wysłanie wiadomości do admirała. Reszta zależała od niego. Minusem było to, że mogła minąć mnie rzecz najprzyjemniejsza: widok floty dobierającej się Khalianom do tyłków.

Dokładnie sprawdziłem obliczenia. Nawet gdybym wyszedł z FTL w samym środku eskadry Khalian, może rni się udać. Na nadanie sygnału wystarczą dwie nanosekundy, a nawet Khalianie potrzebują trochę więcej czasu, żeby zareagować. Jeszcze nie złamali nowych kodów.

Wyszły z podprzestrzeni blisko mojego okna, wielkie krypy używające studni grawitacyjnych do wytracenia prędkości. Dwa słońca ustawione niemal w jednej linii z Bethesdą idealnie nadawały się

do tego celu; hamujące okręty podejść bezpośrednio do lądowania na planecie. Musiałem pokrzyżować im szyki. Gra warta była świeczki, a myśl o odważnej Hrrubance dodawała mi skrzydeł.

Przed wejściem w normalną przestrzeń przygotowałem wiadomość dla Gormenghasta. Nadałem ją w chwili, gdy w odległości paru tysięcy kilometrów na lewo od dziobu pojawił się rój pirackich okrętów. Dosłownie mózg staje! To się nazywa szczęście.

Przestrzennie byłem nad nimi i ich czujniki powinny mnie wychwycić. Zawróciłem Ocelota, na pozór kierując się tam, skąd przyleciałem. Używając starego szyfru wysłałem rozpaczliwe SOS. Wołanie o ratunek okrasilem bełkotem, który kiedyś spreparowałem ze starego ziemskiego tajskiego nagranego na odwrót. Strzeliłem na chybił trafił z rufowego działka plazmowego na wypadek, gdyby jakimś cudem mnie nie zauważyli i dla większego efektu pomachałem ogonem, żeby maksymalnie rozszerzyć stożek. Próbowałem udawać, że jest nas trzech, i na próbie się skończyło.

Ocelot jest szybką bestią, szybszą, niż pozwoliłem im wierzyć. Liczyłem, że wezmą mnie za większy, w pełni obsadzony statek zwiadowczy, za którym warto ruszyć w pogoń. Mój plan miał swoją złą stronę, bo wiedziałem, że im bliżej ich podpuszczę, tym prędzej mnie rozpoznają. Wysłałem SOS w kilku językach Sojuszu i jeszcze raz puściłem tajski bełkot. W końcu pchnęli za mną trzy naprawdę szybkie jednostki. Po dwóch dniach pościgu wybuchy plazmy przybliżyły się niebezpiecznie. Pozwoliłem im podejść ciut za blisko. Zaliczyłem jedno bezpośrednie trafienie i straciłem sterowność, nim się spostrzegłem, że mają mnie w zasięgu. Wystrzeliłem kapsułę ratunkową, a chwilę później Ocelot rozpadł się na kawałki.

–I jak teraz, panie Hansing? – Współczujący głos zadudnił nienaturalnie w moich obwodach audio, gdy odzyskałem przytomność.

–Głośno i wyraźnie – odparłem nie bez ulgi i naregulowałem głośność.

A więc udało mi się. Czasami się spisujemy. Flota starła się z piratami i ktoś znalazł wśród szczątków okrętów tytanową kapsułę, która zawierała nagrania i to, co zostało z porucznika Bila Hansinga. Mózgi słyną z tego, że nie szkodzi im nawet długotrwałe dryfowanie w przestrzeni.

–Co mam tym razem? – zapytałem, przełączając się na monitory.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami, znajdowałem się w przestronnym doku remontowym statku-matki, w otoczeniu innych pojazdów poddawanych przeglądowi i naprawom. I byłem pomalowany na kolory maskujące. Parsknąłem ze zdziwienia.

–Ostatni krzyk mody, poruczniku.

Skupiłem przyrządy optyczne na kanciastej postaci komandora Daviego Orbrinna, dobrze znanego mi oficera. Nadal nosił schludną czarną bródkę. Jego załoga składała mnie do kupy z pół tuzina razy.

–Ocelot Mark 19, świeżo udoskonalony i... – komandor westchnął głęboko – zamaskowany. Panie

Hansing, może tym razem bardziej się pan przyłoży? Pięć lat to trochę krótko.

–Konwój dotarł na miejsce cały? Admirał rozbił Khalian? Czy ktoś uratował Ghrę? Jak długo byłem wyłączony ze służby?

Komandor potrafi być sztywniakiem, ale to swój chłop.

–Tak, tak, nie, sześć miesięcy. Admirał z uporem powtarza, że pan jest najlepszy. Ma pan stawić się na Gormenghaście o szóstej zero zero.

–Mało czasu, jak zwykle. Dzięki za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Davi chrząknął z zadowoleniem i upominająco potrząsnął palcem.

–Komandor Het mówi, że zostawili panu coś specjalnego na pierwszą misję. Jest pan skontrolowany i gotów do startu. Obowiązek wzywa!

–A cóż by innego? – odparłem z optymizmem, szczęśliwy, że mogę odpowiedzieć. Miałem nadzieję, że obowiązek wezwie mnie na poszukiwanie pewnej zamaskowanej Hrrubanki.

I dokładnie tak było.

Śpiąca Królowa Humpty Dumpty Nie wiem, czy można zrobić coś z tym, co zostało ze iŚpiącej Królowy – powiedziała Jessup ze współczuciem.

–Co? – Bardie Makem podniosła głowę znad zwłok rezerwisty Jeffersona, który wykrwawił się na śmierć. Zastanawiała się, dlaczego mechaniczny sanitariusz nie odczytał własnych monitorów. Jedynym wytłumaczeniem było to, że powinien zwracać ciała. Rodzinom zależało na przyzwoitym pochówku. Świadomość, że bliska osoba spoczywa gdzieś w kosmosie, była lepsza od informacji, że zaginęła podczas działań. Z westchnieniem wsunęła rezerwistę do działu selekcji narządów.

Wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na wózek Jessup, i wstrzymała oddech. Twarz w hełmie była bardzo przystojna, trójwymiarowo przystojna, bo silny zarys ust i szczęki świadczył również o charakterze. Starła brud i spaleniznę z plakietki na hełmie. Pilot „Bonnie Parker”? Prowadzący?

–Wiesz, Bard – mówiła Nellie Jessup w trakcie dokonywania oceny – myślę, że te nowe skafandry ciśnieniowe naprawdę są dobre. Ten zatamował krwotok, choć kończyny zostały pogruchotane. Zestaw medyczny jest wysuszony do ostatniej kropli, ale założę się, że dzięki temu facet jeszcze żyje. Kto by pomyślał! Nauka triumfuje nad rzezią!

Bardie Makem zanotowała objawy czynności życiowych i wprowadziła dane osobowe do głównej bazy statku szpitalnego. Najwyraźniej już usunięto usterkę, którą ostatni khaliani pocisk spowodował w wewnętrznych systemach, bo terminal wydrukował wszystko jak trzeba.

–O'Hara, Roger Elliott Christopher. – O'Hara? Pominęła informacje dotyczące służby i przewinęła

plik do danych medycznych: grupa krwi i czynniki, ostatnie szczepionki, poprzednie obrażenia – miał ich sporo – dobry powrót do zdrowia po wszystkich zabiegach.

–Jeszcze jedno, osłona na genitalia też zadziałała, powyginana, ale WCW jest na swoim miejscu. – Skrótem WCW Nellie opisywała „wszystko co ważne”, kiedy miała do czynienia z męskimi pacjentami. – Jezu! To jego własna twarz! – zawołała ze zdziwieniem, gdy rzuciła okiem na medyczne akta Rogera O'Hary. – Tylko jedna blizna: nadaje mu szelmowski wyraz. Ale, Igiełko, chyba nie dasz rady złożyć go do kupy.

–Jakie są funkcje mózgowie? – Bardie przejrzała dane.

–Nieźle – odparła Jessup, pochylona nad monitorem.

–Twardy z niego skurczybyk. Lewa ręka wisi na strzępie skóry tuż pod łokciem, ale cokolwiek ją urwało, minęło staw. Brak większej części lewego bicepsa i stawu ramieniowego, lewe kolano zmiażdżone, udo pęknięte w dziewięciu miejscach, tak, i stracił lewą stopę. Lewa strona klatki piersiowej strzaskana, mostek pęknięty, płuco przebite.

Prawe palce zniknęły, prawa ręka...

–Cholera. – Bardie, zwana Igiełką z powodu mistrzowskiego zakładania mikroszwów, z niesmakiem popatrzyła na akta O'Hary. – Stoi jak byk, że nie jest dawcą mózgu, chociaż podpisał zgodę na wykorzystanie narządów.

–Do licha, jakim prawem ten facet jeszcze żyje? Pęknięta śledziona, przecięta trzustka, przebite płuco, nie ma nerki, większa część wątroby przemielona, jelita splątane, ale to drobizag. Oczywiście są całe! – Nellie Jessup we wszystkim lubiła znajdować coś pozytywnego.

–Narządy można wymienić – powiedziała Bardie, wzdychając ciężko. – Ale on chce odejść...

–Szkoda takiego przystojniaka. Nie możesz po prostu przenieść głowy?

Bardie zawsze doceniała dobre rady, ale tym razem Nellie przesadziła. Spiorunowała ją wzrokiem.

–Znasz zasady równie dobrze jak ja. Zresztą nawet gdybys'my mogły to zrobić, przez cały dzień nie dostarczono ani jednego całego ciała. Prawnie jego głowa jest poza zasięgiem. – Patrzyła na monitor, do którego podłączono skafander ciśnieniowy, dzięki czemu nie trzeba było zakładać rannemu nowych czujników. Raz jeszcze ze zdumieniem pokręciła głową. – Twarda sztuka. Obrażenia są tak rozległe, że powinien go zabić szok pourazowy.

–To zasługa skafandra. Będzie dobrze wyglądać w raporcie. – Jessup uśmiechnęła się do nieprzytomnego: Bardie ze zdziwieniem dostrzegła czułość na jej twarzy. Zwykle cechował ją surowy, bezduszny obiektywizm, niezwykle ważny w punkcie selekcjonowania rannych.

–Nie podda się bez walki. – Ciśnienie krwi miał niskie, ale stabilne, serce biło słabo, ale miarowo.

–Trzeba dać mu szansę, prawda? Zasluguje. – Jessup była pełna dobrych chęci, jej brązowe oczy badały twarz Bardie.

–Wiem, że nie powinnam cię słuchać, Nellie...

–Ale posłuchasz! – Nellie Jessup rozpromieniła się.

–Zabierajmy się do pracy.

Ten pokład operacyjny, jeden z pięciu na statku szpitalnym „Elizabeth Blackwell”, obsadzało dwadzieścia zespołów wykwalifikowanych chirurgów i pielęgniarek, dysponujących najnowocześniejszymi, czasami eksperymentalnymi instrumentami oraz technikami medycyny wojskowej. Niezależnie od tego, wszyscy narzekali na brak ludzi i sprzętu, ile razy po atakach na pozycje Khalian zaczęli napływać ranni.

Bardie Makem służyła jako chirurg polowy i cieszyła się, że jej dwuletni staż kończy się za dwa tygodnie. Miała dość tej maskary. Nellie Jessup zakończy służbę po wygaśnięciu kontraktu dziesięcioletniego – jeśli przeżyje. Już dwa razy została ranna, latając promami kurierskimi szpitala polowego.

Bardie i Jessup zawiozły pacjenta do ściągacza, maszyny zaprogramowanej na usuwanie z rannego wszystkiego oprócz mięśni, kości i ścięgien. Antygravitacyjna poduszka podtrzymywała poharatane ciało z delikatnością pajęczej sieci. Czujniki sprawdziły tkankę twardą i miękką, wysyłając wyniki na blok operacyjny; zważyły i zmierzyły pacjenta; przebadaly krew, kości i typ tkanki; zabarwiły układ krążenia, umożliwiając wyśledzenie przebić czy zatorów. Tempo przygotowania rannego do operacji często decydowało o jego życiu, półżyciu lub śmierci.

Lekarka i pielęgniarka przewiozły O'Harę przez komorę sterylizującą, także poddając się dezynfekującemu działaniu promieni. Na bloku operacyjnym Bardie podłączyła płucoserce i pomocniczą aparaturę anestezyjologiczną, a Nellie założyła dojskie na względnie nienaruszonej prawej ręce, żeby podnieść poziom krwi i płynów organicznych. Śledziły natłok informacji o objawach czynności życiowych, dopóki kontroli nie przejęły monitory bloku. W tym czasie już znali dokładny charakter obrażeń.

–Nie tak źle, jak wyglądało – zauważyła Bardie, kojarząc informacje i decydując, czym należy się zająć na samym początku. Umiejętność dokonywania błyskawicznej oceny czyniła z niej wyjątkowo cennego chirurga.

Wydawało się, że jest obdarzona niesamowitym instynktem, i uratowała wielu rannych niemal spisanych na straty.

Wsunęła ręce do automatu z rękawiczkami, bo czekało ją mnóstwo pracy z lepkiem KŻ, klejozelem. Żartowano, że dzięki KŻ lekarz lgnie do pacjenta.

–Wymiana organów? – zapytała podniesionym tonem, żeby uaktywnić system czujników sali

operacyjnej.

–Gotów – usłyszała odcieleśniony głos. Odcielesniony w pełnym tego słowa znaczeniu: inteligencja, która kierowała bankiera narządów, niegdyś należała do starszego chirurga.

–Red? Mamy paskudny przypadek. Potrzebujemy dosłownie wszystkiego. O'Hara, R. E. C, śledziona, lewe płuco, lewa nerka, wątroba, lewy staw ramienny, lewy łokieć, nadgarstek, kolano, kostka...

–Co on tam robi? Powinien trafić na dół, do nas – odparł Red, ale winda już wiozła z chłodni worki z płynem, w którym unosiły się narządy.

Jessup wykonała zabiegi, które miały wyeliminować choćby najmniejsze ryzyko odrzucenia przeszczepów. Procedury typu „na dwoje babka wróżyła” z końca dwudziestego stulecia uznano za barbarzyńskie, okrutne i niehumanitarne, ale żeby zastąpić je doskonalszymi, trzeba było poznać kilka różnych gatunków i przeżyć parę straszliwych wojen kosmicznych.

–Nie chciał stracić głowy! – powiedziała Bardie.

–Co wyjątkowego jest w jego głowie?

–Już nie jesteś w stanie tego docenić, Red. – Bardie rzuciła okiem na klasyczny profil O'Hary.

Gdy Jessup zaklejała drobne skaleczenie na twarzy, Bardie ułożyła nowe płuco w jamie klatki piersiowej. Serce nie wymagało wymiany; da sobie radę, gdy nalezycie wypocznie. Cóż, Śpiąca Królewna rozsypała się w kawałki niczym Humpty Dumpty\* i należało złożyć ją z powrotem do kupy. Wspólnymi siłami naprawiły staw ramienny, rękę, strzaskaną kość krzyżową i skleiły zmiażdżone żebra żelazem do kości. Wymieniły wątrobę i nerkę, śledzionę i trzustkę. Ranny nie potrzebował nowego pęcherza. Rozplatały wnętrzości i załatały rozdarcie w ścianie żołądka, a potem zabrały się do sklejanie skóry na rozplątanym brzuchu. \* Jajowaty bohater starej rymowanki; gdy Humpty Dumpty spadł z muna, rozsypał się w kawałki, których nie zdołali poskładać wszyscy ludzie króla wespół z królewskimi rumakami. Także postać z powieści Lewisa Carrolla O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra.

–Nieźle wyposażony – zauważyła Jessup od niechcienia – jak na takiego wysokiego faceta.

Bardie chrząknęła. To nie zniechęciło pielęgniarce, skłonnej do nazywania rzeczy po imieniu i wymyślania niezliczonych wariacji na jeden temat.

–Pomyśleć, że wolałam niskich. – Jessup była niepoprawna. – Ciśnienie krwi wzrasta. Słuchaj, może rzeczywiście mu się uda. Jeśli nie złapał jednego z tych pozaziemskich zarazków.

–Może – powiedziała Bardie, zajmując się lewą nogą.

Na bloku operacyjnym nie brakowało serwomechów, robotów i innych wspomaganych komputerowo urządzeń chirurgicznych, ale, ponieważ każda jedna istota ludzka różni się trochę od drugiej, nawet

najbardziej wyrafinowana maszyna nie mogła zastąpić instynktu człowieka.

Maszyny wykonywały tylko to, co Jessup nazywała czarną robotą, i nawet najzdolniejsi chirurdzy z innych gatunków nie radzili sobie z operowaniem ludzi.

Nim skończyły składanie Rogera Elliotta Christophera O'Hary w jeden posklejany, podzielony i odnowiony kawałek, obie opadły z sił. Komputer kategorycznym tonem oświadczył, że natychmiast muszą się wylogować. Ich wydajność spadła poniżej poziomów dopuszczalnych na bloku operacyjnym. Przywrócenie pacjenta do życia wymagało czterech godzin intensywnego wysiłku fizycznego i psychicznego, a O'Hara nie był pierwszym przypadkiem na ich dyżurze.

Wszedł sanitariusz, by zabrać O'Harę z sali operacyjnej. Bardie i Jessup ustawiły się po obu stronach wózka.

Wszyscy poddali się odkażającej kąpiel w zielonym świetle i razem wyszli na szeroki korytarz.

–Oficer? – zapytał sanitariusz.

–Aha – mruknęła Bardie. Podwyższony poziom adrenaliny przyprawił ją o lekki zawrót głowy. Musiała przytrzymać się wózka.

–Mogę się nim zająć. Co, dziewczyny, nie wierzycie mi?

Bardie wyszczerzyła zęby.

–Zgadza się, Naffie, ja ci nie ufam. Nie w tych sprawach.

Naffie obrzucił nieprzytomnego O'Harę długim, taksującym spojrzeniem i zrobił poirytowaną minę.

–Dobra, niech będzie po twojemu. Jak zwykle. Co nie znaczy, że będziesz mieć z niego jakiś pożytek! Na pewno nieprędko. Sala dwadzieścia dwa, łóżko czwarte. – Dwie zmęczone kobiety skręciły na sterburtę. – Z danych wynika, że jest kawalerem. Myślisz, że uda ci się to zmienić?

–Naffie, nie przeciągaj struny – powiedziała Bardie stanowczo, skręcając na oddział intensywnej opieki medycznej, sala 22. Naffie miał wprawę w obsłudze wózka anty grawitacyjnego i zręcznie przesunął pacjenta na łóżko. Boczne skrzydła niemal z czułością zamknęły się wokół nieprzytomnego.

Po powrocie do swojej klitki Bardie najpierw zaprogramowała ekran na wyświetlanie, w odstępach dziesięciominutowych, danych dotyczących stanu porucznika O'Hary, R. E. C. Wzięła kąpiel mgiełkową; nawet kubek wody sprawiał, że człowiek czuł się czystszy. Zamówiła wysokobiałkowy posiłek, wsunęła się do siatkowego łóżka. Zbudził ją brzęczyk. Zamrugęła parę razy i potrząsnęła głową. Dopiero po chwili zrozumiała, co się dzieje. Popatrzyła na ekran.

O'Hara nie dawał za wygraną. Zaczekała do następnego raportu, nie bez wysiłku. Przeprogramowała



ekran, by zbudził ją tylko wtedy, gdyby nastąpiło znaczące pogorszenie.

Zasnęła, nim zdążyła ułożyć się w siatce.

Ku swojemu zdumieniu przespała całe dziesięć godzin.

Wstała z głębokim poczuciem winy. Zmarnować tyle czasu! Ekran nie informował o żadnych zmianach. Przez dłuższą chwilę nie miała pojęcia, dlaczego monitoruje pacjenta ze swojej kabiny. Wreszcie przypomniała sobie. Humpty Dumpty O'Hara! Przejrzała dane.

On też przespał dziesięć godzin. Czynności życiowe były stabilne, co do jednej, i nic nie wskazywało na odrzucenie nowych narządów. Ranny nie odzyskał przytomności. To dobrze, pomyślała Bardie. Jeszcze nie wynaleziono uniwersalnego środka przeciwbólowego. Nie lubiła myśleć o bólu, będącym nieodłączną częścią jej zawodu.

Ubrała się, wypita wysokobiałkową breję, która miała zapewnić jej energię na cały dzień pracy, i wyszła ze swojej klitki. Na korytarzach panowała pustka, a dobiegające zewsząd pochrapywanie utwierdziło ją w przekonaniu, że nie doszło do nowych ataków. Przerwa w masakrze stanowiła miłą odmianę, bez dwóch zdań. Musi wytrzymać jeszcze tylko trzynaście dni. Nie była pewna, czy woli nawał zajęć, żeby czas upłynął jak najszybciej, czy też spokój, żeby przestawić się na tryb życia cywila.

Wstąpiła do dyżurki i stwierdziła, że razem z Nellie obejmuje następną zmianę. Miała godzinę wolnego. Na ekranie informacyjnym przewijały się wiadomości z ostatniej bitwy, ale ona już dawno przestała reagować na zwycięstwa i porażki – jedno i drugie oznaczało ciała do łatania. Niezależnie od wagi zwycięstwa, niezależnie nad kim, nad czym i dlaczego zostało odniesione, nie dostrzegła w nim powodów do dumy. Już nie pamiętała, dlaczego zdecydowała się na służbę w szpitalu polowym; zapewne doznała wówczas zaćmienia umysłowego. Dużo się nauczyła – może to było powodem – ale powstała w niej ogromna pustka, którą pewnego dnia będzie musiała zrozumieć i wyrzucić z siebie.

Nim się spostrzegła, weszła do sali 22 i stanęła przy łóżku 4. Objawy życiowe nadal były stabilne, nowe narządy funkcjonowały prawidłowo. Skóra O'Hary miała zdrowy odcień.

–Nie mogę wydobyć z niego nawet jęku – powiedział Naffie, wyrastając u jej boku. Jego jasne oczy przeskoczyły z ekranu na jej twarz.

–Próbowałeś, Naffie? – Nie wiedzieć czemu, Bardie Makem miała mu za złe.

–W ramach obowiązków, rzecz jasna. – Naffie skrzywił się. – Powinien ocknąć się dawno temu, choćby z wdzięczności. Nawet nie wie, że żyje.

Bardie uśmiechnęła się, rozbawiona jego dezaprobatą.

–Może więc potrzywasz go za rączkę i szepniesz parę czułych słów?

–Nie jest w moim typie. – Naffie zmył się szybko.

Bardie podniosła termiczną kołdrę, żeby dokonać oględzin. Mikroszwy i cięcia pod opatrunkami dermoplastycznymi nie budziły zastrzeżeń. Oczywiście, nie rzucał się z gorączki czy bólu. Przyłożyła rękę do jego piersi, skóra była ciepła. Musnęła czoło, odgarnęła suche włosy; były niezwykle miękkie w dotyku, nie sztywne, jak sugerowały kędziory. Naprawdę był przystojny. Od niechcenia przesunęła palcem po policzku, do cienkiej różowej blizny, i ze zdumieniem zobaczyła uśmiech.

–O'Hara? O'Hara? – zagadnęła cicho. – Roger? – Podniosła głos, bo nadal się uśmiechał. – Roger! – Odetchnął wyraźniej, a potem jakby znów pogrążył się w głębokim śnie. Jego głowa przesunęła się leciutko w jej stronę.

Uśmiech nie zniknął. – Roger, chłopcze. Pobudka! – Brwi ściągnęły się z irytacji. – Roger, wiem, że tam jesteś. Otwieraj!

–Udało ci się lepiej niż komukolwiek innemu – powiedziała pielęgniarka oddziałowa. Bardie drgnęła, przestraszona. – A nie szczędziliśmy starań.

–Od kiedy grymas jest oznaką przytomności?

–Jak dotąd to jedyna reakcja Śpiącej Królowny.

–To nie śpiączka – stwierdziła Bardie, sprawdzając odczyty na monitorze.

–Nie. Normalny rytm snu. Nie zmienił się nawet wtedy, kiedy leki przestały działać.

–Szkoda, że inni nie mają takiego luksusu – dodała Bardie, gdy pacjent na sąsiednim łóżku zaczął jęczeć żałośnie. Szybko wyszła z oddziału.

Razem z Nellie przystanąła przy łóżku 4 pod koniec stosunkowo spokojnego dyżuru. Generalnie „sprzątanie po akcji” rzadko kiedy było ryzykowne dla życia i kończyn, choć miały trochę pracy z ofiarami skaczących min lądowych i paskudnych strzałek szukających serca, które Khalianie zostawiali na opuszczanych terenach.

W czasie następnego dyżuru Bardie złożyła kolejną wizytę przy łóżku 4 na sali 22, gdzie zgromadziło się kilkoro kolegów, łącznie z naczelnym psychiatrą.

–A, chirurg Makem – powiedział Brandeis z szerokim uśmiechem, który kojarzył się z pułapką na nieuważnych. – Jak zrozumiałem, dokonała pani istnego cudu chirurgii. Czy potrafi pani wyjaśnić, dlaczego pacjent nadal śpi?

–Jeszcze nie odzyskał przytomności? – zdziwiła się Bardie. Zobaczyła troskę i niedowierzanie na twarzach lekarzy. – Cóż, doznał ciężkich obrażeń ciała. Wystarczająca trauma, by nie chcieć wyrwać się ze stanu błogiej nieświadomości.

–Sugeruje pani – zaczął Brandeis, w lot chwytając jej słowa – podłoże psychosomatyczne?

Bardie wzruszyła ramionami: naprawiała ciała, nie umysły.

–Skafander ciśnieniowy go uratował. Być może przez jakiś czas był przytomny i wiedział, że został poważnie ranny. Skafander nie rejestruje stanu umysłu, tylko objawy czynności życiowych.

–Celna uwaga! – Brandeis wraz z innymi odwrócił się, żeby popatrzeć na spokojne oblicze śpiącego pacjenta. – Możliwe! A jego akta wskazują, że przedkłada „akt łaski” nad odcieleśnienie.

Bardie odniosła wrażenie, że ton psychiatry wyraża rozczarowanie. Brandeis irytował się, bo wymknął mu się kolejny „obiekt”; specjalizował się w terapii tak zwanych mózgów.

–Doktor Makem wywołała reakcje porucznika O'Hary – wtrąciła pielęgniarka oddziałowa. Stała z boku i Bardie dopiero teraz ją spostrzegła. Z przyjemnością ukręciłaby jej głowę.

–Tak? Kiedy? Jaką? – zapytał Brandeis z niemal zachłanną miną.

–Och, tylko obmacałam mu czoło. – Bardie zrobiło się głupio. Badanie palpacyjne było anachronizmem w czasach wyrafinowanych czujników, które dostarczały precyzyjnych danych.

–I? – zachęcił ją Brandeis.

–Uśmiechnął się lekko. Może to tylko odruch. – Czuła, jak się rumieni.

–Akurat – mruknął ktoś kpiąco. – Jeszcze ktoś mógłby pomyśleć, że taki kawał chłopca chce pełnić służbę jako mózg.

–A kto go widział? – palnęła Bardie bez namysłu i zarumieniła się jeszcze mocniej.

–Absolutnie naturalna próżność – zauważył Brandeis ze spokojem, jego oczy wyrażały jednak co innego. Sam był względnie atrakcyjnym facetem, w doskonałej kondycji, i na oddziale plotkowano o jego licznych heteroseksualnych związkach, nie do końca zawodowych. Bardie była zdziwiona jego zazdrością.

–Doktor Makem, czy zechciałaby pani powtórzyć swój gest? – Psychiatra odsunął się na bok i dał jej znak, by podeszła do pacjenta.

Bardie nie była zachwycona ani jego miną, ani zachowaniem, ani prośbą. Niechętnie przysunęła się do łóżka.

Od czasu stażu nie czuła się równie idiotycznie. Położyła rękę na szerokim czole O'Hary.

–To wszystko, co pani zrobiła? – zapytał Brandeis lekceważącym tonem. Uśmiechnął się pobłaźliwie, gdy pacjent nie zareagował.

Bardie zapanowała nad chęcią ucieczki z sali. Z ponurą miną uczciwie odtworzyła przebieg zdarzenia.

–Roger O'Hara! Roger! – Przesunęła palce z czoła na suche, kędzierzawe włosy, potem na policzek. Kiedy wykrzywił usta w nikłym uśmiechu, nie wiedziała, czy jest zadowolona, czy też wolałaby, żeby pokład rozstał się pod jej nogami. Ale eksperyment to eksperyment. – Roger, pobudka, chłopcze. – Brwi znów ściągnęły się ledwo dostrzegalnie, a głowa przekręciła leciutko. – Wiem, że tam jesteś. Obudź się! – Bardie urwała, chrząknęła. – Mniej więcej tak to było.

Zapadła długa, krępująca chwila ciszy, gdy lekarze zastanawiali się nad reakcją pacjenta.

–To wszystko? – zapytał Brandeis.

Bardie pokiwała głową, odzyskując zawodowe opanowanie.

–Nikt inny nie uzyskał większej reakcji – pochwaliła ją pielęgniarka.

Przypięty do kołnierzyka sygnalizator zabrzączał cicho.

–Mój dyżur, panowie. Proszę mi wybaczyć.. – Bardie opuściła oddział dostojnym, ale szybkim krokiem.

Przypadki, którymi zajmowała się w czasie dyżuru, nie odbiegały od normy – głównie amputacje i okropne rany szarpane zadane przez najnowszy wynalazek Khalian. Miała satysfakcję, bo nie straciła żadnego pacjenta, ale przez cały czas prześladowała ją uparta halucynacja: prawie na wszystkich twarzach widziała uśmiech O'Hary.

Pod koniec zmiany poszła do sali 22, łóżko 4, i odczytała z karty najświeższe dane. Roger O'Hara nie odzyskał przytomności. W sali nie było nikogo innego. Bardie z zakłopotaniem pogładziła go po czole, okręcając włosy na palcach, potem przesunęła dłoń na policzek. Ujrzała nikły uśmiech.

–Roger – powiedziała cicho, pieszczotliwie – jesteś tam. Proszę, nie chowaj się. Możesz się zbudzić. Jesteś w swoim własnym ciele. Wiesz, że nie wolno nam cię odcieleśnić. Dlatego masz wybór. Nic ci nie będzie, naprawdę! Jesteś w jednym kawałku i wracasz do zdrowia nadspodziewanie szybko.

Gdy powtórzyła pieszczotę, poruszył się i mruknął przeciągle, a potem oblizał usta.

–Grzeczny chłopiec. – Zanurzyła palec w szklance z wodą i zwilżyła mu wargi. – No dalej, Roger. Zbudź się.

–Znów ściągnął brwi. – Nie chcesz się obudzić, prawda?

Rozumiem, ale nie masz się czego obawiać. Wszystko będzie dobrze, tylko się zbudź. Posłuchaj, pilocie, Brandeis ma cos' do ciebie, co ci się z pewnością nie spodoba. Dobrze ci radzę, lepiej się obudź. Pobudka! – Pionowe zmarszczki na czole pogłębiły się, głowa Rogera przekręciła się jakby

przecząco. – Zrobisz to dla mnie, prawda? Zbudzisz się dla Bardie, prawda? – Pieszczotliwie pogładziła miękkie, czarne włosy, okręciła lok na palcu. – Gnojek z ciebie, Roger. Śmiało, kochanie, otwórz oczy! – Powieki zadrżały, mięśnie na policzkach i skroniach napięły się. – Pobudka!

Zas'miała się.

–Nie lubisz tego słowa, prawda? – powiedziała, patrząc na głębokie bruzdy między jego brwiami. – Zastanawiam się, dlaczego. Złości cię jako wezwanie do służby czy do życia? Facet z twoją prezencją poradzi sobie w życiu. I będziesz miał z głowy tę wojnę... jeśli tylko wreszcie się ockniesz! – Us'miechnęła się, zastępując nielubiane przez niego słowa. Przypomniała sobie, jak przezwała go Jessup. Pochyliła się i dla żartu pocałowała go w usta.\*Roger, ty Śpiąca Królowno!

Usłyszała ruch za plecami. W tej samej chwili powieki podniosły się i zatrzepotały dziko, gdy pacjent próbował skupić wzrok. Bardie zsunęła się z łóżka i uciekła z sali, nim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać. Bezpieczna w swojej klitce, wczytała dane z sali 22, łóżko 4, i zobaczyła wykres fal alfa. Śpiąca Królowna zbudziła się.

W ciągu ostatnich dni służby rzuciła się w wir pracy, żeby tylko nie myśleć. Ostatniego ranka na „Elizabeth Blackwell” zbudziła się z tak wielką ulgą, że prawie się rozpłakała. Dla poprawy nastroju wzięła prysznic, zużywając całodzienną rację wody. Wysuszyła włosy, próbując ułożyć „cywilną” fryzurę. Włożyła elegancką bluzę, dopasowane spodnie i wysokie buty, po raz pierwszy od momentu rozpoczęcia służby. Nawet spryskała się perfumami, które dotąd leżały na półce w jej szafce. Zapakowała do torby czysty kombinezon, bieliznę i parę osobistych drobiazgów, które wolno jej było przywieźć na statek. Nareszcie!

–Błękitna bluza podkreśla kolor twoich oczu. Ślicznie! – Nellie popatrzyła na nią z zachwytem, gdy weszła do dyżurki. Dwaj wolni od służby chirurdzy zagwizdali przeciągle i nalali jej tradycyjny kieliszek „paliwa raketowego” na pożegnanie.

Powierzono jej parę listów, które miała zawieźć do domu.

Zostawiła wiadomość na ekranie w dyżurce, żegnając się z personelem szpitala polowego. Niedługo później nadszedł czas, by wsiąść na prom, którym miała najpierw podróżować. Nellie uparła się, że odprowadzi ją do śluzy.

–Och, Igiełko, nigdy nie będę miała lepszej przełożonej. Jestem tego pewna – wyszlochała, tuląc ją w ramionach.

Bardie odsunęła ją, choć w głębi duszy była zadowolona, że zahartowana pielęgniarka ma jeszcze tyle uczuć.

–Z iloma chirurgami pracowałaś, Nellie?

–To nie ma znaczenia – odparła Nellie urywanie. – To ciebie będzie mi brakować.

–Nie, jeśli mój zastępca będzie przystojny!

–Skoro o tym mowa... – szloch urwał się cudownym sposobem, gdy Nellie popatrzyła w dół rampy – jest tu Śpiąca Królowna!

Bardie rzuciła okiem przez ramię i wśród rannych ewakuowanych tym promem zobaczyła porucznika Rogera Elliotta Christophera O'Hare. Jechał na anty grawitacyjnym wózku. Towarzyszył mu Naffie, zabawiający go rozmową. Pilot miał minę dość uprzejmą, ale lekkie zmarszczki na czole świadczyły bardziej o tolerancji niż zainteresowaniu. Zdecydowanie nie był facetem dla Naffie'ego. Dosłownie porażał urodą. Włosy kręciły się jakby prowokująco nad jego bladą twarzą.

–Zdumiewająca rekonwalescencja – mówiła Nellie.

–A Brandeis już miał nadzieję, że sobie na nim poeksperymentuje. Słyszałam, że zbudził się od razu, gdy się o tym dowiedział.

Bardie maksymalnie przyspieszyła pożegnanie, chcąc wejść na pokład promu, zanim Roger dotrze do śluzy. Udało jej się, ale w czasie startu zastanawiała się, dlaczego uciekła niczym spłoszona dziewczica.

Własne zachowanie zastanawiało ją przez długą, nudną podróż. Wreszcie, gdy prom przycumował do macierzystego statku szpitalnego, zrozumiała, co ją przestraszyło: ze wszystkich operowanych rannych porucznik Roger O'Hara był jedynym, którego zapamiętała. Zapamiętała jego twarz. Dlaczego? Na pewno nie miało to nic wspólnego z relacją lekarz-pacjent. Często odbywała obchody po oddziale, ale pacjenci pozostawali przypadkami, numerami sal i łóżek, opisami obrażeń, kategoriami kalectwa – zapominała o każdym, gdy tylko przechodziła do następnego. Pocałunek, który spowodował odzyskanie przytomności, też nie mógł być przyczyną. Ani to, czy Roger O'Hara był Śpiącą Królowną, księciem zaklętym w żabę czy Humpty Dumpty.

Na szczęście normalne zamieszanie panujące w trakcie opuszczania promu przerwało te rozmyślenia. Bardie przelotnie zobaczyła O'Hare, leżał na poduszkach powietrznych, oczy miał zamknięte. Zastanowiła się, czy dobrze zniesie podróż: dwa tygodnie to za mało, by straszliwe rany zdążyły się zagoić.

Dostała przydział i ulokowała się w kabinie znacznie większej od tej, którą zajmowała na „Elizabeth Blackwell”: nie musiała chodzić przygarbiona, miała biurko z opuszczanym blatem i stołkiem, a nawet własną łazienkę. Chciała poznać rozkład statku, kiedy włączył się brzęczyk i na ekranie ukazała się dyżurka.

–Major chirurg Makem, proszę zameldować się na pokładzie C, oddział G.

–O co chodzi?

Sanitariusz zerknął na dokumenty.

–Pani operowała porucznika R. E. C. O'Hare?

–Zgadza się. Co się dzieje? – Może za wcześnie go ewakuowano.

–Nie budzi się.

–Co?

–Zechce pani przyjść, pani major? – Sanitariusz był starym wyjadaczem i jego prośba zabrzmiała jak rozkaz.

Stan O'Hary zmartwił ją, ale i zaciekawił. Widziała, jak opuszcza prom z zamkniętymi oczami, ale czy rzeczywiście spał? Jak można zasnąć w bezustannym łomocie, trzeszczeniu i pojękiwaniu, charakterystycznym nawet dla nowego promu, nie wspominając o hałasujących współpasażerach?

Wczytała plan pokładu i najpierw znalazła antygrawitacyjny szyb blisko swojej kwatery na pokładzie H, potem oddział G na pokładzie C. Kiedy dotarła na miejsce, sanitariusz czekał na nią ze źle skrywanym zniecierpliwieniem.

Jego mina mówiła „nie spieszyła się pani”, ale powstrzymał się od komentarza. Skinął głową i ruchem ręki kazał iść za sobą.

–Niech pani go zbada, pani major, zna pani ten przypadek... – powiedział, odsuwając się na bok, żeby wpuścić ją do kabiny. Natychmiast zamknął za nią drzwi. Bardziej zastanowiła się, czy przypadkiem nie powinna zgłosić jego niezwykłego zachowania lekarzowi pokładowemu.

Ale miała przed sobą Rogera Elliotta Christophera O'Hare, starannie otulonego naszpikowanym czujnikami prześcieradłem. Wydruk nad koją nie dawał powodów do natychmiastowego alarmu, choć O'Hara był bardzo blady. Bardziej zbliżyła się do koi, zauważając cienką warstwę potu na czole. Czujnik nie wskazywał podwyższonego poziomu bólu, a z karty wynikało, że dwie godziny temu podano mu lekarstwa.

Niewiele myśląc, Bardziej położyła rękę na wilgotnym, chłodnym czole. Jej palce jakby same zbłądziły do suchych, miękkich kędziorów.

–W porządku, stary, o co chodzi? Byłeś w dobrym stanie, gdy Naffie cię przywiózł. – Czyżby dostrzegła leciutką zmarszczkę między brwiami? Pogładziła czoło. – Jeśli nie będziesz ostrożny, odgrywanie Śpiącej Królowy skończy się tym, że trafisz do akt Brandeisa.

–Wiesz, jest tylko jeden sposób na zbudzenie Śpiącej Królowy – powiedział, nie otwierając oczu. – Spodobał mi się od razu. Ale nie byłem pewien, czy jesteś prawdziwa, dopóki nie zobaczyłem cię na trapie. Brandeis wmawiał mi, że nie istniejesz, że byłaś tylko snem. – Nagle otworzył zdumiewająco zielone oczy. Powoli przekręcił głowę, żeby na nią popatrzeć. – Wtedy naprawdę mnie pocałowałaś, tak? A ja musiałem się zbudzić, bo tak działa zaklęcie, prawda?

Nie uwierzyła mu, po trzech latach służby nikt nie wierzy w bajki.

–Nie jesteś Śpiącą Królowną, O'Hara. Prędszej Humpty Dumpty.

–Dlatego musiałem cię zobaczyć, Bardie Makem – powiedział gorąco. Bardie miała wrażenie, że jego głęboki baryton porusza struny wzdłuż jej kręgosłupa. – Przed utratą przytomności wiedziałem, że zostałem paskudnie ranny, i bałem się, że...

Głos mu się załamał. Konwulsyjnie przełknął ślinę. Nie, Roger O'Hara nie wierzył w bajki; po prostu bał się, że zostanie bohaterem prywatnej koszmarnej historii. – Musiałem wiedzieć, Bardie Makem, że jesteś prawdziwa. I że to nie jest bajka.

–Alicja w Krainie Czarów...

Uśmiechnął się z zapierającym dech urokiem.

–Naffie powiedział, że to ty dokonałaś cudu.

–Zagrałaś Śpiącą Królowną, żeby zwabić mnie w swoje szpony?

–Ja do ciebie nie mogłem pójść, to chyba jasne. – Niespokojnie poruszył ramionami, potem uśmiechnął się łobuzersko. – Czy pozwolisz porwać się na ręce, posadzić na białym rumaku i powieźć ku zachodzącemu słońcu, by żyć razem długo i szczęśliwie...? – Uśmiechał się wesoło, ale jego żywe zielone oczy patrzyły na nią z powagą. – Przynajmniej przez czas tej podróży... I czy dasz mi dobry powód do przebudzenia? – Zamknął oczy i rozluźnił mięśnie pięknej twarzy, ale pełen nadziei uśmiech igrał na jego ustach.

Rozbawiło ją to życzenie. Chętnie potraktowałaby to „długo i szczęśliwie” jako odtrutkę po dwóch ostatnich latach. Zatem Bardie Makem pochyliła się, żeby spełnić prośbę O'Hary.

Pocałunek przeszedł jej najśmielsze oczekiwania.

Remedium Mandalay Zamrugał ekran interkomu. Amalfi Trotter z ulgą oderwała oczy od frustrujących raportów, zadowolona z chwili przerwy.

–O szesnastej trzydziestu wszyscy oficerowie mają stawić się w mesie. Rozkaz kapitana.

–Ciekawe, niby jak mam zdążyć! – Jako oficer odpowiedzialny za systemy podtrzymywania życia, miała kwaterę na dziewiątym pokładzie, głęboko w głębi transportowca „Mandalay”.

Wcisnęła guzik potwierdzający odbiór wiadomości, jednocześnie s'ciągając kombinezon, s'mierdzący i brudny po ostatnim czołganiu się w kanałach wentylacyjnych. Miała nadzieję, że znajdzie zdechłe szkodniki, co wyjasniłoby przyczynę smrodu na „Mandalay”. Była sumiennym oficerem i dokonywała cudów z filtrami, oczyszczaczami i odświeżaczami powietrza, chcąc zneutralizować wszechobecny smród.



Noc w noc rzucała się w swojej koi, zachodząc w głowę, skąd bierze się zapach, który przeszkadzał jej zasnąć.

Nie tylko ona nie mogła się wyspać – koszmarna mieszanka woni prześladowała wszystkich bez wyjątku. Jak na ironię, w ubikacjach prawie nie śmierdziało. Kucharz powiedział, że to zaczyna robić się zabawne: człowiek chodzi do kibla, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Amalfi wepchnęła brudne ubranie do rekondycjonera i weszła do kabiny prysznic, obracając się szybko w rozpylonej mgiełce: luskus przysługujący jej z racji pełnionej funkcji. Miała trzydzieści sekund na namydlenie, a potem mgiełka splukała jej ciało. Pomyślała z przygnębieniem, że woń zmytego potu na pewno nie wpłynie na poprawę jakości powietrza, ale przecież nie mogła iść do kapitana brudna jak nieboskie stworzenie.

Czy zwołał nadzwyczajne zebranie z powodu tego odrażającego smrodu? Robiła, co mogła, żeby się go pozbyć. Doskonale wiedziała, że oddychanie zepsutym powietrzem pogarsza samopoczucie i obniża morale. Ale przecież próbowała.

Po kapitulacji Khalian (oficjalnej; wiele nieprzyjacielskich jednostek nie pogodziło się z przegraną i hańbą złożenia broni), gdy „Mandalay” stał na powierzchni, poddawany drobnym naprawom, Amalfi Trotter skrupulatnie przesadziła cały ogród hydroponiczny, skrapiając szerokie, ls'niące, wytwarzające tlen liście starannie odmierzonymi dawkami przyspieszacza wzrostu. Wymieniła też 743 filtry wentylacyjne, co do jednego, osobiście przeczołgała się przez wszystkie szyby wentylacyjne i czujnikami omiotła te, które były zbyt wąskie nawet dla niej – swoją drogą ciekawe, czy nie dlatego oficerowie od systemów życia zawsze byli drobnej postury.

Mimo jej wysiłków, zaraz po starcie z planety „nowe” powietrze zaczęło cuchnąć gorącym metalem, palonym plastikiem i spoconymi ciałami. Czuło się też słaby, ale drapiący w gardle zapach sierści khaliariskich szczurów, który nie zniknął nawet po zlokalizowaniu i zniszczeniu pięciu kiepsko zakonserwowanych pamiątkowych skór. Ta woń, zapewne wessana podczas przedmuchiwania kanałów wentylacyjnych na zajętej przez Khalian planecie, była przysłowiowym gwoździem do trumny. ' Jedyńm sukcesem Amalfi było usunięcie mdląco słodkiego zapachu krwi i przypalonego mięsa. Może, pomyślała ponuro, nie ma prostego sposobu na pozbycie się woni strachu ze statku pełnego żołnierzy. Ale dlaczego się boją? Wojna khaliańska dobiegła końca. Żołnierze wracali do portów Sojuszu i do cywila. W takich okolicznościach strach powinien słabnąć, nie rosnać. Żołnierze 202. Pułku Nieregularnych z Montany na pokładzie „Mandalay” mieli za sobą dziewiętnaście poważnych starć. Elitarna formacja była chlubą okrętu przewożącego ich na różne działania wojenne. Ale wojna się skończyła, dlaczego więc ci weterani wciąż wysyłali kwaśne feromony strachu? Nie byłoby to niczym dziwnym, gdyby lecieli do kolejnej bitwy. Ale nie lecieli. Krążyli na orbicie parkingowej i po zakończeniu wszelkich niezbędnych napraw cała eskadra miała wejść na kurs do świata Sojuszu.

Amalfi zapięła czysty kombinezon i zabrała notes z informacjami dotyczącymi systemu wentylacji. Narzekanie na powietrze, choć w tym przypadku uzasadnione, było odpowiednikiem utyskiwań na pogodę na prymitywnych planetach; czasami dobrze jest ponarzekać na coś ot, tak sobie, bez

emocjonalnego zaangażowania. Mimo wszystko budziło się w niej poczucie winy, kiedy słyszała skargi.

To ona była odpowiedzialna za jakość powietrza.

Może kapitan wyda rozkaz opuszczenia orbity. Może wtedy smród zelżeje. Już długi czas lecieli donikąd, zataczając kręgi wokół planety. Nadzieja na przerwanie tego stanu zawieszenia dodawała jej skrzydeł, gdy biegła wąskim zejściem do szybu grawitacyjnego G.

Kiedy tylko żołnierze dowiedzą się, że wracają do domu, powietrze zalegające na pokładach koszarowych w postaci niemal widocznych wyziewów skumulowanego strachu, napięcia i bólu natychmiast się poprawi. A kiedy ta stara balia zawinie do przyzwoitego portu ludzkiego na planecie z odpowiednią fotosyntezą, Amalfi przedmucha kanały wentylacyjne dobrym, czystym, cywilizowanym powietrzem.

Wszystko się poprawi, gdy tylko ruszymy do domu, powtarzała sobie w duchu. Wygramoliła się z windy zerowej grawitacji na poziomie mesy. Dłonie znów miała spocone.

Jak zawsze, kiedy spodziewała się krytyki.

Jej wrażliwe nozdrza wychwyciły nowy zapach, przyjemny, odświeżający. Powęszyła dokoła i stwierdziła, że zapach wydobywa się z mesy. Rozpoznała go ze zdziwieniem. Lawenda? W mesie? Rzeczywiście musieli być zdesperowani.

Grzecznie zapukała w panel i weszła, szybko zamykając drzwi, żeby powietrze z zewnątrz nie rozwiało przyjemnego zapachu. Płynął ze świeczki palącej się na stole, wokół którego zgromadzili się oficerowie marynarki wojennej i piechoty morskiej. Zajęła jedyne wolne miejsce między pułkownikiem piechoty Jayem Gruenem, a major Darnią Pharr, szefem zespołu medycznego. Stężała, wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie. Notes wysunął się z jej spoconej dłoni i z trzaskiem upadł na stół.

Wymamrotała przeprosiny, na które nikt nie zwrócił uwagi. Po chwili przyłapała się na tym, że próbuje – naśladując innych – nie patrzeć na kapitana Augusta. Miał tak beznamiętną minę, że kartka, którą niedbale trzymał w palcach, musiała zawierać złe wieści. Czyżby lawenda miała złagodzić wstrząs, jaki ich czekał?

Zadrżała, gdy opadło ją złe przecucie. Nie polecą do domu. Złapała notes z taką siłą, jakby chciała wycisnąć ostatni oddech z tego, kto wydał takie rozkazy. Na dziewiąty krąg piekła, dokąd zamierzają ich wysłać? Chyba nie do następnego gniazda oporu Khalian? Czy ten jeszcze nie ogłoszony rozkaz był przyczyną smrodu? Czy żołnierze wiedzieli, co ich czeka? Czy stąd ten wszechobecny zapach strachu? Tylko skąd mogliby znać treść depechy, którą kapitan otrzymał najwyżej pół godziny temu? Poczta pantoflowa działała sprawnie i szybko, lecz nie aż tak, a poza tym wszelkie ważne rozkazy były zaszyfrowane, co opóźniało przeciek do publicznej wiadomości.

Kapitan August wstał. Kiedy przed siedmioma laty wszedł na pokład „Mandalay”, był chudy, ale teraz przypominał kościotrupa. Skóra napinała się na kościach czaszki, pod oczami miał ciemne worki, efekt bezsenności i stresu.

Dowodził „Mandałay” od czasu wybuchu konfliktu z Khalianami. Rozłożył świstek. Czarny tusz na brudnokremowym papierze z odzysku wyglądał jak krew.

–Otrzymałis'my zakodowane rozkazy. Za dwa tygodnie, uniwersalnego czasu galaktycznego, mamy się spotkać z zaopatrzeniowcem „Grampion”, by uzupełnić ludzi i materiały. Pułkowniku Gruen, pułk musi odzyskać pełną siłę.

–Uzupełnienie? – powtórzył Gruen, lekko wybałuszając jasne, dziwnie nakrapiane oczy. – Pełna siła?

–Tak, pułkowniku. – Kapitan August zmarszczył brwi, patrząc na twarze, na których rysowały się emocje, od grozy przez niedowierzanie po rozpacz. – Mamy osiągnąć gotowość bojową.

–Gotowość bojową? – wybuchnął Hamish Argyll, oficer artylerii.

Amalfi usłyszała dobiegające zewsząd stłumione przekleństwa.

–Ale, kapitanie, z kim mielibyśmy walczyć? – wyrwał się młody chorąży Badeley. Jeszcze nie skończył mówić, a już miał ochotę schować się pod stół ze wstydu.

–W komunikacie nie ma nic na ten temat! – Kapitan August wypuścił kartkę z ręki. Potarł kciukiem czubki palców, jak po kontakcie z czymś brudnym. Karteluszek spłynął powoli na blat, śledzony wzrokiem przez wszystkich obecnych.

–A zatem pogłoski były prawdziwe? – zapytał chrapliwie pułkownik Gruen.

Kapitan August powoli odwrócił głowę w jego stronę.

–Pan wierzy plotkom, pułkowniku?

–Tak, kiedy wpływają na morale moich żołnierzy.

Może pan śmiało postawić na to ostatnią butlę tlenu. – Potrząsając palcem, Gruen mówił: – Powiem panu jedno, kapitanie. Morale moich żołnierzy jest tak niskie, że wstrzymałbym się z oficjalnym ogłoszeniem rozkazu.

–Co to da, Jay? – zapytał major Pete Loftus, adiutant, rozkładając ręce w geście rezygnacji. – O wielu rzeczach żołnierze dowiadują się na długo przede mną. Strach wisi w powietrzu. – Strzelił oczami na Amalfi, która skurczyła się między swoimi roslymi sąsiadami.

–Jakim cudem mogą znać rozkazy wydane trzydzieści pięć minut temu?

–Nie znają – odparł pułkownik. – I nie mogą poznać.

Są zmęczeni wojną do tego stopnia, że ich ogłoszenie spowoduje epidemię prób samobójczych i bijatyk, a może nawet próbę buntu...

–Nie na moim okręcie... – zaczął August. – - Przesadza pan... – zaprotestował Brace, oficer naukowy marynarki wojennej.

–Nie możemy ryzykować – powiedziała major Pharr.

Pułkownik beznamiętnie powiódł po nich wzrokiem.

–Dowodzę pułkiem od momentu mobilizacji, i wiem, że moi żołnierze stracili ducha walki. Powiem wam jedno: przez całą bezsenność próbowałem... – jego pięść opadła na stół – próbowałem wymyślić jakiś sposób na podbudowanie morale. Teraz wątpię, czy zdołaliby choćby się ubrać w skafandry bojowe. Bywały już wojny, w których nie miał kto walczyć.

–Jak można prowadzić wojnę bez żołnierzy? – zainteresował się chorąży Badeley.

–Znacie rozkazy. – Kapitan August wstał. – Jutro punkt dwunasta opuszczamy orbitę. Jeśli to was pocieszy, cała eskadra kieruje się w tę samą stronę, nie tylko „Mandalay”. – Świadomość, że nie jesteście wyjątkiem, faktycznie podnosi na duchu – mruknął Gruen z gorzkim sarkazmem. – Kapitanie, proszę o pozwolenie na przeprowadzenie prywatnej rozmowy na bezpiecznym paśmie.

Kapitan August w milczeniu skinął głową i szybkim krokiem wyszedł z mesy.

–Czekajcie tu na mnie – przykazał Gruen, podkreślając słowa podniesieniem palca. Pospieszył za kapitanem.

–No jasne! – Loftus rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś jest na tyle głupi, by go nie posłuchać. Żona Gruena służyła na okręcie flagowym i często dyskretnie przekazywała informacje oficerom z „Mandalay”.

–Jako lekarz naczelny – zaczęła Damia Pharr ponurym głosem – na pewno nie poświadczę, że żołnierze są zdolni do walki. Mogą ich ubrać, uzbroić i rzucić, gdzie tylko chcą, ale nie będą walczyć.

–Nie będą wykonywać rozkazów? – zapytał Badeley.

Jego okrągła twarz zastygła w wyrazie zdumienia.

Na przemian był denerwujący, śmieszny i przeraźliwie nudny. Panowało powszechne przekonanie, że najprawdopodobniej do końca kariery pozostanie chorążym. Dwa lata służby na transportowcu, który cztery razy lądował na wrogich planetach i musiał się bronić przed próbami abordażu, nie strząsnęły młodzieńczego puszku z jego policzków ani nie dały mu głębszego pojęcia o Życiu i Prawdziwym Świecie. Jego głupie pytania nikogo nie dziwiły.

–Nie, chłopcze... – Hamish w chwili wzburzenia mówił z wyraźnym etnicznym akcentem – nie będą. A ja pierwszy nie będę miał im za tego złe.

–Przecież... to będzie równoznaczne z buntem. – Badeley wytrzeszczył oczy.

–Jak najbardziej! – zgodził się Argyll z podejrzaną uprzejmością.

–Posyłanie żołnierzy w takim stanie na kolejną wojnę jest po prostu niehumanitarne. – Loftus z zatroskaną miną trzasnął pięścią w stół. – Należy im się urlop na przyzwoitej planecie wolnej od smrodu szczurów, krwi i śmierci.

Potrzebują snu, normalnego jedzenia i odpoczynku... Bodaj to zaraza wzięła, Trotter, nie możesz czegoś zrobić z tym powietrzem?

Amalfi próbowała schować się za Darnią Pharr, która spojrzała na nią z lekkim zdziwieniem.

–Tak, Malf, nie możesz czegoś zrobić? Jak tu się wyspać, kiedy przez całą noc smród zalega w płucach?

–Zrobiłam wszystko, co mogłam – odparła Amalfi niemal płacząco. Potrząsnęła notesem. – Gdy byliśmy na powierzchni, sprawdziłam wszystkie rośliny w zbiornikach hydroponicznych. Przeczyściłam każdy przewód, zmieniłam filtry...

–Kanonierzy niemal padli trupem, kiedy usłyszeli, jak szura w kanałach – powiedział Hamish, usmiechając się do niej krzepiąco. – Już myśleli, że kapitan znalazł bimbrownię.

–Skoro o tym mowa – zaczęła Damia – potrzebuję na dziś' wieczór cztery litry, jeśli moi pacjenci mają zasnąć.

–Farmeris wyszedł już ze śpiączki? – zapytał Loftus.

–Nie, i nie robię nic, żeby go obudzić. Lepiej, żeby spał w tym rozwrzeszczanym domu wariatów, jak nazywam swój szpital. – Ton Pharr jasno mówił, że zazdrości pacjentowi. – Nic mu nie jest, tyle tylko, że nie chce się zbudzić. Wpadł na świetny pomysł. Przespać do lepszych czasów.

Cichy głos popłynął z komunikatora majora Loftusa.

–Majorze, w koszarach D wybuchła bijatyka: zgarnęliśmy dziewięciu poturbowanych uczestników, ale w lazarecie nie ma dla nich miejsca.

–To prawda – przyznała Damia radośnie. – Jakies poważne obrażenia? – zapytała od niechcienia.

–Nie. Zostaliśmy uprzedzeni i zjawiliśmy się w porę, by zaprowadzić porządek.

–Podać ich do raportu, sierżancie Norly, potem rzucić na koje ze związanymi rękami i nogami. W areście też nie ma miejsca. – Loftus zaklął, gdy ucichło trzeszczenie interkomu.

–Myślicie, że czują się bezpieczniej, walcząc między sobą? – zapytała Pharr retorycznie, rozglądając się po mesie.

Amalfi zobaczyła, jak Badeley otwiera usta, i spojrzała na niego tak wściekle, że od razu je zamknął. Oficerowie pogrążyli się w ponurym milczeniu. Dwóch kapitanów piechoty morskiej, którzy wcześniej pilnie słuchali uwag swoich zwierzchników, teraz próbowało zdrzemnąć się w pachnącym lawendą powietrzu. Amalfi cieszyła się, że nikt na nią nie patrzy. Wszyscy drgnęli, słysząc tupot butów na metalowym pokładzie, i jak na komendę odwrócili głowy w stronę drzwi. Mieli nadzieję, że Gruen przyniesie pocieszające wieści od swojej żony.

Rzut oka na pustą twarz Jaya Gruena wystarczyło, by nadzieja zgasła. Pułkownik starannie zamknął drzwi i oparł się o nie ze zmęczeniem.

–Prawda jest tak straszna – westchnął – że nawet Naczelne Dowództwo nie ma odwagi zawrzeć jej w rozkazach.

–I? – przynagliła Damia Pharr, kiedy Gruen przez koszmarnie długi czas nie kwapił się z wyjaśnieniem.

–Zgadzam się z nimi. – Odepchnął się od drzwi i podszedł do stołu. Loftus i Argyll zrobili mu miejsce. Pułkownik jak niedołączny starzec opadł na krzesło. – Wygląda na to, że Khalianie nie są głównymi wrogami Sojuszu.

–Co takiego? – zapytał Loftus.

Gruen splótł ręce na blacie stołu, jednym kciukiem pocierając drugi. Nie podnosząc oczu, mówił:

–Khalianie stanowili pierwszą linię obrony oligarchii rodów kupieckich – ludzkich i nie ludzkich – znanych jako Syndykat. Przesłuchiwani jeńcy nazywali ich Donatorami.

–Wypowiedzieli nam wojnę? – zapytała cicho Damia.

–Niewiele wiadomo o Syndykacie, ale jedno jest pewne: ujarzmią wszystkie użyteczne istoty i niszczą te, które stawiają opór. – Ponury głos Gruena harmonizował z przygnębieniem malującym się na twarzach oficerów. – Wojna khalianńska, którą właśnie zakończyliśmy, najwyraźniej była tylko wstępem do Wielkiej. Sojusz musi ją wygrać, inaczej wszystkie nasze planety i układy gwiazdne zostaną zniszczone przez Syndykat.

–Członkowie Syndykatu nie sprzeciwią się takiemu rozwiązaniu? – zapytał Brace. – Unicestwienie całych planet i układów jest po prostu nieekonomiczne...

–Oni nie myślą naszymi kategoriami. Stoją wyżej pod Względem rozwoju technicznego, ale nie społecznego. – Gruen pocierał kciuki z taką siłą, że poczerwieniała mu skóra. – Są fanatycznymi ksenofobami – nienawidzą obcych ras, podbijają je i wykorzystują. A my mys'lelis'my, że Khalianie są źli...

–Byli – mruknął Loftus z szacunkiem. – A gdyby Sojusz ograniczył się do swojej strefy wpływów...

–Taki układ przeszedłby z każdym, tylko nie z Syndykatem. Poza tym Syndykat nie toleruje potężnych sąsiadów...

–Sojusz nie jest wrogo nastawiony – zaczął Badeley. – Żyjemy w pokoju z wieloma innymi gatunkami i cywilizacjami.

–Zniszczyliśmy ten wizerunek, walcząc z Khalianami...

–Pułkowniku, przecież to oni rozpętali wojnę – wtrącił Badeley z oburzeniem. – My tylko się broniliśmy.

–Zamknij się, Badeley – burknął Argyll. – Jay, co z innymi pułkami? Są w stanie wziąć udział w kolejnym ataku?

–To nie moje zmartwienie – odparł Jay Gruen, kładąc dłonie płasko na stole i patrząc w bok. – Ja muszę martwić się o swój pułk. A on nie jest gotowy do poznania prawdy.

–Nie możemy zbyt długo trzymać ludzi w nieświadomości – zaznaczył Loftus. – I jeśli nie będziemy z nimi szczerzy, nasz autorytet diabli wezmą!

–Masz rację. – Jay Gruen powiódł wzrokiem po twarzach oficerów. – Dlatego mamy mniej więcej dwadzieścia godzin na wymyślenie czegoś, co podniesie morale.

Ogłaszanie wieści o wybuchu nowej wojny zdecydowanie nam nie pomoże.

–Przecież mamy spotkanie dopiero za dwa tygodnie... – zauważył Badeley.

–Jeśli choć jeden żołnierz – zaczął Loftus, przesywając Badeleya twardym spojrzeniem – nie zorientuje się, że nie wracamy na terytorium Sojuszu, to będzie znaczyć, że już nie ma ratunku dla tego niegdyś dumnego pułku. A wtedy ja po prostu zacisnę zęby i podani się do dymisji.

Badeley był wstrząśnięty, ale powstrzymał się od komentarza.

–Na twoim miejscu, Lofty, przespałabym się z tym pomysłem – poradziła Damia Pharr uprzejmie. – O bogowie! – Plasnęła się ręką w czoło. Jej szeroka, pospolita twarzy wyrażała kolejno zdumienie, zaniepokojenie, niedowierzanie i wreszcie nadzieję. – Czemu wcześniej na to nie wpadłam!

–Na co? – zapytał Gruen z cierpkim zniecierpliwieniem.

–Terapia snem! Moglibys'my wszyscy porządnie się wyspać. Czytałam o tym w dzienniku „Medycyna kosmiczna”. Wojskowy lekarz naczelny... niejaki Haldeman... zaleca terapię senną żołnierzom przierzucanym z jednego horroru wojny do drugiego. Nie widzę dużej różnicy. Może się udać. Powinno się udać. Na pewno nie zaszkodzi, położy kres wszelkim bójkom i... Arvid! – zawołała ostro, bo oficer zaopatrzeniowy drzemał cicho w kącie – masz butle z gazem hibernacyjnym, prawda?

Przestraszony młodszy oficer musiał prosić o powtórzenie pytania.



–Jasne, tak, to chyba jedyna rzecz, której nie użyliśmy w tej wyprawie.

–Głęboki sen nie zlikwiduje problemu niskiego morale – powiedział Gruen. – Tylko go odroczy.

–Nie mówię o hibernacji, tylko o użyciu gazu do wywołania głębokiej, relaksującej drzemki. Nie możemy zapewnić ludziom R i R, rekreacji i rozrywki, ale za to damy im trochę S i S – spania i snów. – Damia mówiła z zaraźliwym entuzjazmem. – Żołnierze potrzebują wypoczynku, snu REM, aby uwolnić się od strachu i koszmarów przeszłości...

–A jak u licha zamierzasz opiekować się czterema tysiącami śpiących żołnierzy? Muszą jeść, wypróżniać się i... ~ Gruen urwał. Szeroko uśmiechnięta Damia zachęcająco machnęła rękami. Pułkownik popatrzył na nią z rodzącym się zrozumieniem.

–Tak, racja. Stroje bojowe. Wiem, że każesz im włożyć skafandry, jakich używają na powierzchni. Zapas płynnych substancji odżywczych wystarcza na dziesięć dni.

Ponadto skafandry monitorują funkcje cielesne. Czemu taki drogi sprzęt ma być używany tylko na wojnie?

Wszyscy zebrani wokół stołu, nawet ci, którzy dotąd się nie odzywali, zaczęli gadać jeden przez drugiego.

–Malf... – Damia odwróciła się do Amalfi – możesz odizolować pokłady koszarowe od operacyjnych? Ktoś musi kierować statkiem, gdy pasażerowie będą spać.

–Tak, chyba tak, tylko myślałam, że gaz usypiający przenika przez skórę. Czy skafandry...

–Po uszczelnieniu wszystkich śluz z pokładów koszarowych gaz hibernacyjny nie podziała na załogę okrętu – mówiła Damia, głucha na zastrzeżenia.

–Chwileczkę, Damia... – przerwał jej Gruen.

–Cholera, Jay, potrzebujesz odpoczynku bardziej niż twoi ludzie. Obiecuję ci, że po dawce, jaką wpuścimy do kwater żołnierzy, wszyscy grzecznie zasną i będą mieć słodkie sny. Umysły wypoczną, przygotowują się do nowych wyzwań. Do licha, my też będziemy mogli się przespać i odzyskamy formę przed spotkaniem z „Grampionem”.

–Jesteś pewna, że to się uda?

Amalfi oderwała oczy od twarzy pułkownika Gruena.

Wprost nie mogła znies'ć widoku jego błagalnej miny pełnej nadziei.

Damia położyła rękę na ramieniu Gruena.

–Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Na pokładzie tej starej balii sen nikomu nie zaszkodzi... –

Uśmiechnęła się przepraszająco do Brace'a i Argylla. – Jeśli cały pułk oprócz personelu medycznego włoży skafandry, z niewielką pomocą załogi „Mandalay” możemy zaopiekować się wami wszystkimi.

–Wystarczy kombinezonów ochronnych, Arvid? – zapytał Loftus. – Musimy je włożyć, inaczej wszyscy pośniemy na stanowiskach.

–Tak, pewnie. Mamy ich całe mnóstwo – odparł Arvid.

Amalfi pomyślała, że oficer nie całkiem rozumie, na co się zanosi.

–Malf, dasz sobie radę? Uszczelnisz szyby wentylacyjne?

–Wystarczy to zrobić tylko na trzecim pokładzie. Ale ktoś musi mnie przygarnąć – odparła Amalfi. – Nie miałabym nic przeciwko przespaniu tego cyrku, lecz nie mam skafandra bojowego – zażartowała, reagując na poprawiony nastrój.

–Grzeczna dziewczynka, Trotter – pochwalił Gruen z ogniem w oczach. – Brace, myślisz, że kapitan się zgodzi?

W tym momencie oficer naukowy i nominowany zastępca kapitana uśmiechnął się do pułkownika.

–Nie sędzę, by się czepiał, Jay. Decyzja w zasadzie nie dotyczy marynarki wojennej. „Mandalay” ma powody do dumy, przewożąc Nieregularnych z Montany. Chcemy pomóc. W końcu, jeśli Syndykat jest choć w połowie tak krwiożerczy, jak wieść niesie, musimy mieć przynajmniej jeden pułk przygotowany do walki.

–Dobrze. Wstąpię do kapitana i powiadomię go. Im szybciej wszyscy ubiorą się w skafandry, tym szybciej będziemy mieć problem z głową. – Pułkownik niemal wyskoczył z mesy. Za nim popędził rozpromieniony Loftus i pełni dobrej myśli kapitanowie.

–Arvid – powiedziała Damia Pharr – potrzebne mi specyfikacje gazu usypiającego, żebym mogła wyliczyć odpowiednią dawkę. Nasze ślicznotki nie mogą stracić przytomności, tylko spać słodko aż do przebudzenia... – Ujęła zaopatrzeniowca pod rękę i wyciągnęła z kabiny.

–Trotter, ilu ludzi będzie pani potrzebować do uszczelnienia? – zapytał Brace. Amalfi zaczęła liczyć w pamięci, ale Brace przywołał ją do konsoli. – Jeśli plan wypali, sam spróbuję wymuszonej drzemki w czasie następnego etapu podróży.

O 23.02, za radą kapitana Augusta, na „Mandalay” zawyły, zahuczały i zabrzęczały wszystkie alarmy. Żołnierze na wszystkich pokładach, nawet ci w areszcie i w lazarecie, otrzymali rozkaz włożenia skafandrów bojowych, które mieli zdjąć po załataniu „dziury w kadłubie”.

Doświadczeni żołnierze bez entuzjazmu wbili się w swoje ochronne pancerze bojowe. Klęli i narzekali co niemiara, ale żaden nie podejrzewał podstępu. Jeśli ktoś się zastanawiał, dlaczego nie wydano rozkazu zamknięcia i uszczelnienia hełmów na wypadek utraty tlenu, zmęczony wojną robił

tylko to, co mu kazano. Pierwsza niewykrywalna fala rozcieńczonego gazu hibernacyjnego wlała się jednocześnie na wszystkie pokłady. Żaden żołnierz niczego nie zauważył – i każdy zasnął, wyprężony w sztywnym skafandrze bojowym.

Załoga w ochronnych kombinezonach marudziła, że przechodzenie od jednego żołnierza do drugiego i układanie ich w pozycji horyzontalnej jest cholernie nienormalne. W celu urozmaicenia monotonnych zajęć wymyślono konkurs na najokropniejsze, najdłuższe, najmocniejsze, najzabawniejsze chrapanie. Oficerowie „Mandalay” mieli różne zdania na temat tych zawodów, które mogły zaważyć na stosunkach między marynarką wojenną a piechotą morską, ale nawet kapitan August śmiał się pod nosem, gdy odtwarzano nagrane chrapanie.

–Proszę zauważyć, kapitanie – powiedziała Damia Pharr krótko przed spotkaniem z „Grampionem” – że morale załogi również się poprawiło.

–Zauważyłem, pani major. Pozostaje mieć nadzieję, że poprawa obejmie nasze śpiące królowny.

–Z pewnością, sir, z pewnością – odparła Pharr z przekonaniem, które rozwiało ostatnie wątpliwości kapitana.

Nim „Mandalay” zadokował przy olbrzymim okręcie zaopatrzeniowym „Grampion”, nawet powietrze z ledwo nadającego się do oddychania zmieniło się na całkiem znośne. Najpierw zbudzono oficerów, bo napłynęły rozkazy wzywające ich do stawienia się na odprawę na okręcie flagowym. Jeśli iskry w oczach pułkownika Gruena i majora Loftusa mogły być jakąś wskazówką, to terapia Pharr rzeczywiście działała cuda.

–Pharr, z budzeniem pozostałych zaczekaj do naszego powrotu – powiedział Gruen, nie zważając na zadowolony uśmiech lekarki. – Może oprócz złych wieści będziemy mieć do zakomunikowania parę dobrych. To nie zaszkodzi. Panował taki spokój, że cierpnie mi skóra na myśl, że trzeba wszystkich zbudzić.

Damia Pharr ziewnęła, aż jej chrupnęło w szczęce.

–Mnie też się przyda trochę S i S, Jay!

–Nie R i R?

–Wypróbuj S i S. Jest różnica. Zobaczysz.

Po formalnym odgwizdaniu na pokładzie okrętu flagowego pułkownik odszukał żonę, która niespokojnie wypatrywała go przy służbie. Zdziwiła się, bo wyglądał jakby ubyło mu lat.

–Nie wierzę własnym oczom, Jay – powiedziała, obdarzając go krótkim, ale namiętym pocałunkiem na oczach uśmiechniętego oficera i marynarzy. – Dwa tygodnie temu wyglądałeś okropnie... – Urwała, nie chcąc wdawać się w szczegóły dotyczące potajemnego kontaktu. Pociągnęła go w dół zejścia. – Zresztą nie tylko ty. Cześć, Pete, też wyglądasz na wypoczętego i gotowego do akcji. Jak to

zrobiłeś?

–Dobrego pułku nic nie załamie, wiesz – odparł Pete Loftus, szczerząc zęby. Ziewnął i uśmiechnął się wstydliwie, ponieważ zasłaniając usta.

–Wszyscy Nieregularni z Montany są w doskonałej formie, Pamelo – poinformował Jay Gruen zdumioną małżonkę – dobry długi sen jest niezrównanym lekarstwem.

Trochę S i S tobie też nie zaszkodzi. Opowiem ci o wszystkim w drodze do jaskini generała.

I opowiedział. Nikt z załogi „Mandalay” nie był zdziwiony, gdy w następnych rozkazach Naczelnego Dowództwa znalazła się wzmianka o S i S, inaczej Remedium „Mandalay”. Damia Fharr została awansowana na pułkownika i uczciła tę okazję M i M-ami, gdy „Mandalay” dołączył do Sił Ekspedycyjnych Syndykatu. Ale to zupełnie inna historia.

Stado gęsi Burza czasowa przesunęła się i ta zmiana wystarczyła, żeby zbudzić Chloe, dostrojoną do fenomenu zaburzeń.

Rozespana, na wpół przytomnie wyciągnęła rękę, żeby zapalić światło. Nie bardzo wiedziała, po co sięga, póki palce nie zamknęły się na smukłym metalowym cylindrze.

Musiała skupić myśli, żeby sobie przypomnieć, jak się zapala ten rodzaj promienia. Ustawiła go pod takim kątem, żeby os'wietlał jej lewy nadgarstek, gdy palcem szukała cyfrowego przełącznika. Ekran poinformował ją, że s'redni czas trwania ostatniej zmiany wynosił cztery dni, czternaście godzin, trzydzieści dwie minuty i dziesięć sekund. Czas w społeczeństwie Issara był nadzwyczaj skomplikowany. W swoim ojczystym osiemnastym stuleciu Chloe przywykła do określania pory dnia według pozycji słońca. Ale słońce nie było już wiarygodnym zegarem.

Z kamiennej półki nad materacem Chloe zdjęła notes i cudowne pióro, którego nigdy nie trzeba było zanurzać w atramencie. Dodała czas, który upłynął, do schludnej kolumny cyfr reprezentujących długość burz czasowych i przerw pomiędzy nimi. Niestety, zapiski sumiennie prowadzone od trzech lat nie chciały ujawnić swojego sekretu. Chloe westchnęła. Gdyby tylko mogła dostrzec związek między burzą czasową a przerwą, panowałyby nad swoim istnieniem tak, jak nad jaskinią i wszystkimi, którzy w niej mieszkali.

–Bodaj cię piekło pochłonęło, Issaro – powiedziała, ironicznie s'wiadoma, że prawdopodobnie tak właśnie się stało, gdy burza czasowa zaskoczyła go daleko od jaskini.

Chloe nie zamierzała go tracić, nie przed rozwikłaniem tajemnicy rytmu zmian. Jeśli faktycznie był jakiś rytm, jak stale zapewniał. – Będzie, co ma być – dodała filozoficznie.

Kiedyś, w przyszłości – w swojej przyszłości – zapewne spotka inną osobę ze skomputeryzowanego społeczeństwa Issara i z jej pomocą pozna tajemnicę liczb.

Zgasła światło. Urządzenie było nadzwyczaj użyteczne, mniej niebezpieczne niż świece czy iskry z

krzemienia i hubki, i jaśniejsze od zwyczajnej latarni. Rozsądne używanie miało przedłużyć jego funkcjonowanie. Pewnego dnia, gdy zapiski odsłonią przed nią swój sekret, dowie się, kiedy nastąpi kolejny kontakt ze światem, który stworzył nieduże ręczne światło.

Zięb burzy czasowej przeminął i Chloe zrobiło się ciepło pod warstwami kołder, które wolała od lżejszych koców i termicznych okryć używanych przez innych. Najwcześniejszym dniom życia w jaskini towarzyszyły siarczyste mrozy; ludzie kulili się razem pod wszelkimi dostępnymi okryciami, żeby nie zamrznąć. Chloe obiecała sobie, że już nigdy nie zazna takiego zimna, więc szyła jeden patchwork po drugim ze wszelkich dostępnych skrawków materiału. Mrozy nie powracały przez długi czas i niekiedy bała się, że łaskawa pogoda w końcu musi się od nich odwrócić. Starannie złożyła swoje kołdry, rozgrzane i niezbyt przyjemnie pachnące. Jeśli dzień jest ładny, wyniesie je na dwór i przewietrzy, a jeśli świeci słońce i w rzece płynie czysta woda, każe Dorcas przeprać jedną czy dwie.

Podniosła się z grubego nadmuchiwanego materaca będącego, jak cyfrowy zegarek Issara, skarbem znalezionym w obozowisku nad rzeką. Skarciła się w duchu za to upodobanie do zbytków. Nie pochwaliała społeczeństw, które je wytworzyły, choć dzięki takim drobiazgom życie w jaskini stawało się bardziej znośne. Wada tych wymyślnych wynalazków, takich jak promień światła czy maszyna do cięcia kamieni, polegała na tym, że prędzej czy później przestawały działać. Wtedy wszyscy z konieczności wracali do prymitywniejszych sposobów umożliwiających osiągnięcie tego samego celu. Stare metody były godne zaufania, ale nużące, dlatego jej ludzie narzekali i stale byli niezadowoleni, co zmuszało ją do wyjątkowej surowości.

Chloe czekała, aż jej oczy przywykną do egipskich ciemności panujących w małej alkwie. Gdyby maszyny do cięcia kamieni wytrzymały trochę dłużej, miałyby izbę w pełnym tego słowa znaczeniu, nie niszę naprzeciwko składziku. Pilnie nadstawiała ucha, ale słyszała tylko szmer oddechów ludzi śpiących w głównej komorze jaskini. Głęboko wciągnęła powietrze. Nie było zepsute, choć przesyciała je woń strachu. Pomyślała o śpiących: Michael, Destry, stary Edward, Indianin Fensu, utyskująca Rayda, bojaźliwa Malenda i stateczna Dorcas. Brzemienna Dorcas.

Chloe nie zaprzętała sobie głowy tym problemem. Rozprostowała spódnicę z gładkiego, mocnego materiału, będącego wytworem jeszcze innej kultury. Nie mogła się przekonać do noszenia bardziej praktycznych, ale nieprzyzwoitych ubrań, faworyzowanych przez wiele społeczeństw. Długie, sute spódnice przydawały autorytetu jej smukłej, wyprostowanej figurze. Paradowanie w spodniach byłoby poniżające.

Chloe ruszyła w kierunku wyjścia z jaskini, opierając się ręką o ścianę, bo podłoże było nierówne. Pewnego dnia każe ułożyć w najgorszych dziurach obciosane kamienie.

Dobrze znała swoje schronienie, więc w pewnej chwili pochyliła głowę, żeby nie uderzyć się o opadający strop.

Kiedy zdobędzie więcej maszyn do cięcia kamienia, wyrówna te garby. Stała w małym przedsionku, na wyciągnięcie ręki od masywnych drzwi.

Mimowolnie odmawiając modlitwę do Boga, który, jak wiedziała, już nie istniał, płasko przyłożyła rękę do drewna.

Nie wyczuła wibracji, parcia ciśnienia ani skrajnych temperatur. Odetchnęła głęboko, badając smak powietrza. Nie wyczuła ani gryzącego zapachu zanieczyszczonej atmosfery, ani wilgoci deszczu czy śniegu, tylko środek konserwujący, w którym moczono drewno. Jak dobrze pamiętała radość, kiedy znaleźli podkłady kolejowe. Przetransportowanie wielkich kłoców do jaskini zabrało większą część tamtej przerwy.

–Będą z nich najlepsze drzwi na świecie! Znajdzie się żelazo na rygle i zawiasy – zawołał Douglas triumfalnie. – Koniec z chowaniem się w głębi jaskini, koniec modlenia się, żeby nie pochłonęły nas żywioły. Nic w świecie, w żadnym świecie, nie przedrze się przez te drzwi, kiedy je wstawię!

Douglasa nie było wśród nich już od dawna, ale drzwi pozostały, świadectwo jego pomysłowości i zwinnych rąk.

Chloe trochę żałowała, że musiał odejść, ale nie było innego wyjścia. Mieszkańcy jaskini musieli wiedzieć, kto tu rządzi – ona, nie jakiś nadęty nicpoń. Tylko ona dostrzegała fale, które poprzedzały zmianę czasu.

Wymacała rygle i przesunęła je w dobrze naoliwionych zawiasach. Podniosła ciężką belkę i nacisnęła klamkę. Jeszcze raz zastygła w bezruchu, choć przeczuwała, że zmiana jest dobra i że po drugiej stronie nie czai się żaden koszmar. Zapała się, by otworzyć ciężkie drzwi.

Wiosna! Nie fałszywa wiosna sprzed trzech zmian, pełna zmutowanych straszydeł rosnących na dziwnie odmienionej ziemi. Środek popołudnia, chyba że ta zmiana czasu zmieniła też bieg słońca. Zapachy niesione przez wiatr były słodko znajome. Chloe wyszła i odwróciła się, jak zawsze, by popatrzeć na góry, na odwieczne wzgórza. Były na swoim miejscu, ani trochę niezmienione. Turnie i zbocza nie mogły służyć żadną pomocą, wbrew naukom dawnych psalmistów, ale ich kontury stanowiły jedyną stałą w tym chaotycznym świecie. Chloe syciła oczy błogosławionym, znajomym zarysem. Z każdą zmianą czasu teren wokół jaskini przybierał różne formy, piękne i odrażające, ale sylwetka gór pozostawała niezmienna.

–Dobry wybór, drodzy obywatele – powiedział przed laty Douglas, w swoją pierwszą noc pobytu w jaskini. – To skała pierwotna, solidny bazalt. – Z uczuciem poklepał kamienną ścianę. – Część szkieletu tej udręczonej ziemi, powstała przed tysiącami lat i mało prawdopodobne, by się zmieniła, niezależnie od siły burz czasowych. O ile stara Ziemia nie przeskoczy do ery archaicznej, tych skał nic nie odmieni. Możesz mi wierzyć!

Wierzyła mu, dopóki nie zaczął podburzać ludzi przeciwko niej, żeby przejąć władzę w jaskini. Bezlitośnie zostawiła go wraz z buntownikami w następnej zmianie. Brakowało jej Douglasa ze względu na jego umiejętności i dar rozwiązywania praktycznych problemów, które napotykali w swej dziwnej egzystencji. Przyjęła, że jego teoretyczne oceny, dotyczące na przykład trwałości gór, dorównują solidnością dokonaniom praktycznym.

Raz jeszcze widok gór pocieszył ją i podniósł na duchu. Uspokojona, odwróciła się i rozejrzała po dolinie.

Rzeki, przebłyskujące za rzadkim bądź młodym lasem, były na swoim miejscu, a ich brzegów nie szpeciły żadne zabudowania. Rzeki te nawadniały kwitnące gospodarstwo jej ojca. Nadane przez gubernatora kolonii żyzne ziemie wzbudzały zazdrość sąsiadów. Cóż, już nie była posażną panną, już nie mogła decydować o swoim losie ani zarządzać schedą po ojcu. Zastanowiła się, jak noc pierwszej burzy czasowej znieśli ci panowie, natarczywi adoratorzy, którzy zmusili ją do ucieczki na wzgórze. Całe szczęście, że ukryła się w tej jaskini, będącej, jak się okazało, jedynym bezpiecznym schronem w tym targanym przez burze świecie.

Lekki powiew, przesycony wilgocią, bez nieznanomych zapachów, zmierzwił jej włosy. Nie zobaczyła karłowatych ani cudacznych drzew. W młodym lesie poznała wiązy, brzozy, kasztanowce, dęby, jesiony i, dalej na wzgórzu, buki i wierzby. Krzepiące dźwięki napłynęły do jej uszu, rozmowy ptaków, zwierząt i owadów. Nie umiała powiedzieć, w jakiej epoce jest Ziemia, bo górskie lasy na wschodnim wybrzeżu Ameryki nie zmieniały się przez stulecia, dopóki Anglia nie założyła kolonii. Według Douglasa, w tej części kraju, zwanej na zmianę Górnym Stanem Nowy Jork, Mniejszym Metropolis, Wschodnim Sektorem i Czerwonym Regionem, do końca dwudziestego piątego stulecia istniało względnie niewiele ośrodków miejskich.

Chloe, kobiecie z osiemnastego stulecia, myśl o dwudziestym piątym wieku ledwo mieściła się w głowie. Jakieś jeszcze późniejsze społeczeństwo rozdarło tkaninę czasu, co spowodowało wielkie zaburzenia, przerzucające planetę z jednego punktu na osi czasu do innego wzdłuż piątego wymiaru. Przynajmniej tak twierdził Issaro. Dawna Chloe z osiemnastego stulecia nie byłaby w stanie pojąć takiej teorii, ale dwanaście lat podróży w czasie poszerzyło jej horyzonty. Kobieta, która teraz oceniała nowy okres względnej stabilności, widziała tyle cudów, że już nic nie mogło jej zdziwić.

Chloe wyszła spod nawisu jaskini. Ta przerwa będzie przyjemna, choć jesień byłaby znacznie lepsza – mogliby uzupełnić zapasy ziół, zboża, owoców i orzechów. Odruchowo zgarnęła spódnice w jedną rękę i zaczęła zbierać suche gałęzie z polany. Drewna na opał nigdy nie było w nadmiarze, a poza tym uważała bezczynność za najgorszą przywarę i nie tolerowała jej u nikogo, ze sobą na czele. Zniosła do jaskini pierwsze naręczce i po cichu schowała w koszu. Hałas nikomu nie przeszkodził. Spali twardo, wyczerpani trudami ostatniej przerwy, choć wcale nie była najgorsza. I dobrze. Chloe ceniła sobie te chwile samotności, pozwalające jej zebrać myśli i zaplanować, jak najlepiej wykorzystać nową zmianę.

Wróciła do swojej alkowy i zabrała kołdry. Rozwieszając je na konarach, zastanawiała się, jaki jest ten świat.

Miała nadzieję, że jest pełen zwierzyny. Mięsa zawsze brakowało. Trzeba będzie wysłać mężczyzn na polowanie i do zastawiania sideł. Kobiety mogą łowić ryby i zbierać wiosenne jagody. Miała wrażenie, że pobędą tu jakiś czas.

Zdążą się rozejrzeć i sprawdzić, co jeszcze ma do zaoferowania ten świat.

Zabrała kubetek z półki, zwracając uwagę, że cenne narzędzia nie zostały należycie zabezpieczone. Będzie musiała powiedzieć słówko Raydzie. Wychowana w wysoko rozwiniętym społeczeństwie, nie cierpiąca brudzić sobie rąk czy wyęzać mięśni w ucziwej pracy, Rayda miała niewiele pożytecznych talentów. Przebywała w jaskini od pięciu zmian i ponieważ nie było z niej większego pożytku, najlepiej będzie się jej pozbyć. Chloe nie grzeszyła nadmiarem wyrozumiałości wobec rozbitków. Wykorzystywała ich umiejętności i zachowywała rzeczy, z jakimi przybywali. Przykre doświadczenia nauczyły ją bezwzględności w walce o autorytet i władzę. Nikogo z wyprzedzeniem nie informowała o wybuchu burzy czasowej, dzięki czemu sama mogła decydować, któremu z jej towarzyszy będzie dane przetrwać ją w bezpiecznej jaskini.

Na szczęście, nigdy nie trafiła drugi raz do tego samego czasu i była głęboko wdzięczna losowi za tę drobną łaskę.

Zadecydowała, że rozstanie się z Raydą pod koniec tej przerwy. Prosty wybieg w odpowiedniej chwili powinien załatwić sprawę. Ta kobieta nie miała zmysłu orientacji.

Czy możliwe jest skompletowanie grupy złożonej z ludzi obdarzonych talentami przydatnymi w trakcie przejść i niezbędnych w epokach, do których rzucą ich burze czasowe? Stabilnej grupy bezkonfliktowych osób znających swoje miejsce, bez nagłych niewytłumaczalnych ambicji i roszczenia sobie prawa do jej przywilejów – przyzwoitych ludzi, oddanych sprawie przyzwoitego życia w tej jedynej kryjówce na planecie, którą porzucił porządek czasu? W najlepszym ze wszystkich możliwych światów?

Chloe szła między drzewami, wypatrując wczesnych jagód i uśmiechając się do swoich myśli. Issaro przy kilku okazjach napomknął, że muszą istnieć inne schronienia, inne stabilne regiony na powierzchni i pod powierzchnią Ziemi. Chloe zbyła parsknięciem propozycję nawiązania kontaktu z innymi rozbitkami, choć niekiedy wpadał jej w ręce sprzęt umożliwiający podjęcie takiej próby. Gadanina z nieznanymi ludźmi po drugiej stronie kontynentu czy oceanu wydawała się jej fanaberią. Co dobrego przyniosłoby taki kontakt? Czy garstka ludzi mogłaby zaradzić nieszczęściu, jakie ich dotknęło? Nawet cały tłum, jednocząc siły, nie odmieni katastrofy, która ogarnęła świat. Jeśli, jak utrzymywał Issaro, czas został rozerwany w następstwie jakichś eksperymentów naukowych przyszłości, .nawet największe starania przeszłości nie naprawią tego pęknięcia. Mądrzej pogodzić się z tym fenomenem i żyć we względnym bezpieczeństwie i wygodzie.

Chloe wyszła z lasu na polanę. Krzaki agrestu ugięły się pod ciężarem żółtawozielonych owoców. Chloe zjadała je zachłannie, by sok nawilżył tkanki wysuszone w czasie przerwy.

Miała prawie pełne wiaderko, gdy usłyszała szelest w poszyciu. Kucnęła pod osłoną krzaków, zauważając, że wiatr wieje od strony stworzenia. Przez chwilę bała się, że zobaczy jakieś koszarne straszdyło. Odetchnęła z ulgą, gdy poznała charakterystyczny pysk i sylwetkę niedźwiedzia – niezbyt dużego i, sądząc z łapczywości, z jaką zrywał agrest, niedawno zbudzonego ze snu zimowego.

Każdy niedźwiedź może być niebezpieczny, więc Chloe wyszła z krzaków i szybko wróciła do jaskini. Czy obudzić mężczyzn, żeby go upolowali? Nie, chudzielec z wyliniałym po zimie futrem był



bezwartościowy. Co więcej, Michael i Destry od razu chcieliby użyć broni palnej. Obecność niedźwiedzia wróżyła istnienie innych, użytecznych gatunków. Chloe zdusiła żal, że nie trafili na późniejszą porę roku, kiedy niedźwiedź ze względu na zgromadzony zapas tłuszczu nadawałby się do upolowania. Ale może spędzą tu całe lato i zbiorą jesienne plony. Światło słońca i świeże powietrze wpadające przez otwarte drzwi nie zbudziło śpiących. Chloe popatrzyła na nich z niesmakiem graniczącym z pogardą. Prawdę powiedziawszy, jedynym przydatnym mężczyzną był Fensu, ale nie rnoła dłużej dzielić jaskini z Irokezem, bo tylko obecność trzech pozostałych hamowała jego dzikie zapędy.

Chloe postawiła wiaderko na kamiennej podłodze. Cichy zgrzyt nikogo nie zaniepokoił. Michael spał obok Malendy, ale pod osobnym okryciem. Fensu leżał za nimi, owinięty w rysie futra. Rayda kulila się blisko ciężarnej Dorcas, a Edward i Destry, powodowani osobliwą uprzejmością, ułożyli się w poprzek wejścia do wewnętrznej komory.

Tak, pomyślała Chloe chłodno, pozbędzie się ich wszystkich. Już dawno nauczyła się od nich tego, co mogło się jej przydać. Była znudzona ich opowieściami i smutnymi minami. Dlaczego nie potrafią się cieszyć tym, że bezpiecznie przetrwali burzę czasową? Że mają dość jedzenia i wody do picia? I ubrania do ogrzania grzbietów? Brakowało im odwagi, prawdziwego hartu. Pozbywała się znacznie lepszych towarzyszy niż oni. Prawdę powiedziawszy, zdumiewała się własnym miłosierdziem, które kazało jej utrzymywać gromadę leniwych gamoni.

–Wstawać, obiboki, próżniaki – zawołała, poszturchując śpiących. – Wstawać! Czas do pracy! Marsz po świeże mięso, bo chcę zjeść ciepłą kolację. Michael, ty i Destry pomożecie Fensu zastawić potrzaski i wnyki...

–Możemy zabrać strzelby? – Podekscytowany Michael szybko otrząsnął się ze snu.

–Co? I spłoszyć zwierzynę? Nie mam nieograniczonych zapasów prochu i kul... – urwała, widząc jego minę.

Michael nazywał proch i kule „amunicją”. – Łapki i wnyki wystarczą na nasze potrzeby.

–Zostaniemy tu dłużej? – zapytał Edward. Zapadła cisza, gdy czekali na jej odpowiedź.

–Wystarczająco długo, by większą korzyść odnieść z pracy niż ze strzępienia języka. Edwardzie, strumień jest wezbrany. Napełnij kociołek, a potem dolej do beczek.

–Chloe miała trochę złośliwej satysfakcji, zapędzając wykształconego mężczyznę do noszenia wody. – Dorcas, roznieć ogień. Porządne ognisko przepędzi z jaskini ziąb czasu... i strachu. – Rozejrzała się, ciekawa, czy żądło zabolalo. Edward i Destry spiesznie uciekli z oczami i zaczęli składać swoje śpiwory. – Nie, flejtuchy. Wynieście posłania na dwór, niech się przewietrzą. Fuj! Malenda!

Rayda! Niedaleko stąd rośnie dojrzały agrest. Nazrywać...

–A zatem nie będziemy tu długo? – zapytał Michael, błędnie interpretując jej pośpiech.

Obrzuciła go długim spojrzeniem, karcąc za głupie pytanie.

–Po co zostawiać owoce dla ptaków, skoro mogą osłodzić nasze wysuszone usta?

Michael wzruszył ramionami i wyszedł z jaskini, zabierając zwinięte posłanie.

–Ruszać! Wiecie, co macie robić. Nie rozrabiać!

Fensu przemknął tak blisko, że poczuła jego piżmowy zapach. Tak, choć w lesie radził sobie jak nikt inny, musiała go spisać na straty. Samce takie jak on zmusiły ją do ucieczki z pięknej farmy ojca, skazały na niepewną wegetację na tym wygnaniu.

–Dni spędzone w ciemności, i co to za odpoczynek na zimnych kamieniach... – Rayda ponurym głosem rozpoczęła swoją litanie skarg. Destry potrząsnął ją za ramię, żeby się uciszyła. Razem wyszli z głównej pieczary. Malenda, z naręczem koców, pospieszyła za nimi.

Może, pomyślała Chloe ze złośliwą nadzieją, wygłodzony niedźwiedź nadal buszuje w agreście i dobierze się Raydzie do skóry.

Usłyszała trzask ognia i popatrzyła z uznaniem na Dorcas, która ustawiała trójnog nad paleniskiem. Szkoda, że była brzemienna. Chloe dowiedziała się za późno, by temu zaradzić. Potulna Dorcas była doskonałą służącą i nie miała dużych wymagań, ale Chloe wolałaby do towarzystwa osobę innego pokroju, a już na pewno nie z dzieckiem.

–Przyniosę zioła i mąkę kukurydzianą na chleb, a ty, Dorcas, obierz warzywa. Marchew i cebulę dodamy do mięsa, które przyniosą mężczyźni.

Dorcas bez słowa pokiwała głową i poszła do skrzyni z piaskiem, gdzie przechowywano korzeniowe warzywa.

Idąc krótkim korytarzem do spichlerza, Chloe sięgnęła do przepastnej kieszeni po ciężkie klucze.

–To niedorzeczne – powiedział Douglas, kiedy poprosiła go o zrobienie kluczy i zamków. – Co się stanie, jeśli nie wrócisz do jaskini...

–Mój drogi, ja zawsze wrócę!

Chloe nie widziała sensu w wyjaśnianiu mężczyźnie z przyszłości prawdziwego znaczenia kluczy. Pierwszy komplet dostała od ojca w wieku piętnastu lat, gdy zaczęła zarządzać domem. Okazała się wzorową gospodynią, choć miała do pomocy tylko bezmyślną, niechlujną kolonialną służbę. Nabyte wówczas doświadczenie służyło jej dobrze w obecnych opłakanych czasach.

Wybrała ciężki klucz wykuty przez Douglasa i wsunęła go do wielkiego zamka. Usłyszała trzask przeskakujących zapadek. Przypuszczała, że Douglas odgadł jej pobudki, bo, jak nigdy, odwdzieczyła mu się za drzwi, rygle, zamki i klucze. Szkoda, że jako człowiek był mniej godny zaufania niż jako

rzemieślnik.

Chloe zapaliła lampę naftową i odmierzyła miarkę mąki. Światło było jasne jak zawsze. Pomacała worki z ziołami.

Wystarczy jeszcze na długo, zwłaszcza że niedługo zapotrzebowanie na zapasy dramatycznie zmaleje.

Zgasiła lampę, zamknęła kratę na klucz. Edward wrócił z kociołkiem z pierwszej wyprawy nad strumień. Rzucił okiem na Chloe i spieszenie zajął się swoją robotą. Dorcas już położyła na ogniu blachę do pieczenia chleba, więc Chloe bez słowa podała jej mąkę i zioła.

Pod jej czujnym okiem kobieta ostrożnie mieszała wodę z mąką, gdy z zewnątrz dobiegł gwar wzburzonych głosów. Pojawił się Michael, za nim przybiegł Destry.

–Strzelba, Chloe! Strzelba, szybko! Niedźwiedź zapędził Raydę na drzewo!

–Niedźwiedź?

–Dziwne, że nie słyszałaś jej wrzasków – wydyszał Michael. – Daj strzelbę!

Chloe zawahała się. Wychudzony niedźwiedź z wyliniałym futrem niewart był prochu i kuli.

–Wiedziałaś', że tam jest niedźwiedź, kiedy posłałaś' Raydę po agrest?

–Byłam tam niecałą godzinę temu! – Chloe pogardliwym gestem wskazała pełne wiaderko.

–Drzewo nie jest zbyt duże ani silne – dodał Destry, gdy tylko złapał oddech.

Chloe zobaczyła, że Dorcas na nią patrzy, z rękami zastygniętymi nad naczyniem. Dostrzegła złość w oczach Michaela i niepokój Destry'ego. Nie mogła pozwolić, by poznali, że chce się pozbyć Raydy, bo inaczej będzie miała kłopot z pozbyciem się ich wszystkich.

Szybko ruszyła do skrzyni z bronią, szukając właściwego klucza. Wyjęła najcięższą strzelbę i dwie kule. Michael niecierpliwie machnął ręką na znak, że chce więcej naboii.

–Postaraj się trafić za pierwszym razem. Zresztą sam hałas zapewne wystraszy zwierzę.

Michael rzucił jej jadowite spojrzenie, odwrócił się i wybiegł z jaskini. Destry popędził za nim. Chloe wolnym krokiem podeszła do wyjścia. Zobaczyła rozkołysane krzaki, w których zniknęli. Westchnęła z irytacji. Przeklęty niedźwiedź! Przez niego dzisiaj niewielki będzie pożytek z mężczyzn i Raydy. Bodaj spotkało ją wieczne potępienie! Chloe uświadomiła sobie, że niełatwo będzie wysłać z jaskini strachliwą kobietę po tym „szarpiącym nerwy” przeżyciu. Tym bardziej należy się jej pozbyć.

Chloe zawróciła w głąb jaskini. Przystanęła, żeby popatrzeć na Dorcas, jedyną sumienną robotnicę z całej gromady. Obie usłyszały echo strzału. Ręce Dorcas przyspieszyły, jakby nie mogły doczekać się

mięsa.

–Nie liczyłabym na celność Michaela, Dorcas. – Drugi strzał potwierdził słowa Chloe.

Czekając na powrót myśliwych, Chloe przewracała wietrzące się śpiwory, futra i koce. Malenda szła pierwsza, rozchyłając i przytrzymując gałęzie przed Michaeliem, który chwiał się pod ciężarem bezwładnej Raydy.

–Zemdlała – powiedział, gdy położył nieprzytomną kobietę przy ogniu. – Na szczęście, starczyło jej zimnej krwi, by trzymać się gałęzi, póki nie zastrzelę niedźwiedzia. – Popatrzył na Chloe, która odpowiedziała mu równie pogardliwym spojrzeniem.

–Dwa strzały?

–Trzeba było dwóch. Twardy stary bydlak. Fensu i Destry go oprawiają. – Michael zdjął strzelbę z ramienia i wyciągnął ją w stronę Chloe.

–Strzelbę trzeba wyczyścić – powiedziała oschle, odwracając się do Raydy.

Dorcas już pochylała się nad kobietą, wycierając krew.

–Nie ma głębokich ran. Dziwne, że zemdlała – powiedziała.

–Przeżyła wielki szok – mruknęła Malenda.

Dorcas chrząknęła niezobowiązująco.

–Ty pewnie też – zauważyła Chloe szyderczym tonem, smarując zadrapania maścią z żywokostu. Nie zadały ich pazury niedźwiedzia. Rayda pokaleczyła się w czasie ucieczki przez agrest i wspinaczki na drzewo.

–Niedźwiedź szedł prosto na nią – powiedziała Malenda w obronie Raydy.

–Udało wam się narwać agrestu przed tym tragicznym zdarzeniem?

–Tak... – Malenda zająknęła się, patrząc czujnie na Chloe.

–W takim razie wracaj do roboty i pamiętaj, żeby przynieść też wiaderko Raydy. Pełne, jeśli łaska. Będzie widno jeszcze przez parę godzin.

–Och, jesteś nie do zniesienia, Chloe!

–Dzięki mnie macie to wszystko. – Chloe zamaszystym gestem omiotła jaskinię i zgromadzone zapasy. Rayda jęknęła. – Oprawienie niedźwiedzia zabierze trochę czasu. Będziesz mieć towarzystwo w krzakach. Agrest przyda się do gulaszu z niedźwiedziego mięsa. Idź już!

W rzeczywistości agrest i chleb kukurydziany cieszyły się większym powodzeniem w czasie wieczornego posiłku. Niedźwiedź zrzucił zimowy tłuszcz i łykowane mięso tak cuchnęło rybami, że nawet Dorcas, niezastąpiona w zaprawianiu, nie zdołała zamaskować przykrej woni. Rayda, z obandażowanymi rękami i nogami wysmarowanymi żywokostem, jęknęła ze śpiwora, że nie tknie mięsa bestii, która omal jej nie zabiła. Współczująca Malenda odstąpiła jej swój chleb i agrest. Fensu jako jedyny najadł się do syta i z zadowoleniem oblizał usta. Chloe wzdrygnęła się z obrzydzenia na ten widok.

Kiedy mężczyźni usiedli do czyszczenia skóry, Chloe usadowiła się na stołku przed jaskinią z ostatnim patchworkiem na kolanach. Zszywanie gałganków uspokajało ją po dziennym zdenerwowaniu. Poza tym nie zniosłaby siedzenia w jaskini w taki widny wieczór, zwłaszcza że Rayda nie przestawała biadolić, a Malenda świergoliła współczująco.

Kołodrę, ze wzorem zwanym Stado Gęsi, tworzyły łatki powycinane z odzieży byłych mieszkańców jaskini. Chloe z biegiem lat zauważyła, że błękity, szarości i brązy są charakterystycznymi odcieniami wiejskiej przeszłości, natomiast żywe barwy podstawowe i ciekawe pastele dominują w większości przyszłości miejskich. Zaczęła zszywać nowy kwadrat. Trójkąty z czerwonej bluzy Issara i kraciastej koszuli Douglasa były zrównoważone przez szarość koszuli Fanela. Szary materiał był lepszy, bez dwóch zdań, ale podobnej grubości co ubrania Douglasa i Issara. Musiała starannie dopasowywać fakturę. Wolałaby perkale albo porządne, mocne tkaniny z lnu i wełny, bo sztuczne materiały przyszłości marszczyły się i rozciągały, ale musiała korzystać z tego, co było pod ręką. Nikt się nie skarżył na wygląd patchworków, kiedy ogrzewały ciało w czasie długich, lodowatych burz czasowych'.

Pięć ostatnich zmian na szczęście zmierzało, jak klucze dzikich gęsi, ku wiośnie. W szarych przerwach naprzemian panowało nieznośne gorąco i straszliwe zimno.

Chloe dokończyła ostatni szew i znieruchomiła, wpatrując się pilnie we wzór, wspominając z nagłą jasnością ludzi, których odzież służyła do tego nowego celu. Dostrzegła zdumiewający porządek. Zmiany czasu zachodziły według wzoru, który nie miał nic wspólnego z naprzemiennymi okresami burz i spokoju; ważne było zapamiętywanie miejsc i ich lokalizacji w przeszłości bądź w przyszłości.

Nie potrzebowała już obliczeń Issara, nigdy nie potrzebowała niczego więcej prócz własnych wspomnień, które, ułożone w uporządkowany sposób jak łatki patchworka, tworzyły wzór zmian.

Tłumiąc wewnętrzne podniecenie, Chloe zaczęła układać ukończone kwadraty, kojarząc tkaniny z noszącymi je ludźmi i kulturami, z których pochodzili Czas przypominał ogromną okrągłą studnię. Planeta Ziemia była pionem zawieszonym na długim sznurze, podskakującym w górę i w dół, kołyszącym się na boki, szarpanym przez nieodpowiedzialną rękę, która zainicjowała pęknięcie czasu. Chloe mieszała porównania i metafory, ale wiedziała, o co jej chodzi. I wiedziała, gdzie teraz jest.

Jutro o pierwszym brzasku wyśle Michaela, Destry'ego 1 Fensu w dół południowej rzeki. W miejscu,

gdzie południowa rzeka łączy się w potężniejszą, płynącą na południowy wschód do morza, natkną się, była teraz pewna, na małą, ale nie prymitywną osadę. Da Michaelowi dość amunicji, żeby uspokoić ewentualne podejrzenia. Nigdy się nie domyśli. W obecnym czasie w okolicy zostało niewiele zwierzyny, świadczył o tym pożałowania godny stan niedźwiedzia. W osadzie będą ludzie znający się na leczeniu, więc gdyby Michael i Destry wrócili, z czystym sumieniem pośle do nich Raydę. Przypuszczała, że Fensu skorzysta z okazji i zniknie. Był dziki, ale nie głupi. Malenda pójdzie z Raydą. Taka decyzja wyda się logiczna i jak najbardziej usprawiedliwiona. Michael i Destry ostatecznie mogliby zostać, ale równie dobrze obejdzie się bez ich towarzystwa. Edward spędził w jaskini ze dwie czy trzy zmiany. Fizycznie niewielki był z niego pożytek, ale miał bystry umysł i Chloe jeszcze nie poznała całej wiedzy, którą przez długi czas gromadziła w głowie. Z Dorcas da się wytrzymać. Dziecko urodzi się nie wcześniej niż za cztery miesiące. Chloe starannie wygładziła następną łątkę. Kolejna zmiana czasu przeniesie ich bliżej okresu, z którego pochodziła. Tam będzie szczęśliwa i na pewno znajdzie sobie męża.

Zadowolona ze swoich planów, Chloe znalazła w koszyku kawałki w czterech kolorach, które będą ładnie wyglądać w następnym kwadracie Stada Gęsi.

Największa miłość napisane ut 1956 Zdecydowanie nie dorasta pani do swojego nazwiska, doktor Craft\* – wysyczała Louise Baxter, kładąc jadowity akcent na moim nazwisku. – Mam nadzieję, że dostała pani ten stopień na prawdziwej uczelni medycznej. A może skończyła pani jakiś kurs korespondencyjny?

Nie zniżyłam się do odpowiedzi, żeby nie dodawać drwinie powagi. Darzyłam swój niedawno uzyskany dyplom z Cornell Medical School zbyt wielkim szacunkiem, by deprecjonować go w sprzeczce z wariatką.

Słodko zgryźliwym głosem, który musiał przyprawiać jej podwładnych o ciarki, mówiła:

–W świecie mody człowiek szybko uczy się odróżniać fachowca od partacza. Sklasyfikowanie pani rodzaju jest bardzo łatwe.

Powstrzymałam się od stwierdzenia, że sklasyfikowanie jej rodzaju – Zimna Wyrachowana Samica udająca Zatroaskaną Matkę – nie jest dla mnie najmniejszym problemem. Powód jej rozmowy ze mną, czyli lekarzem położnikiem jej córki, był nie tylko pokrętny, ale również podły. Jej pierwsza uwaga – zdziwienie, że jestem kobietą – zapoczątkowała piętnastominutową litanie zniewag. \* Craft (ang.) – zręczność, kunszt, biegłość; crafty – zręczny, przebiegły.

–Powiedziałam prawdę, pani Baxter. Cięża przebiega normalnie i zadowalająco. Może pani interpretować fakty, jak pani chce. – Chciałam jak najszybciej zakończyć tę niesmaczną rozmowę. – Za pięć miesięcy prawda ujrzy światło dzienne.

Nie zdziwił mnie pogardliwy wykrzyk, jakim skwitowała moją grę słów.

–Ma pani czelność stawiać się wyżej od najlepszych ginekologów z Harkness Pavilion?

–Nietrudno być na bieżąco z ulepszonymi technikami chirurgii macicznej – powiedziałam spokojnie.

–Konował!

Przemilczałam jej obelgę, zauważając mimochodem, że złość ujawnia wszystkie zmarszczki na jej twarzy pomimo umiejętnego makijażu.

–Przed przyjściem do pani skontaktowałam się z Harkness – wycodziła, próbując przytłoczyć mnie swoją wiedzą. – Nie ma nowych technik, które mogłyby usunąć wadę typu dwurożnej macicy!

–Więc?

–Więc niech pani nie próbuje mnie kantować, szarlatanie... – wytworny akcent ustąpił płaskiej, nosowej mowie typowej dla Środkowego Zachodu. – Moja córka nie może donosić dziecka. I pani o tym wie!

–Przypomnę pani o tym za pięć miesięcy, pani Baxter. – Wstałam na znak, że rozmowa dobiegła końca.

–Wy, feministki, wszystkie jesteście jednakowe! Uważacie, że jesteście lepsze we wszystkim od najwybitniejszych mężczyzn w kraju!

Choć nie jestem wojującą feministką, takie bezczelne uwagi mogą skłonić mnie do zmiany zdania, zwłaszcza kiedy rzucone są bez związku i bardziej ze złośliwości niż z innego powodu.

–Nie pojmuję związku między feminizmem a pani córką, która najwyraźniej pragnie wypełnić podstawową powinność kobiety.

Dobrze zakonserwowana twarz zaczerwieniła się po Kołnierzyk szykownej garsonki o męskim kroju. Pani Baxter podniosła się majestatycznie.

–Oskarżę panią o błąd w sztuce, konowale! – odzyskała panowanie nad głosem, z premedytacją przesycając go całym swoim psychotycznym jadem. – Już ja się postaram, żeby pani życie zawisło na włosku, jeśli jej gruboskórna głupota zaszkodzi zdrowiu psychicznemu Ceciły.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do gabinetu wmaszerowała Esther, moja pielęgniarka, w wyjątkowo bojowym nastroju.

–Jeśli pani Baxter skończyła, pani doktor – powiedziała z naciskiem na tytuł, co jeszcze bardziej rozdrażniło kobietę – następny pacjent czeka.

–Ze wszystkich...

–Tędy, pani Baxter – os'wiadczyła Esther stanowczo, zapędzając wściekłą kobietę w stronę drzwi.

Pani Baxter wyszła, mocno trzaskając drzwiami. Skrzywiłam się, przekonana, że pęknie szyba.

–Jakim cudem ta megiera mogła dać życie takiej słodkiej dziewczynie jak Cecyli? – mruknęłam.

–Przypuszczam, że Cecyli została poczęta w normalny sposób – odparła Esther.

Zmęczona, opadłam na krzesło. Byłam na nogach od czwartej trzydzieści rano i męcząca rozmowa z panią Baxter o piątej po południu stanowiła ukoronowanie długiego dnia.

–A ja przypuszczam, że słyszałaś wszystko przez interkom?

–Chwilami nie potrzebowałam wzmocnienia – odparła moja wierna pracownica wesoło. – Gdy zaczęła się ta afera, nie śmiałam zostawiać włączonego interkomu. Ktoś musi dbać o twoje interesy.

Uśmiechnęłam się do niej żałośnie.

–Warto pocierpieć...

–Stale powtarzasz... -...by zobaczyć ten poród.

–Nie wspominając o sławie niejakej doktor Allison S. Craft, specjalizującej się w położnictwie i ginekologii?

Obrzuciłam ją miażdżącym spojrzeniem, które beztrosko zignorowała.

–Cóż – westchnęłam nieco przybita – trzeba mieć powód do życia, poza odbieraniem dzieci, którym spieszo na świat.

–Zafunduj sobie parę własnych – parsknęła Esther.

Zdjęła mój płaszcz z haczyka i ruchem ręki kazała mi ściągnąć kitel. – Zamykam i żegnam, pani doktor.

Wyszłam.

Zjadłam samotnie kolację w restauracji, choć Elsie, która prowadzi lokal, próbowała mnie rozweselić. Po powrocie do domu nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Chciałam z kimś porozmawiać. No dobra, potrzebowałam kogoś, komu mogłabym się wyzalić. Czasami ciążył mi mój stan paniński. Nawet gdybym miała na oku jakiegoś faceta, naprawdę nie potrafiłam wyobrazić sobie satysfakcjonującego związku przed rozwinięciem praktyki i założeniem spółki. Obecnie zdarzało się, że pracowałam dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc raczej nie widziałam się w roli żony. Nie teraz. Zwłaszcza nie teraz.

Nalałam sobie drinka, doceniając jego lecznicze właściwości, i usiadłam na werandzie na tyłach domu. Zapadał zmierzch, wiosna się kończyła.

A więc Louise Baxter poda mnie do sądu, jeśli jej córka poroni. Zastanowiłam się, czy to zrobi, jeśli córka nie poroni. Gotowa byłam założyć się o tysiąc dolarów i moją już zagrożoną pozycję



zawodową, że zadbana, dobrze zakonserwowana Louise Baxter wzdraga się na samą myśl o zostaniu „babcią”. Może boi się, że to wpłynie na jej reputację w interesach – albo zdradzi tajemnicę jej wieku.

Czyżby broniła się przed emeryturą? Zaśmiałam się w duchu. Cecily Baxter Kellogg miała dwadzieścia siedem lat, więc wykluczone, żeby Louise Baxter przekroczyła sześćdziesiątkę.

Jednakże powiedziałam pani Baxter prawdę, szczerą prawdę: ciąża zaczęła się dobrze i stan matki nie budził zastrzeżeń. Wszystko wskazywało na to, że dziecko urodzi się w terminie.

Ale nie powiedziałam całej prawdy, bo Cecily Baxter Kellogg nie nosiła dziecka.

Kolejne medyczne „niepodobieństwo” chybotąło się na krawędzi możliwości. Mężczyzna może z miłości oddać życie za przyjaciela, ale o wiele większa miłość skłania jedną kobietę do urodzenia dziecka drugiej: dziecka, z którym nie ma nic, absolutnie nic wspólnego, z wyjątkiem dziewięciu miesięcy ciąży. Poprawka: to dziecko będzie spokrewnione, bo zastępcza matka jest jego ciotką ze strony ojca.

Wspomnienia nadzwyczajnych początków tego wielkiego eksperymentu były dla mnie równie żywe jak popołudniowa rozmowa z panią Baxter. I znacznie bardziej podnoszące na duchu.

Prawie rok temu na 2.30 miałam zapisaną w terminarzu wizytę panny Patricii Kellogg. Esther podkreśliła na czerwono „panna” i skrót „pn” – prenatalny. Słyszałam ze współczucia dla niezamężnych matek i przeprowadziłam wiele aborcji – legalnie.

Patricia Kellogg, ani trochę nie speszona, pewnym krokiem weszła do mojego gabinetu. Miała z sobą aktówkę.

–Od razu powiem, doktor Craft, że nie jestem w ciąży. Chcę być.

–Zależy więc pani na przedślubnym badaniu płodności?

–Nie zamierzam wychodzić za mąż.

–To... ach... zwykle taki jest wstęp do ciąży.

Uśmiechnęła się i beztrąsko powiedziała:

–Pragnę mieć dziecko mojego brata.

–Wie pani, Biblia nie pochwała takich rzeczy – odparłam, siląc się na zachowanie spokoju. – Poza tym związki tego typu niosą dość duże ryzyko genetyczne. Proponuję wizytę u psychologa, nie ginekologa.

Znowu się uśmiechnęła, tym razem figlarnie.

–Prawdę powiedziawszy, chciałabym mieć dziecko mojego brata i jego żony!

–Tego jeszcze nie było!

Poklepała aktówkę.

–Nie u ludzi.

–Och, zakładam, że czytała pani o eksperymentach na owcach i krowach. Wyniki są bardzo dobre, panno Kellogg, ale z punktu widzenia położnictwa to nie to samo.

Trudność polega...

–O ile się orientuję, prawdziwa trudność polega na tym, że nikt dotąd tego nie zrobił.

Podniosłam się i przysiadłam na brzegu biurka. Panna Kellogg na siedząco była dokładnie mojego wzrostu i potrzebowałam różnicy poziomów. Choć atrakcyjna, prędzej zostałaby sklasyfikowana jako „swoja”, „dziewczyna z sąsiedztwa”, niż seksbomba, o jakiej marzą mężczyźni. Nie wyglądała na osobę skłoną do głoszenia niedorzecznych twierdzeń i wysuwania równie niedorzecznych żądań.

Z drugiej strony, ostatnimi czasy wiele kobiet, po których nikt by się tego nie spodziewał, śmiało i energicznie domagało się swoich praw.

Panna Kellogg zaliczała się do ludzi stale zaskakujących innych, bo w trakcie opróżniania aktówki wyjaśniła spokojnie, że jej szwagierka ma dwurożną macicę. W czasie stażu w Cornell Medical spotkałam się z takim przypadkiem. Macica rozwija się nieprawidłowo, jajniki są płodne, ale jest podwójny jajowód. Kobieta z taką wadą dość łatwo zachodzi w ciążę, lecz zwykle w ciągu sześciu tygodni następuje poronienie. Donoszenie ciąży zostałoby uznane za cud. Przejrzałam kliniczne raporty ze znanych szpitali w Nowym Jorku i Michigan, potwierdzające stwierdzenia panny Kellogg i wyszczególniające pięć samoistnych poronień.

–Ostatnim razem Cecily donosiła ciążę do trzech miesięcy – powiedziała Pat Kellogg. – Niemal oszalała z rozpaczy, gdy poroniła. Widzi pani, była jedynym dzieckiem.

Od dzieciństwa marzyła o licznej rodzinie. Jej matka jest oddana pracy zawodowej i powiedziałabym, że dorobiła cię Cecily przez przypadek. Pamiętam, jak szczęśliwi byli Cecily i Peter, mój brat, kiedy ona sześć lat temu pierwszy raz zaszła w ciążę. I jaka była niepokieszona po pierwszym poronieniu. Nie ma pani pojęcia, ile wycierpiała. Przepraszam, może pani wie, będąc kobietą.

Pokiwałam głową. Żar w jej głosie jasno dawał do zrozumienia, że głęboko współczuje nieszczęśliwej szwagierce.

–Posiadanie dziecka stało się jej obsesją.

–A adopcja?

–Mój brat stracił wzrok w wojnie wietnamskiej.

–Tak, rozumiem. – Po zalegalizowaniu aborcji było niewiele dzieci do adopcji i w konsekwencji ułomni rodzice mieli bardzo małe szansę.

–Peter też chciałby mieć dzieci. Nie mieliśmy rodzeństwa, nasza matka zmarła przy porodzie. Jesteśmy bliźniętami, pani rozumie. Ale Cecily wyolbrzymiła swoją niezdolność ponad miarę, a kalectwo Petera jeszcze pogarsza sprawę. Czuję, że...

–Rozumiem sytuację – powiedziałam ze współczuciem, gdy zawahała się, szukając właściwych słów.

–Od kiedy wpadłam na ten pomysł – podjęła z ożywieniem – starannie notuję temperaturę i cykl miesięczkowy. – Rzuciła mi kartki. – Mam też zapiski Cecily z sześciu lat. Wykradłam je. Stale je uaktualnia. – Uśmiechnęła się bez cienia skruchy. – Tylko dwa dni różnicy.

Ja też się uśmiechnęłam.

–Gdyby jedynym problemem było dopasowanie cyWów miesięczkowych...

–Wiem, problemów jest mnóstwo, ale stawka jest taka wysoka. Naprawdę, doktor Craft, boję się o zdrowie psychiczne Cecily. Och, nie, nie powiedziałam słowa jej ani Peterowi...

–Mam nadzieję. Co więcej, zastanawiam się, czemu Mówi pani to mnie.

–Chuck Henderson powiedział, że będzie pani zainteresowana. Żadne inne nazwisko nie mogłoby wprowadzić mnie w większe zdumienie.

–Gdzie pani poznała doktora Hendersona? – zapytałam ze spokojem, którego wcale nie czułam.

–Przeglądałam gazety medyczne i natknęłam się na jego artykuł o korygowaniu niedorozwiniętych macic i nowych metodach usuwania pewnych wad, które powodują poronienia.

Czytałam ten sam artykuł, napisany przez Chucka z typową dla niego metodyczną starannością, ilustrowany diagramami i zdjęciami z operacji. Niezwykła lektura dla młodej kobiety.

–Dlaczego więc przyszła pani do mnie?

–Doktor Henderson powiedział, że nie prowadził badań dotyczących wszczepiania, ale poinformował mnie, że zna kogoś, kto interesował się egzogenezą i mieszka w moim mieście. Dodał, że nie ma powodu, bym szukała potrzebnego mi śmiałka w Nowym Jorku i kazał zapytać, jak poszło z kotami. – Popatrzyła na mnie pytająco.

Nazwisko, pytanie, przywiodło wspomnienia, które blokowałam od dziewięciu lat: wspomnienia

tryskającej młodzieńczym entuzjazmem studentki drugiego roku, marzącej o zmianie niedoskonałego świata na lepszy jednym pociągnięciem cudownego skalpela. Znów spróbowałam się przekonać, że były to tylko fantazje młodości.

Chuck Henderson pomagał mi łapać koty, na których przeprowadzałam swoje pierwsze próby egzogenezy. W Ithaca nietrudno było o koty, a poza tym nie musiałam się tłumaczyć gospodarzowi domu. W moim przypadku eksperymenty na krowach czy owcach nie wchodziły w rachubę.

Uważałam, że jestem bliska sukcesu, ale nie było mi dane tego zweryfikować. obrońcy praw zwierząt, przekonani, że wykorzystuję koty do jakichś okrutnych, podejrzanych celów, wykradli dwie zapłodnione przeze mnie samice. Chuck okazał się prawdziwym kumplem w czasie kolejnych etapów tych skazanych na niepowodzenie badań, przez cały czas kąśliwie przypominając, że stare dobre metody zapładniania nigdy nie budziły niczyich zastrzeżeń.

–Wyrażał się o pani niezwykle pochlebnie, doktor Craft, i zanim skończył, wiedziałam, że pani jest jedyną osobą, która może mi pomóc.

–Jestem mu zobowiązana.

–I słusznie – odparła z podobną dawką uszczypliwości. – Majak najlepszą opinię o pani jako o lekarzu i jako... kobiecie.

–Pochlebstwem nic pani nie zyska – powiedziałam wymijająco i odwróciłam się do okna, świadoma ogromu targających mną sprzecznych emocji.

Pat Kellogg uszanowała moje milczenie i odezwała się dopiero po długiej chwili.

–Czy przynajmniej przejrzy pani nasze karty zdrowia? Proszę mi wierzyć, zgodzę się na wszystko... na ból, znużenie, nieprzyjemności... na wszystko, byle tylko dać dziecko mojemu bratu i szwagierce.

Mogła mieć rację, pomyślałam, kiedy powiedziała, że prawdziwą trudnością jest zrobienie pierwszego kroku. Tak oto w popołudnie równie nudne jak moja dająca się przewidzieć przyszłość nadarzyła mi się wspaniała, wymarzona okazja. Duch przygody i młodzieńczy entuzjazm mogłam połączyć z dojrzałością i doświadczeniem praktykującego lekarza. Byłabym głupia, nie podejmując wyzwania i zadowolając się szarą rzeczywistością.

–Od chwili, gdy weszła pani do tego pokoju – powiedziałam powoli do czekającej dziewczyny – nawet nie przyszło mi do głowy kwestionowanie pani szczerości i wytrwałości.

–Zrobi to pani? – Zarumieniła się nagle ni w pięć, ni w dziewięć.

–Czy może pani nie przypierać mnie do muru?

Uśmiechnęła się przepaszająco.

–Powiedzmy, panno Kellogg, że rozważę problem w świetle dzisiejszego stanu wiedzy. Zaznaczam, że znane metody sprawdziły się, choć nie do końca, w przypadku zwierząt.

Wstała i wyciągnęła do mnie rękę. Ujęłam ją i uścisnęłam lekko, mając nadzieję, że zinterpretuje mój gest jako wyraz współczucia i szacunku, a nie wiążącej zgody.

–Nie zgodziłam się – przypomniałam, zaalarmowana triumfem w jej oczach.

–Nie, ale jestem pewna, że się pani zgodzi, gdy pani to przeczyta. – Położyła na biurku pół tuzina broszur Ministerstwa Rolnictwa i stos innych dokumentów z aktówki. Przystanęła przy drzwiach i odwróciła się ze skruszoną miną.

–Przepraszam za szokujące słowa, którymi chciałam zwrócić pani uwagę. Chodzi mi o stwierdzenie, że chcę urodzić dziecko mojego brata.

Musiałam się roześmiać.

–Każde z nas chciałoby mieć swoje pięć minut. Zadzwoń za parę dni.

–Doskonale. Będę czekać – powiedziała i wyszła z ciepłym uśmiechem.

Gdy tylko zamknęły się drzwi prowadzące na ulicę, do gabinetu wsunęła się Esther. Popatrzyła na mnie tak, jakbym zmieniła płęć. Było jasne, że znowu miała włączony interkom.

–Głupia będziesz, jeśli to zrobisz, Allison – powiedziała, szeroko otwierając duże brązowe oczy.

–Całkowicie się z tobą zgadzam, Esther.

–I głupia będziesz, jeśli przynajmniej nie spróbujesz – dodała bardziej spokojnie, ale z entuzjazmem zaskakującym u zrównoważonej pielęgniarki.

–Całkowicie się z tobą zgadzam.

–Och, cicho, Allison Craft. Pomyślałaś choć trochę? o problemach, czy też Nagroda Nobla i wyróżnienie Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy już padły ci na rozum? Kobiety to nie kotki... przynajmniej nie ginekologicznie.

–Cóż, gdybym miała wysunąć parę krótkich spontanicznych tez, powiedziałabym, że głównym problemem będzie...

–Weź pod uwagę względy praktyczne, nie medyczne – warknęła.

Esther znowu była sobą. Moja recepcjonistka pilnuje, żebym nie popadła w dług, wykorzystuje do maksimum wszystkie odpisy od podatku dochodowego, płaci na czas moje rachunki, boryka się z histerycznymi pierworódkami, s'wieżo upieczonymi ojcami i nadmiernie opiekuńczymi dziadkami, a na dodatek jest cholernie dobrą pielęgniarką dyplomowaną.

–A jakie są twoje zastrzeżenia? – zapytałam.

Podniosła lewą rękę i zaczęła odliczać na palcach.

–Wzięłaś' pod uwagę kwestię moralną? Co będzie, gdy wyjdzie na jaw, że dziewczyna ma urodzić dziecko swojego brata?

–Inny szpital, w innym mieście czy stanie.

–Idealny czas na podróżowanie. A może masz zamiar przenieść zapłodnione jajo w naszym wiejskim szpitalu, na oczach Boga i jego młodszego brata?

–Nietrudno to załatwić. W nocy. Nagły wypadek.

Wszyscy wiedzą, że Cecily Kellogg stale roni i stale próbuje.

Esther nie mogła zobaczyć, że na poczekaniu wymyślam wyjścia z sytuacji, nad którymi nie miałam czasu się zastanowić. Nadal nie miałam pojęcia, jak wydobyć zapłodnione jajo z macicy. Na szczęście, Esther nie była tak bardzo przenikliwa, jak jej się wydawało.

–Widzę, że podkręciłaś się na maksa – powiedziała.

Nie przypuszczałam, że umie operować zwrotami z dzisiejszego slangu. – Ale strasznie się cieszę, że to Kelloggowie.

–Znasz ich? – zapytałam, umiarkowanie zdziwiona.

–Ty też – odparła z irytacją. – Myślałam, że dlatego wzięłaś' pod uwagę taki wariacki plan. Peter Kellogg, nic ci to nie mówi? Profesor Peter Kellogg?

Przypomniałam sobie. Naturalnie, znałam Petera Kellogga. Terapia szokowa zaaplikowana przez Patricię skutecznie uniemożliwiła mi skojarzenie nazwiska z twarzą czy postacią. W kampusie wiele mówiono o błyskotliwych dysertacjach Petera Kellogga, poświęconych poetom angielskim osiemnastego stulecia, i sama z przyjemnością czytałam jego doskonałe wiersze. Jak w przypadku innego słynnego poety, ślepotą Petera Kellogga była wyłącznie stanem fizycznym, niekoniecznie upośledzeniem, bo sam nie uznawał jej za kalectwo. Choć nie miałam okazji •poznać go, często widywałam go w towarzystwie owczarka niemieckiego, Czarodzieja, na terenie kampusu albo na ulicach miasta. Przyszło mi na myśl, że widywałam również jego żonę, Cecily. Widziany w wyobraźni obraz wysokiej pary, której niemal zdecydowałam się pomóc, Boże dopomóż, był bardzo przyjemny i poczułam przyływ altruistycznej euforii. Tak, potrafiłam zrozumieć determinację Pat Kellogg, pragnącej obdarzyć brata dzieckiem. Nie ulegało wątpliwości, że taki mężczyzna zasługiwał na potomstwo, nawet gdyby miał przekazać mu tylko część swojego geniuszu. Pewna myśl wpadła mi do głowy, przyprawiając o atak śmiechu.

–Co cię tak bawi? – zapytała Esther, która nie cierpi, gdy mijają ją coś śmiesznego.

–Kościołowi katolickiemu to się nie spodoba ani trochę.

–Co?

–Uzurpowanie sobie praw Ducha Świętego.

–Zdecydowanie. A więc, pani doktor, jaki będzie pierwszy krok?

W ciągu następnych tygodni powinnam spotykać się z psychologiem, nie z Patricia Kellogg. Ale, jak z upodobaniem mówiła Esther, byłam szczęśliwa, waląc głową w swój kamienny mur. I chyba wiedziałam, gdzie uderzać. Uzupełniłam broszury i traktaty zostawione mi przez Pat Kellogg wszelką dostępną literaturą z dziedzin pokrewnych – endokrynologii i technik chirurgii macicznej – oraz bardzo interesującym studium o zakończonej powodzeniem próbie egzogenezy u królików.

Wykopałam notatki dotyczące mojego niefortunnego eksperymentu z czasu studiów i znowu zaczęłam łapać koty. Tamto niepowodzenie stale przywodziło mi na mys'ł kpiącą twarz Chucka Hendersona. Przepędziłam tego ducha, kiedy udało mi się pomyślnie przeszczepić zapłodnione jajo białej rodowodowej angory do macicy najbardziej nijakiej kotki, jaką tylko mogłam znaleźć. Trzy pierwsze podejścia zakończyły się niepowodzeniem, więc nie warto o nich wspominać. Gdy upewniłam się, że kotka jest w zaawansowanej ciąży, zrobiłam cesarskie cięcie i dokładnie obejrzałam pięć płodów. Bezsprzecznie były angorskie i idealnie ukształtowane.

Jednakże między ludzkim a kocim układem rozrodczym istnieją wcale niemałe różnice, więc moje eksperymenty tylko potwierdziły możliwość egzogenezy u kotów. Egzogenetyczne narodziny owiec i krów w Teksasie podnosiły na duchu, ale w ostatecznym rozrachunku jedynie powiększały listę gatunków, u których możliwa jest delikatna ingerencja człowieka w poczęcie i ciążę. Dla moich celów doniosłe znaczenie miała jedna pomniejsza różnica fizjologiczna między wewnętrznymi narządami płciowymi u kobiet i krów czy owiec: u kobiety krótkie jajowody ograniczają czas na przechwycenie zapłodnionego jaja przed dotarciem do macicy i zagnieżdżeniem się w śluzówce. Kiedy to się stanie, nie ma mowy o przeszczepie.

Ten brak czasu i miejsca stanowił jedną z najpoważniejszych przeszkód do pokonania. Wędrówka komórki jajowej z jajnika do odpowiednio pobudzonej śluzówki macicy trwa w przybliżeniu dwadzieścia cztery godziny.

Przechwycenie zapłodnionego jaja Cecily i umieszczenie go w równie przygotowanej błonie śluzowej Patricii miało być nadzwyczaj trudną sztuką.

Przechwycenie zapłodnionej komórki jajowej krowy, owcy czy kotki jest względnie łatwe. Aby dokonać tego samego u kobiety, zamierzałam wykorzystać cienką jak pajęczyna plastikową błonkę w kształcie podbieraka do ryb (uzyskanie odpowiedniej formy niemal doprowadziło mnie do szaleństwa). Miałam nadzieję, że zapłodnione jajo wpadnie w pułapkę dopasowaną do ujścia jajowodu. Po chirurgicznym wyjęciu „sitka” będę mogła przenieść jego zawartość do drugiej macicy i, wcale nienaukowo krzyżując palce, czekać na efekt.

Zsynchronizowanie cyklu miesięczkowego obu kobiet dzięki zastosowaniu nowego związku estrogenu nie powinno sprawić kłopotu. Standardowe D i C, dilatacja i kiretaż, miało przygotować obie matce i pozwolić mi umieścić plastikową błonkę na końcu jajowodu Cecily. Pierwsze D i C nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Z kolejnymi nie pójdzie tak łatwo, jak zauważyła Esther, bo przecież obie dziewczyny, pod narkozą, będą musiały jednocześnie przebywać w tym samym pokoju. To wymagało udziału skłonnego do współpracy anestezjologa.

Oto jak Chuck Henderson pojawił się na scenie. Propozycję wysunęła Pat, która dowodziła, że Chuck już wie o planie, a nie mogłyśmy wtajemniczyć szpitalnego anestezjologa. (Wydalenie wspomnianego specjalisty wymagało pewnych kombinacji, ale Esther udało się to załatwić. Nigdy mi nie zdradziła, jak tego dokonała).

Miałam wątpliwości, u których podłoża leżał spokój mojego umysłu, ale w końcu rozsądne argumenty przeważyły i przystałam na aktywny udział Chucka w eksperymencie. Był zachwycony – moim zdaniem zbyt zachwycony, jakby czekał ze wstrzymanym oddechem, aż go poproszę.

Dzień, w którym Pat i ja wreszcie mogłyśmy zaprezentować Kelloggom plan akcji, na zawsze utkwił mi w pamięci. Zadzwoiłam do Pat, jakieś dwa i pół tygodnia po pierwszej wizycie, i powiedziałam jej, że jestem gotowa przejść do konkretnych ustaleń. Już wcześniej wyraziłam zgodę na przeprowadzenie próby, wyraźnie zaznaczając, że będzie to próba.

Pat umówiła nas na wieczorne spotkanie i razem przybyłyśmy do mieszkania Kelloggów, ja z ciężką aktówką, która zawierała dwa razy więcej materiałów niż na początku. Pat była ogromnie zdenerwowana. Zastanawiałam się, czy się boi, że nie zdoła przekonać Kelloggów do udziału w przedsięwzięciu.

Sama musiałam zdać egzamin wstępny, przeprowadzony przez Czarodzieja, przewodnika Kellogga, wyjątkowo pięknego brązowo-czarnego owczarka ze ślicznymi plamkami nad inteligentnymi oczami. Czarodziej stanął w drzwiach, obwąchując rękę, którą przytomnie wyciągnęłam, parsknął, gdy Pat mu powiedziała, że jestem przyjacielem, a potem położył się pod stołem w jadalni. Byłam pod wrażeniem siły tkwiącej w pozornie potulnym zwierzęciu i cieszyłam się, że zostałam zaakceptowana przez tego ważącego ponad 56 kilogramów stróża.

Peter Kellogg wstał, gdy Pat wciągnęła mnie do pokoju, i przedstawił mnie wysokiej, zbyt smukłej brunetce.

Najpierw odbyłis'my krótką pogawędkę. Pogratulowałam Peterowi publikacji ostatnich wierszy w „New Yorker”, potem próbowalis'my znaleźć wspólnych znajomych. Wreszcie Pat, nie będąc w stanie dłużej zniesić tej paplaniny, wybuchła:

–Chcecie zostać rodzicami?

Nawet pies zastrzygł uszami w pulsującej napięciem ciszy.

–Pat... – zaczął Peter z łagodną przyganą, ale Cecily przerwała mu ostro, prawie histerycznie:



–Jak?

–Egzogeneza – wyszeptała Pat.

Peter i Cecily popatrzyli na mnie. Peter, rzecz jasna, nie mógł nic zobaczyć, ale zawsze zwracał niewidzące oczy w stronę rozmówcy; większość niewidomych nigdy nie wyrabia sobie tego nawyku i „patrzy” gdzie bądź, co krępuje osobę widzącą. Peter starał się unikać wprawiania ludzi w zakłopotanie.

–Zakładam, pani doktor, że odkryła pani jakąś metodę umożliwiającą egzogenezę.

–Doktor Craft wierzy, że to możliwe. – Pat pilnowała się, jak jej przykazałam, żeby nie przedstawić planu jako stuprocentowo pewnego. – Pewne problemy... – dodała z mistrzowską powściągliwością – wymagają przedyskutowania...

–Kto byłby drugą matką? – zapytała Cecily, robiąc kolosalny krok do przodu.

Peter bezbłędnie odwrócił się w stronę siostry. Czarodziej zaskomlał, słysząc westchnienie Cecily. Peter uspokoił go po cichu.

–Podejrzywałem, że coś wymyślisz, Pat – powiedział oschle. – Choć raczej nie spodziewałem się czegoś takiego. Trąci kazirodztwem, prawda, pani doktor?

–Peter! Jak możesz mówić takie rzeczy w odniesieniu do siostry, która godzi się na takie... takie niewiarygodne poświęcenie? – Głos Cecily drżał ze złości i tłumionego płaczu.

–Jak inaczej można to nazwać? Moja rodzona siostra proponuje, że urodzi moje dziecko... – powiedział z lekkim uśmiechem, poklepując rękę żony.

Mój szacunek dla przenikliwości Petera Kellogga wzrósł o kilka punktów. Bezbłędnie wyłuskał jedną z trudności, wyśmiał ją i odrzucił.

–To będzie moje dziecko – powiedziała Cecily gorączkowo. Straszny głód macierzyństwa na jej twarzy żywo potwierdzał słowa Pat o jej obsesji. Widziałam ten wyraz już wcześniej, u innych kobiet, i nie mogłam dać im nadziei. Czy mogłam dać ją teraz? I co się stanie z Cecily, jeśli zawiedziemy?

–Które w okresie prenatalnym od matki zastępczej przejmie wyłącznie pokarm – dodałam, uciekając się do uwag natury klinicznej, żeby ukryć emocje. – Jeśli, zaznaczam, jeśli przeszczepienie okaże się możliwe. Zdaje sobie pani sprawę, że to bardzo wielkie, jeśli”.

Cecily westchnęła, a potem uśmiechnęła się do mnie szelmowsko.

–Wiem, doktor Craft. Nie powinnam robić sobie nadziei. Ale nadzieja jest ważna...

Peter mocniej us'cisnął jej dłoń, poczym zwrócił się do mnie:

–Jakie są szanse?

–Postawiłby pan na jedną z czterech kotek? – Nie mogłam znieść widoku napięcia na twarzy Ceciły.  
– U królików metoda sprawdza się w czterech przypadkach na pięć, a w Teksasie, w eksperymentach przeprowadzonych na krowach i owcach, dziewięćdziesiąt pięć procent prób zakończyło się powodzeniem.

–Beee – zamęczała Ceciły i usmiechnęła się łobuzersko na znak, że całkowicie nad sobą panuje.

–Przygotowałam parę wykresów i propozycję planu działania – powiedziałam, sięgając do pękatej aktówki.

Parę godzin później, gdy przedyskutowaliśmy metodę, prawdopodobieństwo powodzenia i problemy pod tyłoma kątami, ile tylko mogły wymyślić cztery tęgie głowy, przedstawiłam przyszłym rodzicom wszystkie procedury medyczne, z których część mogła wydawać się straszna. Mimowolnie zerkałam na owalną, lekko zarumienioną twarz Ceciły. Mówiła lekkim tonem, ale nadzieja tłęca się w jej oczach dosłownie rozdzierała serce.

Pat usiadła obok brata na kanapie. Peterowi musiały wystarczyć opisy słowne, więc odchylił się do tyłu, żeby dwie kobiety mogły pochylić się nad rozłożonymi na stole wykresami i ilustracjami.

Od czasu do czasu uspokajająco ścisnął rękę żony. Raz, gdy wyjaśniałam rolę Pat, jego druga ręka zacisnęła się na jej ramieniu z taką siłą, że aż się skrzywiła. Ogromna cierpliwość i niewiarygodna spostrzegawczość czyniły z niego wyjątkowego słuchacza i łatwiej mi było przemawiać do jego spokojnej, uważnej twarzy niż do przejętej Ceciiy.

Oboje albo musieli interesować się egzogenezą, albo posiadali szeroką wiedzę z biologii, bo nie musiałam wyjaśniać szczegółów.

–Tak, rozumiem, dlaczego prawdopodobieństwo powodzenia u krów i owiec jest wyższe niż u kotek. Miejmy nadzieję, że bardziej przypominasz krowę, kochanie, niż kotkę – podsumowując, powiedział Peter.

–Będziemy strzelać, póki nie trafimy. Próbować, próbować i próbować – powiedziała Cecily stanowczo. – Jestem za tym całym sercem.

–Moja droga, nie wolno ci wierzyć, że się uda.

–Potrafisz znieść rozczarowanie, z jakim zapewne się spotkamy, Ceciły? – zapytałam ją prosto z mostu. – Biorąc pod uwagę twoją historię medyczną... – wszyscy wiedzieli, że mam na mysli historię psychologiczną – twoje zadanie będzie najtrudniejsze.

–Mężczyźni mają najłatwiejsze – powiedziała Ceciły, wymierzając Peterowi żartobliwego kuksańca.

–Dlatego jesteśmy od was lepsi – odparł ze śmiechem, udając, że robi unik przed spodziewanym

ciosem.

–Nawet jeśli przeszczep się uda – podjęłam – nie popadajcie w euforię, dopóki nie weźmiecie dziecka...

–Mojego dziecka...

–W ramiona.

–Hej, nie czekaj ze wstrzymanym oddechem – wtrąciła Pat, bo właśnie to robiła Cecily. Żona Petera zaśmiała się, trochę speszona.

Po umówieniu się z Cecily na wstępne badanie w moim gabinecie, opuściłam mieszkanie Kelloggów. Po badaniu miałam wyznaczyć datę pierwszego zabiegu D i C.

W czasie jazdy wyziębionym samochodem ogrzewało mnie wspomnienie ciepła, z jakim odnosiły się do siebie te trzy osoby, a szczególnie żaru, z jakim Pat była gotowa zmierzyć się z niemożliwym. Jeszcze nie do końca oswoiłam się z myślą, że uczestniczę w doniosłym wydarzeniu, które być może ziści moje młodzieńcze marzenia. Mniejsza z tym – moja monotonna egzystencja nabrała tajemnego uroku, gdy zbliżyłam się do tych trojga zdumiewających ludzi. Gorączkowe, często powtarzane credo Cecily „Zrobimy to! Musimy!” stało się również moim. Wsponinienia te są równie silne i żywe jak nieprzyjemna rozmowa z wystrojoną jak z żurnala matką Cecily. Zapadła noc, mój drink zwietrzył. Nalałam sobie drugiego, mocniejszego, dla dodania odwagi.

Pierwsze kroki poszły gładko: cudem, którego nie zamierzałam – jeszcze nie – poddawać zbyt dogłębnej naukowej analizie, przeszczepienie zapłodnionego jaja udało się za trzecim podejściem. Miałam głęboką nadzieję, że użycie maleńkiej plastikowej pułapki będzie lepsze od wypłukiwania, ale gdyby sztuka nie powiodła się za trzecim razem, byłabym zmuszona posłuchać argumentów Chucka i wypróbować tamtą metodę. Chuck trzy razy jechał przez cały stan do naszego wiejskiego szpitala, żeby o świcie uczestniczyć jako anestezjolog w zabiegu.

–Pomyśleć tylko, że moim życiem rządzą wskazania termometru – burczał.

Mieliśmy szczęście również w tym, że administracja szpitala nie pytała o nic. W tych murach Cecily Kellogg przeżyła trzy samoistne poronienia. Skoro chciała podjąć kolejną próbę donoszenia ciąży, szpital nie miał nic przeciwko – dopóki płaciła rachunki. Pat figurowała w kartotece jako krwiodawca. Po każdym zabiegu, gdy się wybudziła, zabierali'smy ją z Chuckiem do domu, natomiast Cecily wypoczywała na oddziale. Na żądanie Chucka oboje prowadziliśmy dokładne chronologiczne notatki z naszych poczynań, dla dodatkowej wiarygodności podbijając je na szpitalnym zegarze.

–Pamiętaj – często przestrzegał Chuck – nie będziemy mieć ani możliwości, ani chęci, żeby zachować sprawę w tajemnicy. Miejmy tylko nadzieję, że nie dojdzie do przedwczesnego... wycieku.

Pamiętam, że jęknęłam, słysząc takie sformułowanie.

–Przepraszam, Ali. Po prostu drzę na myśl o piekle, jakie rozpęta się w bogobojnych kręgach lekarskich, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

–Nie robimy nic sprzecznego z prawem.

Obrzucił mnie cierpliwym, wyrozumiałym spojrzeniem.

–Nie, kochana Allison. Ale robimy coś, co nigdy dotąd nie było robione, a to zawsze wzbudza podejrzenia.

Teoria jest doskonale znana, a techniki wypróbowane, ale, na litość boską, nikt nie stosował ich na ludziach. – Na sekundę z nabożeństwem złożył ręce i przyjął świątobliwą pozę. – Czy wolno mi przypomnieć, że egzogeneza pachnie świętokradztwem?

–Chuck, nigdy nie byłeś zbyt religijny.

–Uchowaj mnie, Boże! – Miał huśtawkę nastrojów, całkowicie zrozumiała u kogoś, kto po całym dniu pracy przebył 400 kilometrów po zatłoczonej autostradzie, następnie asystował przy bardzo trudnym zabiegu, a o wpół do czwartej rano miał wyruszyć w męczącą podróż powrotną. – Ali, na miłość boską, nie bądź naiwna. Przypomnij sobie debaty w stanowym senacie nad legalizacją aborcji, zastanów się, co robimy, a potem pomyśl, co posypie się na nasze pokorne głowy.

–Przecież my dajemy życie, nie odbieramy.

–To różnica, ale nie brakuje idiotów, którzy sprzeciwiają się masażowi serca, reanimacji. Dobrze wiesz, jaką wrzawę wywołuje transplantacja serca i innych organów dla ratowania życia.

–Ja myślę o setkach zrozpaczonych bezdzietnych kobiet, które będą mogły zostać matkami, jeśli nam się uda.

–Cudownie! Wspaniale! Niemal się cieszę, że nie straciłaś swojego altruizmu po... ile lat spędziłaś w tym miasteczku? – Był wyraźnie zdegustowany. – Dobrze, że tu przyjeżdżam, bo ktoś musi od czasu do czasu ściągać cię na ziemię. Teraz jednak wsiadam do swojego żelaznego rydwanu i jadę do domu. Zostawiłem swojego biednego, przepracowanego współnika z perspektywą trzech do pięciu porodów, w tym jednego prawie na pewno pośladowego. Mam nadzieję, że zanim dostanie spazmów, zdąży odebrać numer trzy. Daj mi znać w chwili, gdy pojawi się jakiś kliniczny dowód. Umieszczę cię na krótkiej liście tych, którym wolno przerywać mi drzemkę.

Walnął mnie ciut za mocno po plecach i odszedł, złośliwie rzucając na pożegnanie:

–Hasta la vista!

Pat miesiączkowała regularnie co dwadzieścia osiem dni, prawie co do godziny, więc piętnaście dni po trzeciej próbie wszyscy wstrzymalis'my oddech. Przez następne trzy dni nawet ja brałam środki uspokajające. Nafaszerowałam Cecily najsilniejszymi, jakimi śmiałam, i byłam bliska przepisania

proszków Peterowi i Czarodziejowi. Przed upływem czterech tygodni poddałam się i przebadalam Pat.

Zauważyłam wyraźne zmiany. Zadzwoiłam do Chucka.

Był na sali porodowej, ale pielęgniarka obiecała, że przekaże mu wiadomos'ć.

Kiedy zadzwonił telefon, wyrzuciłam z siebie dobre wieści i zostałam zbita z tropu przez jego absolutny brak entuzjazmu.

–Przykro mi, Ali, psuć ci wielką chwilę – rzekł z takim zmęczeniem, że niemal mogłam wyobrazić sobie jego przygarbioną szczupłą sylwetkę. – Może jednak nie jestem taki niereligijny, jak myślałem. A może to dlatego, że pół godziny temu odebrałem wodogłowie.

Współczułam mu. Jako stażystka odebrałam dziecko z wodogłowiem i minął długi czas, nim w końcu otrząsnęłam się z szoku i nielogicznego poczucia winy, że przyczyniłam się do tragedii najzupełniej normalnych i idealnie zdrowych ludzi. Każdy praktykujący lekarz położnik wstrzymuje oddech w czasie odbierania porodu i podświadomie modli się, żeby zobaczyć zdrowe, normalne dziecko.

–Może nie mamy prawa ingerować w poczęcie – rzekł Chuck gorzko. – Bóg jeden wie, co może się urodzić.

–Znasz procent samoistnych poronień w przypadku uszkodzonych czy niedorozwiniętych płodów...

–Tak, znam, ale co ze zniszczonymi komórkami, przemieszanymi chromosomami... Na miłość boską, Ali, czy możemy być pewni, że plemniki Pete'a zapłodniły tylko komórkę jajową Cecily? Sztuczne zapłodnienie niesie mniejsze ryzyko niż puszczenie tych małych chłopaczków samopas.

Może zostało zapłodnione jajo Pat. W takim wypadku mamy uroczy przypadek bliskiego pokrewieństwa i nową porcję problemów genetycznych.

Mogłabym mu powiedzieć, że sama przeżywałam trudne chwile, martwiąc się o to samo. Jednak ograniczyłam się do przypomnienia, że poronione płody Cecily były normalnie rozwinięte, bez śladu jakichkolwiek nieprawidłowości, i że przyczyną przerywania ciąży była wadliwa budowa macicy, nie jaj. Przebadaliśmy chromosomy .wszystkich trojga uczestników eksperymentu: ani śladu niedorozwiniętych czy uszkodzonych komórek. Ale nie mogłam się z nim dyskutować na temat plemników Petera.

–Chuck, potrzebujesz mocnego drinka.

–Przepraszam cię, że psuję nastrój, ale chyba wiesz, jak się czuję i co mnie martwi.

–Wiem. Teraz napij się i wskakuj do łóżka.

–To cholerstwo zawsze jest zimne!

–Hej, Casanová, czyżbyś miał kłopoty ze znalezieniem na to lekarstwa? Co z tą twoją pielęgniarką o słodkim głósiku?

–Głos może ma słodki, ale twarz...! – powiedział z większym niż zwykle cynizmem. – Niebawem podskoczę do was, żeby zobaczyć się z młodą mamusią... jako specjalista położnik, rzecz jasna. – Roześmiał się, co dało mi do myślenia.

Po odłożeniu słuchawki zastanowiłam się, czy Wielki Położnik może być zainteresowany Króliczką Doświadczalną Kellogg. Myśl o Chucku Hendersonie deprawującym ciężarną dziewczynę zachwiała moim poczuciem proporcji. Miałam ochotę zadzwonić do niego, żeby mu dokuczyć. Nie zrobiłam tego, ale się pośmiałam.

Po początkowym wybuchu radości nastąpił okres względnego spokoju, wręcz nudy. Zaczęłam rozumieć, dlaczego niektóre z moich pacjentek narzekały na dziewięć miesięcy wyczekiwania. Dotąd okres ten był dla mnie kwestią dziesięciu spotkań z bijącym sercem płodu, ale teraz ciągnął się w nieskończoność.

Któregoś wieczoru Peter powiedział mi, że Cecily jest w ciągłym stanie anoksji; przysłała do mnie, skarżąc się na zawroty głowy. Nie były to objawy ciążowe, których mogła dos'wiadczać wskutek silnego zaangażowania, tylko zwyczajne niedotlenienie. Nasi znajomi zaczęli zwracać uwagę na zmianę jej nastroju; pewien kanapowy psychiatra wygłosił opinię, że wreszcie pogodziła się ze swoją bezdietnością. Cecily zajęła się robótkami na drutach.

Nosiła obszerne swetry i luźne spódnice, i wzbogaciła swoją garderobę o stroje dla ciężarnych.

Pat nadal uczyła matematyki w miejscowym liceum.

Urlop chorobowy, który mieliśmy w planach na wiosnę, nie był konieczny. Cięża była prawie niezauważalna do końca roku szkolnego, blisko końca drugiego trymestru.

Przysłała nam z pomocą moda ma luźne sukienki, maskujące jej pogrubioną talię i pęczniący brzuch. Paru nietaktownych znajomych zwróciło jej uwagę, że przybiera na wadze, na co przytomnie odparła, że straci nadmiar kilogramów latem, przed Świętem Pracy\*. Jeśli pani Baxter widziała Pat w czasie swojej krótkiej wizyty, to nie poznała się na jej odmiennym stanie. Cecily z kolei, kiedy matka zadzwoniła do niej ze stacji kolejowej, pogrubiała się w talii starannie złożonym ręcznikiem.

Gwałtowna, pełna złości reakcja Louise Baxter wstrząsnęła Peterem i Cecily, która nie mogła się doczekać, by zakomunikować matce radosną nowinę. Kiedy Peter zadzwonił do mnie, żeby uprzedzić o rychłym starciu z wrogo usposobioną przyszłą babcia, w tle słyszałam szloch jego żony.

Cytowanie tej niemiłej rozmowy od początku do końca nie miałoby sensu. Wystarczy powiedzieć, że Louise Baxter zostawiła mnie z przeświadczeniem, iż najgorętsze \* Święto Pracy, Labor Day, obchodzone jest w Stanach Zjednoczonych w pierwszy poniedziałek września; labor (labour) – m.in. oznacza poród pragnienie jej córki wzbudza w niej głęboką odrazę. U podłoża jej wzburzenia nie leżało moje domniemane oszustwo, tylko lęk, że ciąża zakończy się pomyślnie.

Zanotowałam sobie w pamięci, żeby dowiedzieć się o niej czegoś' więcej od Pat albo Petera. Raz, gdy Pat pozwoliła sobie rzucić średnio obraźliwą uwagę pod adresem Louise, Cecily zareagowała z gniewem. Już wcześniej spotkałam się z taką źle pojętą lojalnością, kiedy zdominowany syn samotnej matki trafił na oddział psychiatryczny w stanie katatonii. Cecily miała zachwianą równowagę emocjonalną i nie chciałam narażać jej na jeszcze większy stres.

Termin Pat został wyliczony na 25 sierpnia. Żadne dziecko nie jest spóźnione, ale nawet ze znaną datą poczęcia istnieje możliwość popełnienia błędu. Zwyczaje Kelloggów umożliwiały odebranie porodu w tajemnicy.

Zawsze spędzali wakacje razem, zwykle w podróży, a niekiedy, gdy Peter pracował nad książką, zaszywali się w cichej wiosce w północnej części stanu. Mieliśmy nadzieję, że rozwiązanie nastąpi w terminie, żeby Pat mogła dojść do siebie i wrócić do szkoły. W ten sposób ewentualne komplikacje byłyby mniejsze.

Chuck zaproponował małe miasteczko w okręgu Finger Lake, cieszące się z dobrze wyposażonego szpitala oraz ordynatora Arnolda Avere'ego, naszego kolegi ze studiów.

Wszystko szło cudownie z wyjątkiem jednego: Pat przybierała na wadze bardziej, niż bym sobie życzyła. Niczego nie podejrzewałam i nadal mam do siebie żal, że mimo całego doświadczenia zignorowałam tak oczywistą wskazówkę. Być może pewną rolę odegrała tu moja podświadomość, pragnąca zbagatelizować krakanie Chucka. Płód był właściwie ułożony, serce silne, około 150 uderzeń na minutę. Pat, rosła dziewczyna z dobrze wysklepionym łukiem miednicy, była w doskonałej formie, więc nie powinna mieć problemów z urodzeniem dużego dziecka.

Rankiem 15 sierpnia objawiło się to, co później zostało nazwane „rozszczepem przeszczepu”. Załatwiłam sobie urlop na trzy ostatnie tygodnie sierpnia i miło spędzałam czas w towarzystwie Kelloggów, aż Pat zbudziła się ze skurczami. Wyrwała mnie z łóżka, żebym je liczyła.

Następowały regularnie co trzy minuty. Szybki poród u kobiety rodzącej po raz pierwszy raczej nie wchodził w rachubę, więc spokojnie wysłałam ją do szpitala, a sama zadzwoniłam do Chucka, by pędził tu jak na skrzydłach.

Gdyby przyjechał samochodem, zamiast wynajmować ten przeklęty helikopter, obyłoby się bez wzajemnych wymówek. Kiedy porusza ten temat – co zdarza mu się dos'ć często – muszę go zapewniać, że nie miałam zamiaru zagarniać całej chwały dla siebie. On też miał prawo do części.

W każdym razie, śmigłowiec usiadł na terenie szpitala, gdy poród wszedł w drugą fazę. Chuck asystował mi na porodówce razem z tamtejszą pielęgniarką. Wolałabym Esther, ale ktoś' musiał siedzieć w poczekalni i pilnować bliskich historii rodziców.

Oboje z Chuckiem wydaliśmy triumfalny okrzyk, gdy o 8.02 rano odebrałam czerwoną, zdrową, ważącą ponad trzy kilogramy córkę Petera i Cecily Kelloggów, urodzoną przez inną kobietę. Odesłałam pielęgniarkę, która wyciągnęła ręce po noworodka, i sama zbadałam piszczącą pomarszczoną istotkę. Zostawiłam Chucka, żeby odebrał łożysko i zszył nacięte krocze.

–Hej, doktoru – zawołał Chuck przeciągle i z wyraźnym brakiem szacunku – chyba o czymś zapomniałaś!

Zła, że s'mie wątpić w moje kwalifikacje, odwróciłam się do niego i... zamarłam. Chuck odbierał poród pośladkowy. Niczym w transie patrzyłam, jak zręcznie uwalnia główkę i daje klapsa drugiej dziewczynce. Ważyła nieco ponad dwa i pół kilo i była zdrowa jak jej trochę szybsza siostra.

–Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał Chuck niewinnie.

Gdyby nie częściowy paraliż mózgu, powiedziałabym, że uznałam, iż jemu też się coś należy za pomoc.

–Nie wiedziałam – przyznałam zamiast tego.

–Niech Bóg ma cię w opiece, Ali, ale kocham uczciwą kobietę. Dla odmiany.

Potem zajął się młodszą dziewczynką tak ostrożnie, jak ja jej siostrą.

Spieszę wyjas'nić, że bicie serc bliźniąt często jest zsynchronizowane. Mój błąd polegał na tym, że z góry wykluczyłam ciążę mnogą i nie robiłam przes'wietlenia, co jest regułą, kiedy matka przybiera na wadze więcej, niż powinna albo płód jest wyjątkowo duży.

Moje niedopatrzenie stało się później rodzinnym żartem, na szczęście z rodzaju tych sympatycznych. Obecnie rozszczepienie przeszczepu jest zjawiskiem dobrze znanym: nieznaczne wahnięcia temperatury (może w czasie przewożenia Pat do mojego domu po zabiegu) spowodowało podział komórki jajowej. Rozszczepienie nie jest regułą w przypadku ciąż egzogenicznych, ale częstość występowania ciąż mnogich u matek zastępczych jest znacznie wyższa niż u biologicznych.

Zadaliśmy sobie trochę trudu, żeby wiarygodnie uzasadnić nasz wybuch radości pielęgniarce z sali porodowej.

Zaczekaliśmy, aż Pat urodzi łożysko i dojdzie do siebie po znieczuleniu. Potem dosłownie wpadliśmy do poczekalni, krzycząc jednocześnie:

–To dziewczynka!

–Nie, to...

–Co? – zapytała Esther z irytacją.

Pamiętam, że Cecily była bliska omdlenia, ale Peter szybko się połapał.

–Bliźniaczki?

–Ali przeszła samą siebie. Bliźniaczki! – zawołał Chuck. – Odebrała pierwszą córkę, ponad trzy kilogramy żywej wagi...



–I dałam Chuckowi zaszczyt wprowadzenia w świat waszej drugiej córki.

–Bardzo zgrabnej panny ważącej nieco ponad dwa i pół kilograma. Zdrowa parka, marzenie rodziców.

–Pat dobrze się czuje? – zapytała Cecily, z łzami spływającymi po policzkach.

–Zdrowa jak ryba.

–Kiedy możemy zobaczyć dzieci? – zapytał Peter.

Wiem, że przestałam mówić i wbiłam oczy w Petera.

On nigdy nie zobaczy swoich dzieci. Z całego serca pragnęłam, żeby zdarzył się drugi cud, dla niego.

Chuck szybko zamaskował moją gafę.

–Już są na oddziale noworodków. Chodźmy zobaczyć nowoczesny produkt niepokalanego poczęcia.

–Doktorze Henderson, powinien pan się wstydzić – skarciła go Esther, ale wcale nie była zła i paliła się do zobaczenia bliźniaczek. Żaden dietetyk nie zaleca picia szampana na zakończenie nocnego postu, ale gdy wszyscy wrócili'smy do domku letniskowego, przyjemnie zaszumiło nam w głowach po toastach za Pat, rodziców, Esther, Chucka i moją skromną osobę. Nikt z nas ani przez chwilę nie podejrzewał, że najtrudniejsze dopiero mamy przed sobą. Nawet wtedy, gdy zadzwonił telefon.

Odebrała Esther, siedząca najbliżej aparatu. Akurat patrzyłam w jej stronę. Zobaczyłam jak zmienia się na twarzy. Zrozumiałam, że dzieje się coś złego. Najpierw pomyślałam, że z dziećmi, potem że z Pat. Czyżby krwotok...?

Esther słuchała bez słowa, z otwartymi ustami, biała jak prześcieradło. Wreszcie odłożyła słuchawkę.

–Pani Baxter jest w mieście – oznajmiła krótko. To wystarczyło, żebyśmy wszyscy ucichli. – W zeszłym tygodniu jej przyjaciółka widziała Petera i Cecily w supermarkecie i nie omieszkała jej o tym powiadomić. Nie wiem, skąd się dowiedziała o narodzinach...

–Nie byliśmy zbyt dyskretni – przypomniał Chuck. – Fakt, kupując szampana, cieszyliśmy się jak dzieci.

–Cóż, pani Baxter pojechała do szpitala, zobaczyła Pat, zobaczyła bliźniaczki. Powiedziała coś takiego, że ani chybi jest wariatką. Wykrzyczała to na cały cholerny szpital. Ale to nieprawda. Niepraw-da!

W życiu nie wytrzeźwiałam szybciej. Cecily pobiegła do kuchni, gdzie z wymiotowała do zlewu.

Dobrze, że mam medyczne tablice, bo w czasie wariackiej jazdy do szpitala minęliśmy trzech

gliniarzy.

Chuck poszedł do Avery'ego, który próbował wyjaśnić sytuację miejscowemu reporterowi, już poinformowanemu o tym wydarzeniu. Esther i ja pobiegłyśmy do skrzydła położniczego. Usłyszałam szloch Pat, gdy skręciłyśmy za rogiem. Poleciałam dyżurnej pielęgniarce przygotować środek uspokajający. Popełniła błąd, nie ukrywając drwiącego wyrazu twarzy.

–Crafty, Crafty – zawołała Pat, gdy weszłam do pokoju. Dwie leżące z nią kobiety miały jadowne miny. Próbowwała wstać z łóżka, trzymając się za brzuch. Położyłam ją i krzyknęłam na pielęgniarkę, żeby pospieszyła się z zastrzykiem.

–Crafty – szlochała Pat nieszczęśliwie – nie wyobrażasz sobie, jakie straszne rzeczy powiedziała. Nie dopuściła mnie do słowa. Nie sądzę, by zależało jej na wysłuchaniu logicznego wyjaśnienia. Ona nienawidzi Petera!

Nienawidzi go! Nienawidzi Cecily, bo jest z nim szczęśliwa. I nienawidzi ciebie za to, że dałaś im dzieci. W życiu nie widziałam kogoś tak przepełnionego nienawiścią. Na pewno wie, że dzieci nie są moje i Petera, ale właśnie tak powiedziała. Stale powtarzała, powtarzała... – Pat zakryła uszy, żeby nie usłyszeć tego wstrętnego pomówienia – i wszyscy to słyszeli. To koszmarnie, Crafty. Och, Crafty, co teraz robi Cecily?

Potarłam jej rękę i zrobiłam zastrzyk uspokajający, gdy jeszcze mówiła. Poleciałam przenieść ją do prywatnego pokoju. Mowa Pat stała się niespójna, gdy lek zaczął działać.

Pchając jej łóżko w stronę separatu, myślałam, jakie to typowe: Pat martwi się o Cecily, nie o nieciekawą sytuację, w jakiej znalazła się za sprawą pani Baxter. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek w życiu wpadła w większy gniew niż w tej godzinie. Gdybym wiedziała, gdzie znaleźć Louise Baxter, udusiłabym ją gołymi rękami.

Jak nie można zatrzymać piór niesionych z wiatrem, tak nie da rady zahamować plotek, które obiegały już cały szpital i zapewne połowę miasta. W trakcie przeprowadzki Pat wrzałam bezsilnym gniewem. Miałam ochotę rzucić się na pielęgniarkę, żeby wymazać z jej gęby kołtuńskie zadowolenie.

Pat wreszcie zasnęła i pielęgniarka bez potrzeby kręciła się po pokoju, kiedy z korytarza wszedł Chuck.

–Tyle zamieszania, bo brat Pat i jego żona chcą pomóc dziewczynie ukryć nieślubną ciążę – powiedział z godnym pochwały spokojem. – Czego też ludzie nie wymyślą! – Pokręcił głową, jakby z politowaniem nad słabościami natury ludzkiej, a potem niecierpliwym gestem wyprosił pielęgniarkę z pokoju.

Po jej wyjściu ulżył sobie w satysfakcjonującym potoku wymyślnych przekleństw, wszystkich nawiązujących do powolnej i bolesnej śmierci niejakiej Louise Baxter.

–Uśpiłaś ją? – zapytał, badając puls Pat. Odgarnął włosy z jej twarzy. – Niech śpi.

Odwrócił się od łóżka i przysiadł na parapecie, próbując zapalić papierosa drżącymi rękami. Wreszcie dopiął swego i zaciągnął się głęboko.

–Tak powiedziałaś Avery'emu? Że Pat wpadła?

–Nie, powiedziałem mu prawdę. Mam przeczucie, że później to może okazać się ważne. Nie twierdzę, że mi uwierzył... – Chuck parsknął chrapliwym śmiechem – ale przekonałem go, że oskarżenie o... kazirodztwo zostało rzucone przez osobę psychicznie niezrównoważoną. Szanowna pani Baxter zachowywała się w sposób tak niecodzienny, że jestem gotów w to uwierzyć. Uważa, że próbowaliśmy ukryć nieślubną ciążę i że Peter z Cecily chcą adoptować dzieci. Nie ma nic przeciwko nieformalnemu rozgłaszaniu takiej wersji. Porządny z niego gość, choć obawiam się, że nie jest w stanie pojąć naszego rewolucyjnego i bezbożnego dokonania.

–Wpadkę przed ślubem łatwiej przełknąć niż... – nawet ja nie mogłam tego powiedzieć – to drugie.

–Pani Baxter mogłaby podeprzeć naszą bajeczkę, lecz nie wyobrażam sobie, by poszła nam na rękę. Ona nie pomoże ani tobie, ani mnie, ani Kelloggom. Chryste, z jaką rozkoszą dorwałbym ją w swoje ręce. Z miejsca trafiłaby do domu wariatów... Avery łagodzi zajs'cie, jest gładki jak jedwab. Neurotyczna babka, gotowa za wszelką cenę ukryć swoje lata, ułatwia sprawę. Obecnie odbywa długą rozmowę z przełożoną tego piętra. Ruga ją za wpuszczenie Baxter, za bierne przysłuchiwanie się jej tyradzie i za uwierzenie w te brednie. – Wrócił do Pat i palcami zbadał jej brzuch.

–W porządku, jest twardy – powiedziałam.

–Chciałbym zabrać ją stąd, szybko.

–Czy w tych okolicznościach Avery pozwoli Esther zostać? – zapytałam.

–Możesz się o to założyć – mruknęła ponuro Esther, stając w drzwiach. Była w białym wykrochmalonym kitlu, gotowa do działania. Ulżyło mi. – Czego się spodziewasz po prowincjonalnych szpitalach? – Przyjrzała się Pat, odruchowo wygładziła pościel i zaczęła sprawdzać sprzęt w takim skupieniu, jakby liczyła na znalezienie jakiejś usterki. – Nie mają w zwyczaju umieszczania noworodka przy matce, inaczej przyniosłabym dzieci tutaj. Ale ze mną będzie jej dobrze. Lepiej wracajcie do domku. Aha, Allison, przed wyjściem zaaplikowałam Cecily silny środek uspokajający. Tobie też by się przydał – dodała i usadowiła się na krześle przy śpiącej Pat.

W drodze do wyjścia, gdy mijaliśmy gabinet Avery'ego, usłyszeliśmy, jak wygłasza kazanie jakiemuś pracownikowi.

Złe szczekanie Czarodzieja ostrzegło, nas, zanim skręciliśmy z głównej drogi w uliczkę, która wiodła do domku. Parę osób oddaliło się spiesźnie, jakby nagle sobie przypomniało, że mają coś do załatwienia.

–Mój Boże! Ludzie! Nienawidzę ich – mruknął Chuck, łypiąc groźnie na czterech gapiów, gdy zaparkowaliśmy samochód.

–Nie wchodźcie – poradził jeden z nich. – Ten pies jest niebezpieczny!

–Poważnie? – zapytał Chuck z niewinną miną. Oboje minęliśmy warczącego Czarodzieja.

–Jak oni to zrobili? – zdziwił się ktoś' z gromady.

Peter wyszedł z cienia niedużej, osłoniętej siatką werandy.

–Esther dała cos' Cecily. Rozchorowałaaby się od płaczu – powiedział. – Czy Pat dobrze się czuje?

–Jest z nią Esther. Avery rozstawia po kątach personel szpitala. – Chuck ze zmęczeniem odgarnął włosy z czoła. – Nie uwierzył w egzogenezę, ale pomyśl, że ty i Cecily zamierzacie adoptować nieślubne dzieci twojej siostry, przekonał go.

–Co?

Może była to tylko gra światła, ale zdawało mi się, że dostrzegłam błysk gniewu w martwych oczach Petera.

–Jak długo Pat i dzieci muszą tu zostać?

–Wyjedziemy, gdy tylko Pat będzie gotowa do podróży – powiedziałam, opierając się o ścianę.

Chuck posadził mnie na krześle, przez przypadek zwróconym w stronę ścieżki i ciekawskich twarzy. Próbowałam sobie wmówić, że przygnębia mnie widok ciekawskich, ale w rzeczywistości dręczyło mnie coś innego. Skoro Louise Baxter tak szybko udało się roznieść brudy po małej wypoczynkowej wiosce, to pewne jak wszyscy diabli, że zepsuje również miłą atmosferę naszego uniwersyteckiego miasteczka. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego to robi ani co chce w ten sposób osiągnąć.

Zanim wszyscy upiliśmy się w trupa, Chuck usadził mnie przy stole w jadalni, gdzie zrobiliśmy notatki z porodu. Zdawałam sobie sprawę, że dokumenty te będą bardzo ważne, ale opisywanie klinicznych szczegółów przyćmiło sam cud równie skutecznie, jak Louise Baxter splugawiła największy dar miłości.

Trzeciego dnia po porodzie zabralis'my Pat i dzieci do domu na południu stanu. Formalnie nadal byłam na urlopie, a poza tym nie chciałam, żeby roztrzęciona młoda matka została sama, więc zaprosiłam ją do siebie.

Chuck, który w moim kombi jechał za ambulansem, skręcił do jej mieszkania po rzeczy z przygotowanej listy, a Peter, Cecily, Czarodziej i dzieci odbili od kolumny do swojego domu.

Zdążyliśmy z Esther ulokować Pat, gdy najpierw Chuck, z piskiem opon, a potem Cecily z całą resztą stłoczyli się na moim podjeździe.

Trzy dni wcześniej w szpitalu pomyślałam, że Chuck wyczerpał swój nadzwyczajny zasób inwektyw, ale najwyraźniej chował parę na specjalne okazje. Pomagając Peterowi wysiąść z samochodu, kłął

na czym świat stoi.

–Co się stało? – zapytałam, choć nietrudno było zgadnąć.

–Ta wredna baba oświadczyła, że nie zamierza gościć rozpustnicy pod dachem swego szacownego domu.

I pomyśleć, że kiedyś ją podziwiała. I pomyśleć, że taka osoba zatruwała umysły bezbronnej młodzieży i... Czy dalsze cytowanie jest naprawdę konieczne? – zapytał Chuck, nie oszczędzając swojego silnego barytonu. Zbudził małą Annę Kellogg.

–Pani Baxter przyjechała do miasta?

–Quod erat demonstrandum! Tylko że ja nazwałbym ją trochę inaczej: ta stara franca! – Chuck pienił się ze złości, jednocześnie uspokajając przestraszone dziecko, co wyglądało trochę groteskowo. Wreszcie oddał małą w ramiona Esther.

Zwykle spokojną twarz Petera żłobiły bruzdy smutku, gdy pomagał Cecily wejść po schodach. Czarodziej, z opuszczoną głową i zwieszonym ogonem, odprowadził ich do stopni, a potem odwrócił się i położył na chodniku, skąd obserwował frontową bramę.

–My też nie jesteśmy mile widziani przez zarząd naszego bloku – powiedział Peter.

–Dobry Boże – burknęła Esther – czy ona używa megafonu?

Wtedy zadzwonił telefon. Esther odebrała, kołysząc Annę na ręce. Słuchała przez chwilę, potem z grobową miną trzasnęła słuchawką.

–Mys'le, doktor Craft, że lepiej wyłączyć telefon albo natychmiast zmienić numer. Mam złożyć podanie?

Drętwo pokiwałam głową.

Czarodziej szczechnął ostrzegawczo. Chuck wyjrzał przez okno.

–Kim oni są? – zapytał.

Spojrzałam na trzech bezczelnych gapiów szykujących się do wejścia na podwórze. Pokręciłam głową.

–Peter, czy Czarodziej jest dobrym stróżem?

Peter ze smutkiem pokiwał głową. Patrzyliśmy, jak intruzi otwierają furtkę. Czarodziej nie spieszył się, ale jego zamiary nie budziły wątpliwości. Nieproszeni goście zawahali się, naradzili, cofnęli. Czarodziej zajął nową pozycję, dziewiętnaście metrów od bramy.

Parę następnych godzin utwierdziło mnie w przekonaniu, że Czarodziej jest lepszy od kordonu policjantów.

Rozzłoszczony tłum może przypuścić szarżę na szeregi policji, ale nasi „goście” nie mieli odwagi stawić czoła rozjuszonemu owczarkowi niemieckiemu. Nie mogłam pojąć, jakim cudem tyle osób uwierzyło w oszczerstwa rzucane na Pat i Petera Kellogga, ale może byłam naiwna.

Wokół mojego domu panował istny cyrk. Lubię myśleć, że ci nieliczni, którzy nie zostali obwarczeni przez Czarodzieja, mieli przyjacielskie zamiary. Nadal nie rozumiem, dlaczego ludzie zbiegają się tłumnie tam, gdzie dzieje się coś niezwykłego.

Tak czy inaczej, jedyną osobą, która weszła do naszego domu przed przybyciem policji, był telemonter. Nie wszedł za furtkę, dopóki Peter nie założył kolczatki Czarodziejowi.

Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam z następnych paru godzin. Myślę, że wszyscy siedzieliśmy na wpół ogłuszeni, z wyjątkiem praktycznej Esther. Jedzenie przywiezione z wiejskiego domku nie wystarczyło, a poza tym potrzebowaliśmy mieszanki dla niemowląt, więc Esther poszła na zakupy – przez furtkę na tyłach domu. Po powrocie, mamrocząc coś ze złością, zabrała się do gotowania obiadu, ale nie umiem powiedzieć, co nam zaserwowała. Na szczęście, mieliśmy pod opieką pełne wigoru, głodne, zdrowe dzieci. Myślę, że tylko dzięki nim udało nam się zachować zdrowe zmysły. Chuck mruknął to raz, ale ogólnie z pięćdziesiąt razy słyszałam przypomnienie:

–Mamy dzieci!

Ponieważ Czarodziej skutecznie strzegł domu, nikt z nas nie zwracał uwagi na krzykaczy czy nieproszonych gości, dopóki nie usłyszeliśmy syreny policyjnej cichnącej przed bramą.

–Nie spieszyli się – zauważyła Esther z uzasadnionym oburzeniem.

Pełni dobrej myśli wyszliśmy rzędkiem na werandę.

Bezstronny Czarodziej zdecydowanie sprzeciwiał się ingerencji policjantów.

–Proszę zabrać psa. Przybyliśmy w sprawie urzędowej – polecił jeden.

Peter wydał rozkaz i Czarodziej posłusznie wrócił na werandę.

–Nie spieszyliście się – powiedziała Esther cierpko.

–Niepokoją nas...

–Który z panów to Peter Kellogg? – policjant przerwał jej arogancko.

Peter podniósł rękę.

–Mam nakaz aresztowania. Kazirodztwo w tym stanie jest przestępstwem, kolego. – Jego prywatne

zdanie na ten temat nie pozostawiło żadnych wątpliwości. – Która z par to Patricia Kellogg? Mam nakaz aresztowania pod tym samym zarzutem.

Chuck wyrwał mu nakaz z ręki. Kiedy policjant zrobił krok w jego stronę, Czarodziej warknął ostrzegawczo.

Chuck spiesznie przeczytał dokumnet.

–Chryste! To nakaz sądowy, Peter. – Wczes'niej był zły, teraz wyglądał na pokonanego.

–A ten pan nie umie czytać? – zadrwił jeden z gliniarzy. Drugi trącił go w żebra i wskazał na psa.

–Jak panu doskonale wiadomo, Josephie Craig – wycedziła Esther z taką furią, że funkcjonariusz cofnął się o parę kroków – profesor Kellogg stracił wzrok w Wietnamie.

–Nazywam się Henderson, jestem lekarzem panny Kellogg. Moja pacjentka nie może osobiście stawić się na wezwanie. Jest pod wpływem silnych środków uspokajających i nie wolno jej narażać na dodatkowy stres.

–W takim razie pan też pójdzie z nami, doktorze, i powie to sędziemu. – Mężczyzna złapał Petera pod rękę i sprowadził go z werandy.

Chuck odwrócił się do mnie.

–Zadzwoń... – podał mi numer – i poproś Jaspera Johnsona. Niech natychmiast zabierze się do roboty.

–Pies nie może z nami jechać – sprzeciwił się policjant, spiesznie ustępując Czarodziejowi z drogi.

–Jest przewodnikiem profesora Kellogga i...

–Do diabła, nie będą potrzebne mu oczy tam, gdzie go zabieramy!

–Niech Czarodziej tu zostanie, Chuck – powiedział Peter cicho. Pochylił się i ujął w ręce psi łeb. Czarodziej pisnął, jakby już wiedział. Nic dziwnego, tłumione emocje dosłownie trzaskały w powietrzu.

–Czarodziej, pilnuj Cecily, pilnuj dzieci. Słuchaj Crafty. Rozumiesz?

Czarodziej zaskomlał, powęszył i pochylił głowę. Nie poszedł za Peterem, Chuckiem i policjantami, ale gdy tylko jacyś ciekawscy spróbowali skorzystać z okazji i wejść za furtkę, rzucił się ku nim z dzikim warczeniem i nastroszoną sierścią.

Wydawało mi się, że minęły wieki, nim dodzwoniłam się pod numer Johnsona. Musiałam czekać, gdy szukano go po biurach. Wreszcie usłyszałam energiczny głos. Wyjaśniłam sytuację w jak największym skrócie.

–Czy po to dziesięć lat temu wstąpiłem do bractwa? – skomentował prawnik tajemniczo, a potem mruzczał do siebie przez chwilę. – Zjawię się osobiście z uwagi na nadzwyczajność zarzutów. Muszą przyjąć kaucję, ale to załatwię przez telefon. Powinienem być u was za jakieś dwie godziny. – Jęknął.  
– Żona znowu mnie znienawidzi.

Jego nonszalancja dodała mi otuchy i gdy odłożyłam słuchawkę na widełki, moje straszne przygnębienie trochę zmalało.

Chuck i Peter wrócili taksówką godzinę później.

–Jestem pewien, że w tych okolicznościach sąsiedzi woleliby kolejną fanfarę na cztery syreny – zadrwił Chuck, gdy szli chodnikiem.

–Zapominasz, co powiedział sierżant Weyman – powiedział Peter.

–Racja. – Chuck poweselał.

–Lepiej dla George'a Weymana, żeby był po naszej stronie – odezwała się Esther z błyskiem w oku.  
– Allison sporo się natrudziła, żeby uratować jego żonę i dziecko.

Co takiego powiedział? – Że w życiu nie słyszał większego steku bzdur – odparł Peter z uśmiechem.

–Przywołał Craiga i innych policjantów do porządku, a do nas odniósł się wyjątkowo uprzejmie. Niestety, nie można powiedzieć tego samego o sędzi.

–Którym? – zapytała Esther.

–Colstonie.

To nikogo nie zdziwiło.

–Z szybkości naszego zwolnienia za kaucją wnoszę, że skontaktowałaś się z Jasperem. Przyjedzie?

–Dał sobie dwie godziny.

–Dwie godziny? No tak, musi przestrzegać ograniczenia prędkości. Biedaczysko, jeździ mercurym. – Chuck zas'miał się złośliwie. – Troje jego ostatnich dzieci zapłaciło za mojego lincolna. – Spoważniał i ruszył do kuchni. – Muszę się napić. Wszyscy musimy się napić, żeby uczcić trzeci dzień PPE.

–PPE? – zapytał Peter.

–Tak – zawołał Chuck z kuchni, gdzie brzęczał butelkami i szklankami. Wyszedł z obładowaną tacą.  
– Poporodowej egzogenezy.

Rozmowa kuląła. Peter, Chuck, Esther i ja wysączyliśmy drinki w minorowym nastroju. Wiedziałam,



że próbuję przytępić zmysły, choć zarazem dobrze zdawałam sobie sprawę, że picie w takim tempie niczego nie ułatwi.

Potem jedno z dzieci zaczęło płakać i równie nagle przestało. Pat wyszła z kuchni z Carlą i butelką.

–Słuchaj – powiedział Chuck, sadzając ją na kanapie – jeszcze powinnaś spać.

Pat obojętnie wzruszyła ramionami i poprawiła dziecko na ręce. Uśmiechnęła się, gdy butla ze smoczką uciszyła kwilenie wygłodzonego maleństwa.

–Widzę, że moja robota nie skończyła się z wydaniem ich na świat – powiedziała. – Zabawne. Wiesz, Crafty, brakuje mi ich kopania. Czekałam na to, gdy się zbudziłam, i wpadłam w panikę, kiedy nic nie poczułam. Na szczęście, zaraz przypomniałam sobie, że przecież urodziłam dzieci. – Czuły uśmiech zgasł nagle. – No, cóż.

I tak dobrze, że jestem ich ciotką. Nie zniósłabym, gdyby miała zrzec się wszystkich praw do dziewczynek.

Wymieniliśmy z Chuckiem zmartwione spojrzenia nad jej pochyloną głową. W całym tym nieprzyjemnym zamęcie zapomniałam o emocjonalnym wpływie macierzyństwa na Pat. Była i zarazem nie była matką. Doświadczyła wszystkich emocjonalnych, biologicznych i psychologicznych aspektów ciąży. Jeśli nie zajmiemy się tym problemem, jej zaangażowanie może osiągnąć krytyczny poziom. Z drugiej strony zamieszanie mogło wyjść jej na dobre – chcąc odciąć się od przykrości, z radością uwolni się od związku z ich przyczyną, urodzonymi przez siebie dziećmi.

–Ciekawe, moja droga, co powiesz po tygodniu nieprzespanych nocy – powiedział Chuck cierpko. Wewnętrzne zegary bliźniąt nie były zsynchronizowane.

–Nie mogę narzekać na brak profesjonalnej pomocy – zauważyła Pat. Musicie zrobić listę, komu i kiedy wolno będzie zajmować się dziewczynkami.

Peter przesiadł się na kanapę. Dotknął dziecka w ramionach Pat, zamknął porośniętą puszką główkę w wielkiej dłoni, z kciukiem zawieszonym nad delikatnie pulsującym ciemiączkiem. Czubkami palców „przeczytał” twarz Carli i jedną rączkę. – Ślepotą ma swoje dobre strony. Mogę zgodnie z prawdą powiedzieć Cecyli, że nie postarzała się nawet o jeden dzień. – Peter uśmiechnął się łagodnie. – Ona też jest szczerą i mówi mi o swoich zmarszczkach i siwiejących włosach, ale ja ich nie widzę. Nie widzę również zmian, które podobno zachodzą wokół mnie. Czas mierzony wzrokiem zatrzymał się dla mnie na zawsze i „widzę” tylko wspomnienia. – Pogłaskał ciepłą główkę. – Widziałem wiele dzieci. Wiem, jak zazwyczaj wyglądają... – Niedomówienie zawisło w powietrzu. Nie tylko Esther sięgnęła po chusteczkę.

Chuck chrząknął i z przesadną zawodową swadą oznajmił:

–Zapewniam, szanowny panie, że pańska córka jest piękna jak na noworodka, które, mówiąc szczerze, nigdy nie grzeszą urodą. Wprawdzie traci kolor homara, kości główki stopniowo przyjmują normalny...

–Charlesie Henderson, jak możesz? – zawołała Pat ze złością. – Carla jest nieskazitelnie pięknym dzieckiem.

Nie zwracaj uwagi na jego kliniczny bełkot, Peter. Po prostu jest zazdrosny.

–Nigdy nie słyszałem większej prawdy – przyznał Chuck płaczącym tonem.

–Nie możesz zrobić z którejś z nich uczciwej kobiety i postarać się o paru brzdąców? – zapytałam kąśliwie.

Chuck lekceważącym ruchem ręki zbył moją sugestię hurtowych podbojów.

–Dziecko dla A, dziecko dla B, lecz nigdy, nigdy dziecka dla mnie – wyszczebiotał trochę fałszywie.

–Och, chcesz powiedzieć „zawsze odbieram, nigdy daję”? – zapytała Pat niewinnie, zręcznie przekładając Carlę przez ramię, żeby się jej odbiło.

–To możesz powiedzieć o Ali, nie o mnie – powiedział Chuck z udawanym oburzeniem.

–Chwała Bogu, że jesteś'cie – powiedział ktoś od drzwi. – Dzwoniłem ledwie pół godziny temu, ale numer nie odpowiada.

Odwróciliśmy się.

–Doktor Dickson! – Peter już się podnosił. Poznał głos, zanim zdążyliśmy się odwrócić i zobaczyć, komu udało się przejść obok Czarodzieja. – Całe szczęście, że pies zna naszych przyjaciół.

–Dokładnie. Dokładnie. Czarodziej i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi pod słońcem. Wspaniałe zwierzę, takie inteligentne i sympatyczne. Żałuję, że nie dogaduję się równie dobrze z ludzkimi członkami mojego zgromadzenia.

Peregrine Dickson, pastor kościoła prezbiteriańskiego, wszedł do pokoju. Nie przestając wycierać złanej potem twarzy, ścisnął nam ręce ciepłą, mocną dłonią. Był średniego wzrostu, w średnim wieku, lekko przy tuszy, trochę łysiejący, ale tylko jego wygląd był przeciętny. Miał w sobie niewyczerpane pokłady dobrego humoru, cierpliwości i współczucia, a na jego miłej twarzy, opatrzonej czujnie mrugającymi oczami, wyraźnie zaznaczały się zmarszczki od częstego śmiechu.

–Mój drogi Peter, jak bardzo się cieszę w twoim imieniu! Allison, moja droga dziewczynko, spodziewałem się, że nie pożałujesz pomocy! – Potrząsnął moją ręką, przywitał się z Esther i uściśnął dłoń Chucka, co skłoniło mnie do dokonania prezentacji przed udzieleniem wyjaśnień.

Potem Perry Dickson pochylił się nad Carlą. – Piękne dziecko! Jego siostrzyczka śpi? Bliźniaczki!

Wielkie nieba, moja bystra Pat nigdy nie robi niczego połowicznie, prawda?

Uwielbiam chrzcić bliźnięta. Mam wrażenie, że dzięki temu zdobywam nie jeden, ale dwa punkty w Bożym Rejestrze.

Uderzające podobieństwo... – urwał, odsuwając się lekko od Carli i mrużąc oczy jak malarz, który chce uchwycić perspektywę. Popatrzył na Pat niemal z przestrawieniem. – Jak to zrobiłaś, Pat? Ale chwala ci za to, że wytrzymałaś i obdała rzyłaś dziećmi Petera i Cecily. Czy Cecily odpoczywa? – Rozejrzał się z nadzieją, a potem opadł na sofę obok Petera, osuszając spoconą twarz wilgotną chustką. – Nie powinienem się dziwić. W taki gorący, parny dzień...

W tej chwili Esther wróciła z kuchni ze szklanką lemoniady.

–Dziękuję, Esther. Zawsze wiesz, czego komu trzeba. Doprawdy, wydaje mi się, że biegłem, i to godzinami.

Jak dobrze, że wreszcie tu dotarłem! – Doktor Dickson wypił parę łyków i odstawił szklankę, żeby kontynuować monolog. – Ucieszyłem się wielce, Peter, gdy usłyszałem nowiny. W końcu, chrzciliśmy cię, bierzmowałem, udzieliłem ci ślubu, a teraz będę mógł rozpocząć nowy cykl, dla nowego pokolenia...

Perry Dickson paplał z takim przejęciem, że człowiek nie miał czasu na uporządkowanie własnych myśli. Zaczynałam pojmować, że Perry w określony sposób mówi, iż nieślubne pochodzenie dzieci nie będzie przeszkodą w przyjęciu ich do Kościoła.

–Perry – spróbowałam wtrącić słowo – chyba nie słyszałeś, co...

–Sza, Allison, słyszałem, od A do Z. Zawsze znajdzie się ktoś, kto mi powie. Ponieważ jestem pastorem, ludzie przychodzą do mnie ze wszystkim, co ich zdaniem powinienem usłyszeć. Być może dlatego tak dużo mówię, żeby nie dać nikomu okazji do przekazania mi czegoś, o czym według niego powinienem wiedzieć.

W tym przypadku pewna uprzejma parafianka... bardzo wspaniałomyślna... gdy chodzi o datki... zatelefonowała do mnie do domu medytacji. Przedstawiła mi wyjątkową interpretację pewnego niespodziewanego zdarzenia \_ uśmiechnął się słodko do Pat. – Pomyślałem, że będzie lepiej, gdy natychmiast wrócę. Już się spakowałem, gdy zadzwonił ojciec Ryan.

–Ojciec Ryan? – zawołałam razem z Peterem.

Chuck zadrżał, jęknął i zakrył oczy ręką.

–Mamy więc kłopoty nie tylko natury świeckiej, ale j kościelnej?

–Och, nie sądzę. Ojciec Ryan nie wnikał w szczegóły, ale mówił z takim naciskiem, że wróciłem, ponieważ... wydzwięk... plotki... – Perry Dickson zająknął się, jakby prawda nie mogła za nim

nadażyć. Popatrzył na mnie pustym wzrokiem, lecz nie wiedziałam, od czego zacząć.

–A zatem wierzy pan, doktorze Dickson – zaczął Peter powoli i wyraźnie – że dzieci są moje i Pat?

–Broń mnie Panie Boże! – Perry Dickson podniósł głos, oczy i ręce na znak, że z przerażeniem odrzuca taki pomysł. Potem uśmiechnął się do Pat. – Mam nadzieję, Patricio, że zgrzeszyłaś wyłącznie dlatego, by dać Peterowi i Cecyli upragnione potomstwo.

–On po prostu nie kapuje – powiedział Chuck niemal z irytacją.

–Ja co nie? – Perry popatrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

–Pat nie zgrzeszyła, doktorze Dickson – rzekł Peter cichym, ale mocnym głosem. – Nie urodziła nieślubnych dzieci. Była matką zastępczą potomstwa mojego i Cecily.

–I wskazał Chucka i mnie.

–Była... matką... zastępczą? – Twarz Perry'ego zastygła w absolutnym bezruchu. Wstrzymywał oddech, dopóki słowa nie nabrały dla niego sensu. Zamrugał raz i drugi, a potem wydał triumfalny okrzyk, który zbudził Carlę.

–Egzogeneza? – Otworzył oczy tak szeroko, że brwi podjechały niemal do połowy czoła. – Egzogeneza! – Chwycił Chucka za rękę, czekając na potwierdzenie. Uśmiechnął się szeroko, gdy Chuck z zapalem pokiwał głową.

–Egzogeneza, udokumentowana i przeprowadzona!

–Egzogeneza! Egzogeneza! – wołał Perry w radosnym uniesieniu. – Och, cudownie! Patricia! Moja droga dziewczynka, większej miłości nie zna żadna kobieta! Moje drogie dziecko! – Objął ją, dając upust emocjom. Energicznie potrząsnął ręką Chucka, zamknął Petera w potężnym uścisku, przez cały czas mamrocząc „egzogeneza” z każdą możliwą intonacją, od zdumienia przez niedowierzanie do ulgi i zachwyty.

Jeszcze szczerzyliśmy się jedno do drugiego, zachwyceni jego reakcją na naszą rewelację, gdy Perry opadł z powrotem na sofę, wachlując się przemoczoną chustką.

–Och, moi drodzy, moi drodzy przyjaciele... – Klasnął i popatrzył na Carlę. – Cóż, to oczywiście wszystko wyjaśnia. Prawda? – Następna myśl wpadła do jego skołatanej głowy. – Wielkie nieba, biedny ojciec Ryan! – Na ten wykrzyknik Chuck wybuchnął śmiechem. – Co on powie? O, mój Boże! – Choć głos Perry'ego wyrażał przerażenie, w jego oczach błyszczało radosne oczekiwanie. – To uderzy w fundamentalny dogmat jego wiary. Jak to wyjaśni? Och, drodzy przyjaciele, jak można to wyjaśnić? – zapytał takim tonem, jakbyśmy zdecydowali się na przeprowadzenie eksperymentu tylko i wyłącznie po to, żeby zabić ćwieka ojcu Ryanowi.

–Z wielką przyjemnością dostarczę dokumenty... – powiedział Chuck; rzucił okiem na Pat, ale

najwyraźniej nie zdołał się powstrzymać – które dowodzą, że było to niepokalane poczęcie! Moja droga Patricio, nie mogłem się oprzeć!

Wszyscy rzuciliśmy się na Chucka, który pytał, co jest nie w porządku z facetami w tym mieście i błagał Pat o wy – baczenie. Ona na przemian śmiała się i' rumieniła z zakłopotania, niezdolna wykrztusić słowa. Gwar znowu zbudził dziecko i Pat skorzystała z okazji, żeby nas opuścić, mówiąc na odchodnym, że rozmowa przyjęła obrót zbyt nieprzyzwoity dla jej dziewiczych uszu i chłonnego umysłu malej bratanicy.

Kiedy się uspokoiliśmy, wycierając z policzków łzy śmiechu – jakże nam potrzebnego – Perry zaczął wypytywać o szczegóły. Nie ukrywaliśmy niczego, bo szczerłość przemawiała na naszą korzyść.

–Wróćmy do początku – poprosił, gdy przyswoił sobie ważne fakty dotyczące techniki egzogenetycznej – wspomnieliście o kłopotach świeckich i kościelnych. O co dokładnie chodzi?

–Pańscy mili parafianie nie wiedzą wszystkiego, doktorze Dickson – powiedział Chuck. – Jakieś dwie godziny temu Peterowi i Pat doręczono nakazy aresztowania pod zarzutem popełnienia kazirodztwa i zdrady małżeńskiej.

Oczy Perry'ego zrobiły się mgliste, szczeka mu opadła.

–Wielkie nieba! To straszne! Kto...

–Moja matka – powiedziała Cecily, stając w drzwiach z korytarza. Była blada, ale opanowana. Za nią weszła Pat.

Doktor Dickson w jednej chwili zerwał się na nogi.

Delikatnie, z uczuciem uścisnął Cecily, a potem pociągnął ją i Pat na kanapę. Usadowił się między nimi i uspokajająco poklepał je po rękach.

–Moje drogie dziecko, jesteś pewna, że to Louise?

–Jak najbardziej – odparła Pat. – Pani Baxter złożyła wizytę w wiejskim szpitalu, gdzie byłam zarejestrowana jako Cecily Kellogg... żeby na metryce widniało nazwisko prawdziwych rodziców. To Louise.

–Nigdy nie potrafiłem zrozumieć wrogości twojej matki wobec Petera – powiedział Perry do Cecily – zwłaszcza że jest tak bardzo podobny do twojego drogiego ojca. Ale żeby narażać... narażać własną córkę na skandal... To się w głowie nie mieści!

Zamarliśmy, gdyż rozległo się ostrzegawcze szczekanie Czarodzieja. Usłyszeliśmy zirytowany męski głos:

–Proszę zabrać psa, zanim będę zmuszony go zastrzeWyjrzeliliśmy przez frontowe okno. Przy

krawężniku stał wóz policyjny, tym razem bez włączonych świateł, a z przodu równie oficjalnie wyglądająca biała furgonetka. Nie widziałam napisu na drzwiach, ale na fotelu pasażera siedziała pielęgniarzka. Policjanci ze swojego samochodu przyglądali się spoconemu mężczyźnie w prążkowanym garniturze, trzymanemu na dystans przez Czarodzieja.

–Powinna pani wiązać to wściekłe zwierzę – powiedział do mnie, gdy razem z Peterem wyszłam na werandę.

–Owczarek broni nas przed intruzami – odparłam.

–Cóż, ja przychodzę w sprawie urzędowej.

–Jakiego rodzaju? – zapytał Chuck, zajmując pozycję w drzwiach.

–Najpierw proszę zawołać psa.

–Dopiero wtedy, gdy przedstawi pan swoją sprawę.

Doktor Dickson, trzymając się w cieniu wejścia, pociągnął Chucka za rękaw.

–On jest egzekutorem sądowym – wyszeptał. – Zwykle nie wtrącam się w pracę maszyny prawa, ale tym razem powiem jedno: proszę go zatrzymać!

–Dlaczego? – zapytała Pat szeptem.

Perry pociągnął ją w głąb domu. Kątem oka zobaczyłam, jak razem z Cecily odchodzą korytarzem. Potem moją uwagę przyciągnął wysłannik prawa i porządku.

–Proszę zawołać psa. Sąd nałożył areszt zapobiegawczy na... – odwrócił kartkę, żeby przeczytać nazwiska – Carlę i Annę Kellogg.

Peter jęknął i zgarbił się bezradnie. Chuck objął go ramieniem.

–Nigdy nie oddam wam dzieci – rzekł Peter cicho, ale wyraźnie.

–Człowieku, czy również sąd ma pan w pogardzie? – Mężczyzna skinął ręką w stronę wozu policyjnego. Policjanci wysiedli i stanęli za jego plecami.

–Panie Kellogg, niech pan odda dzieci, bo inaczej wpadnie pan w jeszcze większe tarapaty – poradził jeden z nich. – Nie podoba mi się myśl o zastrzeleniu Czarodzieja, ale lekceważy pan nakaz sądowy.

–Wydany przez kogo? – zapytał Peter.

–To nieistotne, panie Kellogg. Mamy nakaz i zamierzamy zabrać dzieci.

–Doprawdy? – rozbrzmiał radosny, aksamitny głos.

–Jasper, Bogu dzięki – zawołał Chuck, zeskakując z werandy i biegnąc na powitanie. Przy furtce stał wysoki, nadzwyczaj chudy mężczyzna. Pochłonięci rozmową z groźnym egzekutorem nie zauważyliśmy, jak podjechał błyszczący czarny kabriolet marki Mercury. – Prawniczy orle, czyń swoją powinność! W samą porę.

Jasper wyciągnął długą kościstą rękę i jakby od niechcenia chwycił nakaz. Przeczytał go bardzo uważnie, zagwizdał i oddał egzekutorowi.

–Obawiam się, ludziska, że to wszystko ma wiążącą moc prawną – powiedział grobowym głosem i chwyciwszy Chucka pod ramię zaciągnął go na werandę.

Egzekutor chciał iść za nimi, ale zamarł w pół kroku, wlepiając oczy w garnitur wyszczerzonych zębów. Policjant położył dłoń na rękojeści pistoletu.

–Na miłość boską, człowieku, muszę naradzić się z klientami – zawołał Jasper, ruchem ręki nakazując im trzymanie się w bezpiecznej odległości.

–Niech robią swoje. Niech przeszukają dom – powiedział cicho do nas. – Wszystko w porządku. Wiem, co robię – zapewnił, widząc nasze zszokowane miny. – Kogo słucha ten pies?

Peter niechętnie przywołał Czarodzieja. Bezsilne warczenie psa dokładnie odzwierciedlało moje uczucia, gdy w odrętwieniu patrzyliśmy, jak odrażający urzędnik zaczyna buszować po domu.

–Musicie mieć potężnych wrogów, skoro tak szybko wydano nakaz – powiedział Jasper ściszym głosem.

–Cholera, Johnson... – zaczął Chuck.

W tej chwili do salonu wpadł egzekutor z pustą torbą do noszenia niemowlęcia. 14 -Ta, która słyszała smoki – Gdzie one są? Widziałem kobietę z dzieckiem w ramionach, gdy tu podjechałem. Gdzie one są?

–Kto taki? – zapytała Pat, wychodząc z Cecily z kuchni. – Kto to jest? Czego tu szuka? – mówiła z całkiem szczerym oburzeniem.

–Gdzie są dzieci? Mam nakaz!

–W tym domu nie ma żadnych dzieci – odparła Cecily cicho. – Proszę sprawdzić, śmiało!

–Ale były! – Mężczyzna potrząsnął torbą i rzucił ją na kanapę.

–Do licha, jak to zrobiłeś? – wymruczał Chuck do Jaspera.

Powrót egzekutora powstrzymał nas od zadawania pytań i okazywania emocji.

–Muszę zabrać dzieci. Gdzie one są?

–Nabawi się pan udaru, gorączkując się w takim upale – powiedział Chuck beznamiętnie.

–Panie Kellogg, ma pan dość kłopotów... – zaczął jeden z gliniarzy.

–Znajdę te dzieci, ty kazirodczy sukin...

Pięść Petera minęła cel, ale Chuck nie chybił. Jego cios trafił w cel z miłym dla ucha trzaskiem. Egzekutor przekoziółkował nad poręczą kanapy i potracił torbę, z której prosto na jego głowę wypadła pielucha. Miałam nadzieję, że pełna.

–To napaść, proszę pana – powiedział surowo policjant, odwracając się do Chucka. Czarodziej przysiadł na zadzie, warcząc groźnie.

–Z czterema bezstronnymi s'wiadkami, którzy zaświadczą niczym nie uzasadnioną prowokację? – zapytał Jasper.

–Nie sędzę. – Rzeczowe, pełne autorytetu zachowanie Jaspera rozładowało napiętą sytuację. Na jego znak policjant pomógł jęczącemu egzekutorowi pozbierać się na nogi. Jasper usłużnie uwolnił urzędnika od ciężaru kartki, którą ten nadal trzymał w ręku. – Jest pan zobowiązany do dostarczania sądowych nakazów i wezwań w sposób licujący z powagą pańskiego urzędu, co nie obejmuje rzucania obraźliwych uwag. I skoro na terenie tej posesji nie ma żadnych noworodków, niemowląt ani ogólnie rzecz biorąc dzieci, proponuje przenieść się z poszukiwaniami gdzieś indziej. – Oddał nakaz.

Egzekutor odbył krótką naradę z dwoma policjantami i po paru minutach wszyscy się wynieśli, odprowadzani przez Czarodzieja.

W chwili, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, odwróciliśmy się do dziewczyn, czekając na wyjaśnienia. Pat uśmiechała się triumfalnie, ale Cecily miała grobową minę.

–Peregrine Dickson wyniósł je tylnymi drzwiami, mamrocząc o narzędziach Pana, boskim czasie, FBI i swoim sumieniu – powiedziała Pat. – Żałujcie, że nie widzieliście, jak przemykał przez ogród z dziećmi na rękach, włokąc za sobą koce, z torbą z mlekiem podskakującą na biodrze... – Zakryła usta, tłumiąc śmiech.

–To jego widziałem kątem oka w czasie jazdy! – zawołał Jasper, uśmiechając się szeroko.

–Przepraszam za moje niedawne paskudne myśli, Jasper – powiedział Chuck. – Bałem się, że wraz z tym wrzodem Ed wyciął ci z chudej piersi mleko ludzkiej dobroci.

Jasper zadrżał.

–Na miłość boską, Chuck, nie wspominaj mi o mleku. – Udał, że wymiotuje. – Słuchajcie, mam przed



sobą dwie urocze panie. Która jest prawdziwą matką? Sam nie mogę poznać, bo prawdę mówiąc obie wyglądają jak z krzyża zdjęte.

–Najlepszy prawnik pod słońcem! – zawołał Chuck.

–Zawsze mówi prawdę!

–Ja jestem Cecily Kellogg – przedstawiła się żona Petera, ciepło ściskając rękę przybysza. – Jeśli może pan coś zrobić, żeby uniemożliwić im zabranie moich dzieci...

–Jestem współwinny, moja droga pani Kellogg. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie podejrzewałem, iż sprawy w takim tempie zajdą aż tak daleko. Nieczęsto się zdarza, żeby zabierać dzieci spod opieki rodziców przed orzeczeniem winy. Nawet wtedy państwo się waha, bo najgorsi rodzice są lepsi od żadnych. Rzekłbym, że osoba, która się na was uwzięła, ma bardzo wpływowych przyjaciół.

–A więc to moja matka – powiedziała Cecily, opadając na sofę, jakby nogi się pod nią ugięły. Peter mocno złapał ją za rękę.

–Pani matka? – Opanowanie Jaspera legło w gruzach.

–Matka zawsze miała wpływowych przyjaciół i zawsze umiała to wykorzystać.

–Jest bezlitosna – powiedział Chuck.

–Bez dwóch zdań – przyznał Jasper.

–I chora psychicznie.

–Najwyraźniej. Tym samym podwójnie niebezpieczna. – Jasper okręcił się na pięcie. Z jedną ręką w kieszeni, drugą z roztargnieniem przygładzając włosy, zaczął krążyć po salonie. – Doktor Craft wprowadziła mnie w sytuację, ale teraz chciałbym poznać szczegóły.

Chodził, gdy zdawaliśmy sprawozdanie z wypadków ubiegłego roku. W pewnym momencie przeprosił, że ruch pomaga mu się skupić. Później byłam zdziwiona dokładnością jego pamięci. Kiedy skończyliśmy, zrobił jeszcze jedną rundkę i zatrzymał się przed kanapą, patrząc na Petera i Cecily.

–Powództwo opiera się na obrazie moralności. – „Kazirodztwo w tym stanie jest niezgodne z prawem, kolego” – przypomniał Chuck.

–Zgadza się – powiedział Jasper – ale wiedziałeś, że się tym zajmę? Macie mistrza po swojej stronie. – Znowu pogładził się po głowie. – Czy pani musi być z nim spokrewniona? – zapytał z wyrzutem, zwracając się do Pat.

–Czegoś takiego nie robi się dla obcych – odparła głucho.

–Musimy więc zbić kwestię moralności i pokrewieństwa – nawiasem mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego uznali, że odebranie wam dzieci może cokolwiek naprawić – a wówczas oskarżenie z definicji zostanie oddalone.

–Owszem – mruknęła Pat ponuro. – A co z pomówieniem? – Machnęła ręką w stronę frontu domu.

–Tak. – Jasper westchnął ciężko i zwrócił się do mnie:

–Przypuszczam, że nie będzie pani miała nic przeciwko podaniu swoich osiągnięć do wiadomości publicznej? – Świat musi wiedzieć, że egzogeneza jest możliwa... choć w konsekwencji stada bezdzietnych kobiet rzucą się na Ali – powiedział Chuck, uprzedzając moją odpowiedź.

–Prędzej łowców sensacji – poprawiłam.

–Prawda. Musimy jednak wstrzymać się z publikacją do właściwego momentu – powiedział Jasper łagodnie, przepaszając. – Obawiam się, że z tego powodu przez jakiś czas wszyscy będziecie w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Czy ten medyczny majstersztyk jest udokumentowany?

–Na Boga, oczywiście – odparł Chuck – każdy spadek temperatury, każdy miligram leków...

–Notatki mogą zostać dopuszczone jako dowód.

–Choć pochodzą ze stronniczego źródła? – zapytałam. – Przypuszczam, że zostaną uznana za współwinną.

–A ja to co? Nie zapominaj o mnie! – zawołał Chuck wojowniczo.

–Ani o mnie – odezwała się Esther, z determinacją wysuwając szczękę.

–Och, wszyscy jesteście cudowni – powiedziała Cecily i zalała się łzami. Chuck zerknął na mnie znacząco, ale Cecily nie chciała żadnych środków uspokajających i wzięła się w garść.

–Przepraszam, pani Kellogg, moje zachowanie może wydawać się bezduszne lub brutalne, ale zawsze jestem szczerzy wobec klientów. Mogę jednakże obiecać, że wystąpię o nadzwyczajne przesłuchanie. Ja też mam paru wpływowych przyjaciół. A teraz podsumujmy. Dokumentacja medyczna, doktor Craft, niezależnie od źródła, jest uważana przez sąd za wiarygodny dowód. Zakładam, że w szpitalu, w którym urodziły się bliźniaczki, i w pani placówce też są odpowiednie dokumenty. – Gdy pokiwaliśmy głowami, dodał, że może wezwać personel na świadków. – Muszę znać grupę krwi trojga osób zamieszanych w sprawę i dziewczynek. To powinno rozstrzygnąć, czyje są dzieci, prawda?

Chuck pochwycił moje powątpiewające spojrzenie i wzruszył ramionami.

–Nie? – zapytał Jasper. – Wiem, że w sprawach o ustalenie ojcostwa...

–Człowieku, to jest sprawa o ustalenie macierzyństwa – powiedział Chuck.

–Tak, ale...

–Badanie krwi może wykluczyć macierzyństwo czy ojcostwo. Nie może go potwierdzić.

–Tak, ale...

–Skoro już jesteśmy brutalnie szczerzy, a tacy być musimy – mówił Chuck ponuro – to wiedźcie, że dopóki nie poznamy grupy krwi dzieci, nie możemy jednoznacznie stwierdzić, czy Pat nie jest ich matką.

Pat głośno wciągnęła powietrze, a Cecily przytuliła się do Petera, chowając twarz na jego ramieniu.

–Chcesz powiedzieć, że to okropne oskarżenie, że urodziłam dzieci swojego brata, może być prawdziwe?

–Chwileczkę, Pat. – Chuck wyciągnął rękę nad stolikiem, powstrzymując ją od poderwania się z sofy. – Nie w następstwie związku kazirodczego. Dokumentacja medyczna oczyszcza cię z tego zarzutu. Ale, cholera, możliwe, choć mało prawdopodobne... – zawiesił głos, żeby jego słowa zapadły nam w pamięć – że sperma ojca zapłodniła komórki jajowe obu kobiet.

–Bliźniaczki są identyczne – przypominałam Chuckowi i wszystkim innym.

–Prawda, i to świadczy, że pochodzą z jednego zapłodnionego jaja. Ali i ja zastanawialiśmy się, czy to możliwe...

–A ja jestem bliźniaczą... – szepnęła Pat z przerażeniem w głosie.

–Nie, nie, Pat, nie rozumiesz. Ty i Peter jesteście bliźniętami dwujajowymi, pochodzicie z dwóch różnych komórek jajowych zapłodnionych w tym samym czasie.

W tym przypadku mamy do czynienia z podziałem jaja, a to zupełnie co innego. I żebyś nie wpadła w neiwicę, powiem ci, że przy tak bliskim pokrewieństwie jest mało prawdopodobne, byś urodziła zdrowe dzieci. Chów wsobny powielea geny recesywne i generalnie dziecko bywa tego dowodem – jest wątłe, chorowite. Te dzieci są piękne, idealne, zdrowe.

–Słuchajcie – zaczął Jasper stanowczo; jego autorytatywny ton dobrze zrobił Pat i Cecily – określenie grupy krwi nie zajmie dużo czasu, możemy więc całkiem szybko zdjąć waszą całą trójkę z tego szczególnego haka. Mam rację? Teraz powiedzcie mi, jak skontaktować się z naszym duchownym porywaczem. I skoro o tym mowa, z przykrością muszę wam powiedzieć, że będzie lepiej, gdy nie zostaniecie poinformowani, dokąd zostały zabrane dzieci.

Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyście odzyskali je jak najszybciej.

Podaliśmy mu adres domowy doktora Dicksona. Jasper rozejrzał się po pokoju. – Żałuję, że poznałem was w niezbyt przyjemnych okolicznościach, ale z przyjemnością będę was reprezentować. Na Boga,

egzogenezą! – W jego oczach pojawił się ten sam wyraz oszołomienia i niedowierzania, który wcześniej widziałam u Perry'ego Dicksona. – Zaczekajcie, aż zajmie się tym Kościół katolicki.

–W pewnym sensie to już się stało – powiedział doktor Dickson, wchodząc do pokoju. Miał nową chustkę, której używał równie energicznie jak poprzedniej. – Kiedy wróciłem z... stamtąd, dokąd poszedłem... – uśmiechnął się do Jaspera, który dał mu znak, żeby nie zdradzał miejsca pobytu dzieci – zadzwonił ojciec Ryan. Biedaczysko nie był tak zmieszany, odkąd obaj przybyliśmy odprawić mszę nad tym samym grobem. Makabryczny żart, bo zmarły był zatwardziałym ateistą... o czym zresztą obaj wiedzieliśmy. Jego krewni... sza, sza, okropni ludzie; nic dziwnego, że nie wierzył w Boga. Ale odbiegam od tematu, to wada, której nie potrafię wykorzenić nawet na czas głoszenia kazania... Ojciec Ryan, tak. Dowiedział się o tych niesłychanych oskarżeniach wysuniętych przeciwko Kelloggom i zapytał, czy mógłby jakoś pomóc...

–Ojciec Ryan? – zdumiał się Peter. Widziałam, że jest zadowolony z takiego obrotu sprawy.

–Jak najbardziej. Ojciec Ryan bardzo cię szanuje, Peter. Powiedział dokładnie tak: „Nie ma nic bajronicznego w tym młodym człowieku, ani w jego poematach, ani w charakterze”. Ha! Gotów jest poświadczyć w sądzie, że masz kręgosłup moralny.

–A czy wie o skrzywieniu egzogenetycznym? – zapytał Peter z cierpkim humorem.

–Cóż, co do tego, obawiam się... Peter, po prostu nie mogłem mu tego powiedzieć... – Perry Dickson chyba po raz pierwszy w życiu miał kłopoty ze znalezieniem słów. – Pomyśl tylko, Peter, egzogeneza sprowadza podstawową katolicką tajemnicę wiary do techniki chirurgicznej. Ale przyszło mi na myśl, że taka możliwość wcale nie ujawnia tajemnicy, tylko ją pogłębia. – Dla podkreślenia słów zamasyście machnęła chusteczką. – Albowiem, czy nasz Pan Jezus nie był niezwykły sam z siebie, nie tylko z powodu świętego pochodzenia? I czyż taka cudowna metoda czynienia dobra nie będzie nawet dla najbardziej zatwardziałych bezbożników świadectwem, że jakaś istota – Bóg – troszczy się o nas i kieruje naszymi krokami po doczesnych ścieżkach? O, wielkie nieba, mamy dopiero wtorek. Dzieci są bezpieczne... – na jego twarzy odmalowało się głębokie przejęcie – pod czułą i fachową opieką. – Osuszył czoło i podjął z większym ożywieniem: – I mają zapewnioną anonimowość. – Westchnął. – Biedny ojciec Ryan. Ale zabierając dzieci, postąpiłem właściwie, prawda?

–Moralnie, tak – odparł Jasper. – Z punktu widzenia prawa – nie. Gdyby pan tego nie zrobił, musiałbym sam je zabrać. – Popatrzył na nas. – Zrozumiałem, na co się zanosi, gdy zobaczyłem pielęgniarkę w samochodzie Czerwonego Krzyża. Poza tym, Chuck, wiesz, jak lubię działać: stale do przodu.

–Czasami odnoszę wrażenie, że chcąc posunąć się do przodu, niekiedy trzeba się cofnąć – zauważył pastor.

–Co teraz?

Jasper wspomniał o badaniu krwi i wyjaśnił, dlaczego trzeba to zrobić.

–Nie sądzę, by miało to znaczenie – powiedział Perry – ale prawnikom trzeba przedłożyć dokumenty. Nie będzie miało znaczenia, jeśli się okaże, że grupy krwi są podobne.

–Dlaczego nie, do licha? – zapytał Jasper ze zdziwieniem.

–Wy, lekarze i prawnicy, uważacie dowody prawne i naukowe za podstawę, lecz chyba zapominacie o potędze ludzkiej próżności. Wszystkie te medyczne i notarialne oświadczenia imponująco wyglądają na papierze i dowodzą, że prawnik wart był honorarium. Ten rodzaj wydarzenia istotnie potrzebuje wszelkiej możliwej dokumentacji. Ale nie ma obawy. – Podniósł się, gestykulując z ożywieniem.

–Wszystko jest na dobrej drodze. Zemsta należy do mnie, rzekł Pan. To nie po chrześcijańsku z mojej strony, wiem, ale taka sprawiedliwość, taka boska sprawiedliwość... Nie, znowu odbiegam od tematu. Panie Johnson, jeśli pójdzie pan ze mną, załatwimy sprawę badania krwi dzieci, a potem będę musiał zająć się sprawami mojego Ojca. Stara pani Rothman, wiecie...

Wypchnął Jaspера z domu: wyglądał jak ponton za rufą smukłego jachtu.

–Ciekawe, co powie ojciec Ryan – zastanowił się Peter, gładząc Czarodzieja po głowie.

Jasper dotrzymał słowa i załatwił nadzwyczajne przesłuchanie w sądzie dla nieletnich. Powiedział, że ze strony oskarżenia nie było sprzeciwu, i ponownie wspomniął o wpływach naszego wroga, bo stroną powodową był Stan Nowy Jork, nie osoba fizyczna.

–Oczywiście, suwerenny Stan Nowy Jork stoi na straży wszystkich dzieci w obrębie swoich granic, ale mamy do czynienia ze ślicznym przykładem prawa precedensowego.

Dobrze było wiedzieć, że nasza męka ma swój kres, bo ciągnęliśmy resztkami sił. Atmosfera w mieście stała się, łagodnie mówiąc, podminowana.

–Jasne, trzeba kryzysu moralnego, żeby odsiać ziarno od plew – zauważyła Esther filozoficznie, skreślając z moich ksiąg kolejną pacjentkę. – I bardzo dobrze; McCluskey, Derwant, Patterson i Foster były zapisane na ten sam dzień.

–Kto mi został?

–Patterson, co mnie dziwi. Nie przypuszczałam, że takie chuchro stanie okoniem.

–Nigdy nie słyszałaś jej na zebraniach komitetu rodzicielskiego, prawda? Prężna działaczka ruchu na rzecz równouprawnienia kobiet, niech Bóg ją błogosławi.

Perry Dickson nalegał, żebyśmy w niedzielę zaszczycili jego kościół – tak to ujął. Ministranci przywitali nas wylewnie, ale z trochę wymuszonymi uśmiechami. Perry wygłosił jedno ze swoich najbardziej uduchowionych i najkrótszych kazań o wydawaniu pochopnych sądów, uprzedzeniach i prześladowaniach. O tym, że parafianie wzięli sobie jego słowa do serca, świadczyła liczba

znajomych, którzy podeszli porozmawiać z Kelloggami, z Esther i ze mną. Słyszałam, że ojciec Ryan w swoim kazaniu wziął na tapetę ten sam rozdział i wers. Obiecałam sobie, że w niedalekiej przyszłości muszę lepiej poznać tego dobrego człowieka. Jeśli nadal będzie chciał ze mną rozmawiać, gdy dowie się o egzogenezie. „Oszczercstwo” podzieliło ludzi. Niektórzy z nich byli skłonni uwierzyć w kazirodztwo, inni uważali, że Peter i Cecily chcą adoptować nieślubne dzieci Pat, a jeszcze inni opowiadali się za albo przeciw niezamężnym matkom, za albo przeciwko aborcji, za albo przeciwko prawu kobiet do decydowania, co mają zamiar robić z własnym ciałem.

–Na Boga – powiedział Chuck; przyjeżdżał w każdy piątek wieczorem, a w poniedziałek rano pędził jak wariat do domu, żeby zdążyć na pierwsze wizyty – wyparliście z rozmów takie tematy, jak narkotyki, loty na Księżyc i Bliski Wschód, nie wspominając o wyborach. A większość moich kolegów mówi, że egzogeneza nie jest możliwa.

Dzień przesłuchania powitaliśmy z większą ulgą niż niepokojem: taka jest potęga czystego sumienia.

Ponieważ przesłuchanie dotyczyło nieletnich, odbywało się przy drzwiach zamkniętych. Wolałabym obecność prasy, żeby, jeśli zostaniemy oczyszczeni z zarzutów, wiedziało o tym jak najwięcej ludzi. Z powodu liczby przesłuchiwanym, przydzielono nam jedną z większych sal. Niezwykła była obecność policji, woźnego i sekretarza sądowego.

W oczy rzucała się nieobecność Louise Baxter, dla nas tyleż miła, co zagadkowa. Jasper przeprowadził śledztwo, ale nie udało mu się odkryć, kto był pierwszym skarżącym.

Obradom przewodniczył sędzia Robert Forsyth. Wszedł na salę z marsem na czole – co mogło wydawać się niezbyt dobrym znakiem, ale z drugiej strony sędzia Forsyth nienawidził wszystkiego, co miało posmak sensacji, zwłaszcza kiedy dotyczyło dzieci. Był jednakże wyjątkowo wnikliwy i słynął ze zdrowego rozsądku.

–Proszę wstać – zawołał woźny. Zerwaliśmy się na nogi, gdy wszedł sędzia Forsyth. Ciąg dalszy miał formę ledwie zrozumiałego bełkotu. Zauważyłam, krzywiąc się z niesmakiem, że kiedy czytał oskarżenie o „cudzołóstwo i kazirodztwo”, jego wymowa znacznie się poprawiła i te słowa wypowiedział silnym głosem.

–Tak, tak – powiedział sędzia Forsyth, każąc mu usiąść.

–Czy przyznajecie się do winy? – zapytał Pat i Petera.

–Jesteśmy niewinni, Wysoki Sądzie – odparli cicho.

–Czy obecność tego zwierzęcia na sali sądowej jest konieczna? – zapytał sędzia uszczypliwie, wskazując na Czarodzieja, który siedział obok Petera.

–Tak, Wysoki Sądzie – odparł Jasper, podnosząc się z miejsca. – Czarodziej jest przewodnikiem pana Kellogga.

–Aha, rzeczywiście. – Było jasne, że nikt mu nie wspomniał o ułomności Petera ani że nie słyszał krążącego po mieście ordynarnego żartu tej treści, iż pewnej nocy Czarodziej zaprowadził swego pana do niewłaściwego łóżka.

Prokurator okręgowy, Emmett Hasbrough, był przeciętnym z wyglądu mężczyzną o reputacji ponadprzeciętnego autora sądowych fajerwerków. W uwagach wstępnych ograniczył się do stwierdzenia, że może z łatwością udowodnić prawdziwość zarzutów i zapytał, czy wolno mu wezwać pierwszego świadka. Sędzia wyraził zgodę i rozparł się na krześle, na pozór bardziej zainteresowany zaciekami na suficie niż przebiegiem rozprawy.

Miejsce dla świadków zajęła pielęgniarka z sali porodowej, przestraszona i jednocześnie przekonana o swojej ważności. Po złożeniu przysięgi podała nazwisko, zawód i obecne miejsce zatrudnienia.

–Czy rankiem 15 sierpnia 1976 o 8:02 asystowała pani przy narodzinach bliźniaczych dziewczynek?

Pokiwała głową.

–Kto urodził te dzieci? Czy widzi pani matkę na sali sądowej?

–To ona, po prawej stronie – powiedziała pielęgniarka, wskazując Patricię.

–Czy ojciec dzieci jest obecny na sali? – Hasbrough rzucił okiem na Jaspera, jakby spodziewał się sprzeciwu.

–Tak. – Pielęgniarka wskazała Petera.

–Skąd pani wie, że on jest ojcem dzieci?

–Byłam na oddziale noworodków, dokąd zabrałam dzieci po porodzie, kiedy on z tą drugą kobietą przyszedł je zobaczyć. Powiedział, że jest ich ojcem.

–Dziękuję.

Uśmiechając się szeroko, Hasbrough zwolnił ją i powołał na świadka recepcjonistę ze szpitala.' – Czy rankiem 15 sierpnia pełnił pan dyżur w Mount Pleasant Hospital?

–Tak.

–Czy przyjął pan jako pacjentkę którąś z kobiet siedzących w tej sali?

Mężczyzna wskazał Pat.

–Jakie nazwisko podała?

–Pani Cecily Kellogg.

Hasbrough wzruszył ramionami jakby dla podkreślenia swoich racji i ruchem ręki dał Jasperowi znać, że świadek jest do jego dyspozycji. Jasper wstał, przybrał zadumaną minę.

–Proszę pana, nie wydaje mi się, by zrelacjonował pan to zdarzenie zgodnie z prawdą.

–Co? – Recepcjonista z wyraźnym przestachem zerknął na oskarżyciela. Hasbrough ponownie wzruszył ramionami.

–Czy ta kobieta sama odpowiadała na pytania?

–No... nie. Niezupełnie. Rodziła, wie pan... Gdy się nad tym zastanowić... – świadek był mocno zakłopotany – to mówił pan Kellogg.

–Proszę dobrze się zastanowić. Kiedy zapytał pan o nazwisko pacjentki, jak dokładnie brzmiała odpowiedź?

Po chwili namysłu mężczyzna niepewnie wydukał:

–Ale jest zapisana jako Cecily Kellogg...

Sędzia poradził mu odpowiadać na pytania.

–To było jakiś czas temu... – Recepcjonista rozpromienił się. – Już wiem. Powiedział: „Moja żona nazywa się Cecily Kellogg”, ale pomyślałem, że chodzi mu o nią!

–I znowu wskazał na Pat.

–A zatem pan Kellogg nie powiedział, że ciężarna, którą przywiózł, nazywa się Cecily Kellogg? Tak czy nie?

–Nie, nie ujął tego w ten sposób. Ale kogo innego mogłem się spodziewać?

Jasper zakończył przesłuchanie. Wezwano innych członków personelu szpitala. Wszyscy potwierdzili, że Pat urodziła bliźniaczki i że Peter przyznał się do ojcostwa.

–To, Wysoki Sądzie, sprawa wygrana przez stronę oskarżającą – powiedział Hasbrough, niezbyt przejęty oświadczeniem recepcjonisty.

Sędzia Forsyth westchnął, ściągnął usta i odwrócił się pytająco do Jaspera. Siedząca obok mnie Cecily skubała rąbek chusteczki i okręcała ją wokół palca wskazującego tak mocno, że niemal odcięła krążenie. Gdy ostrożnie odwinęłam chustkę, uśmiechnęła się do mnie blado.

–Wysoki Sądzie, wnoszę o oddalenie oskarżenia – powiedział Jasper.

Hasbrough drgnął ze zdziwienia.



–Na jakiej podstawie, panie mecenasie? – zapytał sędzia ze ściągniętymi brwiami.

–Oskarżenie nie udowodniło ani cudzołóstwa, ani kazirodztwa – odparł Jasper, nie poruszony reakcją sędziego.

Sędzia Forsyth pochylił się w jego stronę.

–Słyszał pan zeznania kilku świadków. Patricia Kellogg urodziła dwoje dzieci, których ojcem jest jej brat Peter. Peter Kellogg nie zaprzeczył temu, a wręcz otwarcie i bezwstydnie poświadczył. Ma pan czelność mówić, że cudzołóstwo i kazirodztwo nie miało miejsca? Zamieniam się w słuch, panie mecenasie.

–Twierdzę, Wysoki Sądzie, że zeznania nie dowiodły kazirodztwa. Świadkowie potwierdzili, że Patricia Kellogg urodziła bliźniaczki, których ojcem jest Peter Kellogg. Nikt nie udowodnił, że Peter Kellogg dopuścił się cudzołóstwa i kazirodztwa ze swoją siostrą.

–Jeśli ma pan zamiar podać inne logiczne wyjaśnienie, które zadowoli moją łatwowierność, proszę kontynuować. Jednakże przypominam, że współżycie płciowe osób o bliskim stopniu pokrewieństwa w tym stanie jest przestępstwem. – Sędzia rozparł się w fotelu, wzywając Jaspера do udowodnienia, że dzieci nie są owocem takiego związku.

–Doskonale, Wysoki Sądzie. Dowiodę, że nie miał miejsca ani akt cudzołóstwa, ani kazirodztwa, i że oskarżeni nie są winni spłodzenia dzieci przy niedopuszczalnym stopniu pokrewieństwa.

–Proszę bardzo – powiedział sędzia, łącząc czubki palców przed twarzą.

Jasper wezwał Patricię na świadka. Złożyła przysięgę z chłodną godnością.

–Czy rankiem 15 sierpnia urodziła pani dwoje dzieci, panno Kellogg?

–Tak – odparła Pat dzielnie i bez cienia wstydu.

–Kto był ojcem tych dzieci?

–Peter Kellogg. – Spokojna odpowiedź padła w absolutnej ciszy.

–Kto był matką?

–Cecily Kellogg.

Ze strony oskarżenia dobiegło chrząknięcie niedowierzania.

–Może pan, oczywis'cie – rzekł sędzia przeciągle – poprzeć dowodami to drugie stwierdzenie?

Jasper zaczął:

–Istnieją dwa komplety zapisków prowadzonych niezależnie przez doktor Allison Seymour Craft, lekarza położnika z tego miasta, i doktora Charlesa Irvinga Hendersona, specjalistę położnika z Nowego Jorku. Były systematycznie podbijane, jak Wysoki Sąd zobaczy, na szpitalnym zegarze.

Sędzia s'ciągnął usta i polecił przynieść akta. Przewertował parę stron, ze zmarszczonym czołem patrząc na specjalistyczną terminologię.

–Pierwszy rozdział w obu relacjach – podjął Jasper – opisuje proces egzogenezy, dzięki któremu możliwe stały się narodziny. Zabieg odbył się na sali operacyjnej. Obie kobiety były pod narkozą, a ojciec dzieci siedział w poczekalni, więc raczej nie był w stanie dopuścić się kazirodztwa z rodzoną siostrą. Nawet z pomocą psa przewodnika.

–Panie Johnson, przywołuję pana do porządku – sędzia upomniał go surowo, zatraskując księgi z notatkami.

–Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Obrona wystawia na próbę naszą cierpliwość, prezentując te rzekome dokumenty jako dowód niewinności oskarżonych. Mamy do czynienia z niedorzeczną próbą zatuszowania niesłychanie obscenicznego aktu – powiedział Emmett Hasbrough z oburzeniem, zrywając się na nogi.

–Zatwierdzam dowód, panie Johnson, aczkolwiek zaznaczam, że sąd nie został przekonany.

–Przedstawię dalsze dowody, Wysoki Sądzie. Czy mogę prosić doktora Samuela Parkera o zajęcie miejsca dla świadków?

Jasper wyjaśnił, że doktor Parker jest serologiem z University Medical School Hospital, autorytetem w swojej dziedzinie. Doktor Parker pobrał próbki krwi od Patricii, Cecyli i Petera Kellogga oraz od bliźniaczek, mających wówczas cztery dni; odciski stóp porównane z tymi zdjętymi w dniu narodzin potwierdziły tożsamość dzieci. Doktor Parker przyznał, że pan Johnson zwrócił się do niego z prośbą o określenie grupy krwi pobranych próbek.

–Czy zechce pan przedstawić sądowi wyniki swoich badań?

–Mężczyzna, Peter Kellogg, ma grupę B Rh minus z czynnikiem Pe. Cecyli Kellogg ma grupę B Rh plus z czynnikiem C, a Patricia Kellogg grupę 0 Rh minus z czynnikiem Pa.

–Mógłby pan wyjaśnić rolę tych dodatkowych czynników? – zapytał sędzia.

–Tak, Wysoki Sądzie. Obecnie jesteśmy w stanie określić nie tylko grupę krwi – A, AB, B lub 0 – lecz również podać dodatkowe, równie istotne informacje.

–Rozumiem. Jaką krew mają dzieci? – zapytał Jasper.

–B Rh plus.

–A zatem, w świetle wiedzy serologicznej, czy panna Kellogg może być ich matką?

–Z przykrością muszę... nie, nie może być ich matką – odparł serolog, zaskoczony własnym wnioskiem.

–Czy chce pan powiedzieć, że matką dzieci może być pani Kellogg? – zapytał sędzia, wyprostowany na krześle jak struna.

–Nie mógłbym przysiąc – przyznał mężczyzna. – Ale z całą powagą powtarzam, że wbrew temu, co tutaj słyszałem, panna Kellogg, oskarżona, nie może być matką tych dzieci.

–Jak pan doszedł do takiego wniosku?

–Poza czynnikami nadrzędnymi istnieje kilka innych, ale nie będę wdawać się w specjalistyczne szczegóły. Krótko mówiąc, wszystkie dzieci rodziców z C i Pe muszą być Rh plus, czyli heterozygotyczne. Wszystkie dzieci rodziców z Pa i Pe muszą być Rh minus, który jest homozygotyczny, będący cechą recesywną. Panna Kellogg, Pa, nie mogłaby mieć z panem Kelloggiem, Pe, dzieci Rh plus.

Badania serologiczne nie dowodzą, że matką jest pani Kellogg, tylko stwierdzają, że w żadnym razie nie może nią być panna Kellogg. Co, oczywiście, jest niemożliwe.

–Czy istnieje możliwość, że próbki krwi zostały pomyłone albo że przebadano krew innych dzieci? – zapytał sędzia.

Zamiast oburzyć się na taką sugestię, doktor Parker westchnął.

–Nie, Wysoki Sądzie. Dokładnie porównałem odciski stóp dzieci i wziąłem pod uwagę wszystko inne. Poleciałem asystentowi oraz technikowi laboratoryjnemu sprawdzić uzyskane przeze mnie wyniki i przeprowadzić dwa kolejne kompletne badania. Nasze wyniki są identyczne.

–Dziękuję, może pan wrócić na miejsce.

Jasper zmącił ciszę, w jakiej przysięgli rozważali zaprezentowany materiał dowodowy.

–Wysoki Sądzie, przyznaję, że dowód naukowy może być niestrawny, dlatego pozwolę sobie dodać jeszcze jeden: ostatni, niepodważalny i łatwy do przyjęcia. – Sędzia Forsyth machnął ręką na znak przyzwolenia. – Wzywam na świadka panią Louise Baxter.

Cecily sapnęła i złapała mnie za ramię. Wbijając oczy w niewzruszonego Jaspera. Żadne z nas nie miało pojęcia, że wezwie ją na świadka.

Louise Baxter przemaszerowała centralnym przejściem, patrząc prosto przed siebie. Dwie złe czerwone plamy płonęły na jej policzkach, usta miała mocno zaciśnięte, oczy błyszczące od tłumionych emocji. Każdy centymetr jej zgrabnej, eleganckiej sylwetki wyrażał oburzenie. Zajęła

miejsce dla świadków, nie patrząc na nikogo. Jej głos, gdy składała przysięgę, drżał z gniewu i był tak cichy, że sędzia musiał ją prosić o powtórzenie nazwiska.

–Ma pani jedno dziecko, pani Baxter, córkę Cecily Baxter Kellogg, prawda?

Zasznurowała usta, jakby miała zamiar wyrzec się Cecily.

–Proszę odpowiedzieć na pytanie mecenasa, pani Baxter – powiedział sędzia.

–Tak!

–Proszę wnieść na salę Carlę i Annę Kellogg – polecił Jasper.

Cecily wstała, gdy zakonnica (teraz przypomniałam sobie lakoniczne nawiązanie doktora Dicksona do pomocy Kościoła) i strażniczka wnieśli dzieci. Jasper zatuszował porwanie dokonane przez doktora Dicksona, mówiąc, że rodzice uświadomiwszy sobie ogrom wywołanego poruszenia postanowili przekazać dziewczynki wykwalifikowanym opiekunkom. Cecily zobaczyła dzieci po raz pierwszy od trzech tygodni i była niebezpiecznie bliska załamania emocjonalnego.

–Spokojnie – powiedziałam, obejmując ją ramieniem.

–Jeszcze tylko parę minut.

Gdy kobiety z dziećmi stanęły przed sędzią, Czarodziej wstał i położył się między nimi a panią Baxter. Nie widziałam, by Peter dał mu znak. Na szczęście, sędzia był zbyt zajęty, by zwrócić uwagę na nieposłuszeństwo psa.

–Wysoki Sądzie – powiedział Jasper – mądrzy ludzie powiadają, że najlepsze pod słońcem papierkowe dowody niewarte są świadectwa oczu. Czy Wysoki Sąd wraz z panem Hasbroughiem zechce przyjrzeć się dziewczynkom, a potem pani Baxter?

Sędzia zerknął znad wysokiego stołu na dzieci, które podniesiono w jego stronę. Właśnie budziły się ze snu. Popatrzył na panią Baxter, siedzącą sztywno na miejscu dla świadków. Szybko przeniósł spojrzenie na bliźniaczki, szepcząc coś do prokuratora i woźnego. Obaj przybliżyli się do dzieci. Wyciągnęłam szyję, próbując zobaczyć, na co patrzą.

–Och, o co chodzi? – zapytała Cecily. – Dlaczego Jasper sprowadził tu matkę?

–Wysoki Sądzie, ponownie wnoszę o oddalenie oskarżenia – powiedział Jasper, nie zdradzając satysfakcji, którą z pewnością odczuwał.

Sędzia wyprostował się, patrząc z wielkim szacunkiem na wysokiego, chudego prawnika.

–Dopiął pan swego, mecenasie. Wniosek został przyjęty. W kwestii proceduralnej, uznaję dowód przedstawiony przez obronę za wystarczający do oddalenia wszelkich zarzutów wysuniętych przez oskarżenie, dotyczących cudzołóstwa, kazirodztwa czy utrzymywania stosunków seksualnych

zabronionych z uwagi na bliskie pokrewieństwo.

Tym samym nie ma czego orzekać. Oskarżeni nie są winni zarzucanych im czynów!

Trzasnął młotkiem, Czarodziej szczerknął dwa razy i wszyscy zerwali się z miejsc, śmiejąc się i wiwatując. Nie byłam jedyną osobą, która płakała z radości.

Cecily pobiegła do dzieci. Wyrwała Carlę z ramion zakonnicy i ze zdumieniem odwróciła się w stronę matki.

Chuck, Esther i ja podeszliśmy do niej. Wszyscy zobaczyliśmy to, co widział sędzia.

W tamten szalony dzień nie poświęciłam większej uwagi słowom doktora Dicksona i dopiero teraz rozumiałam, że od razu poznał, iż bliźniaczki są kopiami babki. Od kształtu brwi po lekkie dołeczki w bródkach były miniaturkami Louise Baxter. Wszystkie naukowe dowody świata nie były potrzebne w obliczu (a raczej obliczach) takiego silnego rodzinnego podobieństwa. Co za szczęśliwe zrządzenie losu!

Cecily zrobiła parę kroków w stronę matki, siedzącej bez ruchu na miejscu dla świadków.

–Proszę dobrze się przyjrzeć, pani Baxter – powiedziała cicho, głosem wyrażającym ogrom goryczy i strachu, jaki towarzyszył jej w ciągu minionych tygodni. – Bo Bóg mi świadkiem, pierwszy i ostatni raz widzi pani swoje wnuczki.

Pani Baxter odwróciła głowę. To była jej jedyna reakcja na słowa córki.

Pat zabrała Annę z ramion strażniczki, która uśmiechnęła się ciepło, jakby zadowolona z jej uniewinnienia. Zakonnica zapewniła Cecily, że dzieci przybierają na wadze w zadowalającym tempie i że z przyjemnością porozmawia o ich „wakacjach”, jak to słodko ujęła.

Chuck poklepał Jaspera po plecach i zawołał, żebyśmy wychodzili.

–Wracamy do domu!

Nikt przed nami nie opuścił sali, nie mam więc pojęcia, jak wieści dotarły do reporterów. Kiedy policjant otworzył drzwi, przywitały nas flesze i takie krzyki, że dzieci się przestraszyły.

–Panno Kellogg, czy robi to pani znowu – dla brata i jego żony?

–Czy urodzi pani dzieci innym bezdzietnym kobietom?

–Panie Kellogg, jak się pan czuje w związku...

Jasper wysunął się do przodu, a Chuck ustawił się między Pat i napierającym tłumem.

–Panowie – powiedział Jasper głośno, ale przyjaźnie – mamy tu małe dzieci, które trzeba nakarmić.

Pozwólcie nam przejść.

Obaj z Chuckiem torowali drogę Cecily i Pat. Ja ujęłam Petera pod rękę i razem z Esther zamykaliśmy tyły.

–Proszę, moi klienci mają za sobą ciężkie przejścia.

Później, panowie, później.

–Och, daj pan spokój, Johnson! – Kilku bardziej agresywnych reporterów dotrzymywało nam kroku, inni tłoczyli się z tyłu.

Zbliżyliśmy się do skrzyżowania korytarzy, kiedy ktoś nadepnął Czarodziejowi na łapę. Pies zaskomlał, skutecznie blokując nam drogę.

–Esther, zabierz dzieci do samochodu – powiedziała pat, podając jej Annę. – Porozmawiam z nimi, inaczej nie zostawią nas w spokoju.

–Nie chciałem skrzywdzić psa – powiedział winowajca, ale zepsuł przeprosiny, robiąc zdjęcie Pat, która w tej chwili miała bardzo zagniewaną minę.

–Masz rację – powiedziała Cecily i podała Carlę Esther, która pobiegła, przez nikogo nie zatrzymywana.

–Nie, nie sądzę, by mój brat i szwagierka chcieli, żebym im znów pomogła – Pat zaczęła odpowiadać na pytania. – Raz wystarczy. Nie, następne dziecko będzie moje.

W naszym społeczeństwie znacznie łatwiej być matką dziecka, które się urodzi. – Miała ponury humor.

–Mys'li pani, że inne kobiety zgodzą się być zastępczymi matkami?

–Nie wiem, ale skoro można kupić ludzi, którzy odbierają życie, spodziewam się, że znajdą się chętni na przyjęcie zapłaty za danie życia.

Zrobiła piorunujące wrażenie na reporterach.

–Co pani czuła, będąc w ciąży?

–Nie był to najprzyjemniejszy sposób na spędzenie dziewięciu miesięcy – odparła Pat oschle.

–Chodzi mi o to – dociekał – co pani czuje do dzieci?

–Moje odczucia są moją prywatną sprawą.

–Och, panno Kellogg, niech pani nie będzie aż taka zamknięta. Miliony ludzi czekają na pani osobiste

wyznania.

–Nie jestem – przypomniała mu cierpko, wznosząc brwi – choć mało brakowało – ktoś' zas'miał się z jej dwuznacznika. – Moje przeżycia mają zbyt osobisty charakter. Podam wyłącznie fakty. Żona mojego brata nie mogła donosić ciąży. Nie było powodów przypuszczać, że to samo odnosi się do mnie. Postanowiłam ją wyręczyć. Zrobiłam to, przy pomocy doktor Craft i doktora Hendersona. To wszystko.

Odwróciła się, chcąc zakończyć wywiad, ale jedna z reporterek złapała ją za ramię.

–Czy popiera pani feminizm?

Pat westchnęła wyrozumiale.

–Moje poglądy również są moją prywatną sprawą. – Przedarła się przez tłum i spiesznie odeszła korytarzem.

Chcieli'smy pój's'ć w jej siady, ale zasypano nas pytaniami.

–Doktor Craft, czy rozpocznie pani praktykę jako specjalista od egzogenezy?

–Nie miałam czasu się nad tym zastanowić.

–Dostała pani jakieś propozycje od klinik i laboratoriów?

–Bez komentarza – powiedział Chuck ponuro, popychając mnie i Cecily do wyjścia. Jasper pomagał Peterowi.

–Czy planuje pani mieć dzieci na drodze egzogenezy, doktor Craft?

–Nie musi – odparł Chuck. Mocno chwycił mnie za rękę, gdy razem z Cecily zbiegaliśmy po schodach do mojego samochodu.

Nigdy dotąd nie słyszałam z ust Charlesa Irvinga Hendersona czegoś bardziej zbliżonego do propozycji, ale później, na osobności, wyłożył mi swoje zamiary z taką jasnością, że wreszcie rozumiałam, iż jego częste wizyty wynikały z przywiązania do mnie, nie do Pat czy Kelloggów.

Czarodziej spisał się jako straż tylna. Gdy odwrócił się i szczerknął, natrętni reporterzy cofnęli się, więc mogliśmy wsiąść do samochodu bez dalszego nękania. Potem zwinnie wskoczył przez otwarte okno i wywiesił język w psim uśmiechu.

–Do domu, wielmożna Ali – powiedział Chuck. Objął mnie, gdy przekręciłam kluczyk w stacyjce.

Gdy ruszyliśmy, Pat wzięła Annę od Esther. Mała zakwiliła na znak protestu.

–O nieba! – zawołała Patricia Kellogg z udawanym oburzeniem. – Tak okazujesz wdzięczność

kobiecie, która wydała cię na świat?

Cicha Nigdy nie jeździłaś na prawdziwym koniu?

–Osiągnęłam maksymalny poziom...

–Czy kiedykolwiek jeździłaś na prawdziwym koniu? – powtórzył inspektor zatrudnienia.

Wspominając godziny spędzone na mechanicznym pierwowzorze, na którym nauczyła się podstaw jazdy konnej, Peri powiedziała:

–Nie miałam okazji...

–Tak, rozumiem. Cóż, raczej ci to nie pomoże. Będzie okres próbny, rozumiesz? – Przeglądał akta na niewidocznym dla niej ekranie.

–Tak, rozumiem.

–W takim razie to wszystko, młoda Peri. Za dwa tygodnie otrzymasz powiadomienie o decyzji. – Mężczyzna wstał, skrzywił usta w formalnym uśmiechu, typowym chyba dla wszystkich inspektorów. Peri wyszła z wrażeniem, że rozmowa nie zakończyła się sukcesem.

Czuła jednak, że wygrała kolejną ważną bitwę w swojej długiej, prywatnej, cichej wojnie o to, by robić w życiu to, na czym jej zależy. Nowocześni rodzice, tak samo jak nowoczesne systemy edukacyjne, stawiali sobie za cel przygotowanie młodych ludzi do satysfakcjonującej pracy w szerokiej gamie zawodów dostępnych w tym podróżującym w kosmosie społeczeństwie.

Uczniowie poznawali różne zawody w trakcie wycieczek klasowych na farmy akwakulturowe, do stacji kosmicznych, laboratoriów, instalacji hydroponicznych. Od dnia, w którym dziesięcioletnia Peri odwiedziła Farmę Roboczą, jej ambicją stała się praca z końmi, będącymi już gatunkiem zagrożonym wymarciem. Jej koleżanki i koledzy narzekali na „odór”, „smród”, „fetor”, ale ona z zachwytem wdychała piękny zapach koni. Zawsze lubiła oglądać konie w starych filmach fabularnych czy szkoleniowych. Były takie dumne, takie wspaniałe, takie dzikie.

Jako jedyna w klasie poprosiła o pozwolenie na dotknięcie konia, który na jej nieśmiałą pieśczętę odpowiedział cichym, dziwnie poruszającym rzeniem. Czuła ciepłe mięśnie pod skórą i aksamitne chrapy trącające jej dłoń, patrzyła w jasne i inteligentne oczy zwierzęcia: to było najbardziej urzekające doświadczenie w jej życiu.

Z biegiem lat fascynacja nie zmalała. Peri dotarła do informacji o rasach koni, przechowywanych w bazach danych Linearnego Kompleksu Mieszkalnego. Znalazła nawet staroświeckie książki poświęcone koniom, przeczytała wszystkie istniejące dyski autorstwa uznanych współczesnych ekspertów, takich jak T. King-Sangster-Mahmood III, i z ogniem w oczach obejrzała wszelkie dostępne taśmy dotyczące hippiki.



Kiedy odkryła, że w sali sportowej kompleksu jest symulator jazdy konnej, poprosiła matkę o pozwolenie na regularne treningi. Z natury cicha i małomówna, nie wspomniała, że skoncentrowała się na jednym ćwiczeniu. Konstruktor nie spełniał wszystkich pokładanych nadziei – jak wszystkie mechanizmy – choć zachowywał się jak żywy koń. Na nim opanowała podstawy jazdy konnej i przesiadła się na model dla zaawansowanych, żeby ćwiczyć skoki. Instruktor, poznał się na jej szczerym entuzjazmie i zachęcał ją do coraz trudniejszych ćwiczeń. Ale symulacje były tylko symulacjami i Peri prześladowało frustrujące wrażenie, że stale umyka jej to, co najważniejsze.

Mając wyznaczony cel, wszystko podporządkowała zdobyciu kwalifikacji umożliwiających zatrudnienie w Rezerwacie Idaho. Przeprowadziła wnikliwe badania nad rozprzestrzenieniem ras zwierząt. Znając stesy, jakim obecnie podlegały konie i krowy, doskonale zdawała sobie sprawę z niepewnej przyszłości zwierząt. Nie potrzebowała żadnej krzywej prawdopodobieństwa, żeby przewidzieć, co je czeka. Stała się aktywną działaczką stowarzyszenia popierającego wysyłanie okazów zagrożonych gatunków do nowych s'wiatów, gdzie mogłyby się rozmnażać i wzmacniać jak za dawnych czasów.

Niemal oszalała z radości, gdy otrzymała zgodę na przyjazd do Rezerwatu Idaho, opatrzoną przepustką. Matka była przerażona jej dziwną decyzją.

–Do licha, co cię skłoniło do wybrania takiego zawo-du? – Matka podzieliła słowo na sylaby, żeby podkreślić swoje niezadowolenie.

–Nauczyłaś mnie samodzielnego myślenia, mamó – odparła Peri, mając nadzieję na miłsze pożegnanie – i kierowałam się twoimi naukami. Skoro potrafisz być dumna z mojego brata, który terranizuje światy, proszę, bądź dumna również ze mnie, gdy będę hodować zwierzęta przeznaczone do zasiedlenia na sterranizowane planety.

–Ale dlaczego podjęłaś decyzję bez rozmowy ze mną?

I dlaczego nie uprzedziłaś, że wyjeżdżasz już dzisiaj? Och, nie powinnam się dziwić. Zawsze byłaś cichym, zamkniętym w sobie dzieckiem. – Z tymi słowy matka wyszła z pokoju, w zasadzie nie trzaskając drzwiami.

Peri z powrotem zajęła się opróżnianiem szaf i szuflad.

Uświadomiła sobie, że ma niewiele rzeczy, które mogą się przydać w jej nowym życiu. Czy w Rezerwacie Idaho będzie potrzebować butów na wysokich obcasach, kosmetyków, błyskotek i świecidełek, nawet pasa bezpieczeństwa? Taki arsenał mógł onieśmielić dorosłego mężczyznę, ale będzie bezużyteczny w czasie jazdy na koniu!

Spakowała tylko nieliczne prawdziwe skarby: dyski z książkami, hologramy rodziny i wygodny strój do jazdy konnej. Matka zostawiła liścik na faksie – „Pisz i się spisz!” Matka potrafiła do wszystkiego dopasować slogan. Peri wyczuła złość i zawód w tych lakonicznych przykazaniach.

Nie miała bezpośredniego połączenia z Rezerwatem Idaho, bo leżąca najbliżej stacja była mało

uczęszczana, i musiała dwa razy się przesiadać. Na miejsce przybyła w nocy, zła, że nie może od razu zobaczyć – podobno malowniczych – naturalnych gór i dolin. Stacja była mała, brudna, kiepsko oświetlona i bezludna. Nikt nie wyszedł jej na spotkanie.

Automat odmówił wydania napoju, a okienka na kanapki i batony były puste. Zdegustowana Peri zdmuchnęła kurz z twardej ławki – drewnianej? – i usiadła, by pomedytować. Nie mogła wyglądać na niezadowoloną w czasie pierwszego kontaktu z nowym życiem.

–Heej! – głośnie zawołanie wyrwało ją z drzemki. Usiadła wyprostowana, zdezorientowana. – Ty jesteś ta nowa? – Wysoki mężczyzna w zakurzonym ubraniu i kapeluszu ocieniającym twarz wyciągnął zza pasa świstek – czy mógł to być prawdziwy papier? – Peri Schon-Danver-Keyes? O rany, strasznie długachne nazwisko jak na taką małą osobkę.

Peri podniosła się sztywno i uśmiechnęła się do niespodziewanego przybysza.

–Wystarczy Peri! – Wyciągnęła rękę, która zniknęła w podniszczonej skórzanej rękawicy. Miała wrażenie, że włożyła dłoń w imadło. W kulturalnym społeczeństwie powitanie sprowadzało się do lekkiego uściśnięcia palców.

Ręka jej zdrętwiała.

–Ja jestem Monty! To twoje manele? – Mężczyzna zsunął kapelusz na tył głowy. Peri zobaczyła twarz pociętą zmarszczkami, brązową jak wygarbowana skóra, z nadzwyczaj wyrazistymi niebieskimi oczami. Jego lekki uśmiech zdradzał zdziwienie.

–Tak. – Peri nigdy nie była szczególnie rozmowna, ale nawet ją zaskoczyła ta lakoniczna odpowiedź.

–Ano, pora ruszać! – Niespodziewanie podniósł plecak i ruszył do drzwi. – Chodź! Szkoda czasu. Czeka nas długa droga. – Przystanął z ręką na klamce. – Umiesz jeździć konno, prawda?

Peri w milczeniu pokiwała głową, przybita wspomnieniem rozmowy z inspektorem. Monty zrobił sceptyczną minę, więc przygotowała się psychicznie na chwilę prawdy.

–Ostatni nie umiał! – dodał z rozbawieniem i goryczą. – Dobry w teorii, kiepski w praktyce.

Wyszedł za drzwi. Peri podążyła za nim w noc, jakiej nigdy dotąd nie widziała. Stała przez chwilę z twarzą zwróconą ku rozgwieżdżonemu niebu, wdychając czyste chłodne powietrze. Zachłysnęła się, gdy wiatr owiał jej twarz i ciało. Zakasłała.

–Spokojnie, mieszczuchu. – Głos Monty'ego napłynął z ciemnos'ci. Nagle zapaliły się lampy, oświetlając podstarzały wóz terenowy. Był to model prosto z Muzeum Wehikułów – prostokąt z zabawnymi oknami, wielkimi ubłoconymi kołami i opuszczanymi siedzeniami w tylnej częs'ci. Z przodu było nawet koło zapasowe, a na bagażniku na dachu leżał długi, wąski pakunek. I ani siadu konia.

–Dalej, Peri, nie mam całej nocy do stracenia. W tych stronach słońce wstaje wcześnie, a my razem z nim, gotowi do roboty.

Usadowiła się niezdarnie na wysokim siedzeniu i zamknęła drzwi. Deszcz pyłu osiadł na jej ubraniu i już miała się otrzepać, gdy spostrzegła, że Monty obserwuje ją kątem oka. Zobaczyła pasy, które zdołała zapiąć bez większych kłopotów. Monty nacisnął na pedały. Pojazd beknął i z rykiem skoczył do przodu.

Peri wyciągnęła ręce, chcąc znaleźć coś, czego mogłaby się przytrzymać. Terenówka kolebała się z boku na bok, ale chyba wszystko było w porządku, bo kierowca nie okazywał zaniepokojenia. Peri uznała, że powinna się odprężyć. Przypięta pasem do siedzenia, z nogami zapartymi o podłogę i rękami mocno zaciśniętymi na uchwyty, wyjrzała przez zakurzoną szybę, próbując coś zobaczyć w snopach przednich świateł.

Po obu stronach piętrzyły się mroczne cienie, wyginające się w łuk nad drogą – jeśli można tak nazwać tę nieutwardzoną powierzchnię pełną kolein i wybojów. Peri nigdy nie przeżyła równie niesamowitej jazdy.

Nagle w ciemności błysnęły wielkie pomarańczowe oczy. Pojazd skręcił gwałtownie.

–Przeklęte bydlę! – mruknął Monty. – Ani chybi, czeka nas naprawa ogrodzenia!

–Wasze zwierzęta spędzają noce pod gołym niebem? – zdumiała się Peri.

–Pewnie. Tylko mi nie mów, że pęka ci serce. Myślisz, że trzymamy je pod kloszem i nie pozwalamy kichnąć ani pierdnąć na własne kopyto?

–Nie, wcale nie – odparła Peri stanowczo. – Zwierzęta mają się świetnie we właściwym środowisku naturalnym. To ludzie zamknęli je w sztucznych pomieszczeniach, nie zawsze odpowiednich dla danego gatunku.

–Chryste, naprawdę wielkie słowa jak na taką małą podfruwajkę.

–Mógłbyś skończyć z tym udawaniem wieśniaka, Monty, czy jak ci naprawdę na imię? – zapytała Peri z przekąsem. – Pracujesz w Rezerwacie Idaho, musisz więc mieć odpowiednie wykształcenie i przygotowanie. Nie traktuj mnie jak głuptasa.

–To tylko odrobina lokalnego kolorytu. Większość to docenia. – Tym razem mówił starannie, bez przeciągania głosek i połykania końcówek. I niemal przeproszającym tonem.

Peri nie mogła wymyślić nic do powiedzenia, więc w milczeniu spoglądała przez okno, próbując dostrzec naturalny krajobraz. Monty pomajstrował przy czymś, co zapewne było staroświecką skrzynią biegów, i ton silnika zmienił się na niższy. Zaczęli się wspinać. Droga gruntowa była wąska, pocięta koleinami i pełna dziur, więc pojazd podskakiwał i skręcał na boki. Po prawej stronie ziała pustka, po lewej wznosiło się zbcze góry.

–W dzień widok zapiera dech w piersiach – powiedział Monty pojednawczo. – Dosłownie, jeśli cierpisz na agorafobię.

–Nie.

Peri zastanawiała się, czy jazda kiedyś się skończy, bo po zjechaniu z jednej góry wspięli się na następną, potem okrążyli drugą i trzecią. Odetchnęła z ulgą na myśl, że nie musi odbywać takiej długiej podróży na prawdziwym koniu.

–Dlaczego stacja leży tak daleko od waszych kwater? – zapytała.

–Nie jest tak daleko, gdy ma się sprawny śmigłowiec, ale akurat zepsuła się jedna z łopat. Zabrałem zapasową z ładowni. – Wskazał kciukiem dach. – Od czasu do czasu prymitywne pomaga zaawansowanemu. – Uśmiechnął się do niej i wskazał niedalekie skupisko świateł. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Zbliżyli się do celu. Pomarańczowe lampy otaczające uszkodzony śmigłowiec oświetlały również zabudowania kompleksu. Kilka znała z lektury – wielkie stodoły, spichlerze i długie niskie budynki, niektóre ze światłami w oknach.

–Najpierw podrzucę cię – powiedział Monty, jakby wyświadczał jej łaskę.

Peri nie poczuła się urażona. Skoro rezerwat dysponował tylko jednym pojazdem unoszącym się w powietrzu, jego naprawa miała naturalnie pierwszeństwo.

Była mile zaskoczona, kiedy terenówka zatrzymała się przed drzwiami jednego z mieszkań.

–Praca nie jest lekka, ale każdy ma własny kąt i żarcie najwyższej jakości – powiedział Monty. – Kładź się spać. Wstajesz rano ze wszystkimi.

Peri odpięła pasy bezpieczeństwa i wysiadła sztywno, zabierając plecak. Monty sięgnął nad zwolnionym siedzeniem i zatrzasnął drzwi, zostawiając ją w kurzu wzbitym przez opony. Weszła po trzech stopniach na długą krytą werandę i pomacała drzwi, szukając przycisku. Nie mogła go znaleźć w ciemnościach i już zaczęła się denerwować, kiedy zauważyła gałkę po lewej stronie. Nie mając nic do stracenia, przekręciła ją. Drzwi się otworzyły.

Ku jej zaskoczeniu od razu zapaliły się światła. W porównaniu z mieszkaniem jej rodziny w Jerhattanie, to było pałacem. Dwa wielkie pokoje, trzy na cztery metry, przedzielone małym automatem wydającym jedzenie i kabiną sanitarną. Umeblowanie pierwszego pokoju, dziennego, uzupełniała wisząca na ścianie centralka łącznos'ci. W drugim pokoju, w sypialni, stało prawdziwe łóżko, nie chowane w ścianie. Wyglądało zapraszająco. Peri do maksimum skróciła mycie, zdjęła buty, ściągnęła narzutę i z westchnieniem zadowolenia rzuciła się na pościel.

Po czasie, który nie mógł wydawać się krótszy, zbudził ją klakson.

–Pobudka! Pobudka! Pobudka! Cała załoga ma się stawić o szóstej trzydzieści przy stodole. – Przed głosem nie było ucieczki. Peri wygramoliła się z łóżka i wyrzuciła zawartość plecaka, żeby znaleźć robocze ubranie.

Dziwny hałas i apetyczny zapach przyciągnął jej uwagę do automatu, gdzie znalazła kubek ciemnobrązowego płynu. Płyn parzył i był gorzki, ale z radością rozpoznała zawartą w nim kofeinę.

Po wyjściu z kwatery przystanęła ze zdziwieniem. Niebo było ciemne, tylko na wschodzie jaśniała blada smuga.

W świetle lamp widać było ludzi, zdecydowanym krokiem zmierzających ku największej stodole. Ziąb przenikał przez cienki materiał koszuli. Peri zadrżała i wróciła po jedyne wierzchnie okrycie, jakie posiadała, a potem biegiem, żeby się rozgrzać, popędziła na miejsce zbiórki. Trochę zadyszana dołączyła do gromady.

–Dobra, ludziska – powiedział wielki mężczyzna, wskakując na skrzynkę i podnosząc ręce. – Monty mówi, że bizony zwały ogrodzenie przy drodze do stacji i wyrwały się na swobodę. Josh, zabierz zespół i sprawdź. Dzisiaj głównym zadaniem będzie spędzenie bydła do wysyłki na Centauri. Będziemy pracować na północ-dwieście. Zanim pękło śmigło, Barty wypatrzył stado w Krętym Kanionie. – Jęk wzbił się nad głowami dwudziestu paru osób.

–Tam, Peri przybyła w nocy. Zajmij się nią. Inni poznają śliczną pannę później. Teraz do roboty.

Peri ze zdumieniem stwierdziła, że nikt nie poszedł do stajni po konia. Wszyscy skręcili na prawo od wielkiej budowli, na oświetlony parking, gdzie stały rzędy dwu- i trójkołowych pojazdów. Parę miało boczne przyczepy, już załadowane siatką i narzędziami. Ludzie w kaskach i gogłach uruchomili pojazdy, zanieczyszczając powietrze spalinami.

Motocykle – tak, Peri przypomniała sobie archaiczną nazwę – na pozór chaotycznie przecinały drogę jeden drugiemu, zbierając się w dwie grupy: jedna pojechała w dół drogą na prawo, a druga prosto na północ przez trawiastą równinę.

–Jestem Tambor – usłyszała Peri. – Ręka w rękawicy, które nosili chyba wszyscy w tym rezerwacie, wysunęła się w jej stronę.

Ujęła dłoń, przygotowując się na kolejny stalowy uścisk, i z całej siły zacisnęła palce. Tambor miał twarz tak mocno poźłobioną bruzdami, że niepodobna było odgadnąć jego wieku. Nosił taki sam podniszczony strój jak wszyscy inni, kapelusz z szerokim rondem i rękawice.

–Wyglądasz na krzepką młódkę – powiedział, mierząc ją przenikliwymi, choć nabiegłymi krwią oczami. – Zobaczmy, ileś warta.

Czy tutaj wszyscy mówili potocznym językiem, nie żałując archaicznych wyrażeń? Pracownicy rezerwatu mieli gruntowne wykształcenie, więc nie spodziewała się po nich aż tak niechlujnej mowy.

–Szczęściara z ciebie – dodał, ruchem ręki każąc jej iść z sobą do stodoły. – Mamy do wysłania ostatnią partię kłaczy. Trzeba je przygotować do lotu na Centauri. Bydło jest usypiane, ale konie jeżdżą pierwszą klasą. Z naszą niewielką pomocą.

Gdy weszli do stajni, wzdłuż przejścia zapaliły się lampy. Zapach koni i nawozu uderzył Peri w nos. Drgnęła, bo to, co miała przed sobą, nie za bardzo pasowało do stajni widzianych w podręcznikach.

Po obu stronach głównego przejścia, mającego może – metr szerokości, mieściło się po piętnaście bardzo wąskich kojców. Peri założyła, że w rezerwacie będą przestrzegane tradycyjne zasady hodowli, że w stajni zobaczy wysłane sianem przestronne boksy, wysokie sufity i szerokie korytarze. Zmieszana, odwróciła się do Tambora, który czekał na jej reakcję.

–To stajnia treningowa, panienko – wyjaśnił. – Musimy przygotować stworzenia do pobytu na statku, higieny i ćwiczeń. Tutaj się uczą. Chodź.

Skinął, by weszła za nim po wąskiej stalowej drabinie do otwrtej kabiny kontroli. Przy konsoli stało krzesło, a z boku stołek, który kazał jej przysunąć. Na dole parskały konie.

–Wiedzą, co się szykuje. Dobrze wam tam, dziewczynki? Pora na krok taneczny.

Uruchomił program. Peri szeroko otworzyła oczy. Z gumowych mat pod nogami zwierząt trysnęły strugi wody.

Potem spod żłobu ruszył poprzeczny pług, przesuając się powoli w kierunku wejścia. Konie kolejno podnosiły kopyta, żeby nad nim przestąpić, co faktycznie przypominało krok taneczny. Kiedy pług dotarł na drugi koniec boksu, w podłodze otworzyły się klapy i zgarnięta brudna woda wraz z odchodami zniknęła w otworze. Pług cofnął się, konie grzecznie przestępowały z nogi na nogę. Klapy zamknęły się i Peri usłyszała cichy pomruk przenośników.

–Na statku nawóz jest poddawany obróbce. Odzyskana woda trafia do ponownego wykorzystania, a błonnik jest ściskany w mniej więcej takie kostki – pokazał rozmiar kciukiem i palcem wskazującym – i przechowywany, by wprowadzić ziemskie bakterie w nową glebę. My tutaj tylko go prasujemy, a na wiosnę używamy jako nawozu.

Teraz... – mówił, gdy parskanie na dole stało się natarczywe – kobyłki dostaną nagrodę.

Sękate palce przebiegły po klawiszach i rozległo się kolejne dudnienie, tym razem w górze. Konie wyczekują- j co podniosły głowy. Gdy pokarm spłynął do żłobów, za-! brały się do jedzenia, z zadowoleniem przestępując z nogi i na nogę, aż kołysały im się zady.

–Teraz zrobimy to samo w domu owiec i kóz. Potem, gdy skończymy, będzie czas na małą przekąskę. Później je przetrenujemy.

–Tak? – Peri wstrzymała oddech na myśli o jeździe na I prawdziwym żywym koniu. Zaczęła znowu przygotowywać się psychicznie, aby udowodnić, że trening na symulatorze spełnił swoją rolę.

Po wyjs'ciu z owczarni, gdzie z trudem wytrzymała skoncentrowany smród kóz i owiec, Tambor skierował ją do stajni, gdzie wybrał na przekąskę kawę i gorące bułeczki, najwyraźniej świeżo upieczone. Najlepsze programowane potrawy nie mogłyby dorównać puszystym, chrupiącym i apetycznie pachnącym bułeczkom.

–Teraz przetrenujemy nasze ślicznotki. Hej, panienko, czy my się dokąd wybieramy? – zapytał Tambor, gdy Peri zerwała się na nogi. – Przetrenujemy je... – palcem wskazał kłacze – tam, gdzie stoją. Patrz! – Wystukał sekwencję, skrzyżował ręce na piersi i też skierował wzrok na kłacze.

Ku zdumieniu Peri wszystkie konie ruszyły najpierw stępem, potem kłusem, wreszcie galopem... cwałowały w miejscu, na gumowych matach, które były również ruchomymi bieżniami.

Usiadła, totalnie zdruzgotana. Jakże była naiwna, sądząc, że konie będą trenowane przez ludzi! Skoro ogrodzenia naprawiano z motocykli, a bydło zaganiano śmigłowcem, czy ktoś jeździłby na biednych zwierzętach tylko dlatego, że tak robiono w przeszłości?

–Rozchmurz się, panienko – powiedział Tambor, klepiąc ją po ręce. – To specjalny trening dla tej partii. Kłacze muszą truchtać w miejscu, dopóki nie zostaną wypuszczone na łąki Centauri. Chcemy, żeby one i źrebięta w ich brzuchach przebyły długą podróż zdrowe jak ryby. Te są prawie gotowe do następnego etapu. Sprawily się naprawdę dobrze.

Nie ucierpią z powodu długiego okresu bezczynności. Nie przestraszy ich huk statku kosmicznego ani nie dostaną bzika w zamknięciu. Jak widzisz, kantary rejestrują ich oznaki czynności życiowych. – Wskazał odczyty na monitorze, na które wcześniej, przejęta tymi rewelacjami, nie zwróciła uwagi.

–Po dwudziestu minutach brykania po bieżni... – dodał takim tonem, jakby chciał wynagrodzić jej rozczarowanie – zejdziemy na dół i damy każdej kłaczy trochę PCO.

–Co to jest PCO?

–Pełna czułości opieka: dużo głaskania, poklepywania i innych drobnych zabiegów, które generalnie poprawiają im samopoczucie. Konie lubią kontakt z człowiekiem. Stajenni będą to robić dwa, trzy razy dziennie, żeby nie wpadły w przygnębienie. Same maszyny nie uszczęśliwią konia. Nie na dłuższą metę, o nie.

Tę część porannych obowiązków Peri szczerze polubiła, gdy przemogła współczucie dla koni zamkniętych w małych pomieszczeniach. Tambor powiedział, że mają dość miejsca, żeby się położyć, gdyby miały ochotę.

–Konie większość czasu spędzają na nogach. Nie muszą ich odciążać, ale od czasu do czasu chcą zmienić pozycję i to im umożliwiamy. Zauważ, musieliśmy odrzucić parę wyrosniętych kłaczy. – Zaśmiał się. – Mogłyby rzucić się w kosmos, a tego nie chcemy, prawda? Czy ze swoich książek wiesz, jak oporządzać konie? – Tambor znów zaczął mówić z wiejskim akcentem. – Tak? Ano, tu jest twój zestaw.

Zrób to jak należy. Ty weźmiesz jedną stronę stajni, ja drugą.

Klep po zadzie i mów, że idziesz. Lubią słuchać głosu.

Peri posłusznie klepnęła rdzawoczerwony zad.

–Nie, panienko, nie tak. To nie są wątle trusie. To konie, mają grube skóry i nie poczują takiego klapsa! – Solidnie trzasnął klacz, która posłusznie przesunęła się na bok.

Peri klepnęła z jeszcze większą energią i tym razem kasztanka ją zauważyła. Wskazówki dotyczące właściwego szczotkowania konia nie zawierały informacji, że jest to bardzo męczące. Czyszcząc drugi bok, Peri sapała ze zmęczenia. Przy czwartej klaczy ociekała potem i miała obolałe ramiona, plecy i żebra. Jej ruchy stawały się coraz wolniejsze, aż zobaczyła, że jest trzy konie za Tamborem.

–Pomogę ci dzisiaj, bo jesteś' nowa – powiedział, podchodząc do siwej klaczy.

Peri podwoiła wysiłki i skończyła czyszczenie dwóch koni w tym samym czasie, co on. Ale była wykończona.

Bicie dzwonu oznajmiło południe i Tambor zaprowadził ją do stołówki, tutaj zwanej kantyną. Od gór ciągnął przenikliwy wiatr, więc w drodze przez otwartą przestrzeń Peri kuliła się z zimna.

–Dzisiaj jesteś' my tylko ty, ja i kucharz – powiedział Tambor z zadowoleniem, gdy wpadli do przestronnej sali z kominkiem. – Administracja je w głównym budynku, załoga ze stajni ogierów jest dzisiaj zajęta, a wszyscy inni wyjechali. Nasz mistrz kucharski wie, co lubię, więc czeka cię nie lada wyzerka.

Kucharz, niewiarygodnie wysoki mężczyzna z haczykowatym nosem (Peri pomyślała, że każdy inny kazałby go sobie zmodyfikować), miał szeroki uśmiech i pogodne usposobienie.

–Gulasz i kluski, zgodnie z życzeniem, stary – powiedział. – Cześć, Peri, miło cię poznać. Siadaj do stołu i wsuwaj!

–Jabłecznik też? – zapytał Tambor z nadzieją.

–Pewnie. – Kucharz zrobił poważną minę. – Biedna dziewczyna. Musi jeść to, co pochłania ten ludzki koszt na odpadki.

–Zapach jest bardzo apetyczny – zauważyła Peri uprzejmie, zdecydowana nie oceniać potrawy z wyglądu. Nie pamiętała, by kiedykolwiek jadła „gulasz i kluski” czy też coś, co byłoby do nich podobne.

–Hej, dziewczyno, twoje ręce! Marnie wyglądają! – zawołał kucharz, zatrzymując jej prawą rękę w połowie drogi do ust. – Włóż je do tamtej skrzynki! Czemu nic nie powiedziałaś? Tambor, nie dbasz o pomocnicę!



–Chryste, na śmierć zapomniałem. Nie pisnęła ani słowa – powiedział Tambor z nutką aprobaty.

Tambor poderwał Peri z ławy i zaprowadził do małego ambulatorium przy kuchni. Zapalił światło. Przyciągnął ją za rękaw do znajomego prostokąta, który leczył drobne zewnętrzne obrażenia. Z niezwykle przejętą miną wepchnął jej ręce w otwory. Peri uśmiechnęła się szeroko, poznając ojcowską troskę. Poruszyła rękami i poczuła, jak leczące wibracje odnawiają startą skórę i likwidują pęcherze spowodowane przez narzędzia do czyszczenia.

–Z czasem dłonie ci stwardnieją, ale lepiej spraw sobie jakieś eleganckie rękawice. Zdaje się, panienko, że potrzebujesz też paru ubrań. Nigdy nie mieszkałaś poza kompleksem o regulowanej pogodzie, prawda?

Kiedy Peri wróciła do stołu, gulasz schłodził się odpowiednio i, choć obcy w dotyku dla języka i zębów, smakował wyśmienicie. Jabłecznik – od czasu do czasu jadła świeże jabłka, uważane za wyjątkowy przysmak – dosłownie wprowadził ją w ekstazę. Powiedziała o tym kucharzowi, który niemal spuchł z dumy.

Tambor spałaszował jeszcze dwa kawałki jabłecznika, a potem wstał od stołu i pokazał Peri, dokąd odnosi się naczynia. Przerwa obiadowa nie trwała długo, ale posiłek postawił ją na nogi. Poszli razem do biura intendenta, mieszczącego się przy kantynie, gdzie została wyposażona w rękawice z prawdziwej skóry („nic lepszego nad prawdziwą skórę”), długą do pasa kurtkę na baranku („sami hodujemy, wiesz”) i długi przeciwdeszczowy płaszcz oraz rzemienie do zapinania wokół nóg („mamy tu zmienną pogodę; niedługo będzie ci potrzebny”).

–To załatwia sprawę twojej pierwszej tygodniówki – powiedział Tambor, gdy wyszli z biura intendenta. – W tym korytarzu są biblioteki, pokoje rekreacyjne, świetlica. Możesz tam zajrzeć później. Teraz musimy przebadać zwierzęta – kopyta, krew i skórę! Są regularnie badane, dopóki nie załadujemy ich na pokład.

Peri wiedziała, jakich badań wymagają zwierzęta wysyłane z planety, ale przeprowadzanie ich razem z Tamborem wydawało się trochę dziwne. Stał się innym człowiekiem, kiedy omawiał z nią procedury i analizował wyniki badań krwi, skóry, śliny, kału i moczu: metodycznym, dokładnym i absolutnie profesjonalnym. Z zadowoleniem pokiwał głową, kiedy skończyła pracę w laboratorium.

Potem wrócili do stajni treningowej na sprzątanie i sesję PCO. Tym razem zapytała Tambora o imiona klaczy.

–Nie przywiązuj się do nich zbyt mocno, panienko. Tu jest duża rotacja. Jak za bardzo je polubisz, to może złamać ci serce.

–Przecież sam powiedziałaś, „pełna czułości opieka”...

–Obiektywna, panienko. Bądź obiektywna wobec tej gromadki.

Pod koniec dnia, kiedy wrócili ludzie naprawiający ogrodzenie i spędzający bydło, Peri była tak

wykończona, że grzeczna reakcja na uprzejme słowa kosztowała ją sporo wysiłku. Naliczyła około czterdziestu osób przy stołach w kantine – wszyscy byli ubrani w podobne, praktyczne stroje, mieli ogorzałe twarze i zawadiackie, pewne siebie miny. Jej sąsiedzi zapytali, czy po kolacji weźmie udział w zajęciach rekreacyjnych. Musiała odmówić, bo padała ze zmęczenia.

– Pierwszy dzień jest najgorszy – powiedziała długonoga brunetka, Chelsea. – Zwłaszcza gdy pracuje się z Tamem. Jest sprawiedliwy, ale wymagający.

Chelsea miała rację pod każdym względem. Tam był twardy, nie próżnował ani przez minutę i nigdy nie oglądał się na Peri, nawet gdy musiała biegać, żeby dotrzymać mu kroku. Peri obiecała sobie, że prędzej padnie, niż się podda.

Ręce jej stwardniały, poranne szcietkowanie kłaczy zaczęło sprawiać jej przyjemność i nadal z zachwytem wdychała zapach, który ją tu zwabił. Wyjątkowy zapach koni, dotykanie ich ciepłej skóry, poznawanie charakteru poszczególnych zwierząt było nagrodą, jakiej się spodziewała. A jednak... ogarniało ją coraz większe zniechęcenie. Konie, wokół było pełno koni, a ona nie mogła na nich jeździć.

Pracownicy jeździli tu i tam, na motocyklach, w wielkich ciężarówkach, na końskich grzbietach, żeby wykonywać różne prace. Peri była coraz bardziej znużona monotonią podstawowych obowiązków i jej rosnące niezadowolenie łagodziło tylko towarzystwo Tambora. Wszyscy, łącznie z trzema administratorami, odnosili się do niego z najwyższym szacunkiem. W rezerwacie panowała przyjemna, swobodna atmosfera i do szefów zwracano się w nieformalny sposób. W jej dawnym kompleksie nawet w salach gimnastycznych, gdzie wszyscy ramię w ramię zlewali się potem, relacje międzyludzkie były bardziej sztywne.

Do końca pierwszego tygodnia Peri poznała rozkład rezerwatu, wczytując mapy na komputerze w swoim mieszkaniu, zapamiętując różne obszary, drogi dojazdowe i ścieżki.

Rezerwat zajmował dużą część pasma gór i dolin, tworzących naturalny bastion o powierzchni trzystu kilometrów nie całkiem kwadratowych, bo granice dostosowane były do kapryśnego zarysu gór. Bazy, stacje leśne, farmy edukacyjne były oddalone od kwatery głównej, żeby ciężkie turystyczne helikoptery nie przeszkadzały w codziennej pracy ani nie płoszyły zwierząt na pastwiskach. Peri ze zdumieniem dowiedziała się, że na terenie rezerwatu żyje około dziesięciu tysięcy koni, krów, owiec i kóz, a także małe stado bizonów oraz bliżej nieznana liczba drobnych dzikich zwierząt i ptactwa, rodzimych mieszkańców naturalnego górskiego siedliska.

Tambor powiedział jej, że kiedyś' główna baza była ranczem turystycznym, odwiedzanym przez ludzi pragnących spędzić urlop na łonie niczym nieskażonej natury. Peri zajmowała jeden z dawnych segmentów gościnnych. Stołówka, stodoła przy zagrodzie i zabudowania przy padoku pochodziły z tamtych czasów. Stajnie treningowe, stajnie ogierów, laboratoria i garaże, hangar s'mięłowca i inne mniejsze budynki zostały dobudowane po przekształceniu rancza w główny ośrodek rezerwatu.

Po dwóch tygodniach pobytu w rezerwacie Monty „wypożyczył” Peri od Tama i zaczął ją uczyć

podstaw jazdy na motocyklu, co było dla niej dos'wiadczeniem emocjonującym i denerwującym. Pomyśleć, że pojazd nie był sterowany głosem! Przecież jazda bez głosowych zabezpieczeń mogła być niebezpieczna! Jak sobie poradzić z prędkością, skręcaniem czy hamowaniem?

–Ano, gadasz do żywych koni, a one cię słuchają – zgodził się Monty – lecz wszystkie twoje dotychczasowe doświadczenia bliższe są rzeczom mechanicznym. Najpierw naucz się jeździć na tym narowistym rumaku. Jemu nie zrobisz większej krzywdy.

Peri parę razy spadła z motocykla, ocierając łokcie i kolana, zapomniała zmieniać biegi i nie hamowała w porę, ale dość szybko nauczyła się jeździć. W końcu udało jej się bezbłędnie pokonać tor przeszkód za garażem.

–Nieźle – pochwalił Monty, gdy odpięła kask i wytarła spoconą twarz. – Teraz naucz się na pamięć dróg i ścieżek z głównej mapy. Musisz je znać, żeby w nagłym wypadku jak najszybciej dotrzeć w dane miejsce.

Od tej pory często ją „wypożyczano”, w większości akurat wtedy, gdy potrzebowała krótkiego odpoczynku od pracy z Tamborem. Pewnego dnia zawiozła trochę narzędzi do obozu; kiedy indziej dodatkowe wyposażenie laboratoryjne do Krętego Kanionu, gdzie badano tegoroczne cielęta. Zanim wyrobiła sobie nawyk obserwowania wyboistej drogi przed sobą, dwa razy spadła z motocykla.

Po powrocie skorzystała z medycznej skrzynki, więc nikt nie zauważył nowych siniaków i zadrapań.

Ale największe marzenie – jazda na prawdziwym koniu – wydawało się niezmiennie odległe.

Gdy tylko mogła, każdą wolną chwilę spędzała przy zagrodzie, patrząc na wierzchowce: wielkiego jabłkowitego Monty'ego, z malowniczą mozaiką kremowych i kasztanowatych plam; pstrokatego Chelsei, gniadosza Barty'ego, siwego taranta Pedra. Przyszło jej do głowy, że -większość ludzi wybrała ciekawie umaszczone wierzchowce. Były trzy palomino, dwa srokate, jeden cętkowany jak lampart, trzy siwki – śnieżnobiały, jabłkowity i myszaty – dwa deresze i bardzo elegancki jasny kasztan, na którym od czasu do czasu widywała Tambora. Czyżby jeźdźcy konkurowali między sobą, wybierając ze stada rumaki o niezwykłej maści? Łatwo je było poznać, gdy pasły się wśród zwyczajnych gniadoszy, kasztanów, bułanych... Jeden był taki ciemny, że prawie czarny. Jego lubiła najbardziej – choć nie umiałyby wyjaśnić, z jakiego powodu.

–Czy ktoś kiedyś jeździł na tych kłaczkach? – zapytała Tambora po dwóch tygodniach, siląc się na obojętny ton. Miała nadzieję, że nie zwrócił uwagi na lekkie drżenie jej głosu.

–Taa. Ujeżdżamy wszystkie na wypadek, gdyby były potrzebne tam, dokąd je wysyłamy. Jutro tej partii powiemy hasta la vista!

–Jutro? – Nie mogła zdusić zaskoczenia i żalu.

–Mówiłem, żebyś nie przywiązywała się do zwierząt.

Peri przełknęła kluchę, która nagle zaczęła dławić ją w gardle, i poklepała szczotkowaną klacz po karku.

–Niedługo będą następne – dodał. – Musisz przywyknąć. Na tym polega nasza praca, a spisujemy się całkiem nieźle. – Peri uznała, że słowa Tambora odnoszą się również do niej, i pochwała trochę złagodziła ból. – Po południu urządzimy im kąpiel, bo na statku nie marnują wody na takie bzdury. – Parsknął. – Klacze nie będą zachwycone, bo użyjemy s'rodków odkażających, a one śmierdzą.

Faktycznie cuchnęły. W połowie kąpieli dwudziestu klaczy Peri poddała się i założyła maskę z filtrem. Tambor nic nie powiedział, ale czuła, że zmienił o niej zdanie. Nie pozbyła się smrodu nawet po namydłaniu pod prysznicem.

–Fuj! Śmierdzi! Cholera jasna, Tambor, zabieraj się z Peri na sam koniec stołu – zawołali inni stołownicy.

–Skoro tak uważacie, niech będzie po waszemu – powiedział Tambor i mrugnął do Peri. Oboje przenieśli się do baru, żeby zjeść kolację.

–Naprawdę cuchniemy – powiedziała Peri, sadowiąc się plecami do jadalni. – Wyszorowałam się porządnie i nadal czuję, że śmierdzę.

–Fakt, smród jest potężny, ale niedługo się ulotni.

I środek jest skuteczny. Koloniści wołają, żeby pasożyty zostawały tutaj. Myślałaś kiedy o podróży?

–Jako opiekunka? – Peri zerknęła na niego z zaciekawieniem, ale jego twarz nie zdradzała, dlaczego zadał jej to pytanie.

–Nie, jako osadniczka. Taka bystra dziewczyna dałaby sobie radę.

–Gdyby były tam konie – szepnęła nieśmiało.

Tambor uśmiechnął się do niej.

–Pojeździłabyś na koniach, co?

Peri powoli pokiwała głową, niezdolna ukryć swej fascynacji przed nikim, nawet przez kims takim jak Tambor, który najwyraźniej całe życie spędził wśród koni.

Nazajutrz Peri z bólem w sercu, ale też z zainteresowaniem patrzyła, jak zwierzęta, którymi się opiekowała i które polubiła, są ładowane na pokład transportowca. Całe boksy, łącznie z bieżniami i czyszczącymi pługami (które miały zostać podłączone do systemów na statku), sunęły po dobrze naoliwionych prowadnicach i znikwały w ładowni.

Ona, Tambor i trzech opiekunów, którzy mieli podróżować z klaczami do nowego świata, stali w centralnym przejściu, gotowi uspokoić zwierzęta. Na szczęście konie, podczas treningu

przyzwyczajone do hałasu, nie okazywały zaniepokojenia. – Śliczne zdrowe stadko – powiedział szef stajennych, podsuwając do podpisu list przewozowy. – Możesz być z siebie dumny. To twoja nowa prawa ręka? – uśmiechnął się do Peri.

–To Peri. Dobry z niej pomocnik.

" Zaskoczona pochwałą Tambora, Peri zarumieniła się z dumy. Miała ochotę pomachać na pożegnanie wielkiemu helikopterowi. Odprowadzała go wzrokiem, póki nie zniknął za wzgórzami, i dopiero wtedy spostrzegła, że Tambor też za nim patrzył. Westchnął, ale nie usłyszała, co mruknął pod nosem.

–Jutro dołączysz do głównej brygady, Peri. Dzisiaj masz wolne. – Tambor odszedł szybko, ścigany przez jej nieskładne podziękowania. Ramiona miał zgarbione i pochyloną głowę; kopnął kamień i nagle Peri zrozumiała, że Tambor powinien posłuchać własnej rady i nie przywiązywać się do klaczy.

Peri odwróciła się plecami do pustej, wypatroszonej stajni treningowej. Nogi same zaniósły ją na pastwisko. „Jej” kara klacz cwałowała z podniesioną głową i ogonem, w towarzystwie dwóch gniadoszy. Nigdy nie widziała, by ktoś ją dosiadał, ale może jeszcze nie została ujeżdżona.

Wiedziała już, że konie ujeżdżano po cztery czy pięć naraz, w zależności od potrzeb. Większość ludzi jeździła na klaczach, które prędzej czy później zażrebiano. W banku przechowywano nasienie ogierów wszystkich ras i zapładniano klacze, gdy jakaś kolonia składała zapotrzebowanie na żrebaka.

Praca ze zwierzętami w boksach dodała Peri pewności siebie. Pchana wciąż niezaspokojonym pragnieniem jazdy konnej, przesmyknęła się między drągami ogrodzenia i podeszła do najbliższej grupy. Konie podniosły głowy, patrząc na nią ciekawie. Wielki jabłkowity Monty'ego zarżał cicho, jej zdaniem pytająco.

–Nie, nie jesteś potrzebny, Plamisty – odparła i ruszyła zygzakiem w kierunku czarnej klaczy, która stała przy młodym roczniaku; oba konie odganiały ogonami muchy od głowy drugiego. – Spokojnie, mała – powiedziała Peri, wyciągając rękę.

Klacz sennie podniosła powiekę. Peri podeszła bliżej, ostrożnie, od lewej strony, jak poinstruował ją Tambor, trzymając się z dala od jednolatka i jego zadnich kopyt. Klacz nie stała w stajni, nie była przywiązana do pierścienia; mogła odsunąć się w chwili zwietrzenia niebezpieczeństwa.

–Czes'ć, mała – mówiła Peri, nie zdając sobie sprawy, że zaczyna zaciągać jak większość pracowników rezerwatu. – Jak się miewasz? Śliczna jesteś! Czarna i błyszcząca – jak satyna, trochę zszarzała satyna.

Zaciekawiona klacz wyciągnęła szyję i lekko rozdęła chrapy. Peri zrobiła jeszcze jeden ostrożny krok. Roczniak przełożył głowę nad czarnym grzbietem, by przyjrzeć się intruzowi. Nie okazywał strachu.

–Witaj, panienko – mówiła Peri. Stała już tak blisko, że mogłaby pogłodzić zwierzę po chrapach. Zaszła klacz z boku, jedną rękę trzymając przed pyskiem, drugą gładząc kark i łopatkę. Klacz obwąchała jej rękę, potem gwałtownie poderwała głowę i pokazała zęby, potrząsając kantarem.

–Tylko mi nie mów, że nadal śmierdzą środkiem dezynfekującym.

Klacz tupnęła i cofnęła się, kiedy Peri znowu spróbowała ją pogłaskać. Nagle postawiła uszy, wykręciła głowę i popatrzyła w stronę pogórza.

Peri usłyszała cichy warkot pojazdu latającego i odsunęła się przezornie. Wprawdzie większość koni w rezerwacie była przyzwyczajona do takich odgłosów, niekiedy wpadały w popłoch, a wtedy lepiej trzymać się z daleka.

Nim dotarła do ogrodzenia, pojazd odleciał na północny zachód. Stała przez długą chwilę, patrząc na klaczkę, podziwiając jej sylwetkę i grację ruchów. Potem wróciła do swojej kwatery. Może porządna długa kąpiel zlikwiduje resztki smrodu. Jedną z dobrych rzeczy w rezerwacie był dostatek wody, wyciąganej ze studni artezyjskich.

Po długiej kąpeli Peri pokręciła się po kątach, dopiero teraz w pełni rozumiejąc, że dotąd praktycznie stale była zajęta. Wieczorami ledwo trzymała się na nogach, ale było to zdrowe zmęczenie, zupełnie innej jakości niż w Linearnym Kompleksie Mieszkalnym, niezależnie od wysiłku wkładanego w ćwiczenia czy pracę. Poza tym nie lubiła beczynności. W ciągu trzech tygodni dostroiła się do rytmu życia rezerwatu w idealny sposób, nieznanym jej z okresu pobytu w kompleksie. To było bardzo dziwne.

Mogła się zdrzemnąć, ale mogła też lepiej wykorzystać czas wolny. Ubrała się i poszła do kantyny. Dotąd nie miała okazji pobuszować w bibliotece. Postanowiła przejrzeć półki z pozycjami dotyczącymi historii rezerwatu. Stała w kącie, gdy usłyszała głosy. Jedno zdanie przyciągnęło jej uwagę. Zaczęła bezwstydnie podsłuchiwać.

–Jak na razie jest nieźle, ale znasz procent niepowodzeń, Steve – mówił Tambor bez charakterystycznego zaciągania.

–To nie będzie miało znaczenia, jeśli obleje ostatni egzamin – powiedział drugi ze smutkiem. – W praktyce jest dość dobra. Chyba się nadaje.

Parsknięcie.

–Kto wie? Niewiele mówi – tylko siedzi i łypie na wszystko tymi wielkimi oczami. Typowe dziecko kompleksu.

–Hmm. Co w tym złego, że jest cicha? Lepsza niż gaduły, na które zawsze się skarżysz. Dużo słów, mało czynów. Mówiłeś, że robi wszystko, co każesz, robi dobrze i bez słowa skargi. Nawet kiedy spadła z motoru. Kucharz widział, jak korzystała ze skrzynki, a z odczytów wynikało, że był to paskudny upadek. Czy klacze ją lubią?

Tambor roześmiał się.

–Tak, a ona lubi z nimi pracować. Niemal się rozpląkała, gdy je zabierali.

–Zwykle nie stosujesz takiego kryterium, Tamborze King-Sangster-Mahmoodzie, prawda? – zapytał drugi.

–Po prostu chciałbym, żeby była odrobinę mniej skryta. Cicha woda brzegi rwie.

–Mówisz o koniach czy ludziach, Tam?

Obaj mężczyźni odeszli korytarzem i Peri nie usłyszała odpowiedzi. Stała jak sparaliżowana, z ręką na grzbiecie taśmy, z włosiem zjeżonym na karku i mdlącym zimnem w dołku. Mówili o niej. Tambor od samego początku ją wypróbował, a ona o tym nie wiedziała!

Wstrząsnęła nią druga rewelacja. Tambor King-Sangster-Mahmood? Taśma, po którą sięgała – jeden z fundamentalnych tekstów, Techniki adaptacji różnych ras koni w światach kolonialnych – została opracowana i nagrana przez T. King-Sangster-Mahmooda. Przeczytała jego wszystkie prace, zanim tu przybyła. Ten mówiący z wiejskim akcentem, niczym nie wyróżniający się człowiek, który gonił ją do roboty, był prawdziwym szefem Rezerwatu Idaho. Sapnęła.

–Ale powiedział, że dobra ze mnie pomocnica. – Powtarzała sobie to zdanie w drodze do kwatery. Co złego w tym, że jest cicha? Gdy miała coś do powiedzenia, mówiła... Tylko nie zapytałaś, czy wolno ci jeździć konno. Bałaś się, prawda? Może gdybyś zapytała...

Nie mogła tak ni stąd, ni zowąd zacząć gadać jak najęta; to nie byłoby w jej stylu. Zwłaszcza w obecności Steve'a czy Tambora. Z miejsca by się zdradziła.

A ten ostatni egzamin? Na czym będzie polegać? Skoro była egzaminowana od samego początku i nie zdawała sobie z tego sprawy... Do kolacji zasiadła w ponurym milczeniu. Chciałaby z kimś porozmawiać, ale rozejrzawszy się po kantynie zrozumiała, że ma bardzo mały kontakt ze wszystkimi – poza Tamborem.

–To potężne westchnienie jak na taką małą osóbkę – powiedział Monty, siadając obok niej.

Zdobyła się na uśmiech, gorączkowo próbując wymyślić coś do powiedzenia, bo przecież nie mogła szczerzyć zębów bez słowa jak głupek.

–Zabrali klacze. Przykro mi, że widziałam je po raz ostatni.

–Lubisz się zadręczać, co? – Monty uśmiechnął się do niej. – Trenowanie nie jest moim ulubionym obowiązkiem, ale wszyscy musimy to robić. Czy to nie ciebie widziałem na pastwisku?

–Miałam wolne – powiedziała niemal przeprasząco. – Płamisty zachowywał się całkiem przyjaźnie.

–On też lubi śliczne panny. – Monty uśmiechnął się triumfalnie. – Widziałem cię przy karej. Lubisz ją?

–Nie mogłam do niej podejść – odparła Peri ze smutkiem. – Czy nadal śmierdę odkażaczem?

–Ani trochę! Czy usiadłbym tak blisko? – uśmiechnął się szerzej. – Powiedz... – zachęcił ją ruchem głowy – zagrasz w go na dużej planszy?

–Z tobą? – zdziwiła się.

Monty był pierwszorzędnym graczem, mistrzem rezerwatu. Doić często przyglądała się jego błyskawicznym manewrom i podziwiała jego strategię, ale, ponieważ wieczorem gra planszowa cieszyła się dużym wzięciem i nigdy nie brakowało chętnych, me chciała się narzucać.

Monty uśmiechnął się szatańsko.

–Ha, nie sądzę, byś chciała grać przeciwko mnie.

Rzuciłem wyzwanie Pedrowi i Chelsea. Jesteś jedynym partnerem, na jakiego się zgodzili.

Odetchnęła pełną piersią.

–Pewnie się zmówili.

–Możliwe. Ale coś mi mówi, że nie jesteś takim kiepskim graczem, na jakiego pozujesz.

–Postaram się!

–O więcej nie można cię prosić.

Nie sprawiła mu zawodu ani nie naśmiewała się z porażki Pedra i Chelsea. – Żądamy rewanżu – oświadczyli przegrani.

–Późno, by zaczynać nową partię – powiedział Tambor, dołączając do widzów skupionych wokół planszy i graczy. – Mamy parę koni do ujeżdżenia i jutro wszyscy muszą być w dobrej formie.

–Fakt, nie chcę mieć na sumieniu potłuczonych głów i połamanych kości – dodał Monty.

–W takim razie rewanż jutro, Monty! – Pedro łypnął na niego groźnie.

–Jasne. Zgoda, partnerze? – Monty wymierzył Peri przyjacielskiego kuksańca.

–Jasne! – odpowiedziała, choć z mniejszą pewnością.

Nie mogła zasnąć do późna, przejęta ostatnim egzaminem i swoją nieuleczalną małomównością, wsłuchując się w pohukiwanie sów. W końcu rytmiczne odgłosy ukołysały ją do snu.



Nazajutrz rano w kantine brzmiał podniecony gwar głosów. Mimo zdenerwowania, Peri dała się ponieść ogólnemu ożywieniu. Nie wszyscy mieli brać udział w ujeżdżaniu, więc ci przydzieleni do innych prac wykrzykiwali słowa otuchy. Peri słyszała, jak obstawiają ujeżdźaczy. Najwyraźniej było ich czterech: Monty, Pedro, ciemnowłosa Chelsea i smukła Beth.

–Też możesz przyjść popatrzeć – powiedział Tambor, gdy nie przydzielono jej żadnego zadania. – Zobaczysz, jak to się robi.

Kiedy dotarła do zagrody, Tambor kazał jej zająć miejsce na drągu ogrodzenia razem z innymi. W przeciwieństwie do nich nie mogła wymyślić żadnego docinka czy żartu. Wypatrzyła karą satynową klacz, krążącą niespokojnie wśród dziesięciu czy dwunastu koni.

Monty wszedł do zagrody, z gracją wywijając pętlą lassa nad głową, i konie z trwoźnym rżeniem z kłusa przeszły w galop. Peri myślała, że Monty chce złapać krzepkiego taranta, ale jakby w ostatniej chwili w pętlę wpadła mała czarna klacz.

–Odwidziało ci się, Monty? – zapytał ktoś z kpina.

–Ona też się przyda – zawołał Tambor.

Kara miała inne zdanie i dzielnie próbowała odzyskać wolność, chowając głowę między nogi i wierzgając, ale Monty przywiązał linę do słupka. Inne konie zostały przepędzone do sąsiedniej zagrody.

–To staroświecki sposób – powiedział Tambor. Stanął obok Peri, opierając ręce na najwyższej żerdzi. – Ona będzie koniem terenowym. Ma w miarę ładną sylwetkę, ale nie nadaje się do zaawansowanego szkolenia pod siodło. Jest ciut przykrótka w grzbiecie i grubokoścista, chociaż w tych stronach to przydatne cechy.

Peri z fascynacją patrzyła, jak Monty przesuwając ręce po linie, zbliżając się do wyprężonej klaczy. Gładził ją i przemawiał do niej, i po jakimś czasie linka zwisała luźno. Klacz nadal drżała, wysoko trzymała głowę i rozdymała nozdrza, ale Monty nie ustępował. Gładził ją i poklepywał jakby od niechcenia po szyi, łopatkach, kłębie, zadzie, aż w końcu się rozluźniła.

Nim klacz się spostrzegła, na co się zanosi, Monty zasłonił jej oczy opaską, a Chelsea z Pedrem założyli siodło i uzdę. Chelsea stanęła przy pysku, z ręką na opasce. Pedro klepał karą po łopatkę.

–Na mój znak – powiedział Monty. Ujął wodze i zwinnie wskoczył na grzbiet, ale nie opadł całym ciężarem na siodło. Klacz spięła się na szeroko rozstawionych nogach.

Peri wstrzymała oddech. Potem Monty usiadł. – Puszcząć!

Zdjęto opaskę, Chelsea i Pedro odskoczyli, a klacz wystrzeliła w górę, czterema kopytami odbijając się od ziemi. Z głową między nogami, wierzgała i skakała, okręcała się i dawała szczupaki, próbując pozbyć się ciężaru z grzbietu. Wszyscy wokół zagrody wyli, gwizdali, krzyczeli. Peri nie była pewna,

komu kibicują – klaczy czy Monty'emu, który próbował zmusić ją do galopu.

Patrząc na wielkiego jeźdźca na małej klaczy, Peri pomyślała: To nieuczciwe.

–Pewnie, że nie – powiedział Tambor. Peri zawstydziała się. Nie miała pojęcia, że na głos wyraziła swoje myśli.

–Ale ma dobrą rękę do ujeżdżania. Klacz jest płochliwa, ale niegłupia. Patrz, już wykombinowała, że nie da rady go zrzucić. Zaraz zacznie galopować.

–Nie sądzę – powiedziała Peri przekornie. W tej samej chwili klacz zatrzymała się gwałtownie i odmówiła zrobienia kroku, choć Monty trącał ją piętami, a gapie wyli i gwizdali.

–Hmm. Skąd wiedziałaś? – zapytał Tambor.

Uśmiechnęła się do niego.

–Jest sprytna, za sprytna, żeby tracić siły na bieganie w kółko.

Monty zsiadł, gdy Chelsea złapała za uzdę. Klaczka parsknęła, pot lał się jej po szyi i bokach, ale nadal stała na sztywno wyprężonych nogach, nieruchomych jak rusztowania.

–Idź, Peri – powiedział Tambor. Nim się zorientowała, o co mu chodzi, zepchnął ją z drąga do zagrody. – Idź!

Monty wybrał ją dla ciebie. Teraz twoja kolej.

Pedro włożył jej kask na głowę i popchnął do klaczki, która znowu miała zasłonięte oczy. Monty chwycił ją pod kolano i dźwignął na siodło. Odruchowo usiadła w najgłębszej częścici i znalazła strzemiona, ciało zareagowało zgodnie z nawykami wyrobionymi na mechanicznych symulatorach. Jednak czym innym było mieć pod sobą prawdziwego konia, czuć pod pośladkami jego drzenie, a w nozdrzach kwaśny zapach potu. Zmieszany z jej własnym.

–No dobrze, Peri. Czas zastąpić teorię praktyką – powiedział Monty, uśmiechając się zachęcająco.

Peri wstrzymała oddech i skinęła głową. Chelsea ściągnęła opaskę. Wszyscy cofnęli się.

–Spokojnie, mała. Spokojnie! – powiedziała Peri głosem drżącym jak ciało klaczy.

–Ruszaj! – ryknął Pedro i chyba smagnął klacz liną, bo skoczyła z niewiarygodną energią.

Peri w życiu nie doświadczyła czegoś takiego, nawet kiedy mechaniczny koń był zaprogramowany na wykonywanie przypadkowych i gwałtownych ruchów. Zęby jej dzwoniły i całe ciało dygotało, ale długie godziny ćwiczeń nie poszły na marne. Mocno ścisnęła klacz kolanami i odchyliła się do tyłu, zmniejszając wierzganie. [ Sus! Podskok! Przysiad na zadzie! Klacz z determinacją próbowała pozbyć się ciężaru. Wierzgnięcie!} Niespodziewanie czarny kark poderwał się w górę i Pe\*; ri

zarobiła w nos. Chwyciła grzywę, czując, że traci siłę w nogach. Ponuro zacisnęła zęby, w jednej ręce ściskając wodze, a w drugiej grzywę, walcząc o zachowanie równowagi, lecz klacz już umykała spod niej. Spadła.

Przez jedną szaloną chwilę bała się, że nigdy nie złapie tchu. Grunt, choć piaszczysty, był bardzo twardy. Znacznie twardszy niż maty wokół mechanicznego konia, na które niekiedy spadała. Zapadła cisza. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na jej reakcję. Podniosła się na łokciach, usiadła i wzrokiem poszukała klaczy, rozsmarowując krew po twarzy.

–Niech ktoś ją złapie! Nie stać z rozdziawionymi gębami!

Pozbierała się na nogi, czując ból w ramieniu i żebrach, krew lejącą się z nosa. I dotkliwie świadoma, że to jej ostatnia próba. Przetarła rękawem zakrwawioną twarz, ruszając pewnym krokiem do klaczy, która cofała się przed Pedrem. Peri zaszła ją z boku, wsunęła nogę w strzemię i wskoczyła na siodło, zanim klacz zrozumiała, co się dzieje. Pedro też się nie spostrzegł. Ba – zaskoczyła samą siebie. Żadne stworzenie z krwi i kości nie będzie lepsze od niej! Nie po długich godzinach ćwiczeń. Jedna narowista klaczka z rasy górskich mustangów nie przekreśli jej marzeń. Sadowiąc się w siodle, Peri wyrwała wodze z ręki Pedra i wbiła obcasy w wydymające się boki klaczy. – Śmiało, ty parszywa zezowata szkapo, pokaż mi, co potrafisz!

–Piętami ją, Peri! Wio, kowbojko! Jahuu! Ruszaj! Nie pozwól jej stać w miejscu! Daj jej popalić!

Rady sypały się ze wszystkich stron. Peri obiecała sobie, że drugi raz nie da się zrzucić na oczach tyłu widzów, i dotrzymała słowa. Wreszcie zmęczona klacz zwolniła do kłusa, robiąc bokami z wysiłku, a potem zatrzymała się z opuszczoną głową.

Widownia nagrodziła Peri gromkimi okrzykami, ale ona, wycierając twarz rękawem, odwróciła się do Tambora.

–Tamborze King-Sangstar-Mahmood, cos' mi się wydaje, że nie tylko konie są tu ujeżdżane. Czy teraz zdałam egzamin?

W odpowiedzi usłyszała serię pohukiwań i dobrodusznym przekleństw. Kątem oka zobaczyła, że Monty szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu, z szatańską uciechą w oczach. Pedro machnął kapeluszem w triumfalnym ukłonie. Chelsea biła rękami po udach, rozbawiona jej tupetem. Podniesiona na duchu ich zachowaniem, Peri nie spuszczała oczu z Tambora, który rozglądał się, jakby oceniając reakcję zebranych. Wiedziała, że liczy się wyłącznie jego werdykt, że egzaminował ją pod kątem umiejętności potrzebnych w rezerwacie. Chyba nie zniosłaby porażki. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza niż w tej chwili, na grzbiecie zdyszanej klaczy, z potem i krwią spływającą po twarzy, w promieniach gorącego słońca i wśród górskich szczytów. Czekala, świadoma, że oddycha równie urywanie jak klacz.

–No jak, Tam, zdałam? – Nigdy w życiu nie odzywała się z taką śmiałością, ale ta sprawa była zbyt ważna, by czekać w milczeniu na wyrok.

Tambor leniwym ruchem przesunął kapelusz na tył głowy i wykrzywił ogorzałą twarz w szerokim uśmiechu.

–Tak myślę. Chociaż jesteś cichą małą panną, nie brak ci ikry. Masz charakter. Chyba wpiszemy cię na stałe.

Peri wrzasnęła tak dziko, że przestraszyła nawet zmęczoną karą klaczkę.

–Powiedziałem „cicha”? – zapytał Tam. – Zabieraj mi stąd kobyłkę, i lepiej, żebym nie znalazł na niej jednego spoconego włosa. Czy niczego nie nauczyłem cię w stajni?

Holomarchen Gotowy do drogi, chłopaki – oznajmił inżynier systemów, krzywiąc kościstą twarz w uśmiechu satysfakcji. Odchylił się na krześle i wyprężył kręgosłup, aż wszyscy usłyszeli ciche chrupnięcie.

Migonigal, kapitan portu, skrzywił się i komicznie wyszczerzył zęby do Sakersona, swojego zastępcy, do Elki Em, swojej partnerki, i do Randa Cleema, który obsługiwał dziwnie zachowujący się komputer.

–I? – przynaglił.

–I co? Według mojej diagnozy mieliście parę walniętych chipów, pięć przepalonych obwodów, zwichrowaną klawiaturę i parę wadliwych połączeń. Nic poważnego.

–Nic poważnego! Nic poważnego? – powtórzył Migonigal, ze zdumieniem odwracając się do pozostałych.

–Co w takim razie spowodowało... – zaczął Sekarson, ale szef przerwał mu ostrym ruchem potężnej dłoni.

–System bazowy jest w idealnym stanie – powiedział inżynier, przeciągając ręce nad głową. Tym razem trzask w karku brzmiał inaczej: „pyk”. Z czułością poklepał konsolę. – Dobrze zaprojektowana. Rozszerzyłem bazę o parę nowych programów. Systemy wewnętrzne dopilnują, żeby to więcej się nie powtórzyło. Wiecie, Serwis Stacji Kosmicznych liczy się z kosztami – mówił, pakując torbę. – Zainstalowałem też nowe oprogramowanie holograficzne, żebyście szybciej mogli dokować.

–Dokowanie to nie problem – powiedział Migonigal z niezadowoleniem, ale dał znak innym, żeby nie podejmowali tematu. – Słuchaj, chcesz trochę świeżych owoców z naszego ogrodu hydro? – zapytał przymilnie, gdy inżynier zapinał skafander kosmiczny. – Mamy parę pięknych...

Inżynier parsknął pogardliwie.

–Dostaję lepsze zaopatrzenie niż wy, nie musicie się ze mną dzielić. – Przysunął się do Migonigala i konspiracyjnym tonem dodał – A ten duch, który podobno u was pokutuje... – Migonigal odsunął się

na znak zaprzeczenia – to tylko popaprany chip w programie wizualizacji. Już nie sprawi wam kłopotów.

–Popaprany chip? – Basowy głos Migonigala wzniósł się o oktawę i zakończył rozpaczliwą nutą. Sakerson skrzyżował palce za plecami i zauważył, że Rando nakreślił dziwny znak przeciw urokom. Ella zachnęła się z teatralną przesadą.

–A skąd to się wzięło? – Inżynier podniósł hełm, w którym teraz spoczywał żółty banan. – Wiecie coś o tym? Macie takich więcej?

Migonigal wydał zduszony jęk, wzruszył ramionami, rozłożył ręce i wyszczerzył zęby.

–Możliwe. Ale mam nadzieję, że to ostatni.

–No dobra. – Inżynier obrał banana i odgryzł kawałek, który przeżuł z wielką przyjemnością. – Idealnie dojrzały. Dobra, leczę. Wypuścisz mnie, stary? Za dwa dni mam być w Kole Czwartym.

Migonigal kazał Sakersonowi odprowadzić specjalistę do jego pojazdu, zacumowanego w doku czwartym, najbliższym modułu sterowania.

–Powinniśmy coś wiedzieć o tych nowych programach? – zapytał Sakerson, idąc za inżynierem. W filcowych kapciach szedł bezszelestnie po plastigumowej wykładzinie korytarza.

–Ja tylko usunąłem usterki i zainstalowałem nowe programy. Generalny format pozostał niezmienny... – Inżynier uśmiechnął się złośliwie, przez ramię rzucając okiem na Sakersona. – I przepędziłem wasze upiory i duchy. – Zachichotał z rozbawienia.

–Fajnie. Dzięki! – Sakerson nie mógł zapanować nad sarkastycznym brzmieniem głosu. Zatrzymali się przy module kontroli. – Łap! – zawołał inżynier, rzucając mu skórkę banana. – Ulega biodegradacji, wiesz. Ta stacja potrzebuje dosłownie wszystkiego. Śluz zamknęła się, ucinając jego rechot i uniemożliwiając Sakersonowi zrewanżowanie się ciętą odpowiedzią.

Już samo wzywanie inżyniera do sprawdzenia głównego komputera było dość upokarzające, ponieważ nic nie wskazywało na to, że niedawne... incydenty zaszły w następstwie jakiejś usterki systemu. Wszyscy pracownicy stacji dokładnie omówili między sobą ten niewytłumaczalny problem, ale nikt nie był na tyle głupi, by szepnąć o nim słówkiem komuś spoza Trójki. A jednak inżynier wszystko wiedział jeszcze przed zadokowaniem.

Sakerson z westchnieniem wyrzucił skórkę do pierwszego napotkanego zsypu, żałując, że nie jest to coś innego, co najwyraźniej nie ulegało biodegradacji.

Kiedy wszedł do centrum, Ella siedziała przy konsoli, kończąc procedury odłączenia. Szpanerski FTL inżyniera odsunął się od Koła Stacji Kosmicznej Trzy i odpalił silniki. Błysk zniknął szybko wśród niezliczonych gwiazd.

Sakerson dostrzegł – i celnie zinterpretował – kwaśną minę kapitana portu.

–I co? – zapytał Migonigal swoją partnerkę.

–I nic – odparła Ella, wzruszając ramionami i jeszcze raz stukając w konsolę. – Program pracuje jak należy. Ale tak było zawsze. Po prostu nie mam pojęcia, jak ona może materializować się, czy co tam robi, w komputerze zbudowanym setki lat po jej śmierci. To nie ma sensu. – Podniosła się, obdarzyła uściskiem i buziakiem zgnębnionego Migonigala, mrugnęła nad jego ramieniem do Sakersona. – Wystarczy, by rozpałcić wyobraźnię ludzi tkwiących w Próżni. Fajnie jest mieć się nad czym się głowić.

Migonigal szeroko otworzył oczy i popatrzył na nią z wyrzutem.

–Ale jeśli ten pleciuga inżynier wypaple...

–Jest pan doskonałym kapitanem portu, sir, i ma pan czystą kartotekę – powiedział Sakerson stanowczo. – SK-Trójka nigdy nie zaliczyła zderzeń ani przecieków. To dobra stacja i dobra załoga. Poza tym zawsze możemy powiedzieć, że to tylko nowa zabawa.

Aby uciec od nudy czasu wolnego, ludzie z Kół, Stacji Kosmicznych i Platform Górniczych prześcigali się w wymyślaniu nowych gier, fizycznych i umysłowych. Te najlepsze wchodziły do obiegu. Biorąc pod uwagę skąpe zaplecze rekreacyjne, odznaczała się nadzwyczajną pomysłowością.

–Dobrze, że ty mu to mówisz, Sakersynku – powiedziała Ella z uśmiechem. – Mnie nie chce wierzyć, choć od wieków jestem jego partnerką! – Zerknęła na chronometr. – Twoja wachta, Sakerson. Chodź, Miggy, Rando zapowiedział, że o dwudziestej pierwszej zaczyna nową wojnę, a ja mam zamiar wygrać.

W samoobronie, żeby uwolnić się od myślenia o zjawie i jej nawykach, Rando Cleem wszczął długotrwałą „wojnę”, wygrywając bitwę po bitwie niezależnie od tego, kto był jego przeciwnikiem.

–My – poprawił Migonigal, pozwalając Elli wyciągnąć się z centrum kontroli. – Wykombinowałem taktykę, która zmusi jego siły do odwrotu... – Drzwi zasunęły się, ucinając dalsze słowa.

Sakerson uśmiechnął się niewesoło. Zazdrościł Migonigalowi. Ella była idealną partnerką. Kłopot w tym, że kiedy sześć miesięcy wcześniej dostał przydział do Trzeciej Stacji Kosmicznej, wszyscy byli już jakoś „sparowani” – z wyjątkiem Sigi Tanga, który dobijał do emerytury, i Iko Mesmeta, który nigdy nie wychodził z komory obrotowej.

Sakerson starał się nie zdziwaczeć, ale samotność zaczynała mu doskwierać.

Usiadł przy konsoli, bo nadszedł czas na przeprowadzenie rutynowej kontroli stacji. W czasie rejestrowania wyników zwrócił uwagę, że faktycznie poprawiła się prędkość napływu danych. Po skończeniu raportu zmienił hasło. Inżynier powinien być dyskretny, ale nikt nie lubi, gdy nawet najwięksi milczek w galaktyce ma dostęp do jego danych osobowych.

Sakerson miał pięćdziesiąt dziewięć minut do kolejnej kontroli, grafik nie przewidywał żadnych przylotów, a zmiennik miał się zjawić za dwie godziny.

Zacierając ręce, uruchomił program kontrolny, żeby zaznajomić się z nowymi systemami wewnętrznymi. Szybko stracił zapał, bo mimo wprawy i półrocznej znajomości z komputerem SK-3 nie potrafił rozpoznać subtelnych zmian. Sięgnął do przełącznika, żeby podejrzeć, jak przebiega wojna Randa w pokoju wypoczynkowym dla personelu, choć w zasadzie nie był zainteresowany. Rando zawsze wygrywał. Reagował z szybkością łownego kota i wszystko wskazywało na to, że sypia z taśmami o tematyce batalistycznej pod poduszką. Był wielkim mistrzem, nawet jeśli widywał ducha. Ducha dziewczyny. Ducha ślicznej dziewczyny. Ducha milusiej dziewczyny! Sakerson nie widział zjawy, choć raz znalazł w koi mnóstwo wiśni. Rando opisał ją jako pełną życia i ponętą, co niepomiarnie rozdrażniło jego partnerkę Clionę.

Sakerson lubił spokojniejsze, dystygowane dziewczęta, ale nie tak flegmatyczne jak Sinithia, zimnokrwista lekarka. Tilda, partnerka Treva, była agresywna i ćwiczyła taekwondo z entuzjazmem, który dorównywał tylko zapałowi Randa. Trev zwykle przyglądał się jej treningom.

W zaufaniu zdradził Sakersonowi, że to niedobrze, gdy dwoje partnerów ma zbyt duży kontakt fizyczny. (Patrząc na sparing Tildy, Sakerson uznał, że gdyby chciała, mogłaby rozłożyć Treva w jednej chwili. Trev był cwany, pozwalając, by wyładowywała się na Randzie). W każdym razie, choć na pokładzie nie brakowało ślicznych dziewczyn, ani jedna nie okazała, że jest gotowa przedłożyć jego towarzystwo nad obecnego faceta.

Jego uwagę przyciągnęła błyskająca zielona lampka na projektorze. SPRECYZUJ. Sakerson zamrugął. Nie przypominał sobie, by uruchamiać program holograficzny, ale bursztynowy projektor był włączony.

# CO SPRECYZOWAĆ?

## WYGLĄD.

Ktos' powiedział, że duch Carmen Mirandy\* został wygenerowany przez obwody holograficzne. Inżynier podpisał się pod tą teorią. Sakerson zdębiał. Przecież nie włączył projektora, chyba że zrobił to bezwiednie.

Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. Cóż, sprawdzi nowe oprogramowanie, będzie miał trochę zabawy. Zaprogramuje dziewczynę swoich marzeń i zobaczy, co z tego wyniknie. Nie miał nic przeciwko duchowi własnego pomysłu. Najlepiej takiemu, który nie będzie podrzucać bananów tam, gdzie człowiek może się pośliznąć.

Zaangażował się tak mocno, że stracił rachubę czasu.

Gdy rozbrzmiały dzwonki zmiany wachty, nazwał plik „Chiquita”, myśląc o bananie inżyniera, i nagrał go pod nowym hasłem. Uśmiechnął się do Randa, pewien, że as wojenny także zacznie pracę od zmiany swojego hasła.

–Wygrałeś, Rando?

–Bez problemów – odparł Rando, siadając na zwolnionym przez niego krześle.

–Ile już zarobiłeś?

–Do licha, straciłem rachubę. Pewnie ponad tysiąc osiemset marek.

Niemal tyle, ile zdobył poprzedni mistrz Stacji. – Świętego spokoju. – Było to zwyczajowe pożegnanie po zakończeniu wachty. \* Carmen Miranda -amer. aktorka, gwiazda musicali; nosiła fantazyjne nakrycia głowy z owoców. (Być może chodzi o Elbę Mirandę, najsłynniejszą personifikację Chiquity Banany, „Pierwszą damę owoców” z lat 1944-45).

Sakerson zjadł lekki posiłek i poszedł do swojej kabiny, gdzie wziął prysznic i wyciągnął się na siatkowej koi. Nie mógł zasnąć i stale wracał myślami do nieukończonego hologramu. Wyszła ciut za niska – musiałby pochylać się niezgrabnie, żeby ją pocałować. Lekkie opuszczanie głowy jest znacznie wygodniejsze. Poza tym twarz powinna być owalna, nie okrągła, i mieć więcej charakteru. Uwydatni kości policzkowe i zmieni zarys podbródka na bardziej zdecydowany. Zadarty nos nie będzie pasować do policzków: musi go wysubtelnić i wydłużyć, i dać szersze, wyższe czoło. Włosy, spływające czarnymi falami na łopatki, wyszły całkiem nieźle. Czasami dziewczyna będzie je podwiązywać, a wówczas końce będą się wic nad opaską. Kiedyś widział piękne ozdoby, plastikowe, ale zabarwione i wypolerowane jak stara kość słoniowa. Jedna będzie idealnie pasować do jej czarnych włosów.

Miał problem z oczami. Nie mógł się zdecydować między zielenią a jasnym błękitem. Poszedł na kompromis.

Jedno oko będzie zielone, drugie niebieskie. Na Alfa-3 miał partnerkę z jednym okiem błękitnym, a drugim brązowym. Mówiła, że to cecha genetyczna.

Zastanawiał się nad dołczkami w policzkach i w brodzie – widział prześliczną aktorkę z epoki przedsilikonowej z uroczym dołczkiem w podbródku. Jego myśli przeskoczyły na inny temat – czy zabawa w odgadywanie tytułów filmów przerwałaby monotonię wygranych wojen Randa? Albo jeszcze lepiej, tytułów piosenek!

Jestem Chiquita Banana i chcę wam powiedzieć... \* Ni stąd, ni zowąd wpadł mu do głowy dżingiel reklamowy. Ha, stary Rando nie byłby zbyt dobry w takiej grze, \* Piosenka „Chiquita Banana” po raz pierwszy została nadana w 1944 roku i miała charakter instruktażowy, pozwalający Amerykanom zaznajomić się z egzotycznym wówczas owocem. Był to jeden z najbardziej udanych dżingli reklamowych wszech czasów (w okresie największej populamos'ci różne stacje w Stanach Zjednoczonych nadawały go kilkaset razy na dzień). prawda? Czytał wyłącznie traktaty wojskowe i oglądał stare filmy wojenne. Oczywiście, wszystko jest tu.

Zabawna melodyjka nie chciała się odzepić. Sakerson długo przewracał się z boku na bok i w końcu był zmuszony przejść przez swoją Sekwencję Spokoju, żeby zasnąć.

–Tysiąc osiemset dwanaście wojen wystarczy! – wrzasnął Trev, wyraźnie wymawiając słowa. – Dość tego, Rando, finitoli  
Koniec z wojnami.

–A co teraz będziemy robić? – „Skóra, którą uwielbiasz dotykać” – powiedział Sakerson, krzywiąc się w groteskowym



uśmiechu, gładząc palcami grzbiet lewej dłoni i kokieteryjnie trzepocząc powiekami. – „Niemożliwe – mocniejsze utrwalanie bez sklejanja” Rando wlepił w niego oczy.

–A jemu co się stało?

Trev wzruszył ramionami.

–Z czym ci się kojarzy? – zapytał Sakerson, wskazując palcem Randa. – Nowa gra: odgadnij reklamowany produkt! – „Skóra, którą uwielbiasz dotykać”? – parsknął Rando. Umilkł, przewrócił oczami. Rando był graczem – nienawidził przegrywać, w niczym. – Dobra, ile mamy czasu na przygotowanie?

–Do końca wolnego – odparł Sakerson wspaniałomyślnie. Krótki przegląd historii reklam podniósł go na duchu. Nawet taka tęga głowa jak Rando nie spamięta wszystkich zmian, jakie zaszły na przestrzeni stuleci. Do licha, największe firmy trzy, cztery razy w roku zmieniały slogany reklamowe. Platforma Kosmiczna Madison nosiła nazwę po słynnej Madison Avenue, kolebce branży reklamowej, ku czci wszystkich chwytliwych powiedzonek, które podsyciły entuzjazm do Wielkiego Kroku. – Rozgrzewka jutro o trzynastej w mesie.

Nazajutrz w mesie stawiała się niemal połowa wolnych od służby pracowników stacji, prawie czterdziestu graczy, Trev zaprogramował tablicę do wyświetlania charakterystycznych logo i haseł. Sakerson miał kupę zabawy, obserwując rozentuzjasmowanych graczy. Następnego dnia cała stacja przerzucała się chwytliwymi sloganami i reklamowymi melodyjkami. Ludzie, którzy dotąd go nie zauważali, teraz zaczepiali go w przejściach i korytarzach, i generalnie Sakerson był bardzo zadowolony z siebie. Pomijając fakt, że nadal mieszkał sam. Dotkliwie odczuwał brak kobiety, a na SK-3 po prostu nie było nikogo odpowiedniego dla niego.

Z rozpaczy ponownie wczytał program Chiąuita i wprowadził poprawki, które prze myślał tamtej pierwszej nocy.

Jego Chiąuita była naprawdę śliczna, zgrabna, z ciemnymi włosami wysuwającymi się spod przepaski, ubrana w strój obowiązujący w stacji. Mało tego, nie ograniczył się do zaprogramowania samej powierzchowności.

Chiąuita była bystra i miała temperament. Była... lekarką? nauczycielką?... programistką... inżynierem... intendentem... Tak, intendentka pasowała do jego ambicji – Sakerson zamierzał zostać kapitanem portu. Kosmos potrzebował nowych stacji, nowych przyczółków, latarni morskich w głębokiej Próżni, obsadzonych i gotowych do kierowania statkami handlowymi, zdalnie sterowanymi frachtowcami i liniowcami pasażerskimi oraz do przyjmowania personelu floty na przepustkach. Utworzą dobry, uzupełniający się tandem, jak Migonigcl i Ella, Cliona i Rando, Tilda i Trev. Chiąuita będzie pochodzić z pasa asteroid, będzie przyzwyczajona do życia w stacji kosmicznej, bo ci, którzy urodzili się na planetach, zbyt często tęsknili do solidnego gruntu pod nogami, wiatru wiejącego w twarz i tym podobnych głupstw. Musi być inteligentna, z solidnym wykształceniem uniwersyteckim. Wszechświatowiec powinien jeść chleb z niejednego pieca, żeby poznać alternatywę, żeby wiedzieć, czego nie traci. On sam nie miał nic przeciwko czteroletnim studiom na Ceti, ale cieszył się jak dziecko, gdy został skierowany na Platformę Alfa-2, a potem na Trójkę... mimo niedawnych „incydentów”.

Poza tym obecny intendent, stary Sigi, ledwo dawał sobie radę z obowiązkami. Wszyscy starali się mu pomagać – do licha, przecież zaliczał się do Pierwotnego Personelu – czasem nie było takiej możliwości.

Sakerson wrócił do przyjemniejszych rozmyślań. Spróbował wyobrazić sobie śmiech Chiąuity: niektóre dziewczyny wyglądały cudownie, a ich śmiech przypominał... zgrzyt ściskanego plastiku. Śmiech i iskierki w oczach, umożliwiające rozpoznanie jej wewnętrznych uczuć. Bo, oczywiście, uczucia też będzie miała. Będzie bezpośrednia i szczerą, żeby nie musiał wymyślać takich sztuczek, jak Trev ze swoją Tildą.

Usłyszał kroki za drzwiami i sięgnął do klawiszy, żeby schować Chiąuitę do prywatnych plików. Migonigal przyszedł go zwolnić. – Żadnych problemów? – zapytał, ze wzniesionymi brwiami, patrząc na komputer. – Żadnych, sir. Absolutnie żadnych. Spokojna wachta, wszystkie odczyty zapisane – odparł Sakerson, patrząc szefowi prosto w oczy dla potwierdzenia prawdomówności.

–Hmm, dobrze, zdawało mi się, że widziałem błysk wysyłanej wiadomości. Prywatna korespondencja powinna być nadawana w strumieniu publicznym, Sakerson.

Sakerson popatrzył na terminal, ale wszystkie światełka były zielone, sygnalizując ład i porządek.

–Wiem, sir. Świętego spokoju.

Migonigal obrzucił go badawczym spojrzeniem.

–To też slogan?

–Tutaj, możliwe – odparł Sakerson z uśmiechem.

Wyszedł, powstrzymując się od niestosownego pośpiechu, i więcej o tym nie myślał. Dopóki nie nadszedł czas położenia się spać i musiał ochłoniąć po podniecającej grze Slogan, którą wygrał na punkty. Rando nie był najszybszym ejdetykiem na pokładzie, nie na dłuższą metę. Niebawem Sakerson musiał poświęcać cały wolny czas na przeglądanie historycznych tas'm i wykopywanie coraz bardziej dziwacznych sloganów, żeby utrzymać się przed Randem. – „Najlepszy pieczywo świata”?

–Waza! – „Niech jedzą ciastka!”\* – To nie jest slogan reklamowy! Dyskwalifikacja! – „Bielsze nie będzie?” – „Włosy od natury!” | – A „Nigdy nie drapie”? – „Dobra do ostatniej kropli”? – „Przeszedłbym milę dla camela”. i – A co to jest camel??? [ – „Nestle sprawia...” co?

–Sakerson, czy to musi być produkt?

–To musi być slogan.› • – Wobec tego słuchajcie – zarechotał Trev – „Tylko TY możesz zapobiec pożarom lasów”.

–Pożarom lasów? To prehistoria! fi – Tak, ale czyj to był slogan?

–Ja mam jeden – „Ojciec, prac? Tak, ale...” i – To nie fair, masz podać cały slogan. Daj nam odetchnąć! – „Zadzwoń po Philipa Morrisa”!

–A kto to taki?

–Raczej co to takiego. k – Be inspired.

–To nie jest slogan.

–Nie, dobra rada!

Wszyscy złapali bakcyła i stacja wrzała jak wtedy, gdy zaczęły się plotki o duchu. Wysłali grę załodze frachtowca „Marigold”, na lekki krążownik „Fermi” i niszczyciel „Yalhalla”. Stacja Kosmiczna Cztery poprosiła o zasady, \* Tak miała powiedzieć Maria Antonina, kiedy usłyszała, że biedacy głodują, bo nie mają chleba. a potem Tilda wpadła na pierwszorzędnym pomysł wymiany z Platformą Wydobywczą Tau Pięć za dwadzieścia skrzynek pierwszorzędnego dżinu – wyborna odmiana po podłym rumie kucharza. Pasażerski liniowiec kupił Slogan za trzy półtusze autentycznej wołowiny i mesa postanowiła, że Sakersonowi należą się darmowe drinki przez tydzień. Sakerson raczej stronił od alkoholu, więc oferta niezupełnie była wspianiałomyślna, ale przyjął ją w dowód uznania.

Oczywiście, Chiąuita nie miałyby nic przeciwko paru drinkom, i była dobra w Sloganie, niemal tak szybka jak on. – „Zmieniamy świat na plus” – „Pal diabli torpedy!” – Nie pasuje!

–Cóż, to okrzyk wojenny.

–Okrzyki wojenne nie są sloganami!

–Ciekawe, czemu nie! Slogan to slogan. Zawsze coś I oznacza!

–Co oznacza „pal diabli torpedy”?

–Nie poddawać się, kiedy stoisz w obliczu przegranej! – „Orzeszki dla ciebie!” – wrzasnął Rando, wreszcie mając okazję włączyć się do zabawy.

Pojazd Policyjny wywołał Stację Kosmiczną Trzy, gdy Sakerson pełnił służbę. Zgodnie z wymogami protokołu do takich gości należało wezwać kapitana portu. PP przybył z Alfą z misją priorytetową, zakodowaną jako pilna.

–O co chodzi? – mruknął szef stacji, pocierając krótkie, szare włosy. – W jakiej sprawie, kapitanie?

–Pilne rozkazy dotyczące personelu, szefie Migonigal! Proszę nas wpuścić. Mam zapotrzebowanie i papiery podrózne. W idealnym porządku, najwyższy priorytet.

Wkładam je do skanera. Słyszałem, że macie na pokładzie zapas porządnego dżinu.

–Rozpaczam procedury dokowania, kapitanie – odparł Migonigal sztywno. – Sakerson, proszę łączyć. Zadokować ten...  
– (pauza znacząca: „pieprzony taki owaki”) – pojazd. Ja każę Sigmondowi schować trochę dżinu.

–Policja słynęła z wysuszania zapasów do ostatniej kropli, bo prawo gościnności zapewniało obrońcom Próżni nieograniczony dostęp do towarów konsumpcyjnych stacji. – Wie o dżinie. – Szef westchnął żałośnie. – Do licha, co go tu przyniosło? Nie przypominam sobie, bym ostatnio składał jakieś zapotrzebowanie, a już na pewno nie prosiłem o coś, co wymagałoby eskorty policji!

–Może tylko wstąpili po drodze, sir – powiedział Sakerson, zajęty zgrywaniem trójwymiarowych prędkości wielkiej stacji kosmicznej i bardzo małego, szybkiego PP.

–Do licha, jak to się stało? – zapytał Migonigal, patrząc na obraz ze skanera. Pytanie nie było retoryczne, ale w tej chwili Sakerson nie mógł zerknąć nawet jednym okiem. – Nieraz człowiek bez końca prosi o coś ważnego, a oni nawet nie raczą kiwnąć palcem. Mógłbym przysiąc, że nie wysyłałem do Kontroli prośby o przeniesienie Sigiego. – Migonigal sprawiał wrażenie kompletnie zbitego z tropu. – Ale wygląda całkiem nieźle. – Zarechotał. – Śliczna odmiana po starym Sigim. Czas, by przeszedł na emeryturę.

–Statek zacumowany, szefie – zameldował Sakerson, z westchnieniem prostując plecy. Łatwiej było dokować wielkie statki. Zerknął na ekran Migonigala i niemal spadł z krzesła.

–Tak, śliczna jak malowanie – mówił Migonigal, nieświadom konsternacji zastępcy. – Perez y Jones, Chiquita Maria Luisa Caterian, urodzona 2088, Baza Górnicza 2047, wykształcenie Centauri, specjalność: intendent. Ma niewielkie doświadczenie, ale też potrzebujemy tylko kogoś, kto potrafi zapamiętać, gdzie co leży i co zamówić.

Sakerson wlepił rozszerzone paniką oczy w skan dokumentów. Najbardziej niesamowity zbieg okoliczności w galaktyce! Zgoda, biorąc pod uwagę tryliony fizycznych możliwości, teoretycznie było możliwe, że na ich stację trafi dziewczyna z grubsza podobna do jego „wymarzonej”, ale prawdopodobieństwo... Mózg na chwilę odmówił mu posłuszeństwa. JAK? Komputer dopiero co został sprawdzony, gruntownie, wszystkie płyty i obwody; od tygodnia nie pojawiła się nawet mandarynka czy wiśnia, zupełnie nic od czasu tamtego banana.

–Ja zejdę ją powitać, a ty przekaz Sigiemu dobre wieści. Nie uwierzy! Tak, zadzwoń do niego i powiedz, żeby zachował trochę dżinu na pożegnalną imprezę. – Migonigal zostawił Sakersona, który wlepił oczy w obraz swojego wyobrażenia kobiety idealnej.

Po wachcie musiał sięgnąć do rezerw odwagi, żeby wejść do mesy. Już z daleka słyszał śmiech i radosne rozmowy, zawsze towarzyszące przybyciu nowych członków załogi. Wszyscy chcieli ją poznać, wszyscy chcieli poznać jego Chiquitę! Z Randem może być problem, bo niedawno pokłócił się z Clioną o slogany...

Sakerson śmiałym krokiem wszedł do kabiny.

–Lepiej unikać tego faceta, Chiquita! – Rando pierwszy go zauważył. – W jego nieważkim umyśle narodził się Slogan!

Odwróciła się, żeby na niego popatrzeć. Sakersona ścisnęło w gardle i nie mógł wykszusić słowa na powitanie.

Rzeczywiście była jego holo, od fryzury (ciemne loki wily się niesfornie nad przepaską), przez roziskrzone oczy (jedno zielone, drugie niebieskie) po radosny uśmiech na słodko zarysowanych ustach i delikatny dołeczek w podbródku.

Wyciągnęła rękę – nawet paznokcie były takie, jak sobie wyobraził, wydłużone owale, naturalnie różowe. Niczym we śnie ujął jej dłoń i puścił ją dopiero wtedy, gdy usłyszał zakłopotany śmiech.

–Miło mi poznać człowieka, który wymyślił Slogan – powiedziała z błyskiem szczerości w oczach. Dlaczego nie wiedział, że będzie mówić czystym altem?

Klapnęła na krzesło, mając nadzieję, że wygląda mniej głupio, niż się czuje, uśmiechnięty od ucha do ucha. Dosłownie odjęło mu mowę i nie mógł się powstrzymać od szczerzenia zębów.

–Ostatnio słyszy się o Trójce wyłącznie w konteks'cie Sloganu – mówiła, nie przerywając kontaktu wzrokowego, choć na chwilę podniosła rękę do włosów.

–To miła odmiana – wykrztusił Sakerson, uśmiechając się bardziej ponuro. Z jej usmiechu i iskier w oczach poznał, że słyszała plotki o duchu.

–Gry wojenne – wtrącił Rando – są znacznie lepszym sprawdzianem inteligencji i umiejętności przeżywania.

–Och, gry wojenne. – Chiquita lekceważąco machnęła ręką, nie przestając hipnotyzować Sakersona. – Grałam w każdą możliwą grę wojenną, gdy dorastałam na MP.

I wygrywałam! – Zręcznie zdeprecjonowała odżywkę Randa. – Slogan stymuluje komórki mózgowe, nie adrenalinę. – Nie była nieśmiała, nie była wyniosła. Popatrzyła na Sakersona w taki sposób, że zapikowało mu serce. – Powiedz, czy nie ty dokowałeś' PP?

–Ja.

–Jesteś' super!

–Uważaj, Chiquita – przestrzegł Rando. – Ten facet jest niebezpieczny. Zajmuje jedynkę.

Ignorując wcale nie zawołaną sugestię, Chiquita przekrzywiła głowę i usmiechnęła się do Sakersona.

–Odpus'ć sobie, stary – powiedziała Cliona, łokciem odsuwając swojego partnera. – Powiedz, Chiquita, jak dostałaś się na Trójkę?

Chiquita rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami.

–Szczere mówiąc, nie wiem. Nie sądzę, że bym była wysoko na liście kandydatów. Ni stąd, ni zowąd wręczono mi rozkazy i wskazano PP jako pierwszy dostępny pojazd lecący w tę stronę. – Błysnęła czarującym uśmiechem, rozglądając się po mesie. – Ale cieszę się, że tu jestem!

–Czemu marnować miejsce? – zapytał Sakerson, mrugając do niej.

Nawet w swobodnej i niezobowiązującej atmosferze stacji kosmicznej, gdzie personel ma niewiele prywatności i wszyscy od razu wiedzą o każdym nowym związku, Sakerson nie popędzał Chiquity. Dała do zrozumienia, że podoba jej się jego charakter i, bardziej bezpośrednio, jego wygląd fizyczny. Pozwolił jej poznać obowiązki i dopiero następnego dnia zaprosił ją do ogrodu hydroponicznego.

Usmiechnęła się lekko i mrugnęła do niego, a potem znów wróciła do spisu inwentarza. Jak każda dziewczyna wychowana w kosmosie, doskonale wiedziała, co się dzieje w takich obiektach.

–Cudowny ogród – powiedziała i przystanęła na ścieżce prowadzącej do bananowca. – Słuchaj... – zarumieniła się leciutko. Sakerson domyślił się, że zna slogan wiążący się z jej imieniem. – Jak... to niezwykle.

–Jesteś bardzo taktowna – powiedział Sakerson, zanim zdał sobie sprawę, że jego słowa są równoznaczne z potwierdzeniem prawdziwości plotek.

–Uważam, że ty też jesteś taktowny – odparła i stanęła na wprost niego.

Sakerson musiałby być bardzo opanowany, żeby oprzeć się pragnieniu sprawdzenia, czy rzeczywiście mu się tylko pochylić głowę. Zrobił to.

Po pełnym wdzięku pocałunku, bez wykrzywienia się czy wyprężania, wyraźnie usłyszał cichy śmiech zadowolenia.

–O co chodzi? – zapytała Chiquita, dostrzegając jego roztargnienie.

–Mógłbym przysiąc... nie, to niemożliwe...

–Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic.

Czul, że musi szybko coś wymyślić, bo inaczej straci najlepsze, co mu się przytrafiło. Wpadło mu do głowy, że kiedy przyjdzie czas wyznania prawdy, wczyta na {{potwierdzenie program holo. Teraz chwila nie była odpowiednia.

Odpowiedział na jej pytanie.

–To chyba część sloganu. – Chiquita przekrzywiła głowę, czekając na ciąg dalszy. – Coś jak... „naukai nic nie kosztuje”.

Zulejka, Grace, Nimshi i przekłeci Jankesi Thoskonale pamiętam dzień, kiedy Zulei i jej syn, Nimshi, przybyli na Plantację Majpoor. Właśnie skończyłam lekcję jazdy na damskim siodle na Dydonie, kiedy pan James, nasz nadzorca, przybył z nowymi niewolnikami. Mimo największych starań mamy, kilku robotników umarło na odrę. Kiedy więc tata usłyszał o aukcji pierwszorzędnych czarnych wyprzedawanych w Greensboro, wysłał nadzorcę, pana Jamesa.

–Gdyby się trafił odpowiedni chłopak do trenowania koni wyścigowych... – powiedział tata, gdy pan James wstąpił do biura przed wyjazdem. Petey, pomarszczony mały czarnuch, który przypominał małpkę pani La Touche, połamiał się paskudnie w czasie upadku w Gonitwie Greensboro, a żaden inny chłopak nie spełniał wysokich wymagań, jakie ojciec stawiał jeźdźcom naszych wyścigowców.

Miałam o tym nie wiedzieć, ale wiedziałam. Będąc najmłodszą z szóstki dzieci, i jedyną córką, wiedziałam więcej, niż według mamy powinnam. Bardzo się oburzyła, gdy powiedziałam tacie, że chciałabym wziąć udział w następnej gonitwie. Czy nie powiedział, że mam najłżejsze ręce i najlepszy dosiad w Majpoor? Moi bracia wyli ze śmiechu i jestem pewna, że nawet tata uśmiechnął się w gąszczu brody, ale mama kazała mi odejść od stołu, zgorziona moim zachowaniem.

–Kapitan Langhorn, po prostu nie pojmuję, jak mam wychować Grace na porządną pannę, skoro ty i twoi synowie zachęcają ją do złego zachowania.

Mama urodziła się w Wirginii i zaszczepione jej w młodości pojęcie o zachowaniu czasami zderzało się z poglądami taty. Dowodziła, że przede wszystkim jest to wynikiem jego pochodzenia – tata był Anglikiem i wiele lat spędził w Indiach, gdzie dla królowej Wiktorii walczył z pogańskimi barbarzyńcami. Na dodatek, naszych niewolników traktował tak, jakby mieli własny rozum i zdanie.

–Nigdy nie mógł zrozumieć, jak należy obchodzić się z ciemnoskórymi, i nie sądzę, by kiedykolwiek to pojął – skarżyła się mama często, zwykle gdy ktoś' robił aluzje do wygód i swobody, na jaką tata pozwalał naszym ludziom.

–Ależ, Eufemio – powiedziała kiedyś' pani Fairclough w czasie wizyty, w której musiałam uczestniczyć, choć naturalnie nie odezwałam się słowem (tego mama zdołała mnie nauczyć) – jej ojciec traktuje waszych Negrów jak ludzi.

–Kapitan Langhorn uważa, że dobra kondycja inwentarza jest podstawą dobrego gospodarowania. – Mama z łagodnym wyrzutem pochyliła się w stronę pani Fairclough.

Wiedziała, że całkowicie się z nią zgadza, ale nie chciała być nielojalna wobec taty. – Wydaje mi się, Samanto, że jego metody przynoszą doskonałe rezultaty. Majpoor daje więcej bawełny i trzciny cukrowej z akra niż większość innych plantacji w Orange County.

Ale wróć do dnia, gdy na podwórzu zajechał wóz z nowymi niewolnikami. Wtedy zobaczyłam Zulei i Nimshiego.

–Znalazłem panu jeźdźca, kapitanie – brzmiały pierwsze słowa pana Jamesa. – Wstań, Nimshi.

Nimshi podniósł się, zwrócony w moją stronę, i pochwycił moje zdumione spojrzenie. Wiedziała wszystko o mieszańcach z połową i ćwiercią białej krwi, i o różnicach wśród czarnych, ale nigdy dotąd nie widziałam takiego chłopca jak Nimshi. Włosy miał rude, kędzierzawe, nie mocno skręcone, oczy niebieskie i skórę koloru jasnej kawy. Był chudzielcem o doskonałych proporcjach i twarzy, którą uznałam za zbyt piękną u chłopaka. Na dodatek, stał z niedbałą godnością, której nie okazuje żaden niewolnik.

–Jeździsz konno, Nimshi? – zapytał tata, patrząc mu prosto w oczy, zupełnie jakby nie był zakupionym towarem. (Nimshi później powiedział mi, że już z tego powodu musiał być mu wdzięczny).

–Tak, proszę pana.

–Dla kogo jeździłeś?

–Ostatnio dla pana Bainbridge z Haw River.

–Dlaczego wystawiono cię na sprzedaż?

–Po śmierci pana, pani Bainbridge sprzedała wszystkie konie wyścigowe.

Nimshi nie mówił pidzynem używanym przez większość czarnych. Wysławiał się poprawnie jak moi bracia i dużo lepiej od domowej służby. Kiedyś tata powiedział, że pan Bainbridge, jako że pochodził z Massachusetts, miał bardzo nieortodoksyjne poglądy. Miał też kręcone rude włosy, ale ja nie powinnam zauważać takich rzeczy.

–Jakie świadectwo zostało wystawione Nimshiemu? – zapytał tata pana Jamesa.

–Dobre, kapitanie, inaczej mógłby się pan założyć o ostatniego dolara, że bym go nie kupił. Wyrośnięty piętnastolatek i całkiem możliwe, że jeszcze śmignie w górę.

Nie ma ani znaków na plecach, ani złego świadectwa.

Nawet w tym wieku mogłam odgadnąć to, co nie zostało powiedziane, i przeniosłam spojrzenie na innych na wozie, żeby zobaczyć, którzy mają znaki na plecach. Wtedy zauważyłam Zulei. Zrozumiałam, że jest matką Nimshiego, bo choć była strasznie wychudzona, dostrzegłam rodzinne podobieństwo. Rysy miała nadzwyczaj piękne, nos prosty i szlachetny, co jest niezwykle u Murzynów, włosy brązowe i proste, z rdzawym połyskiem, nie granatowo-czarnym, oczy szare, dziwnie nieobecne. W sumie jej zastygła twarz przywiodła mi na myśl angielską porcelanową lalkę, która tata podarował mi na urodziny. Siedziała z rękami złożonymi na podołku, nie zważając na otoczenie. Na nadgarstkach widniały paskudne siniaki i krwawe pręgi.

Nie pamiętam, o czym jeszcze tata rozmawiał z panem Jamesem, ale przy takich okazjach mieli zwyczaj poznawać imiona wszystkich nowych niewolników i pytać, czym który się zajmował u poprzedniego właściciela. Starłam się uchwycić spojrzenie Zulei i dodać jej otuchy, zapewnić ją, że w Majpoor nigdy nie będzie musiała nosić kajdanów, bo tata nie jest zwolennikiem takich metod.

Potem nasz starszy niewolnik, hebanowoczarny Wielki Josie, człowiek nadzwyczaj łagodny, choć dwa razy potężniejszy od większości niewolników, skinął na nowych, żeby zsiadli z wozu. Nimshi, z zatroskaną miną, pospieszył z pomocą matce. Tata popatrzył na niego z uznaniem.

Zauważył też okropne szramy na smukłych rękach kobiety- Hej, ty – rzekł szorstkim głosem, gdyż nie pochwalał tego, co nazywał sadystycznym traktowaniem. Ściągnął brwi, patrząc na chude ramiona sterczące pod cienką tkaniną sukni, która wydawała się zbyt obszerna na jej szczupłą figurę. – Jak się nazywasz?

–Zulejka – odparł Nimshi.

Tata skarcił go wzrokiem, bo choć pobłażliwy, nie tolerował zuchwalstwa. Potem przyjrzał się jej uważnie.

–Umie mówić, prawda? Jak się nazywasz, kobieto? – zapytał łagodnie.

Mimo pomocy Nimshiego, musiała przytrzymać się burty wozu.

–Zwą mnie Zulei, kapitanie Langhorn – odparła mocnym, niskim głosem.

–James, ona nie jest robotnicą – rzekł cierpko tata do nadzorca. Zaintrygowany, przyglądał jej się długo i uważnie.

Uprzejmym tonem zwrócił się do niewolnicy – Zulei, dlaczego zakuto cię w kajdany? Uciekałaś od pana Bainbridge'a?

Podniosła głowę ruchem przeczącym temu podejrzeniu. Nimshi powiedział do niej jedno krótkie, dziwnie brzmiące zdanie. Nie był to ani murzyński geechee, ani tym bardziej język angielski. Zulei leciutko pokręciła głową.

–Nie, kapitanie Langhorn, nie uciekałam. – Nadal mówiła niskim, równym głosem. Zwróciłam uwagę na gardłową wymowę głoski „r”, jak u pani La Touche.

Pan James chrząknął.

–Kapitanie, kupiłem ją, bo pomyślałem, że panienka Grace dorasta, więc pan i pani Langhorn znajdziecie jej jakieś miejsce. Jest wyszkoloną służącą i dobrze się wysławia.

Poza tym, kapitanie, nigdy nie lubił pan rozdzielać rodzin, a ona jej matką Nimshiego. Nie dostałem jej świadectwa, żadnego świadectwa. Wygląda na to, że sprawiała kłopoty.

–Sprawiasz kłopoty, Zulei? – Tata patrzył jej prosto w oczy, po wojskowemu. Nikt nie mógł go okłamać, kiedy tak spoglądał.

–Nigdy tego nie zamierzam, kapitanie Langhorn. Czasami kłopoty zdarzają się same.

Pamiętam, że tata chrząknął, co zwykle robił wtedy, gdy chciał uniknąć jednoznacznej odpowiedzi. Byłam wówczas za młoda, żeby rozumieć, o jakie kłopoty może chodzić: o wiele za młoda, żeby pojąć, iż źródłem „kłopotów” Zulei była jej powierzchowność.

–Dopilnujemy, by tutaj nie miało to miejsca. Josie... – tata skinął na wielkoluda – zabierz Zulei do dworu. Trzeba opatrzyć jej rany. Jest na wpół zamorzona. Niech Dulcia przyrządzi jej coś pożywne. Jesteś matką Nimshiego? – Kiedy Zulei skinęła głową, do pana Jamesa powiedział – W takim razie zakwateruj ich razem przy stajniach.

Stajenni mieszkali w baraku na podwórzu stajennym, żeby być blisko swoich podopiecznych na wypadek, gdyby któryś dostał w nocy kolki.

–Nie pożałuje pan tego, kapitanie – powiedziała Zulei i złożyła dziwny ukłon, składając ręce i czubkami palców dotykając pochylonego czoła. Tata obrzucił ją dziwnym spojrzeniem, ale ona po opuszczeniu rąk pokręciła głową w niezrozumiałym dla mnie zaprzeczeniu. Tata uderzył szpicrutą w but, a potem wskazał na Nimshiego.

–Nimshi, możesz odprowadzić kuca panny Grace.

Zsiadaj, kochanie – powiedział do mnie i odwrócił się plecami, żeby wysłuchać do końca raportu pana Jamesa.

Nie czekałam, aż Nimshi podejdzie do Dydony, tylko zdjęłam nogę z łuku siodła i zsunęłam się na ziemię, poklepując klacz po łopatce. Nimshi w owych czasach był znacznie wyższy ode mnie. Ujęło mnie jego zachowanie: zanim sięgnął do uzdy, wyciągnął rękę, żeby Dydona mogła ją powąchać. Była pełna werwy i nie lubiła, gdy dotykał ją ktoś nieznajomy.

Nimshi usmiechnął się, gdy dmuchnęła mu w rękę, a potem wziął ode mnie wodze, podciągnął strzemię i wprawnie poluzował popręg. Uśmiechnęłam się z aprobatą, bo robił dokładnie to, co chciałam mu kazać. Czasami nawet Bennie, szef stajennych, zapominał poluzować popręg konia, który ciężko pracował. Nimshi rzucił mi spojrzenie, które sugerowało, że nie powinnam nigdy wątpić w jego kompetencje.

–Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy w Majpoor, Nimshi. Musisz jeździć na koniach mojego taty tak, żeby wygrywać.

–Zawsze jeżdżę po wygraną, panno Grace. – Uśmiechnął się nieśmiało.

–Tata będzie zachwycony. – Uznałam, że pora wracać do domu. Mama nie lubiła, gdy zbyt długo przebywałam na podwórzu stajennym, zwłaszcza gdy przywieziono nowych niewolników, choć moim zdaniem było to najlepsze miejsce w Majpoor. Dopóki wszyscy nie zostali wykąpani w ługu, wyszorowani dobrym żółtym mydłem i posypani proszkiem przeciwko wszom, bała się chorób, które mogli przywleć.

Tak więc bardzo dobrze pamiętam dzień, kiedy Zulei i Nimshi trafili do Majpoor. Długo trwało, nim mama przekonała się do Zulei („Z tą kobietą będą problemy, kapitanie, wspomnisz moje słowa” – czego tata nie zrobił), ale jakoś nigdy nie było z nią kłopotów. Nimshi okazał się w każdym calu tak dobrym jeźdźcą, jak twierdził. Szczerze kochał konie, a one odwdzięczyły się posłuszeństwem, jakby wiedziały, że mogą mu zaufać.

Moi bracia, Kenneth, David, Lachlan, Evelyn i Robert mieli powody do narzekań, bo tata stale wychwalał Nimshiego. Nie mówili o nim jednak złego słowa, bo Nimshi wygrywał wys'cig za wyścigiem, a oni zbierali spore na-| grody.

Mama też w końcu przyznała, choć z pewną niechęcią, że Zulei jest bardziej użyteczna niż kłopotliwa, bo Mulatka (na to wskazywała jasna skóra, proste kasztanowe włosy i szare oczy) miała niepospolitą wiedzę – to wyrażenie mamy – o ziołach i lekach. Wśród służby krążyły plotki o voodoo, obeah i czarach, zabobonne paplanie, którego mama nie znosiła. Przebąkiwano, że Zulei jest „inna”. Moja niania powiedziała, że Zulei nie jest jedną z nich, ale ponieważ Zulei była niewolnicą jak wszyscy inni, nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Niewolnica to niewolnica. Zapytałam mamę i usłyszałam w odpowiedzi, że zawracam sobie głowę zabobonnymi głupstwami. Jasno dała do zrozumienia, że znajomość ziół nie jest ni\* czym wyjątkowym i nie ma nic wspólnego z czarną rna^' gią, tylko ze zdrowym rozsądkiem.

Uprzedzenia niewolników szybko poszły w niepamięć, gdy Zulei przygotowała napar, który uleczył Daisy z wysypki, a potem okłady, które złagodziły artretyzm starego Remy. Miała też maść, po której znikwały oparzenia, nawet te po wrzącym ługowym mydle. Była niezastąpiona w czasie porodów, choć nie powinnam wiedzieć takich rzeczy.

Słyszałam też – od Lachlana – jak zwinne ręce Zulei przekręciły źle ułożonego źrebaka w brzuchu Joyry, drogiej, rasowej klaczy taty. Bennie poddał się, ale ona sprowadziła na s'wiat zdrowego źrebaka.

Zulei robiła też kremy, które zasłynęły wśród pań z sąsiedztwa jako niezrównany środek na piegi. Sporządzała zresztą wszelkie inne rodzaje kobiecych mikstur, które mama uwielbiała rozdawać przyjaciółkom niemającym nikogo ani w połowie tak zdolnego jak Zulei. Pamiętam, jak kiedyś pani Fairclough zapytała ze zdumieniem, dlaczego mama toleruje przy sobie taką flądrę. Nawet mama była zaskoczona takim określeniem. Zulei przytyła na wikcie Dulcii, a mama dała jej parę swoich starych sukien, więc nie można było nazwać jej „flądrą”. Co więcej, prywatnie mama uważała, że Zulei jest odrobinę zbyt pedantyczna.

Zulei miała smykałkę do przerabiania starych rzeczy: przymarszczała staniki i zmieniała rękawy w taki sposób, że suknia wyglądała dwa razy bardziej elegancko niż wtedy, gdy była nowa. Umiała też układać śliczne jasne włosy mamy w skomplikowane, zachwycające fryzury.

A kiedy podrosłam na tyle, by podpinać włosy, Zulei układała je modnie i twarzowo. Ona stroiła mnie i czesała na wszystkie nieliczne bale mej młodości.

Miałam szesnaście lat, gdy Konfederacja wypowiedziała wojnę Północy. Wszyscy młodzi mężczyźni w hrabstwie i paru starszych, którzy choćby z racji wieku powinni być mądrzejsi – jak tata – postanowili dać nauczkę przeklętym Jankesom i ruszyć na wojnę.

Uważałam wówczas całą tę nową sytuację za bardzo ekscytującą i z dumą wyobrażałam sobie sześciu Langhornów galopujących w świetnych szarych mundurach. Tata zdobył takie doświadczenie w wojsku brytyjskim, że choć służył w Indiach, natychmiast awansowano go na pułkownika oddziału wystawionego przez hrabstwo, Kenneth i David zostali kapitanami, a Lachlan, Evelyn i Robert porucznikami. I większość naszych pięknych koni stała się rumakami wojskowymi.

Nasi mężczyźni odjechali, dostojni w kapeluszach o szerokich rondach, przepasani złotymi szarfami, z szablami i pistoletami u boków. Wszyscy staliśmy na schodach, machając na pożegnanie, gdy ruszali po zwycięstwo. Wszyscy bylis'my dobrej mys'li: przecież danie nauki tym przeklętym Jankesom nie powinno zabrać dużo czasu dżentelmenom z Południa.

Pan James został zarządcą Majpoor i nikt nie miał nic przeciwko, bo był uczciwym człowiekiem; nawet Zulei tak mówiła. Josie nadzorował robotników na polach, a Bennie, z Nimshim jako prawą ręką, opiekował się Mosiężnym Sułtanem, rozplodowym ogierem Majpoor, oraz klaczami i źrebiętami. Lachlan, mój najukochańszy brat, zabrał mojego Bawełnę jako dodatkowego, więc znów została mi tylko Dydona. W zamian za Bawełnę tata obiecał mi dobrze się zapowiadającego, nakrapianego trzylatka, ale najpierw Nimshi musiał go ułożyć.

Mama martwiła się od chwili, gdy straciła z oczu tatę i synów, do dnia, w którym trzy lata później zmarła na tyfus. Zulei robiła, co w swojej mocy, żeby zwalczyć gorączkę, ale wszyscy wiedzieliśmy, że mama chce umrzeć.

Straciła wolę życia, gdy się dowiedziała, że tata zginął w jednej z szarż Jeba Stuarta przeciwko przeklętemu Jankesowi



Meadowi, więc Zulei nie była niczemu winna. Wtedy dowiedzieliśmy się, dlaczego nie dostała żadnego świadectwa od Bainbridge'ów z Haw River.

–Znam się na lekach, pani Eufemio – powiedziała mamie. – Wiem, jak zbić gorączkę, zestawić złamane kości i pomóc kobiecie w położeniu, ale nie mogłam nic poradzić na jad żmii. Kiedy przywieźli pana Bainbridge'a do domu, trucizna zdążyła rozejść się po całym ciele. Co mogłam zrobić? – Miała elegancki sposób wzruszania ramionami.

Był jeszcze inny powód, z którego nadzorca Bainbridge kazał zakuć Zulei w kajdany, ale o tym Nimshi powiedział mi później, gdy byłam starsza i lepiej rozumiałam takie sprawy. Nie miało to nic wspólnego z jej talentem uzdrowicielskim, za to wiele z tym, dlaczego pewni ludzie uważali ją za flandrę.

Kiedy Zulei zwierzyła się mamie, wszyscy jej zaufaliśmy. Naszą ufność pogłębiły sprawiane przez nią cuda.

Niestety, żaden cud nie mógł skleić serca, które, już nadwątłone przez biedę dokuczającą wszystkim rodzinom Południa, pękło po śmierci męża i trzech synów. Razem pielęgnowaliśmy mamę, kurując ją z trudem zdobywanymi lekami i parzonymi ziołami.

Mieliśmy większe szczęście niż wielu innych, jak sądzę, dzięki położeniu Majpoor. Cierpieliśmy z braku żywności i rzeczy, których dostępność wcześniej uważaliśmy za oczywistą. Wojna przetaczała się przez Wirginię i wzdłuż wybrzeża Karoliny Północnej i Południowej, omijając nas z daleka – trochę na nieszczęście, bo nie mogliśmy korzystać z dóbr, które przemycano przez blokadę. Mieliśmy jednak dość kłopotów z dezerterami albo, co gorsza, z kawalerzystami obu armii, którzy szukali koni na terenie posiadłości.

Nimshi wymyślił sposób na ukrycie paru dobrych koni, łącznie z moim nakrapianym wałachem, Jupiterem. Przede wszystkim zależało nam na bezpieczeństwie naszego bezcennego ogiera, Mosiężnego Sułtana, kupionego przez tatę w Anglii. Był stary, miał dwadzieścia pięć lat, ale nie wyglądał na swój wiek. Wojna trwała już trzy lata, więc wojsko potrzebowało remontów i każdy koń, który był w stanie kłusować, szedł do kawalerii. Choć byliśmy wierni sprawie Konfederacji, Mosiężny Sułtan miał dla nas zbyt wielką wartość, by go oddawać.

Dodam, że Sułtan, wysoki w kłębie na siedemnaście dłoni, był koniem z charakterem. Na szczęście, Nimshi miał z nim prawie magiczne porozumienie i ogier słuchał go we wszystkim. Stało się to bardzo ważne, kiedy musieliśmy go ukrywać.

Pan James rozstawił po wszystkich drogach i ścieżkach do Majpoor murzyńskie dzieci, które wypatrywały „gości” i ostrzegały nas, zwłaszcza przed jeźdźcami. Kiedy gwizd przekazany przez pola docierał do dworu, Nimshi zabierał Sułtana i Jupitera do pustej piwnicy na wino i zamykał drzwi, dla niepoznaki przysłonięte starymi kłodami.

Z biegiem czasu pan James powiększył kryjówkę, by pomieścić przychówek i jałowe kłaczki. Pod opieką Nimshiego zwierzęta były ciche jak myszy, niezależnie od temperamentu.

Sztuczka sprawdzała się doskonale, ale rankiem pewnego dnia z lasów od strony gór niespodzianie najeżdżali Jankesi. Sułtan akurat pokrywał kobyłę. Szes'ć wyrosniętych dwulatków szczypało trawę na polu przed domem.

Zrebnie kłaczki i kobyły ze źrebackami w dalekich zagrodach były bezpieczne – na razie – przynajmniej przed wojskiem Konfederacji. Co do Jankesów, nigdy nie było wiadomo, co zrobią. Nasze kłaczki były piękne i silne ciałem i duchem. Przekłęci Jankesi mogli wystrzelać źrebacki i zabrać matki, chociaż pan James uważał, że to mało prawdopodobne.

Nie zdążyliśmy ukryć Mosiężnego Sułtana, Jupitera i dwulatków. Mogliśmy tylko patrzeć z grozą w oczach, jak żołnierze jadą przez pola za domem, w mundurach tak zakurzonych, że z początku uznaliśmy ich za naszych.

–Dzień dobry – powiedział kapitan, salutując, gdy stałam na werandzie, przerażona jego przybyciem. Towarzyszyła mi Zulei; właśnie wróciłyśmy z wędzarni, gdzie obracałyśmy szynki z tegorocznego uboju. – Przepraszam za kłopot – dodał. Słowa zabrzmiały równie nieszczerze jak wszystkie inne, które kiedykolwiek padły z ust Jankesa. Jego oczy na chwilę zatrzymały się na Zulei, stojącej krok za mną, a potem przeniosły się na wybieg z młodymi końmi.

Ku mojemu przerażeniu Sułtan zarżał donośnie, chwając się przed światem swoim dokonaniem. Dźwięk był tak charakterystyczny, że jeszcze przed zeskokiem ze zmęczonego wierzchowca kapitan kazał kilku żołnierzom zajrzeć na podwórze.

Modliłam się, by pan James przyszedł mi z pomocą.

Czułam się taka bezbronna, stojąc na werandzie z samą tylko Zulei, stawiając czoło nieproszonym gościom. Pamiętałam, jak mama się zachowywała w obecności przeklętych Jankesów i próbowałam naśladować jej spokojną pogardę. Ale kolana mi drżały i w tej chwili czułam się okropnie nie na miejscu.

Gdy kapitan wbiegł po stopniach werandy, Zulei obrzuciła mnie jednym ze swoich przenikliwych spojrzeń.

Zwykle wiedziałam, co chce wyrazić, tym razem jednak nie potrafiłam go zinterpretować. W milczeniu patrzyłam na kapitana, zastanawiając się, jak w imię Boga uratować cennego Jupitera i nasze dwulatki.

–Szukamy koni nadających się do pracy, pani. Jesteśmy w wielkiej potrzebie – oznajmił kapitan, podniszczonymi skórzanymi rękawicami otrzepując kurz z granatowych spodni.

–Byliście tu już wcześniej – powiedziałam wrogo.

Odwrócił głowę, patrząc na żrebaki na polu. Jupiter położył się w cieniu dębu i ledwo było go widać. Kapitan odwrócił się z dziwną miną.

–Rzucę okiem na te na wybiegu, proszę pani – powiedział i zamrugnął, jakbym nagle zmieniła kształt. – Może znajdziemy parę, które wymienimy na okulawione.

–Tam są tylko... – zająknęłam się, bo Zulei mocno uszczypnęła mnie w rękę – jedyne, które nam zostały – dokończyłam kulawo, a kapitan znów obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

Zulei popchnęła mnie, więc poszliśmy za nim na padok, z kapralem i szeregowcem. Strach ścisnął mi serce.

Z pewnością uznają, że dwulatki nie są za młode pod siodło. Zwykle przybiegały do mnie, licząc na smakowity kąsek, dziś jednak było inaczej. Trzymały się z dala, szczypiąc trawę albo drzemiać. Jupiter nie wysunął się z cienia.

–To wszystko, co macie?

–To wszystko, co nam zostało – odparłam, próbując nie okazywać nadziei, że zostawią dwulatki, że choć raz Jankes odejdzie z pustymi rękami. Znawcy koni wystarczyłby jeden rzut oka, by zobaczyć, że są niewyrośnięte, zady mają wyższe niż kłęb, nogi niezbyt mocne.

–Kapitanie, nasze szkapy są lepsze od tych chabet – powiedział kapral, patrząc na mnie ze współczuciem.

Zamrugnęłam ze zdziwienia. Jak można nazwać dwulatki chabetami! Wiedziona dumą, chciałam zaprotestować, gdy Zulei znów mnie uszczypnęła.

–Pogardził nimi ostatni oddział – powiedziała z gorzką godnością, a ja zapanowałam nad zdumieniem. – Zabrali za to wszystkie kury i ostatnią krowę. – Nie wiem, jak to zrobiła, ale mówiła tonem mojej mamy.

–Przykro mi, proszę pani – powiedział kapitan i skinąwszy na podwładnych wrócił do ludzi, którzy pławili konie w stawie.

Przybyli dwaj żołnierze wysłani na podwórze stajenne. Sierżant pokręcił głową i uśmiechnął się pod wąsem.

–Nic tam nie ma, sir – oświadczył. – Tylko wór skóry i kości z wielkimi ambicjami.

Poczułam niewyobrażalną ulgę, bo utrata Sultana oznaczałaby katastrofę dla Majpoor, lecz jednocześnie byłam zaskoczona. Gdzie on miał oczy, skoro tak określił Sultana? Może ogier ruszał się trochę sztywno, ale sierść mu lśniła i wcale nie wyglądał staro.

Na podwórzu zjawili się dwaj następni żołnierze, ich zmęczone drogą wierzchowce ledwo powłóczyły nogami.

–Tylko kobyły ze żrebiętami, kapitanie, i żadna nie4 warta zachodu – zameldowali.

Nie protestowałam, skłonna przyklasnąć ich opinii, choć przecież nikt nie powinien mieć zastrzeżeń do kła- czy. W Majpoor brakowało ziarna dla koni, ale trawa rosła bujnie, mimo że tylko obornik użyźniał ją na wiosnę; wszyst<sup>^</sup>kie nasze zwierzęta miały zdrową sierść i były w dobrej kondycji.

–Kapitanie. – Siwy sierżant wyjechał zza węgła, z szyn\* karni zawieszonymi na szyi i na łąku siodła. Uśmiechał się, białe

zęby błyskały w brudnej twarzy. – Dziś będzie my mieć pierwszorzędną wyżerkę.

–Kapitanie, to nasze ostatnie szynki! – zawołałam z bólem. Świnie były chudsze niż w ubiegłych latach, ale mimo wszystko miały trochę sadła. Okrasa w kaszy kukurydzianej i fasoli miała przydać sił niewolnikom pracującym w polu. – Przykro mi, droga pani. Moi ludzie od tygodni nie zjedli przyzwoitego posiłku. Konina nie jest zła, gdy człowiek naprawdę zgłodnieje. Wiem – powiedział ponuro, a potem machnął rękawicą w stronę zagrody. – Na nich zostało zbyt dużo mięsa, ale tylko na to się nadają. Współczuję.

Stałam z rozdziawionymi ustami, gdy kazał żołnierzom siadać na koń. Wszyscy odjechali szeroką aleją, która biegła do głównej drogi.

Dwulatki, zwykle hasające po zagrodzie, zwłaszcza gdy konie były na alei, tym razem stały w miejscu jak posągi.

–Jankesi! To do nich podobne – proponować, żebyśmy jedli własne konie – mruknęłam ze złością, gdy się oddalili. – Strasznie mi żal tych szynek, Zulei. Królicze i gołębie mięso tak mi się przejadło, że mam ochotę krzyknąć na jego widok. Swoją drogą, ten kapitan nie za bardzo zna się na koniach, jego żołnierze też nie lepsi.

Dziwne, że dwulatki nie brykały jak... – Urwałam, bo zobaczyłam, że Zulei jest bardzo blada. Z oczami odwróconymi w głąb czaszki osuwała się na podłogę werandy.

W ostatniej chwili złapałam ją w ramiona. – Zulei? Zulei?

Nadal nosiłam w kieszeni sole trzeźwiące, choć nie było już wśród nas mamy, która często ich potrzebowała. Podsunęłam flakonik pod nos niewolnicy. Nie otwierając oczu, lekko odtrąciła moją rękę.

–Wydobrzeję, panno Grace. To zabiera tyle siły...

Patrzyłam na nią przez długą chwilę, próbując zrozumieć jej słowa. Nimshi przybiegł zza domu i ukląkł przy matce.

–Mamo? – popatrzył na mnie z trwogą.

Powieki jej zatrzepotały, ale zdołała podnieść rękę do jego ramienia, żeby go uspokoić. Niespokojnie zbadałam jej puls i czoło. Bałam się, że powaliła ją jakaś gorączka.

–To nie gorączka, panno Grace. Mama dokonała nie lada sztuki, żeby uratować konie przed Jankesami. – Nimshi uśmiechnął się z dumą. – Jest tylko osłabiona. Położę ją do łóżka. Rano będzie zdrowa jak ryba.

Podniosłam się, gdy wziął na ręce szczupłe ciało matki. Jej rzęsy rzuciły długie cienie na policzki.

–Wielkiej sztuki? Co masz na myśli, Nimshi? – Znowu się bałam. Wspomniałam szeptem o „voodoo, obeah i czarach”, krążące po czworakach niewolników, kiedy zjawiła się u nas Zulei. – Co się stało na stajennym podwórzu? Nie zabrali ani jednego konia. Powiedzieli, że niewarte fatygi.

Nimshi uśmiechnął się do mnie.

–Mama sprawiła, że tak właśnie je widzieli, panno Grace. Jeśli pani wybaczy... – Zabrał matkę z werandy, a ja patrzyłam za nim, próbując zrozumieć jego słowa.

Przybiegł pan James, spocony i zasapany po długiej drodze z wysokiego pola. Z jego miny odgadłam, że spodziewał się najgorszego. Teraz patrzył ze zdumieniem na źrebaki, które pod przewodem Jupitera brykały po wybiegu, i na chmurę kurzu wzbity przez konie Jankesów, ledwo widoczną na drodze do Greensboro. Postanowiłam nie mówić mu, co się stało. Sama nie całkiem to rozumiałam, ale wiedziałam, że „sztuka” nie ma nic wspólnego z voodoo, obeah ani czarami, zawsze wiążącymi się z czarną magią, śmiercią i złem. To, co zrobiła Zulei, było dobre, tak jak jej maści, napary i kompresy. Pomogła nam uratować konie, będące jedynym majątkiem Majpoor. Nie miałam zamiaru wątpić w ten wspaniały cud.

Jankesi uznali Sułtana za nic niewartą chabetę, więc tym większa była nasza radość, gdy splotzony przez niego źrebak okazał się jednym z najlepszych w dziejach Majpoor. Wykapany ojciec, ciemny kasztan z mosiężnym połyskiem, z trzema białymi skarpetami i białą strzałką na czole, idealnie zbudowany. Wstał na nogi i zaczął ssać matkę w kwadrans po narodzinach. Silny i energiczny, kopał każdego, kto tylko podchodził, żeby osuszyć jego puszystą źrebięcą sierść.

Nimshi nazwał go Wezyr i imię, niezwykle trafne, zostało zaakceptowane. Źrebak stanowił wspaniałą niespodziankę dla

Lachlana, choć on z kolei miał dla nas smutną nowinę – stracił rękę poniżej łokcia. Był przybity z powodu kalectwa i rozgoryczony tym wszystkim, co widział w Karolinie Północnej w drodze do domu. Jego wierzchowiec, Bawełna, ocalał z wojennej zawieruchy, lecz nie bez szwanku. Została z niego skóra i kości, kulał po cięciu szablą w zad, kopyta miał rozszczerzone z braku właściwej opieki, blizna po kuli szpeciła jego niegdyś piękny kark. I jeździec, i koń byli w opłakanym stanie, ale ich powrót uznałam za cud.

Gdy Lachlan najadł się i udał na spoczynek, mogłam dać upust wstrzymywanym łzom. Wypłakałam się w stajni, gdzie Nimshi karmił z ręki starego Bawełnę. Zulei próbowała mnie pocieszyć.

–Długo byłaś dzielna, panno Grace – powiedziała, gładząc moje włosy. – Major Lachlan dojdzie do siebie.

Potrzebuje tylko wypoczynku.

–Potrzebuje pożywej stawy, rosółu wołowego, mięsa, masła, śmietany, a my nie mamy nawet jednej kury czy jaja. – Rozplakałam się, zrozpaczona, że nie mogę otoczyć należytą opieką najdroższego brata, który wreszcie wrócił do domu.

–Mięso z królika jest dobre – powiedział Nimshi – a w lesie nie brak jeleni, jeśli się wie, gdzie szukać. Proszę się nie martwić.

Matka i syn wymienili znaczące spojrzenia. Pogrążona w smutku, nie zastanowiłam się nad tym, zresztą często porozumiewali się bez słów.

Nazajutrz objechaliśmy z Lachlanem plantację, ja na Dydonie, on na moim Jupiterze. Dziwił się, że tyle udało nam się ocalić, łącznie z belami bawełny ukrytymi w lesie.

–To pomysł Zulei. Nie możemy ich sprzedać, powiedziała, ale możemy zatrzymać. Żadna wojna nie trwa wiecznie i przyjdzie czas, kiedy Anglicy chętnie kupią bawełnę z Majpoor.

Lachlan popatrzył na mnie tak, jakbym nagle zrobiła się zielona.

–Pomysł Zulei? Pan James pozwolił, żeby niewolnica...?

–Pan James nie może utrzymać w głowie dwóch myśli naraz, Lachie. – Mój brat nie miał pojęcia, jak bardzo zniechęcił nasz stary nadzorca. – Nimshi wymyślił, gdzie ukryć Sułtana i inne konie. Razem z Wielkim Josie dopilnowali, żeby na czas obsiać pola. Majpoor ległoby w ruinie, gdyby nie on i jego matka.

Lachlan nie skomentował tego, co powiedziałam, ale wiedziałam, że dałam mu do myślenia. Chętnie opowiedziałam mu o innych pomysłach Zulei i Nimshiego, na przykład o założeniu warzywnika między stertą starego gnoju a głogowym gąszczem. Często myślę, że tylko widok trzylatków uchronił mego brata przed utratą zmysłów. Gdy wróciliśmy na podwórze przy stajniach, Nimshi kończył oprawianie dorodnego jelenia.

Tego wieczoru Lachlan zjadł wybornie przyrządzoną dziczyznę, zapijając ją samogonem, o który wystarał się Wielki Josie. Później Lachlan pił znacznie więcej, niż przystało na dżentelmena. Codziennie rano Zulei siłą poila go specjalnie przyrządzanymi ziółkami.

–Odczuwa ból fantomowy – powiedziała. – Boli go ręka, którą amputowali. To się zdarza.

–Nie możesz nic na to poradzić, Zulei? – Nie powinnam żądać od niej kolejnego cudu, ale skąd mogłam wówczas wiedzieć, ile siły kosztowały ją te wszystkie lata? Nie, miałam pojęcie, że Zulei często przysłała aleję, by deti zerterzy nie znaleźli drogi do naszego domu, że miała focy kawalerzystom, by nie dostrzeegli, jak naprawdę wy-?, gładają nasze konie – i ja, młoda, niewinna i bezbronna.

Gdy złapałam ją za ramię, spojrzała na mnie przenikliwie. Ból i głęboki smutek w jej oczach ustąpił tak wielkiej determinacji, że zawstydziałam się swojej słabości.

–Przepraszam, Zulei – powiedziałam. – Żadna maść nie uleczy ręki, której nie ma. Nie mamy już laudanum, więc do uśmierzenia bólu musi wystarczyć kukurydziana wódka. – Resztę laudanum z zapasów mamy daliśmy robotnikowi, który niemal odciął sobie nogę nożem do ścinania trzciny.

Mimo swej ułomności Lachlan przejął obowiązki plantatora. Zachwalał moją odwagę i pomysłowość, dzięki której majątek był w takim stanie. Gdy mu powtarzałam, że miałam do pomocy Zulei i Nimshiego, obrzucał mnie dziwnym spojrzeniem.

Zadowolona, że mam przy sobie choć jednego Langhorna, rzadko zwracałam uwagę na takie drobiazgi. Z tej radości dałam mu Jupitera – dopóki Bawełna nie wydobrzeje, powiedziałam ze śmiechem, choć oboje wiedzieliśmy, że już nigdy nie będzie z niego większego pożytku. Jazda na świetnym wierzchowcu dodawała Lachlanowi skrzydeł, ale po zapadnięciu zmroku ciągle zmagał się z nawrotami bólu.

Często widziałam, jak w środku nocy Nimshi pomaga bratu pokonać schody na górę. Widziałam, jak rano Zulei spieszy z ziółkami, by załagodzić skutki nocnego pijaństwa. Była równie wycieńczona jak Lachlan.

Z czasem okazje te stały się rzadsze, a w odpowiedzi na moje pytania Lachlan mruczał o zmniejszeniu bólu. Na poważnie zajął się plantacją, naradzając się z Nimshim i Wielkim Josie. Pan James przesiadywał na werandzie i kołysał się w fotelu, nie zauważając mijających godzin. Jedna ze starszych kobiet dbała o niego i pilnowała, żeby się najadał.

Wielu naszych niewolników uciekło, gdy Majpoor zaczęło podupadać. Miało to swoje dobre strony, bo w niektóre miesiące z trudem mogliśmy wykarmić tych, którzy pozostali. Lachlan zorganizował najwieńszych i obsiał pola. Razem z Nimshim zabrali dwa wałachy do Greensboro i, choć niewielu ludzi stać było na zakupy, udało mu się je sprzedać. Dostał trochę złota, ale większą część należności wypłacono mu w naszej konfederackiej walucie, którą przyjmowało niewielu handlarzy. Za złoto kupił grubo mieloną mąkę, olej maszynowy i inne rzeczy, bez których nie mogliśmy się obyć.

Tydzień później znaleźliśmy w boksie martwego Sułtana. Trzy dni po tym zdarzeniu dotarły do nas wieści o śmierci Roberta. W następnym tygodniu dowiedzieliśmy się o kapitulacji w Appomattox. Lachlan zamknął się w gabinecie taty i spał do nieprzytomności.

Przeprosił mnie za to nazajutrz – gdy Zulei wlała mu do gardła swoją miksturę. Wyglądał strasznie, gorzej niż w dzień powrotu do domu.

–Rozumiem, kochany Lachlanie, naprawdę – powiedziałam i mimo woli zerknęłam na jego rękę.

–Nie, Grace, nie spałem się z powodu ręki i przegranej wojny. Przybiła mnie myśl o tym, co teraz z nami będzie.

–Co jeszcze mogą nam zrobić ci przekłeci Jankesi?

Lachlan popatrzył na mnie z politowaniem.

–Przeegraliśmy. Tata nieraz mówił, co się dzieje po wojnie. Następuje podział łupów i podatki idą w górę.

–Jak możemy płacić podatki, Lachlanie? – zawołałam, czując strach ściskający mi gardło. Pomyślałam o plikach bezwartościowych konfederackich banknotów, które lojalnie przyjmowaliśmy.,

–Dzięki Nimshiemu mamy konie, a za konie dostaniemy złoto... – powiedział Lachlan i skrzywił się – jeśli znajdą się chętni.

Kupców nie brakowało, choć nie takim pragnęliśmy sprzedać nasze konie – strasznie nachalni ludzie z fałszywymi uśmiechami, hałaśliwi i niewychowani, kombinatorzy z Północy, zdrajcy z Południa, białe szumowiny ściągające ze wszystkich stron, by obdrzeć pokonanych Konfederatów z ostatniego grosza. Znowu mieliśmy więcej szczęścia niż wielu naszych sąsiadów. Od kiedy na zubożone Południe nałożono wysokie podatki, niezliczone wiejskie rodziny żyły w nędzy, wyprzedając rodowe majątki za psie pieniądze. Konie Majpoor, które hołubiliśmy w latach wojny, utrzymywały nas w pierwszych dniach pokoju.

Lachlan patrzył za nimi z żalem, gdy je zabierano, przywiązane do jankeskich powozów albo dosiadane przez ich stajennych podśmiewających się z nas. Konie uratowały naszą ziemię i dzięki nim mieliśmy kurczęta na podwórzu, dwie krowy w oborze, świnie w chlewie i nowe ubrania na grzbietach.

W tym czasie zdałam sobie sprawę, że Zulei jest niemal tak chuda jak w dniu przybycia do Majpoor. Sama wybrałam jej suknię, jeszcze zanim kupiłam materiał dla siebie, i kiedy kazałam jej zdjąć z ramion wystrzępiony szal, zobaczyłam, jak wycieńczyły ją lata wojny. A kiedy podpinałam rękaw nowego płaszcza Lachlana, mogłabym przysiąc, że pomyliłam się co do miejsca, w którym amputowano mu rękę. Brakowało tylko dłoni.

On też popatrzył na kikut ze zdumioną miną. Już dawno przywykł do spojrzeń, jakimi ludzie obrzucali jego okaleczoną kończynę, ale sam nie poświęcał jej większej uwagi.

–Nadal świędzi? – zapytałam, nie przestając myśleć o swej zawodnej pamięci.

–Nie, wcale – odparł tonem tak ostrym, że pożałowałam pytania. Odsunęłam się, żeby spojrzeć z podziwem na świetnie prezentującego się brata. Wyraz udręki zniknął z jego oczu, włosy miał lśniące, a twarz opaloną. Tylko górna część czoła, zwykle przysłonięta kapeluszem, pozostała blada. Nabrał ciała, które wypaliły wojenne trudy. – Przynajmniej nie przyniesiemy sobie wstydu na jutrzejszej gonitwie.

Wezyr miał wziąć udział w wyścigu zorganizowanym przez władze, chcące sprawić przyjemność Jankesom, którzy kupili plantacje i mieszkali w naszej okolicy, choć oczywiście nie byli przyjmowani w Majpoor.

Wezyra dosiadał Nimshi, elegancki w jedwabnym stroju, który uszyliśmy mu razem z Zulei. Wezyr zwyciężył, prześcigając jankeskie konie, co doprowadziło ich właścicieli do szału. Paru zaproponowało Lachlanowi śmiesznie niskie sumy za ogiera w przekonaniu, że jesteśmy ubodzy i z pocałowaniem ręki przyjmiemy tę jałmużnę.

Szłam sprawdzić, czy Nimshi i Wezyr są gotowi wracać do domu, gdy usłyszałam rozmowę. Jakiś człowiek proponował pracę Nimshiemu i mówił, o ile lepiej będzie mu w wielkiej stajni z wieloma pięknymi końmi do jazdy, z przyzwoitym mieszkaniem i pieniędzmi w kieszeni. Przynaję, byłam ciekawa reakcji Nimshiego. Był lojalny względem Majpoor, ale, jak mawiał Lachlan, każdy ma swoją cenę. My nie mogliśmy płacić mu tyle, na ile zasługiwał, choć był już wolnym człowiekiem.

–Jeżdżę dla majora Langhorna – oświadczył Nimshi ze spokojną dumą.

–Możesz iść dokąd chcesz, chłopcze – powiedział Jankes, zirytowany odmową. Nieświadomy, że Nimshi nie cierpi takich poufałości, poklepał go po ramieniu. – Już nie jesteś niewolnikiem. Już nie musisz wypełniać rozkazów południowców.

–Nie mam zamiaru rezygnować z posady u majora Langhorna.

Wysunęłam się z przejścia pomiędzy stajniami.

–Proszę nam wybaczyć – powiedziałam, dumna i zadowolona z odpowiedzi Nimshiego. – Lachlan na nas czeka, Nimshi. – Ostentacyjnie zgarnęłam spódnice, żeby rąbek broń Boże nie dotknął tego przekłętogo Jankesa, złapałam za kantar i razem wyprowadziłam nasze go zwycięzcę.

–Niech mnie licho! Popatrz tylko! Prawdziwa piękność z Południa.

–Widziałeś, jak na niego spojrzała? Słyszałam, że niektóre z tutejszych dam szukały lekarstwa na nudę, gdy ich mężczyźni odeszli na wojnę.

Niemal się zakrztusiłam, słysząc taką obelgę. Nimshi nie zwołał kroku.

–Proszę nie zwracać na nich uwagi, panno Grace – powiedział, choć sam ledwo panował nad gniewem. Jego oczy płonęły tak dziko, że przestraszyłam się na myśl, co mógłby uczynić. Wobec tego lęku ordynarne docinki przeklętych Jankesów straciły znaczenie. – „Nie mam zamiaru rezygnować z posady u majora Langhorna” – przytoczyłam jego słowa, by rozładować napięcie. – Nimshi, to było świetne. Muszę powtórzyć Lachlanowi. – Urwałam, zawstydzona swoim egoizmem. – Och, Nimshi, może powinieneś przyjąć tę propozycję. Nie możemy płacić ci tyle, na ile zasługujesz...

Nimshi zatrzymał Wezyra i popatrzył na mnie gniewnie.

–Proszę nie wspominać majorowi o tym zajściu. Ma dość zmartwień na głowie.

–Ale, Nimshi...

W jego oczach zalśnił niebezpieczny błysk, gdy przeszył mnie spojrzeniem z rodzaju tych, jakie do mistrzostwa opanowała Zulei.

–Oboje z matką jesteśmy waszymi dłużnikami. Żaden Jankes nie mógłby zapłacić nam więcej niż pani.

–Prawie wcale wam nie płacimy... – zaczęłam, głęboko zawstydzona tym faktem.

–Płaciecie nam monetą, którą otrzymuje niewielu ludzi naszego stanu, panno Grace: szacunkiem i uznaniem.

Nigdy dotąd nie słyszałam, by Nimshi mówił z takim przejęciem. – Pani ojciec i bracia zostawili moją matkę w spokoju. Pan

Langhorn pozwolił mi jeździć na swoich najlepszych koniach. Jego żona nigdy nas nie poniżała, a pani zwróciła nam naszą dumę. I jesteśmy wolnymi ludźmi od chwili, gdy pułkownik Langhorn ruszył na wojnę. Pan James dał mamie papiery.

Nie wiedziałam! Nimshi ruszył dalej, a ja jeszcze przez chwilę stałam jak sparaliżowana. Musiałam pobiec, żeby go dogonić.

–Praca dla Majpoor zawsze była dla nas zaszczytem, panno Grace, i nadal robimy, co w naszej mocy, żeby odwdziżyć się za okazane względy.

–Och, Nimshi!

–Tak między nami... – Nimshi uśmiechnął się, spoglądając na mnie zza głowy Wezyra – nie jestem Mulatem, choć jestem w połowie biały. W żyłach mojej matki płynie arabska krew. Została sprzedana w niewolę. Jestem wnukiem emira, więc przebywanie w moim towarzystwie nie może przynieść pani ujmy. Pochodzę z lepszego rodu niż te jankeskie szumowiny.

Doszliśmy do wozu, na którym Lachlan przywiózł Wezyra na gonitwę. Po załadowaniu zmęczonego ogiera wszyscy wspięliśmy się na wysoki kozioł i ruszyliśmy w długą drogę powrotną do Majpoor.

Po zwycięstwie Wezyra nasze sprawy zaczęły iść ku lepszemu. Ważne były nie tylko pieniądze z nagrody, ale i sława, która rozeszła się szeroko po okolicy. Południowcy i Jankesi przybywali z kłaczami do krycia. Dzięki opłatom mogliśmy odnowić dwór i stajnie, wyremontować baraki, wypłacić pensje naszym ludziom i wynagrodzić rzemieślników, których wynajęliśmy do wykonania napraw.

Byłam więc zaskoczona, kiedy Lachlan znowu zaczął popijać, tym razem brandy. Cierpiał z przepicia, ale nie dopominał się o ziółka Zulei. Z początku myślałam, że nie chce jej fatygować, bo marniała w oczach. Przeniosłam ją do pokoju sąsiadującego z moim, bo często miała złe sny i trzeba było ją budzić. Kiedy zlitowałam się nad bratem i przyrzędziłam mu napar według przepisu Zulei, nie chciał go tknąć, choć znał jego zbawienne skutki. Potem zaczął unikać Nimshiego, z którym dotychczas ręka w rękę zarządzał plantacją. Najpierw uznałam, że znów przejmuje się swoim kalectwem, które uniemożliwiałoby mu ujeżdżanie i trenowanie koni. Patrzenie, jak ktoś inny robi za niego coś, w czym był świetny przed wojną, musiało sprawiać mu ból. Z drugiej strony, Nimshi też był pokrzywdzony, bo przecież niczym nie zasłużył, na takie traktowanie. Postanowiłam porozmawiać z bratem.

–Nie pojmuję, jak możesz gniewać się na Nimshiego po tym wszystkim, co dla nas zrobił...

–Nie co, Grace, tylko jak – odparł Lachlan zagadkowo.

Siedzieliśmy przy kolacji, którą obficie zakrapiał brandy.

–Co masz na myśli?

Podniósł na mnie puste oczy.

–Wolałbym, żeby oboje odeszli! – wybuchnął i spojrzał tak, że zadrżałam.

–Oboje? Zulei... – Mój protest zbiegł się z jego zaprzeczeniem.

–Nie, nie o to mi chodzi, Grace. Ja tylko... nie wiem... boję się, Grace. Nie rozumiem, co się dzieje! Ani jak!

Położył na stole okaleczoną rękę (dopiero teraz uświadomiłam sobie, że stale chował kikut w kieszeni).

Zrobiłam wielkie oczy – z odrodzonego przegubu wyrastała maleńka dłoń! Ręka była miniaturowa, ale najzupełniej kształtna.

–Rośnie. Widzę to – powiedział Lachlan, ze zmarszczonymi brwiami patrząc na groteskową kończynę. – Zauważyłam palce wyrastające z przegubu tuż przed gonitwą.

Nie myślałam o tym wtedy, bo nie uwierzyłam własnym oczom. Nie... nie wiem, czy tego chcę.

–Nie chcesz z powrotem mieć ręki? Mógłbyś jeździć konno i czytelnie pisać swoje imię, i tańczyć! – zawołałam, bo nic tak nie leżało mi na sercu jak szczęście ukochanego brata.

Lachlan popatrzył na mnie i wydał zduszony jęk.

–Zdumiewasz mnie, Grace. Naprawdę – powiedział, wbijając oczy w pączkującą dłoń. Starannie obciągnął mankiet i schował rękę do kieszeni.

–Boli?

–Nie, i nie swędzi – odparł. Dolał sobie brandy i zaczął odmiennym tonem: – Powiedz mi, Grace, co jeszcze wydarzyło się podczas wojny. Powiedz mi, czego jeszcze Zulei dokonała swoją czarną magią.

Pokręciłam głową.

–Ona nie używa czarnej magii, Lachlan.

–W takim razie jak to wyjaśnisz, do diabła? – zapytał szorstko, wyszarpując rękę z kieszeni.

–Nie mam pojęcia, czego używa Zulei, ale nie jest to czarna magia. Zulei nie jest zła. Jej... – przypomniałam sobie słowo, jakiego Nimshi użył w dniu, kiedy jego matka omamiła Jankesów – sztuka nie jest zła, bo przecież służy czynieniu dobra. Ochroniła mnie i Majpoor. Przywracanie tego, co utraciłeś, też nie jest złe. Poza tym Zulei nie jest Murzynką, więc nie używa ani voodoo, ani obeah, ani czarów.

–Nie jest Murzynką? – Lachlan był tak zaskoczony, że aż się uśmiechnęłam.

–Jest córką emira i została sprzedana w niewolę – zdradziłam, pragnąc, że by uwierzył w jej dobroć. – Nimshi nie chciał wyjaśnić, dlaczego.

Lachlan parsknął z nie dowierzaniem.

–Tylko nie próbuj mi wmawiać, że Nimshi nie jest synem starego Bainbridge'a, z tymi włosami i oczami.

–Nie rozmawiamy o pochodzeniu Nimshiego – zwróciłam mu uwagę. Mama byłaby wstrząśnięta, gdyby Lachlan w mojej obecności poruszył taki temat. – Zresztą nie powinno mieć to najmniejszego znaczenia w obliczu faktu, że wszystko, co mamy, zawdzięczamy pomocy Zulei.

–Dokładnie jaką formę miała ta pomoc, Grace?

Nigdy nie słyszałam, by brat mówił takim tonem. Opowiedziałam mu o wizycie tamtego jankeskiego kapitana i powtórzyłam słowa Nimshiego, który powiedział, że jego matka odmieniła konie. I mnie.

–Po ich odjeździe Zulei zasłabła... – Urwałam, bo w tej chwili zrozumiałam, dlaczego choruje. Wbiłam oczy w Lachlana, w jego rękę, i przez chwilę byłam bliska omdlenia. – O, nie!... – Zerwałam się tak gwałtownie, że przewróciłam krzesło. Podciągnęłam spódnicę i popędziłam po schodach. Lachlan wołał za mną, żądając wyjaśnień. – Dla ciebie doprowadzi się do śmierci!

Wpadłam do pokoju. Nie zdziwił mnie widok Nimshiego, bo często spędzał wieczory z matką. Opadłam na kolana przy łóżku, patrząc w jej wymizowaną twarz. Nadludzki wysiłek szybko wysysał z niej życie. ◦◦ – Och, Zulei, przestań... musisz przestać! Oboje z Nimshi dość dla nas zrobiliście!

Nikły uśmiech wykrzywił jej usta, a ja wspomniałam, jaka była śliczna przed wojną. Zapłakałam, widząc ją teraz tak wyniszczoną, jak wyniszczone było całe Południe.

–Nimshi, jak mogłeś jej pozwolić... – zawołałam, zwracając na niego swój gniew.

Pokręcił głową. Poczułam na ramieniu palce Zulei.

–Co innego mnie wycieńcza, panno Grace. Zła wola.

–Co takiego? Ty nie jesteś zła!

–Człowiek, który sprzedał mnie w niewolę... -jej oczy rozblęły gorączkowo – długo umierał. Nałożyłam na niego potężną klątwę, przed którą nie miał ucieczki. Przez całe życie nad nią pracowałam i płacę za nią życiem. Zło zbiera swoje żniwo. Wyświadczony dobro nie wystarczyło, żeby je zrównoważyć, i słusznie. Nie tylko wojna sieje zło i zabija, majorze Langhorn. – Popatrzyła na Lachlana, który stanął w drzwiach. – Z wdzięczności za życzliwość pańskiego ojca i matki sięgnęłam do



Wielkiej Sztuki, by leczyć chorych i rannych, i osłaniać Majpoor przed wrogami. Miałam nadzieję, że odpokutuję wyrządzoną krzywdę. Inshallah! Niech Bóg ma litość nade mną!

Odetchnęła z drżeniem i ucichła. Długo patrzyliśmy na nią w oszołomieniu, nie mogąc uwierzyć w jej śmierć.

Wreszcie zamknęłam jej oczy i przysłoniłam prześcieradłem wymyśloną twarz, na której malował się zdumiewający spokój.

Pochowaliśmy Zulejkę bint Nasrullah na rodzinnym cmentarzu. Na kamieniu nagrobnym widnieje jej prawdziwe imię. Możecie je tam zobaczyć, jeśli macie serca dość czyste, by znaleźć Majpoor, bo nawet teraz według Lachlana nie wszyscy znajdują aleję, choć jest wyraźnie oznaczona.

Jego ręka odrosła. Jest wprawdzie mniejsza od lewej, ale teraz mój brat może ujeżdżać i trenować konie. Byłam drużką na jego ślubie z córką prawnika, który przybył z Północy, by rozstrzygnąć sprawy o zwrot zawłaszczonych majątków i matactwa napływowych kombinatorów.

Nimshi ruszył na północ z synem Wezyra i tyloma kłaczami, że starczyło na założenie stajni. Ja też pojechałam na północ, gdzie mogłam poślubić rudowłosego wnuka emira, który hodował konie zawsze zwyciężające w gonitwach.

Elektrokopciuszek Deagan, Fenn i Cordane stali na najwyższym stopniu szerokich schodów w sali balowej Oficjalnej Rezydencji Fomalhaut V. Wymieniali uwagi na temat tancerzy w kostiumach, którzy wirowali w takt egzotycznej muzyki wykonywanej przez androidy. Rozpoznali już wszystkich uczestników maskowego balu i zaczęli się nudzić. Mając dobry widok na całą salę, od razu zauważyli dziewczynę, która stanęła w otwartych drzwiach prowadzących z ogrodu. Suknia z roziskrzonych mgiełki mieniła się na tle ciemności za jej plecami.

–O rany! Nie zła, jak na nieproszonego gos'cia! – zawołał Cordane, z uznaniem wznosząc brwi.

–Odjazdowy kostium! – dodał Deagan, zastanawiając się, w jaki sposób została wygenerowana ruchliwa mgiełka pastelowego światła, spowijająca dziewczynę od stóp do głów, skrywająca wszystko oprócz oczu i kaskady czarnych włosów. Niezależnie od mechanizmu, mglisty strój był dość wyrafinowany. Gdy w denerwująco przypadkowy sposób zmieniał się z nieprzejrzystego w przejrzysty, nawet najbardziej gapowaty obserwator musiał zauważyć, że oprócz tych oparów dziewczyna nie ma nic na sobie.

Nim trzej obserwatorzy zdążyli zejść ze schodów, wysoki mężczyzna w stroju starożytnego ziemskiego dyplomaty – czerni i biel stanowiła wyśmienite tło dla białych błysków – skłonił się i poprosił dziewczynę do tańca.

–Kto by pomyślał, że Walteron będzie na łowach i to akurat tam, gdzie trzeba? – Cordane był zde gustowany. – Tylko on jeden nosi taki napuszony strój, prawda, Deagan?

–Ale co on tu robi? – zapytał Fenn. Nie czekając na odpowiedź Deagana, dodał: – Słyszałem, że miał kłopoty w swoich kopalniach – zawały i masywne obsunięcia.

–Przyszedł do ojca – powiedział Deagan, syn zarządcy planety – z prośbą o pozwolenie na sprowadzenie z Aldebarana specjalisty od mechaniki gruntów.

–I podrywa jedyną interesującą dziewczynę? Zwykle zmywa się na Ulicę, gdy tylko odbębni obowiązkowy taniec z matką.

–Zawsze miał dobre wycucie czasu – powiedział Deagan z rozbawieniem.

–I złe zamiary. – Cordane łypnęła spodzie łba. – Jeśli spróbuje ją wykraść...

Obchodzono Rocznice Lądowania. Obywatele tętniącej życiem, kwitnącej planety Fomalhaut V – bogatej w trans – uranowce, aktynowce tak ważne jak paliwa potrzebne do kolonizowania wszystkich nadających się do zamieszkania planet w spirali Mlecznej Drogi – przerwali pracę i zawiesili obowiązujące na co dzień zakazy, żeby przez trzy dni uczestniczyć w całodziennych widowiskowych turniejach, nocnych balach, ucztach i popijawach.

Oficjalna Rezydencja, rozległy kompleks kopuł mieszkalnych, dyplomatycznych i biurowych, był tradycyjnym miejscem zabaw, na które z odległych miejsc ściągali potomkowie Pierwszych Rodzin. Do tego elitarnego grona dołączali co ważniejsi goście spoza planety i wysocy rangą urzędnicy miejskiego portu kosmicznego. Stateczne bale w rezydencji stanowiły niewielką atrakcję dla amatorów egzotycznych i erotycznych wrażeń, jakie oferowały Ulice. Czasami trafiał się arogant, który

wykorzystywał pozwolenie na udział w obchodach w nadziei, że przypodoba się dziewczynie pochodzącej z Rodu Domeny. Dopóki jego zachowanie nie budziło zastrzeżeń, mógł bawić się w rezydencji. Parę nocy tańca raczej nie wystarczyło, by nawiązać dłuższą znajomość z bystrą, towarzysko wyrobioną dziewczyną Fomalhaut. Mimo to rzadko kiedy młoda kobieta pozwalała sobie na postawienie się w takiej dwuznacznej sytuacji.

–Może pochodzić z jednej z nowszych Domen? Tam pracują tak ciężko, że zwykle nie uczestniczą w Obchodach – powiedział Fenn.

–Nowa? – Cordane zwrócił się do Deagana, który przypatrywał się mijającej ich dziewczynie.

Deagan był wykwalifikowanym szefem ochrony, zajmującym się kontrolą towarów importowanych i eksportowanych oraz przybyszami ubiegającymi się o zezwolenie na pobyt czasowy lub stały.

–Mógłbym sprawdzić, ale o ile pamiętam, nie jest jedną z trzech kobiet, którym w zeszłym tygodniu sprawdzaliśmy dokumenty,

–Nie może być nowa – rzekł Cordane, stanowczo przecząc wcześniejsze mu przypuszczeniu. – Skąd by wiedziała, że dzisiaj w rezydencji jest tylko minimalna ochrona? I że można wspiąć się na ogrodowy mur, bo nie jest pod napięciem?

–To nie jest dziewczyna z Ulicy, inaczej Walteron próbowałby ją przelecieć – odparł Deagan. – Ciekawe, jak kieruje tą mgiełką, którą nosi zamiast sukni. Fascynujące wykorzystanie załamane go światła do uzyskania efektu przypadkowych zmian z nieprzejrzystego w przejrzyste.

–Potrząsnął ręką, jakby ruch mógł dać mu odpowiedź. – Z pewnością siatka, ale skąd czerpie zasilanie?

–Chyba nie pozwolimy, żeby stary Walteron zagarnął ją dla siebie, co? Szkoda dla niego takiej ślicznotki – powiedział Cordane takim tonem, że przyjaciele popatrzyli na niego z rozbawieniem.

–Jeśli Deagan ma rację i w sukni są obwody pod napięciem, co Walteron mógłby jej zrobić? – zapytał Fenn.

–Krótkie spięcie w ciemnym kącie – odparł Deagan.

–Jeśli będzie miał okazję. Chciałbym z nią zatańczyć, żeby zobaczyć, co wytwarza tę mgiełkę.

Gdy przyjaciele wlepili w niego oczy, Deagan zaśmiał się i machnął ręką, wskazując inne części wielkiej sali.

Wydawało się, że większość obecnych osób s'le dzi wzrokiem Walterona i jego migoczącą partnerkę.

–Trzeba przyznać, że ma diabelsko zmyślny kostium.

W oczach połowy kobiet plonie czysta nienawiść. Spójrz tylko, Fenn, na zde gustowaną minę twojej matki. I jak wiesz, twoja siostra Maria przez cały rok obmyślała swoją uroczą kreację z veruleańskiej koronki. Biedactwo, nie umywa się do naszego nieproszonego gościa.

–Jeśli pochodzi z Odludzia, może nie wiedzieć, na co się naraża, zadając się ze starym Walteronem – powiedział Cordane z lekkim niepokojem. Był taktownym i odpowiedzialnym młodym człowiekiem. – Gawot nie jest łatwym tańcem. Najwyraźniej często tańczyła go wcześniej. Tego nie robi się na Ulicach!

–Poproś ją do następnego tańca, Cordane. Znasz akcent Ulicy – zaproponował Deagan. Nim jego przyjaciele zdążyli zebrać myśli, złapał ich za łokcie i pchnął przez tłum gapiów w miejsce, gdzie dziewczyna i Walteron mieli zakończyć taniec. – Jeśli nie jest z Ulicy, ty zatańczysz następnym razem, Fenn. Bywałeś na Odludziu na tyle często, by rozpoznać akcent.

–A potem ty ją poprosisz i zrobisz zwarcie w jej sukni – powiedział Cordane, z oburzeniem wyszarpując ramię z ręki przyjaciela.

–Tutaj? W rezydencji? – Deagan uśmiechnął się drwiąco i ruchem głowy wskazał ojca, który śmiał się, rozmawiając z paroma wysoko postawionymi gośćmi spoza planety.

Trzej młodzi ludzie doskonale wiedzieli, że dobry humor zarządcy błyskawicznie może ustąpić bezlitosnej surowości. – Poza tym spięcie poparzyłoby ją między punktami kontaktu. Moje zainteresowanie ma charakter czysto teoretyczny. Ta suknia jest nadzwyczaj pomysłowa.

–I droga – dodał Fenn. – Wygląda jak mgiełka w poświęcie podwójnego księżyca.

Cordane zamrugał ze zdziwienia, bo młody mieszkaniec Domeny rzadko używał metafor.

–Dziewczyna pod tym woalem może być brzydka jak roaka, ale jej obecność ożywia nudny bal – stwierdził Deagan. – Szybko, Corrie. Taniec się kończy! – Pchnął przyjaciela na śliski parkiet. Cordane zderzył się z Walteronem.

–Patrzcie, stary zbereźnik nie chce odpuścić – powiedział Deagan z irytacją, przysłuchując się wymianie zdań między mężczyznami. – Pomóżmy mu, zanim Corrie zmarnuje okazję. – Deagan dyskretnie złapał Fenna za łokieć i pociągnął go na parkiet. – Och, śliczna panno mglistej poświęty podwójnego księżyca – zagadnął, strzelając obcasami i salutując elegancko, jak przystało na dobrze wychowanego młodego człowieka w galowym mundurze. – Mój obecny tu przyjaciel... – wskazał Fenna ręką, bo na balach maskowych nigdy nie podawano nazwisk – jest nieśmiałym i czarującym młodzieńcem, podziwiającym, jak ja, twój strój. Jesteśmy zachwyceni jego oryginalnością. Gratulacje!

–Przyjmuję komplement, panie – odparła dziewczyna spokojnie, z nienagannym akcentem.

Deagan zyskał pewność, że nie pochodzi ani z Ulicy, ani z Odludzia.

–Ponieważ jest nieśmiały, czy mogę w jego imieniu prosić cię o następny taniec? – powiedział, ustawiając się w taki sposób, by wraz z przyjaciółmi utworzyć półkole odgradzające dziewczynę od Walterona.

–Następny taniec ja rezerwuję prawem pierwszej prośby – powiedział Cordane, z galanterią strzelając obcasami.

Z udawaną groźbą lypnął na Deagana i Fenna.

Uśmiechu skrytego za rozmigotaną mgiełką woala mogli się tylko domyślać, ale jej oczy, czyste, inteligentne, zielone, podkreślone przez zmienne odcienie stroju, skrzyły się z rozbawienia. Deagan poznał, że dziewczyna jest świadoma złości Walterona, zręcznie odizolowanego i wyraźnie pragnącego zawrzeć z nią bliższą znajomość.

–Ja pokornie proszę o trzeci taniec, śliczna pani – powiedział Deagan – i każdy trzeci w następnej kolejce.

–Chcecie zmonopolizować moje tańce? – Dziewczyna przenosiła spojrzenie z jednego przebranego oficera na drugiego, nie zwracając uwagi na Walterona, który próbował odzyskać jej względy.

–Trzy osoby nie tworzą monopolu – powiedział Fenn, który wiele rzeczy traktował dosłownie.

–Ale na pewno stanowią ochronę – dodał Deagan.

–Ochronę? – Leciutko pochyliła głowę w stronę Walterona. Jej oczy zatrzymały się dłużej na twarzy Deagana, który domyślił się, że zrozumiała ostrzeżenie.

–Proszę się zgodzić – przynaglił Cordane tonem na tyle błagalnym, żeby mogła to zrobić bez poczucia winy.

Dziewczyna pokiwała głową.

–Czy mogę prosić o kolejny taniec? – zapytał prędko Fenn, po sukcesie Cordane'a. Obaj, w przeciwieństwie do Deagana, nie widzieli zaciśniętych ust i złych oczu Walterona.

Na szczęście, akurat w tej chwili rozbrzmiała muzyka.

Cordane triumfalnie poprowadził dziewczynę do szybkiego tańca, w którym nie miał sobie równych.

–Nie sądzę, byś mógł dziś do nas dołączyć, Walteron – powiedział Deagan uprzejmie, gdy razem zeszedli z parkietu.

–Przykro mi w związku z tym osiadaniami, Walteron.

Dobrze, że nikt nie zginął – dodał Fenn niewinnie. – Ten specjalista z Aldebarana niebawem zbada, co i jak. Oni mają doświadczenie.

Walteron popatrzył ostro na Deagana, parsknął pogardliwie pod adresem Fenna i odszedł w kierunku bufetu.

–Co go tak rozgniewało? – Młody Domeńczyk z konsternacją popatrzył za odchodzącym starszym mężczyzną.

–Nie przejmuj się. – Obaj odwrócili się, by śledzić wzrokiem Cordane'a i dziewczynę, wirujących wśród innych zapalonych tancerzy.

Może, pomyślał Deagan, jest tylko wyszkolonym mimem albo aktorką, z kontraktem podpisanym na czas Obchodów. Z drugiej strony, mówi z nienagannym akcentem osoby dobrze wychowanej i wykształconej. Chętnie skorzystała z propozycji ochrony przed typami w rodzaju Walterona. Gdyby pochodziła z Ulicy, nie zrezygnowałaby z takiej zdobyczy. Deagana najbardziej interesowały maleńkie roziskrzane guzki, które nosiła jak biżuterię w uszach oraz na palcach rąk i nóg. Dwa nieco większe pełniły rolę wisiorka i ozdoby na głowie. Teraz wiedział, że kolczyki i diadem tworzą obwód woala przysłaniającego twarz, a „suknia” powstaje między pozostałymi guzkami. Mgiełka załamane go s'wiatła była cudem techniki, nie dziełem kreatora mody.

Kiedy muzyka ucichła, Deagan i Fenn szybko dołączyli do pary tancerzy, plosząc dwóch nowych konkurentów. Gawędzili o niczym, dopóki nie zaczął się kolejny taniec, tym razem wolny. Teraz Fenn miał zaszczyt poprowadzić dziewczynę na ozdobny parkiet.

–Ma klasę – powiedział Cordane z entuzjazmem, patrząc na nią z boku parkietu. – Nie pochodzi z Ulicy ani z Odludzia. Słuchaj, może jest technikiem z nowej brygady, która wylądowała parę miesięcy temu?

–Też o tym myślałem, ale jak wiesz, wszystkie dokumenty przechodzą przez moje ręce. Przysięgłbym, że nie jest jedną z nich.

–Och! – Entuzjazm Cordane'a trochę przygasł. – Poszukiwaczka przygód działająca na własną rękę? Wielu takich przybywa na Obchody.

–Gdyby gdzieś pracowała, byłaby na oficjalnej liście.

–Nie wiemy, czy tak nie jest, prawda? Założyłem, że nie ma zaproszenia, bo po raz pierwszy ujrzałem ją w drzwiach z ogrodu.

–Celna uwaga. Sprawdzę konsolę ochrony.

Deagan ruszył wokół parkietu, co krok zatrzymywany przez uczestników balu, delikatnie lub beczelnie wypyujących o tożsamość zawołanej dziewczyny.

Wreszcie dotarł do męskiej toalety, gdzie znajdowała się najbliższa konsola. Wczytał listę zaproszonych gos'ci i przyjrzał się postaciom w kostiumach, sfotografowanych przez oko elektronicznej ochrony w głównych drzwiach rezydencji. Jak podejrzewał, dziewczyna weszła nielegalnie.

Wrócił do sali balowej, gdy muzyka osiągnęła stateczny punkt kulminacyjny i tancerze kłaniali się partnerom.

–Gdy będę już tańczyć – powiedział do Cordane'a – sprawdźcie z Fennem ogród. Nie przeszła przy oku. Ale uważajcie na muzykę. Nie chcemy, żeby nas ubiegli – dodał, wskazując innych młodych ludzi, którzy na skraju parkietu czekali na okazję zaczepienia tajemniczej nieznajomej. Popatrzył na nią i zauważył, że prostując się po głębokim ukłonie zerknęła na kryształowy zegar nad głównym wej'sciem do sali balowej. Dziwny odruch u dziewczyny cieszącej się tak wielkim, wzbudzającym zazdrość wzięciem.

W czasie przerwy Deagan próbował skierować rozmowę na jej pobyt w Fomalhaut City, zagadywał o rodzinę i inne rzeczy mogące pomóc w ustaleniu tożsamości, ale dziewczyna zręcznie unikała odpowiedzi, flirtując z Cordane'em i Fennem. Gdy z podium dla androidzkiej orkiestry popłynęły tony następnego tańca, Cordane roześmiał się gorzko.

–Dobrze wyliczyłeś' czas, Deagan – powiedział z wyrzutem. Sam tańczył stonowaną pawanę, nie pozwalającą na bliższy kontakt z partnerką, Deagan natomiast miał wziąć dziewczynę w ramiona.

Deagan zbył śmiechem komentarz Cordane'a, ale jego słowa dały mu do myślenia. Podając ramię mglistej partnerce, był o krok od rozwiązania zagadki. Gdy prawą ręką objął ją w talii, lewą chwycił jej dłoń i poprowadził w rytm, pięknej prastarej melodii, wszystkie myśli wywietrzały mu z głowy. Dziewczyna doskonale tańczyła -walca.

Z bliska czuł zapach jej perfum, subtelnych, nie z rodzaju tych, których kobiety używają do uwodzenia upa-i trzonego mężczyzny. Jej ciało pod jedwabistą powłoką wygenerowanej mgły było gibkie i wysportowane, a uchwyt dłoni świadczył o sile – jego partnerka nie była rozpieszczoną pannicą. Lewa ręka, tradycyjnie spoczywająca na jego ramieniu, nie zakrzywiła

się prowokacyjnie ku szyi, czego na wół się spodziewał.

–Bardzo interesująca gra, śliczna pani! Gratuluję udanej kampanii.

–Kampanii, kapitanie? – W jej przekornym tonie pobrzmiwał wyrzut.

–Pomysłowej infiltracji uświęconych stref rezydencji i tego prestiżowego zgromadzenia.

–Infiltracji, panie? Przecież na czas Obchodów zniesione są wszelkie ograniczenia. – Jej oczy spojrzały na niego wyzywająco, potem przesunęły się w kierunku zegara.

To potwierdziło wcześniejsze domysły Deagana. Dziewczyna popatrzyła na niego pytająco, więc ukrył swoje myśli i uśmiechnął się do niej promiennie.

–Prawda, a takiego wspaniałego kostiumu szkoda na Ulice, choć prawdziwa łowczyni przygód tam właśnie szukałaby podniety.

–Na Ulicach? – Wyniosłe rozbawienie w jej głosie zabarwione było nutką oburzenia. – Choć określenie „łowca przygód" może być trafne. To komplement, bo osiągnięcie celu własnymi siłami jest nieskończenie bardziej satysfakcjonujące. Mam rację?

Zaśmiał się z uznaniem, bo cięty przytyk był wymierzony w jego odziedziczoną pozycję w społeczeństwie Fomalhaut. Dziewczyna nie mogła wiedzieć, że nie zajmował ciepłej posadki.

–Pod wieloma względami życie może być prawdziwą przygodą, śliczna pani, i dzięki tobie ta noc jest dla mnie taka... i dla moich przyjaciół – dodał wspaniałomyślnie. Zaraz potem przyciągnął ją bliżej i usłyszał w uchu jej śmiech, gdy musnęła policzkiem jego twarz.

–Taka taktyka nie zda się na wiele, kapitanie. Mój kostium jest niezawodny.

–Tajemnicza pani... – zaczął z oburzeniem – nie zamierzam forsować siłą twoich zabezpieczeń. Zbyttno bawi mnie pojawianie się i znikanie twojego stroju.

Rozluźnił uścisk, bo trochę się bał, że dziewczyna wyczuje jego narastające podniecenie. Jeszcze nigdy noc Obchodów nie sprawiła mu takiej przyjemności jak teraz, gdy wirował z nią w szerokim kręgu. Kiedy uprzejmie przekazał ją Cordane'owi, który miał zarezerwowany następny taniec, Fenn poinformował go, że nie znaleźli żadnych śladów świadczących o pokonaniu przez nią czterometrowego muru.

Deagan zostawił Fenna na straży. Sam udał się do toalety, gdzie dokonał paru szybkich obliczeń na konsoli i sprawdził czas. Uśmiechnął się. Została najwyżej godzina – a on dopilnuje, żeby dziewczyna nie mogła odejść drogą, którą przybyła. Z pewnością wiedziała, gdzie są boczne bramy. W noc Obchodów opuszczenie rezydencji nie było trudne, lecz on zamierzał to zmienić. Obmyślił plan.

Ale najpierw czekał go drugi rozkoszny taniec i równie przyjemna rozmowa, bo dziewczyna miała cięty dowcip i bystry umysł. Fenn i Cordane kompletnie potracili głowy i trudno ich było przekonać, że tajemnicza nieznajoma zamierza opuścić bal równie niespodziewanie, jak się zjawiała. Umówili się, że nie będą jej w tym przeszkadzać, tylko odetną drogę ucieczki przez ogród.

Mało brakowało, a Deagan przegapiłby właściwy moment. Na szczęście, zachowanie dziewczyny wbudziło jego czujność. Jej oczy zdradziły lekkie zaniepokojenie, gdy z pozorną beztroską zerknęła na kryształowy chronometr.

Deagan powiedział, że ojciec go wzywa, przeprosił ją i odszedł. Dla zachowania pozorów przystanął przy zarządcy planety.

–Deagan, wykorzystujesz swoją pozycję, żeby zagarnąć dla siebie tę śliczną istotę – zganiał go ojciec.

–Wcale nie. Fenn i Cordane też z nią tańczą.

Ojciec parsknął.

–Znacie ją?

–Poznamy!

–Doprawdy? – Zarządca uniósł brwi, zaskoczony żarem w głosie zwykle niewzruszonego syna.

Deagan opuścił salę, jakby miał coś pilnego do załatwienia. Miał – chciał przeprogramować zamki wszystkich bram.

Sprawa wyjaśni się w ciągu paru minut, więc to nie powinno nikomu przeszkadzać. Wychodząc głównymi drzwiami, dostrzegł migoczącą mgiełkę niknącą w damskiej toalecie. Zobaczył też Fenna i Cordane'a, idących do ogrodu.

Z cienia przy głównym wejściu Deagan widział krzywiznę kopyły i mglisty blask jej sukni, gdy wychyliła się z okna toalety. Tak właśnie przypuszczał. Dziewczyna przemknęła szybko do bocznej bramy. Gdy mimo jej starań brama ani drgnęła, usłyszał jęk frustracji i przerażenia. Zerknął na ręczny chronometr – zostało jej niewiele czasu na sprawdzenie innych bocznych wyjść. Musi zaryzykować i pobiec do głównej bramy.

W jednej chwili była szybko poruszającą się mgłą, w następnej smukłą, bladą nimfą wlokącą za sobą smugę iskier, które spadały na piasek za jej plecami. Potknęła się z krzykiem bólu i zakląła siarczyście, gdy Deagan wyłonił się z cieni pod krzakiem. Szarmancko patrząc jej w oczy, okrył ją specjalnie przyniesionym płaszczem. Nie opierała się, gdy zamknął ją w ramionach.

–Wybacz. Obliczyłem, na ile czasu wystarczą twoje generatory w klejnotach i... oto jestem.

–Sprytnie. – Jej ciało stężało.

–Czy przechytrzenie rasowego poszukiwacza przygód nie jest sztuką?

Chciał jej dokuczyć, ale powstrzymało go dumne spojrzenie. Jej piękna twarz o szlachetnych rysach miała charakter, a zachowanie świadczyło o wrodzonej pewności siebie. Spodobała mu się jeszcze bardziej, gdy zobaczył ją bez woala tajemniczej mgiełki. Lekko pocałował ją w usta.

Po krótkim wahaniu odpowiedziała pocałunkiem i odprężyła się w jego ramionach. Nie wykorzystał przewagi, tylko odsunął się lekko.

–Znajdę ci inny kostium na resztę wieczoru, jeśli uczynisz nam zaszczyt, pani...

–Dacia Cormel z Aldebarana IV – przedstawiła się, gdy znacząco zawiesił głos.

–Inżynier od mechaniki gruntów?

Roześmiała się na widok jego zaskoczonej miny.

–Powinnaś' zjawić się za tydzień, może później. – Nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić listę spodziewanych gości. Był zdegustowany swoim brakiem wyobraźni. Ale nic dziwnego, że umiała stworzyć taki kostium.

–Wiesz, że pierwszy taniec zatańczyłaś z Walteronem?

–Teraz już wiem. Nigdy nie skojarzy, że tajemnicza tancerka i jego cenny specjalista to jedna i ta sama osoba.

Chodźmy. Mam ubranie za bramą, którą przede mną zamknęłaś. – Pochyliła się nagle i pomacała ciemnozłoty piasek. – Ale czy najpierw pomożesz mi znaleźć drugi pantofelek? przyzwyczajenie jest starym koniem Gdy pianie koguta obwieściło ranek, stary siwy koń zbudził się. Podniósł głowę i mrugając, żeby przejrzeć na oczy, ogarnął wzrokiem dwunastoakrowe pole. Osły, jak zwykle, już pasły się na łące od strony drogi. Dwa konie używane do polowania leżały płasko na ziemi, korzystając z letniego odpoczynku. Roczniaki były z drugiej strony. Stary Stuk słyszał ich tupot.

Potrząsnął głową. Trzeba wstawać. Zaparł się przednimi nogami, wsunął zadnie pod siebie. Dźwignął się nie bez trudu. Idąc powoli do koryta z wodą, ustawione go między tą zagrodą a sąsiednią, gdzie pasły się klacze zarodowe i młode źrebaki, włókł za sobą zeszywniałą prawą tylną nogę. Wiedział, że niebawem się rozrusza, więc nie zważał na przykre uczucie.

Roczniakom też zachciało się pić i brykały wokół niego, gdy szedł, nie zwracając uwagi na ich błżeństwo. Kasztan zbliżył się za bardzo, więc stary siwek wyciągnął szyję i obnażył zęby, żeby młody wiedział, gdzie jego miejsce.

Dmuchnął w koryto, żeby odgonić kurz i liście. Dotknął wody, ziębiące j w wargi, a potem zanurzył pysk.

Pierwsza woda dnia była najlepsza i napił się do syta.

Młodsze zwierzęta, łącznie z osłami, stłoczyły się przy korycie. Stary koń cofnął się ostrożnie i z nisko opuszczonym łbie zaczął szukać słodkich źdźbeł trawy, które mogły zostać po wczorajszym wypasie.

Miał pełny żołądek, gdy usłyszał hałas na podwórzu.

Wiedziony wieloletnim nawykiem ruszył w kierunku ogrodzenia, które oddzielało pola od ogrodów i sadów wokół zadbanego parterowego domu. Na dragach ogrodzenia, starannie pomalowanego na wiosnę, widniały brudne łaty, gdzie opierał się pierś – naprzeciwko okna, w którym często pojawiała się ona. Okno było czarne, zasłony zaciągnięte.

Popatrzył w stronę podwórza, na ludzi niosących poranną paszę koniom czekającym w stajni. Zarżał cicho, z nadzieją, ale nikt się nie odwrócił, żeby do niego pomachać. Odwrócił się do okna: czasami po zawołaniu widział ruch – rękę czy bladą twarz na skraju uchylonej zasłony.

Czasami pustka zupełnie znikła i wówczas dostrzegał zarys jej znajomej sylwetki. Nie widział jej od jakiegoś czasu, od kiedy sroga zima ustąpiła mokrej wiosnie. Parsknął zawieszony i uderzył kopytem w ziemię. Tupnął jeszcze raz, potrząsnął głową i zauważył długie zielone łodygi zaraz za ogrodzeniem. Gdyby ostrożnie wykręcił szyję, mógłby do nich sięgnąć. Zadowolili się szczypaniem trawy wzdłuż ogrodzenia przy podwórzu. Może, jeśli zaczeka dość długo, ona wyjdzie do niego z marchwią albo jabłkiem, a nawet kawałkiem chleba.

Krzątanina na stajennym podwórzu dobiegła końca, gdy trzej mężczyźni wrócili do domu po nakarmieniu koni.

Stary Stuk zakończył szczypanie trawy po drugiej stronie ogrodzenia i odszedł filozoficznie. Nie odwiedziła go rano, ale często wychodziła wieczorem, kiedy sprawdzano wszystkie konie na polu.

Drzemał w słońcu, odciążając obolałą nogę, kiedy rozległy się krzyki i zgrzyt podkutych kopyt na kamieniach.

Poderwał głowę i zastrzygł uszami. Wielka gniada klacz tańczyła na stajennym podwórzu, uciekając przed jeźdźcem, który próbował ją dosiąść. Stary koń zastanowił się, dlaczego zadaje sobie tyle trudu: tylko odwlecze to, co nieuniknione. Westchnął ciężko.

Minęło dużo czasu, od kiedy czuł ciężar jeźdźca na grzbiecie. Ona nie jeździła na nim, nawet spokojnie, po polach, od zeszłego lata. Nikt go nie osiodłał od tamtego dnia. Znowu popatrzył w jej okno, nadal puste.

Klacz próbowała postawić na swoim, z rzeniem stając dęba, a ludzie krzyczeli ze znaną mu determinacją. Usłyszał klapnięcie: jeździec wykorzystał chwilę nieuwagi klaczy i błyskawicznie skoczył na siodło. Kolejne klapnięcie położyło kres walce. Ona nigdy go nie biła, wspomniawszy z zadowoleniem. Zawsze był gotów zrobić, o co prosiła, bo miała lekką rękę, pewny dosiad i miły głos. Razem pędzili jak wiatr przez pola i lasy. To były dobre dni: miał siłę i ochotę do biegu, jego mięśnie pracowały bez wysiłku i nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć następne pole, rów czy ogrodzenie. Lubił słuchać ujadania wyprzeżdżających go psów i, nade wszystko, tętentu wolniejszych koni podążających w siad za sobą. Ona była lekkim i wdzięcznym ciężarem, lubił, gdy jej ręce muskały jego szyję i zachęcały do galopu, gdy z czułością pociągała go za uszy (tylko jej pozwalał na takie poufałości), gdy po polowaniu z zadowoleniem klepała go po karku. I uwielbiał smakołyki z jej ręki, gdy żegnęła się z nim w ciepłym, wysłanym słomą boksie.

Od czasu do czasu miewał innych jeźdźców i niektórych nosił bez sprzeciwu. Paru było dziwnych i tych nie chciał mieć na grzbiecie. Wymyślił proste sztuczki, gwałtownie opuszczał łopatkę albo w pełnym cwale przebiegał pod niską gałęzią. Rzadko uciekał się do tych forteli, bo głównie to ona na nim jeździła. Był dumny, że nigdy nie sprawił jej zawodu, nigdy się nie zawahał, obojętnie przez co kazała mu skoczyć.

Jeździec wyprowadził gniadą na maneż, gdzie stary siwek często ćwiczył ze swoją amazonką. Klacz wykonywała kolejne ćwiczenia – stęp, kłus, galop po przekątnej czworoboku, stęp, kłus, stop, w tył, trucht, galop – tak znajome, że Stukowi dreszcz przebiegł po skórze. Niemal czuł nacisk siodła na grzbiecie i popręg pod brzuchem.

Przyglądał się treningowi z podniesioną głową i postawionymi uszami. Potem jeździec skierował klacz ku przeszkodom.

Patrząc na klacz, stary koń niemal słyszał głos swojej amazonki, zachęcający go i chwalcący, gdy cwałowali po placu i pokonywali przeszkody. Uspokajała go, gdy podniecenie zaczynało brać górę nad jego zwykłym spokojem. Śmiała się, gdy bezbłędnie pokonał ostatnią przeszkodę, jakby wiedziała, że musi mu się udać. Pamiętał, i zadrżał na to wspomnienie, jak czasami wstrząsało nim zderzenie z twardą ziemią za wielką przeszkodą. Ale miał mocne nogi i nigdy nie pośliznął się na

blotnistym gruncie, niezależnie od tego, jak był podkuty. Nade wszystko lubił długi skok angielski, bo wtedy jakby wisiał między niebem a ziemią.

To wrażenie lubił najbardziej, odrywał się od ziemi na krótkie sekundy, jakby pewnego dnia mógł skoczyć z nią do samego słońca, jeśli tylko będzie dobry grunt do odbicia.

Najlepsze było wtedy, gdy stawał w szeregu z innymi końmi i pozwalał, by przyczepiono mu wstążki do naczółka. Wyczuwał wtedy jej dumę i radość, płynącą przez wodze do wędzidła. I nigdy się nie spłoszył, w przeciwieństwie do wielu innych koni, kiedy w pobliżu zagrzmiały fanfary.

Donośne parskanie klaczy wyrwało go z marzeń. Jeździec naprowadzał ją na drugi skok angielski. Słyszał szybki tętent kopyt, potem nastąpiła chwila ciszy, gdy klacz pokonywała przeszkodę, potem stęknienie towarzyszące lądowaniu i znowu galop.

–Ross! – krzyknął ktoś przed domem. Stary koń zastrzygł uszami, gdy zawołanie się powtórzyło: głos brzmiał podobnie, ale to nie była ona. Zawiedziony, grzebnął ziemię kopytem. Ona często patrzyła, jak skaczą inne konie.

Wiedział, że jest w domu, za pustym oknem. Dlaczego do niego nie wyszła?

Jeździec zawrócił i skierował klacz do bramy prowadzącej na podwórze, gdzie czekała ta inna kobieta. Zeskoczył na ziemię.

–Ross, nie chciała nawet herbaty. Wezwałam doktora, niedługo się zjawi.

Stary koń zarżał z nadzieją, słysząc głos podobny do tego, za którym tęsknił, choć ten głos brzmiał nerwowo i zdradzał strach. Parsknął ponownie, kiedy zobaczył, że mężczyzna i kobieta odwracają głowy w jego stronę.

–Och, Ross, skąd stary Stuk może wiedzieć?

–Nie bądź głupia, Mairead. Nie wie. Rano zawsze przychodzi do ogrodzenia. Mama karmiła go, kiedy jeszcze mogła. Przyzwyczajenie, to wszystko.

–Spodziewaliśmy się tego, Ross, ale jakoś...

–Odprowadzę klacz.

Stuk patrzył, jak mężczyzna prowadzi gniadą do stajni. Kobieta powoli szła w jego stronę. Zarżał cicho.

–Wiesz, Stuk? Mama zawsze mówiła, że jesteś' mądry jak na konia. – Przysunęła rękę do prosząco wyciągniętego pyska. – Wiesz, że mama umiera?

Ręka była pusta, ale pogładziła go po chrapach. Stary koń wyczuł rozpacz kobiety i stał spokojnie, gdy wsparła czoło o jego kark. Ona robiła tak czasami, trzymając ręce na jego chrapach i szyi: czasami, jak teraz ta kobieta, wydawała takie śmieszne odgłosy i moczyła mu sierść.

–Stuk, kiedy pomyślę, jaka była... a potem widzę ją słabą, cierpiącą...

Stuk usłyszał kroki mężczyzny, ale nie poruszył się.

–Gdyby Stuk tak cierpiał, moglibyśmy go uspić...

–Ross, jak możesz mówić takie rzeczy...

–To byłoby lepsze, nie sądzisz? – Mężczyzna był zły.

–Nie sądzisz, Mairead? Myślisz, że nie wiem, przez co przechodzi mama? To straszne, ale przynajmniej umrze we własnym łóżku, otoczona rodziną i...

–Ze Stukiem czekającym na nią przy ogrodzeniu.

Zapłakana kobieta odsunęła się od Stuka. Jej emocje były takie silne, że stary koń zarżał cicho. Mężczyzna objął kobietę i pocieszał ją, szepcząc i gładząc po ramionach.



Gdy tak stał, jego oczy niemal oskarżycielsko patrzyły na starego konia.

Koń pierwszy usłyszał samochód, a gdy podniósł głowę, zobaczył błysk niebieskiego lakieru między drzewami obrzeżającymi drogę. Kobieta wyrwała się z objęć mężczyzny i pobiegnęła przez trawę w kierunku domu.

–Byłoby lepiej – powtórzył mężczyzna cicho, patrząc na konia – ale nie możemy, prawda? Tobie też będzie jej brakować, prawda, stary? – Czule poklepał Stuka po karku i poszedł szybko za kobietą.

Pierwszy samochód zapowiedział przybycie następnych. Niektóre zostawiały pasażerów i odjeżdżały, inne parkowały na trawniku i asfaltowym podjeździe. Zadowolony z tego niezwykłego ruchu, stary koń zastanawiał się, co się dzieje. Tyle samochodów zwykle oznaczało sprzedaż zwierząt albo pokaz na wielkim polu do skakania.

Dzisiaj jednak ludzie nie krzatali się po polu, nie ustawiali przeszkód ani nie wytyczali tras. Nerwowa atmosfera panująca wokół domu wprawiła go w zaniepokojenie i nie był w stanie szczypać trawy z roczniakami.

Stary koń nie wiedział, co o tym myśleć. Przejęty grzebnął ziemię prawym przednim kopytem. Jak gdyby na dany znak rozległy się ciche krzyki rozpacz i głośny płacz.

Zasłony zafalowały i przez krótką chwilę myślał, że wreszcie się rozsuna, a wówczas ją zobaczy. Ruch ustał, ale hałas, stłumiony przez ściany domu, nadal niósł się do jego uszu. Nie podobało mu się jego brzmienie, więc nerwowo grzebnął ziemię. Chciał odejść od ogrodzenia, ale jakiś niepojęty przymus trzymał go w miejscu. Nagle zamieszanie ucichło. Teraz mógł się ruszyć, lecz i tak tego nie zrobił.

Czekał dalej.

Najedzone i znudzone zabawą roczniaki podeszły do niego po południu. Przestraszyły się i pogalopowały, gdy samochód wyjechał z domu i stanął na asfalcie na tyłach. Stuk godnie pełnił swoją wartość.

–Mick, czy to nie stary Stuk Maeve? – Stary koń odwrócił głowę i nadstawił ucha, słysząc lekko znajome brzmienie głosu. Zarżał cicho, gdy kobieta do niego podeszła. Wyjęła z kieszeni kostkę cukru i podała mu na otwartej dłoni tak uprzejmym gestem, że wyciągnął szyję, by przyjąć smaczny kąsek.

–Chyba nie sądziłaś, że Maeve sprzeda go do fabryki, co? – zapytał mężczyzna z lekko drwiącym śmiechem.

Przeciągnął doświadczoną ręką po karku i klepnął go z uznaniem. – Nie po tych wszystkich nagrodach, które zebrała, gdy na nim skakała.

–Ale, Mick, z pewnością ma ponad trzydzieści lat.

–Pewnie tak. Jest w doskonałej formie. – Ton mężczyzny zmienił się nagle. – Chodź do domu. Mie jmy to za sobą.

–Chwileczkę, Mick. Znalazłam jeszcze jedną kostkę cukru. – Wyciągnęła smakołyk z kieszeni i podsunęła go koniowi pod nos. Stuk parsknął, ale nie odmówił poczęstunku. Kobieta poklepała go po grzbiecie. – Biedny staruszek. Nikt dziś nie ma dla ciebie czasu. – Głos jej zadrżał i Stuk spiął się, wychwytyjąc nieznane emocje.

–Chodź, Sally...

–Tak, Mick, tylko... – kobieta zaszlochała gwałtownie – stary Stuk czeka przed jej oknem, a jak mu powiedzieć, że...

Gdy tylko zniknęli za domem, zjechał następny samochód. Stuk z żywym zainteresowaniem przyglądał się przybyszom. Może dostanie następne kostki cukru.

–O Boże, jest tam. Mówiłem ci, że będzie – usłyszał ochryply głos, który skojarzył z człowiekiem, który go podkuwał. – Ty i twoje gadanie, że jedno wykituje z drugim! – Zaśmiało się głośno, a jego towarzysze kazali mu się uciszyć. Zerknął na zasłonięte okno i zgarbił ramiona, udając skruchę. – Boże, w Straffan poszedłby za dobrą cenę, co nie, Joe?

Mężczyźni byli już tak blisko, że Stuk czuł kwaskowy zapach, którego nie cierpiał. Zawsze kojarzył go z kłopotami i nie lubianym stajennym. Nerwowo wydmuchnął powietrze i odsunął się od ogrodzenia.

–Jezu, ten stary koń zrozumiał! – Pozostali dwaj pociągnęli kowala przed dom. – Na miłość boską, jak wejdziemy do domu nie pleć, co ci ślina na język przyniesie. 21 – Ta, która słyszała smoki Czujnie patrząc za nimi, Stuk zauważył, że wychodzące

na pole okna duże go pokoju już nie są puste. Widział twarze zwrócone w swoją stronę, a gdy nadstawił ucha, usłyszał stłumiony pomruk głosów. Obserwował ich, dopóki nie pojawił się następny samochód. Wrócił na miejsce przy ogrodzeniu, ciekawie wyciągając uszy. Ludzie byli zajęci noszeniem misek, tac i skrzynek. Czuł charakterystyczny zapach jedzenia, które szybko zniknęło w kuchennych drzwiach.

Niebo ściemniało i chłodny wiatr zaczął dąć od morza, co o tej porze roku było dość niezwykle. Młode konie dołączyły do Stuka, przytulając się do niego w poszukiwaniu ciepła. Te myśliwskie, wyniosłe, skupiły się przy ogrodzeniu bliżej stajni.

Na podwórzu znów zapanowała krzątanina, gdy ochotnicy przyszli nakarmić konie w obcej dla nich stajni.

–Hej, zanieś miarkę staremu Stukowi. Zasłużył po tym czuwaniu jak nikt!

Mężczyzna podszedł do siwego konia, trzymając miarkę na wysokości pasa. Zapach orzechów uspokoił Stuka bardziej niż kojące słowa. Miarka nie była pełna, ale Stuk nie narzekał. Roczniaki przyszły zobaczyć, co się dzieje. Śmiejąc się cicho, mężczyzna dał im parę orzechów, żeby nie objadały staruszka.

Mżawka przysłoniła zachodzące słońce, a morski wiatr przyniósł szum fal. Stuk z nadzieją nadal trwał przy ogrodzeniu, ale nie przyjechał już żaden samochód, choć na drodze dojazdowej do głównej szosy panował znaczny ruch. Kiedy wilgoć zaczęła ziębić mu kark, schronił się z innymi przy żywopłocie, gdzie drzewa dawały pewną osłonę. Roczniaki stłoczyły się wokół niego dla towarzystwa i ciepła.

Nie tylko brzydka pogoda, ale światła i warkot samochodów na podjeździe przeszkadzały koniom w nocnym wypoczynku. Dawniej w taką noc ona zaprowadziłaby go pod dach.

Nad ranem wiatr ucichł i przestało padać. Roczniaki odsunęły się i zajęły skubaniem trawy, żeby wypełnić ziębnięte brzuchy, ale Stuk zbyt zesztywniał, żeby się ruszyć. Tęsknił za słońcem, które ogrzeje przemoczony grzbiet i przepędzi ból ze sztywnej zadniej nogi. Pełen urazy i żalu z przyzwyczajenia pokuszył w kierunku jej okna. Podniósł głowę i zarżał głośno. Nagle zasłona odsunęła się.

Zamrugnął w jasnym, rażącym świetle. Znów zarżał. Zasłona wróciła na miejsce, choć z boku został wąski pasek światła. Kuchenne drzwi otworzyły się i z domu wyszły trzy osoby.

–Stuk, to ty? Skąd wiedziałeś, stary? Skąd wiedziałeś?

Stuk poznał głos jeźdźca gniadej. Parsknął, gdy ludzie szli w jego stronę. Wiatr przyniósł do jego nozdrzy kwaśny zapach, którego nie cierpiał. Choć mężczyzna przemawiał miłym, smutnym głosem, Stuk cofnął się nerwowo.

–Zmarzył, to wszystko, Ross – powiedział kowal o chrapliwym głosie. – Pochylił się, żeby przeleźć między drągami ogrodzenia. – Złapię go i zaprowadzę do stajni.

Stuk poderwał głowę, rżąc ze strachu i trwogi. Nie chciał mieć do czynienia z nikim, kto tak pachniał. Okręcił się na zadnich nogach, choć ta sztywna niemal ustąpiła pod jego ciężarem, by uciec od zapachu i ludzi. W bezpiecznej odległości, poza ich zasięgiem, odwrócił się i sprawdził, czy nie zamierzają go ścigać. Ich sylwetki rysowały się na tle jej odsłoniętego okna. Zawołał raz jeszcze. Zasłony opadły, nie pozostawiając nawet paska światła.

Stuk zarzucił łbem, rżąc donośnie z rozpaczy. Nawet nie podeszła do okna. Nie rozumiał, dlaczego go porzuciła. Przygnębiony, pakuśtykał do roczniaków. Ich towarzystwo było lepsze niż żadne w tę niespokojną zimną noc, kiedy ona już go nie słyszała.

Dama dworu Mamusiu, Sally chce się bawić w przebieranie – powiedziała Frances, z przejęciem krzywiąc trójkątną twarzyczkę. Sally była jej pierwszym gościem w nowym domu i pragnęła spełnić jej życzenie.

–Ja też – zawołała sześćioletnia Marjorie. Nadąsana, wydymała pulchne policzki, bo oczekiwała odmowy.

Dziewczynki stały wokół kuchennego stołu Amy Landon. Sally milczała. Pełną powątpiewania, choć uprzejmą miną rzucała wyzwanie gospodyni.

–W taki dżdżysty dzień przebieranie się to dobry pomysł – odparła spokojnie Amy. Zastanawiając się, co może im dać do zabawy, wlała parującą galaretkę jeżynową do słoika.

Frań wstrzymała oddech, gdy kropla na brzegu rondla spadła i natychmiast się rozpuściła, zabarwiając na różowo wodę, w

której były parzone słoiki.

–Za kogo się przebieracie?

–Za damy dworu – odparła Sally, zaskoczona zgodą, ale nadal gotowa zawstydzić swoje gospodynie. Łagodne oczy Frań patrzyły tak błagalnie, że Amy zyskała pewność, iż pomysłodawczynią jest Sally.

–Damy dworu – powiedziała Marjorie. Ściągnęła brwi i usta, jakby chciała przymusić mamę do wyrażenia zgody.

–Będziemy bardzo ostrożne – zapewniła Frań z powagą.

–Wiem, kochanie – odparła Amy, uśmiechając się uspokajająco.

Nie po raz pierwszy zastanowiła się, kiedy wrażliwa Frances otrząsnie się z szoku wywołanego przez śmierć ojca – brutalne morderstwo – poprawiła się w najgłębszym zakamarku umysłu. Peter zginął od wybuchu bomby wrzuconej bez ostrzeżenia do londyńskiego pubu.

Zmusiła się do skupienia myśli na pracy, na nalewaniu jeżynowej galaretki i wymyślaniu, jak spełnić pragnienie córek.

–Barrdzo ostrożne – powiedziała Marjorie, potrząsając głową. Sally Merrion czekała, by ją czymś zaskoczyć.

–Oczywiście, kochanie – zapewniła Amy najmłodszą córkę. Wiedziała, że Frań dopilnuje młodszej siostrzyczki.

–Frances jest prawdziwym skarbem – mawiała często z dumą jej matka, po której dziecko odziedziczyło urodę i karnację. – Jestem pewna, że większa z niej pomoc niż z bliźniaków, chociaż są starsze. Biedne osieroczone jagniątko – dodawała od niedawna tonem, który utwierdzał Amy w zamiarze przeprowadzki, choć to właśnie ten pomysł stał się pośrednią przyczyną śmierci Petera.

W czasie pierwszego dnia żałoby okrutna ironia śmierci męża sprawiła, że Amy znenawidziła Tower Cottage. Peter wszedł do pubu w tej krytycznej chwili po to, żeby zatelefonować do niej i przekazać jej dobre wieści. Podpisał umowę kupna domu, do którego mieli się przenieść z coraz niebezpieczniejszego miasta: domu na szarych kamiennych wzgórzach Dorset, z sadem i ogrodami, i wybiegiem dla kucyka. Oboje marzyli o powrocie do znanego z dzieciństwa wiejskiego życia.

Jej i jego rodzice namawiali ją do rozwiązania umowy.

Gdyby została w Londynie, mogliby zapewnić jej pociechę, ochronę i pomoc, jakiej niezaprzeczalnie potrzebowała młoda wdowa z czwórką małych dzieci.

Amy Landon zacięła się w uporze i mimo uprzedzenia do Tower Cottage honorowała umowę, mówiąc, że dzięki polisie na życie, dom będzie miał czystą hipotekę.

–Można by powiedzieć, że śmierć Petera zapewniła nam Tower Cottage – powiedziała Amy rodzicielskiemu zgromadzeniu. – Dom leży daleko od Londynu, a ja chcę być daleko od Londynu. Pragnę zrealizować plany, jakie razem zrobiliśmy. Jestem zabezpieczona na całe życie.

Wychowałam się na wsi... Tylko dlatego, że wy chcieliście przenieść się do miasta... – Ale sama... tak daleko od wioski... i sąsiadów – dowodzili obaj ojcowie.

–Nie jestem sama, mam czwórkę dzieci. Młody Peter już mnie przerasta i jest znacznie silniejszy ode mnie. I wcale nie będziemy daleko od wioski, bo do sklepów, poczty i pubu jest tylko niecały kilometr. Co do sąsiadów... Będę miała zbyt dużo roboty, by zwracać sobie nimi głowę.

Im mniej sąsiadów, tym lepiej, pomyślała. Nie cierpiała litości, nawet współczucia. Była zmęczona rozgłosem, ludźmi patrzącymi z ubolewaniem na nią i na jej dzieci.

Jes'li ten stan potrwa dłużej, wszyscy zostaną zdemoralizowani: zaczną myśleć, że świat jest im coś winien z powodu polityki... a może szaleństwa?... które pozbawiło ich ojca.

–Moja matka na takie specjalne pudło – mówiła Sally Merrion. Amy wróciła do rzeczywistości, do kuchni o niskim, wspartym na belkach suficie, przesyconej zapachem gotujących się jeżyn, laku i potrawki duszącej się w starej żelaznej kuchence. – Są w nim ubrania po babci i prababci.

Amy zastanowiła się, czy będzie jeszcze nosić długie spódnice.

– Mam parę rzeczy w kufrze... – Zawahała się. Nie mogła zostawić galaretki. Po raz kolejny odsunęła od siebie myśl, że w schowku jest coś, co ją odpycha.

– Nie martw się, mam, nie ruszę rzeczy, które jeszcze się nadają – powiedziała Frań z wielką ulgą. Była zadowolona, że mama stanęła na wysokości zadania. – Nie musisz odchodzić od galaretki.

– Damy dworu? – zapytała Marjorie drżącym głosem.

– Tak, kochanie. Idźcie, dziewczynki. Naprawdę muszę skończyć tę galaretkę. Frań, możesz wziąć moje długie spódnice. W skrzyni są też stare prześcieradła... – Do licha, czemu miałyby się bać starego kufra? Poczula ciarki między łopatkami. – Można z nich zrobić śliczne powłóczyste szaty...

Widząc pogardliwą minę Sally, Amy zastanowiła się, co jej wolno brać w domu do zabawy. Bezczelna smarkuła.

Skupiła się na nalewaniu galaretki. Skończyła pierwszą partię słoików i przygotowywała następną, gdy dał o sobie znać jej instynkt macieżyński. W kuchni, oddzielonej od głównej części domu przez spiżarnię i grube ściany, nic nie słyszała. Lepiej sprawdzić. Otworzyła drzwi spiżarni i usłyszała płynące z góry radosne głosy dziewczynek, udających dorosłe osoby. Najwyraźniej bawiły się na podeście przed skrytką. Uspokojona, wróciła do galaretki.

Te nieskomplikowane przygotowania do zimy sprawiały jej niespodziewaną satysfakcję. Atawizm, powiedziałby Peter. Lato nie dopisało i zbiory były małe, przynajmniej tak mówili mieszkańcy wioski, ale Amy Landon nie miała powodów do narzekań. Jabłonie i grusze Tower Cottage uginały się pod ciężarem owoców, chociaż nikt ich nie przycinał, nie opryskiwał ani nie użyźniał. Amy nie miała pojęcia, co zrobić z buraczkami, ziemniakami, kapustą, marchwią i brukwią z warzywnika. Sąsiedzi przewracali oczami i każdy dawał inną radę jak dobry samarytanin. W wiosce wiedzano o jej sytuacji, więc doszła do wniosku, że jakaś życzliwa dusza nie chce, żeby czuła się zobowiązana. Niemniej jednak obfitość owoców oznaczała, że da sobie radę na spartańskim budżecie, jaki sobie wyznaczyła. (Nie chciała naruszać oszczędności przeznaczonych na naukę młodego Petera. I nie chciała myśleć w kategoriach odszkodowania). Z uwagi na rosnące ceny artykułów spożywczych, musiała maksymalnie wykorzystać to, co rosło na jej ziemi.

Pan Suttle, który prowadził sklepik na skrzyżowaniu, powiedział jej, że sędziwa pani Mallett hodowała kurczęta. Była właścicielką Tower Cottage przed Alderdyce'ami. (Alderdyce'owie mieszkali tu niezbyt długo: nagle się dorobili i kupili nowy dom pod Londynem; nie zdążyli się nim nacieszyć, bo zginęli w wypadku samochodowym, zanim dotarli na miejsce). Pan Suttle nigdy nie słyszał, by zdziczałe kury po dwóch latach wracały do dawnego życia, ale najwyraźniej nie było innego wyjaśnienia. Stado ptactwa z zadowoleniem pasło się wokół stodoły za Tower Cottage i posłusznie zносиło jaja, które zbierała Patricia.

Ku rozbawieniu jej ojca i radości młodego Petera Amy kupiła krowę rasy Guernsey, bo jaki sens ma posiadanie czterech akrów łąki i stodoły pełnej siana, jeśli się ich nie wykorzystuje. Pan Suttle przeprowadził fachową inspekcję stodoły i siana, oznajmił, że pierwsze nadaje się do trzymania bydła, a drugie może zostać zjedzone przez krowę, i pochwalił pomysł pani Landon.

Pani Mallett, sprawna aż do śmierci, chowała kurczęta, krowę i świnie (pan Suttle uważał, że być może uda mu się znaleźć prosiaka do podtuczenia na Boże Narodzenie).

Powodziło jej się całkiem nieźle, choć utrzymywała się tylko z ziemi, a w Tower Cottage miała ciepło i wygodnie.

Amy zapewniła pana Suttle, że ma podobne zamiary i podziękowała mu za radę, ale uważała, że świnia może zaczekać, dopóki nie przywyknie do zajmowania się krową, kurami i dziećmi.

W rzeczywistości krowę oporządzał młody Peter, po otrzymaniu wskazówek od rolnika, poprzedniego właściciela. Patricia, jego siostra bliźniaczka, opiekowała się kurami. Oboje starali się jak najlepiej opiekować się swoimi podopiecznymi, rywalizując między sobą, kto lepiej wywiązuje się z obowiązków.

Amy zakręciła słoiki i zaczęła naklejać etykiety, wykaligrafowane mozolnie przez Frań. Poprzedniego dnia, w ciepłą, słoneczną niedzielę, wszyscy zrywali jeżyny. Zamienili pracę w zabawę i wrócili do domu o wczesnym wrześnieowym zmierzchu, objedzeni i wysmarowani sokiem, z wiaderkami pełnymi ciemnych jagód. Gdyby nie brak Petera, Amy byłaby w pełni szczęśliwa: właśnie takiego życia jej mąż pragnął dla swojej rodziny, a nie doczekał, by je z nimi dzielić. W takich chwilach tęsknota za nim sprawiała jej fizyczny ból.

Stale musiała walczyć ze złymi myślami. Dzieci miały dos'ć żaloby, dosć braku poczucia bezpieczeństwa. Musiała nauczyć się cieszyć z tego, że rzeczywiście żyją zgodnie z marzeniami Petera.

Młody Peter wszedł z wiaderkiem pełnym pienistego, ciepłego mleka. Patricia zaraz za nim przyniosła kurze jaja.

–Chyba Molly mnie lubi – oznajmił Peter, jak zwykle, gdy krowa pozwalała się wydoić bez wierzgania.

–Kolejny tuzin jaj, mamusiu – powiedziała Patricia.

Zaniosła koszyk do spiżarni i ostrożnie ułożyła najświeższe jaja w przedniej części tekturowej foremki.

Peter postawił wiaderko na stole i wyjął garnek, a następnie zmierzył mleko jeszcze przed podgrzaniem. Notował dzienny udój Molly, żeby dokładnie wiedzieć, ile kosztuje ich mleko i masło. Zajął się również ekperymentalnym wyrobem miękkich serów, dodając do nich zioła rosnące przy ścieżce.

Wysoko na ścianie przy drzwiach spiżarni stary dzwonek zabrzączał krótko, oznajmiając gościa przy frontowych drzwiach.

Zastanawiając się, kto to może być, bo przecież znajomi wiedzieli, że o tej porze dnia będzie zajęta w kuchni, Amy pospieszyła do drzwi. Po drodze wytarła ręce i ściągnęła fartuszek lepki od galaretki. Mocno pociągnęła drzwi, bo inaczej nie dawały się otworzyć, i zobaczyła matkę Sally szykującą się do skorzystania z wielkiej, nieporęcznej kołatki.

–Wielkie nieba, pani Landon...

–Przykro mi, że musiała pani czekać przed drzwiami, pani Merrion...

–Ogromnie pani dziękuję za opiekę nad Sally... – Żaden kłopot. Dzień jest brzydki, dziewczynki bawią się w przebieranie.

Kobiety przeszły przez kwadratową sień do schodów.

Nad nimi trwała zabawa: słyszały, jak Sally donos'nym, przejętym głosem ogłasza tragiczną wiadomość.

–Mamusia przyszła po ciebie. – - Och, mamusiu, już muszę iść?

Amy i pani Merrion wymieniły spojrzenia, rozbawione nieszczęśliwym brzmieniem głosu małej. Podniosły głowy i zobaczyły Sally przechyloną nad poręczą, z twarzą okoloną błękitnym muslinem, fałdy ciemnoniebieskich rękawów spływały na jej dłonie zaciśnięte na poręczy.

–Właśnie oskarżałam o zdradę tego re... ree... Frań, jak go nazwałaś? – Sally odwróciła głowę, niemal gubiąc ciężki stroik.

–Kochanie... – zaczęła pani Merrion cierpliwym, zrównoważonym głosem – muszę odebrać mięso na podwieczorek i twojego ojca ze stacji. Ledwo zdążę do pana Suttle przed...

–Oj, mamusiu... – Żalony ton Sally był chrapliwy od powstrzymanych łez.

Amy usłyszała uspokajający głos Frań. Zapewniła, że Sally może nie długo wrócić i kontynuować zabawę.

–To nie będzie to samo... – powiedziała Sally, kończąc zdanie wysoką nutą rozdrażnienia.

Obie mamy zobaczyły mignięcie sukni w kolorze królewskiego błękitu, co było znakiem, że Sally godzi się z nieuniknionym.

–Frań, kochanie, pomożesz Sally się rozebrać, skoro musi już iść?

–Tak, mamusiu. Chodź Marjorie, pomożesz...

Marjorie marudziła, powołując się na przywilej najmłodszej w rodzinie.

–Skoro jesteś dosć duża na damę dworu, jesteś dosć duża do pomocy – powiedziała Frań, tak doskonale naśladowując osobę dorosłą, że Amy i pani Merrion uśmiechnęły się do siebie.

Sally sztywno zeszała po schodach, informując je o swoim niezadowoleniu jeszcze zanim zobaczyły jej naburmuszoną twarz. Amy znalazła jej płaszcz przeciwdeszczowy i torbę z książkami, szybko zacydowała, że brudniejszy z dwóch szkolnych

szalików nie należy do Frań, i przygotowała się na szybkie odprawienie gości.

Sally łaskawie dała się ubrać w płaszcz i już nie straszyla pogardliwą miną. Z przejęciem paplała: „Pani Landon ma szalone rzeczy do zabawy w przebieranie, mamusiu”, i „Kiedy będę mogła przyjść”, i „Dziękuję pani Landon za herbatę”, i „Mamusiu, czy nie musisz znowu iść do dentysty?” Pani Merrion, rozbawiona gadulstwem córki, z uśmiechem wypowiedziała wszystkie stosowne uprzejmości, pośpieszając Sally. Amy stała na schodach, gdy zielony samochód pani Merrion odjeżdżał zwirowym podjazdem, i zastanawiała się nad niespodziewanym entuzjazmem Sally. Do licha, co dziewczynki mogły uznać za „szalone”?

Co było w kufrze? Garnitury Petera, które odłożyła dla syna, parę koców i zasłon, trochę ubrań, z których wyrosła Patricia, suknie koktajlowe, których zapewne nigdy nie włoży w Dorset, parę zwojów materiału. Nic w kolorze królewskiego błękitu! I nigdy nie miała niczego z muślinu. Ani stroika na głowę. O ile dobrze pamiętała, w skrytce nic nie zostało po poprzednich właścicielach, pe chowych Alderdyce'ach.

–Mamo, mleko! – zawołał Peter przez drzwi spiżarni.

–Schowaj wszystko z powrotem, Frań, dobrze? – Amy zatrzymała się u stóp schodów, by zaczekać na odpowiedź córki, a potem wróciła do kuchni i zapraw.

Po kolacji, kiedy Marjorie już była w łóżku, Amy przypomniwała sobie o zagadce królewskiego błękitu.

–Frań, kochanie, skąd ten pomysł zabawy w dworki?

–Och, mamusiu – twarz Frań rozjaśniła się niespodziewanie – świetnie się bawiliśmy. Marjorie ubrała takie czerwone wełniane, chociaż musiałyśmy wyciągnąć spódnice nad pasek, żeby się nie przewróciła. Była młodszą dworką i nosiła tren Sally. Sally jako gość była królową, więc włożyła błękity, bo błękit to kolor królewski. Prawda? – Peter zaśmiał się i Frań skierowała na brata poważne oczy. – Sally tak powiedziała... – (Masz rację, kochanie – zapewniła ją Amy, patrząc groźnie na syna). – Więc dla mnie zostało to zielone, ale chyba było męskie... sięgało tylko do kolan.

Suknie Marjorie i Frań wlokły się po podłodze...

–Czerwone? Zielone? Co zielone? – Amy była zaintrygowana.

–Zielone... coś w rodzaju aksamitu, jak myślę, odtąd dotąd... – Frań pokazała długość – z futerkiem przy kołnierzu i bez guzików, więc założyłam pas...

–Naprawdę nie przypominam sobie, żebym chowała jakieś paski...

–Takie wymyślne, mamusiu, ze sprzączkami i skrzącymi się kamykami...

Radość Frań szybko przygasła w obliczu możliwej dezaprobaty matki, i głos jej się załamał, gdy patrzyła na nią błagalnie.

–Aha, te! – powiedziała Amy, jakby teraz jej się przypomniało. – Te starocie. Zapomniałam o nich.

–Nie pamiętam, żebyście chodzili z tatą na bale kostiumowe – powiedział Peter, marszcząc brwi jak jego ojciec.

–Nie możesz pamiętać wszystkiego, co robiliśmy – powiedziała Amy łagodnie. Peter miał skłonności do wpadania w mentorski ton. – Jest więcej płatków – Sięgnęła po szklankę Petera i uśmiechnęła się do córki, chcąc przepeścić niepokój z jej twarzy. – Molly daje więcej mleka i musimy za nią nadażyć. Peter zajrzyj do obory, a my pozmywamy po kolacji. A potem wszyscy do łóżek...

Przygotowała dzieciom kanapki do szkoły i sprawdziła drzwi, a potem już nie miała pretekstu, żeby dłużej uciekać przed zagadką fantastycznych strojów. Zdecydowanym krokiem weszła na schody i popatrzyła z pierwszego podestu na pustą sień. Najstarsza część domu, powiedział pos'rednik w handlu nieruchomościami, prawdopodobnie kiedyś była normańską twierdzą. Mimo upływu lat mury zachowały się w zdumiewająco dobrym stanie. Niewątpliwie dlatego piętnastowieczni architekci dobudowali do nich dom. Stale go rozbudowywano: style utworzyły istny mizmasz, który przemówił do Petera i jego poczucia absurdu.

To połączenie zafascynowało również inżyniera, który sprawdzał stan domu przed podpisaniem umowy. W drodze do Dorset, gdy usłyszał cenę, wyraził głębokie obawy i poradził Peterowi i Amy przygotować się na rozczarowanie. Co dziwne, po oględzinach zgłosił niewiele zastrzeżeń.

Wszelkie naprawy miały się sprowadzić do paru maźnięć zaprawą, gipsem i farbą albo szpachlówką i szczeliwem.

Piwnica była sucha, ściany grube i mocne, ani trochę niezawilgocone, podłogi zdumiewająco równe, kominy, łącznie dziewięć, miały ciąg, kanalizacja była nowa, kryty dachówką dach nie został uszkodzony przez burze zeszłej zimy.

I ani śladu korników czy próchna. Inżynier musiał przyznać, że niska cena Tower Cottage rzeczywiście wynikała z tego, co podano w ogłoszeniu: chciano szybko sprzedać dom, żeby wycenić majątek Alderdyce'ów.

Kwadratowa sień emanowała niemal namacalną aurą, którą Peter przypisał starożytnemu pochodzeniu, a w schowku nad sienią panowała jakby atmosfera wyczekiwania.

Te dwa pomieszczenia były pozostałością po starej normańskiej twierdzy. Amy nie należała do osób o wybujałej wyobraźni, a już na pewno nie do przesadnych, inaczej nie wprowadziłaby się do Tower Cottage po śmierci Petera. A jednak unikała schowka, posyłając dzieci po rzeczy leżące na przepastnych półkach czy w wielkim drewnianym kufrze, który stał pod ścianą z dwoma wąskimi oknami. „Flamandzka robota”, powiedział inżynier, ze współczesnym dodatkiem w postaci cienkiej okleiny z cedrowego drewna od wewnątrz. Zastanawiał się, czy skrzynia została zbudowana na miejscu, bo nie mies'ciła się w drzwiach.

Amy pamiętała, że tamtego dnia Peter siedział na skrzyni: walił ręką w wieko i śmiał się z głuchego echa. Zażartował, że byłoby to dobre miejsce do ukrycia ciała... a nawet kilku ciał. Amy poczuła wtedy ciarki, które przebiegły po kręgosłupie i z niespodziewaną siłą szarpnęły ją za kark.

Inżynier zauważył, że się wzdrygnęła, i uprzejmie powiedział, że niezamieszkane domy zawsze przyprawiają go o dreszcz.

Po przeprowadzce Amy wkręciła na podeście najjaśniejszą żarówkę i kazała synowi założyć taką samą w schowku. (Co dziwne, dzieciom nie przeszkadzała niepokojąca atmosfera i uwielbiały się tu bawić). Wieczorem zapaliła obie żarówki i stała przez chwilę w progu, patrząc na ciemny kontur rzeźbionej drewnianej skrzyni.

Kufer stał na swoim miejscu. Rzeźby nawet nie drgnęły. W powietrzu unosiła się lekka woń lawendy i cynamonu, zmieszana z zapachem starej skóry, wełny i kamfory: domowe zapachy, pasujące do tego miejsca. Nie poruszył się ani jeden cień.

Amy szybkim krokiem podeszła do kufra i podniosła wieko. Tak jak myślała. Na wierzchu leżały dwa starannie złożone podarte prześcieradła, a pod nimi jej długie spódnice. Jedna w kratę, druga czarna. Gdzie królewski błękit czy czerwień albo to coś zielonego z futrzanym kołnierzem? Przysiadła na krawędzi kufra i podniosła jeden stos ubrań: swetry i spódniczki, z których wyrosła Patricia, koszule i bielizna Petera, skarpety. Odwróciła się w drugą stronę i obejrzała garnitury, kamizelki, fartuchy, swoje koktajlowe suknie z krepy i wełny. Na dnie leżały dwa komplety starych zasłon i białe firanki. Ani śladu niebieskiego muślinu. Żadnych ozdobnych nakryć głowy czy pasków.

Dokopała się do samego dna, znajdując tylko to, czego się spodziewała.

Frań nie rzuciła słów na wiatr: skoro powiedziała, że była ubrana w zielone bez guzików i z futrzanym kołnierzem, to znaczy, że tak było.

Zaintrygowana Amy powiodła wzrokiem po półkach: ozdoby choinkowe, gry w pudełkach, klosze od lamp, puste słoiki, namiot i plecak młodego Petera, zdekompletowana zastawa przeznaczona na wyprzedaż. Po drugiej stronie drzwi drewniane skrzynki po herbacie z papierami Petera i książkami, rodzinne walizki leżące tutaj od dnia przyjazdu z Londynu.

A jednak Sally Merrion była ubrana w królewski błękit... kolor królowej... i muśliny!

Błysk koloru przyciągnął jej oko i odwróciła się do skrzyni, mrugając. Mogłaby przysiąc, że leżące na wierzchu prześcieradło przez chwilę miało niebieskawy odcień.

Na wszelki wypadek pogładziła materiał i przez palce poczuła, że to nie aksamit, tylko podniszczony len. Wstała i zamknęła skrzynię. Mało brakowało, a ciężkie drewniane wieko wymknęłoby się z jej palców i opadło z hukiem.

Rano zapyta Frań, skąd wzięła te kostiumy. Najpewniej zaszło jakieś nieporozumienie.

Ciarki przeszły jej po karku, zanim dotarła do bezpiecznych drzwi. Poczuła coś, jakby niewidzialną rękę, która ciągnęła ją z powrotem.

Wbrew własnej woli Amy wróciła do schowka i rozejrzała się dokoła. Zapach lawendy i cynamonu ustąpił innemu, cierpkie, a potem powietrze przesycała słodkawa, znajoma, ale niedająca się określić woń. Była równie ostra jak wcześniejszy bezgłośny nakaz powrotu. Sztynnym krokiem Amy podeszła do skrzyni, położyła rękę na wieku, wyobrażając sobie, jak być może wyobrażała sobie Sally, cudowne kostiumy średniowiecznych dam dworu... i królowej. Podarte prześcieradła i wełniane swetry zniknęły. W kufrze leżał aksamit w kolorze królewskiego błękitu, ciemnoczerwona wełniana suknia, zielona pelerynka lamowana futrem i pasy ze zmatowiałych złotych ogniw, wysadzone z grubsza oszlifowanymi kamieniami.

Amy opuściła wieko. Powietrze pachniało potem, ludźmi i końmi, spleśniałym jedzeniem i skwaśniałym winem, piżmem i kamforą. Amy osunęła się na kamienną podłogę, nie czuła na jej chłód. „Alderdyce'owie się dorobili...” przyszyły jej na myśl słowa pana Suttle.

Czyżby jakieś dziecko albo dorosły marzył o skarbie ukrytym w starej twierdzy? I znalazł go w skrzyni?

Amy pokręciła głową, starając się myśleć racjonalnie.

Czyżby skrzynia spełniała życzenia? Daj Boże, żeby było tylko jedno, żeby Frań wykorzystała normę dla nich wszystkich i żeby na tym się skończyło.

Pomyślała o złocie i klejnotach, o bogatych tkaninach, wschodnich jedwabiach i muślinie, o ozdobnych arabskich, skórzanych pantoflach. I otworzyła skrzynię. Serce jej załomotało, gdy opuściła wieko, zakrywając te wyobrażone skarby.

Pani Mallett? Mieszkała w Tower Cottage przez lata, sprawna do dnia śmierci. Czy nie tak mówił pan Suttle?

Niczego nie pragnęła, dom i ziemia zaspokajały jej potrzeby.

Amy zaśmiała się, chrapliwie i z przymusem, ze swojej łatwowierności. Po co owdowiała pani Mallett miałyby podnosić wieko? Co chciałyby znaleźć w kufrze? Zwłoki, jak zażartował Peter?

Słodkawy zapach, znajomy, ale nie dający się zidentyfikować, wypełnił schowek.

Amy krzyknęła – był to cichy udręczony krzyk, zduszony rękami, żeby nie zbudzić dzieci. Ten sam słodkawy zapach wypełnił jej nozdrza, gdy uklękła przed trumną Petera w kościele. Czy ten dom mógł zabić Petera? Nie...

Bzdura! Dziś tak bardzo za nim tęskniła...

–NIE! – Przeczenie było niskie i pewne. Rozpostarła ręce, położyła dłonie płasko na wieku kufra, nie godząc się z tym, co może się stać, jeśli pomyśli życzenie. – Nie!

Przyciskała ręce do wieka w akcie wyparcia, błagania, modlitwy. To tylko skrzynia ze starymi ubraniami: dwa podarte prześcieradła, suknie czekające na przyjęcie, rzeczy na jednych za małe, na innych za duże... To tylko stara wieża, będąca częścią starego domu... To tylko stary dom, który w ten sam sposób służył wielu rodzinom. Tutaj dzieci miały rosnać w zdrowym wiejskim powietrzu, na świeżych warzywach i mleku, w sadzie mogły zrywać jabłka i gruszki, a w lesie jagody z krzaków.

Mdląca słodycz przepadła: wróciła lawenda i cynamon, woń nocy i deszczu.

Amy powoli złączyła ręce, podniosła się na kolana.

Podparła wieko od spodu i, przełykając ślinę, bo zaschło jej w gardle, pchnęła je w górę. Jej ciało, oświetlone od tyłu jasną żarówką, rzucało głęboki cień, ale mimo to zobaczyła uspokajającą biel starej pościeli. Odetchnęła, czując zapach swojej ulubionej wody kolońskiej, płynący z sukien schowanych w skrzyni, z nutą cedrowego drewna.

Tak jak pragnęła. Delikatnie opuściła wieko i oparła głowę o jego skraj.

Po długiej chwili nabrała siły na tyle, by wstać. Naprawdę nie powinna tyle robić jednego dnia, powiedziała sobie w drodze do drzwi. Galaretki starczy na lata, choć Peter kładł na tosty niewyobrażalną ilość.

Zgasiła światło i zamknęła za sobą drzwi schowka. Jej palce zawisły nad kluczem. Nie, nie odgrodzi się zamkniętymi drzwiami od tego, co się wydarzyło, nie zdoła tego zamknąć, cokolwiek to było. Próba byłaby tyleż zabobonna, co bezsensowna.



Mimo wszystko po zgaszeniu światła w sieni powiedziała „dobranoc”, jakby ktoś czekał na pożegnanie.

Kości kłamią

Przebili ścianę Czasu uwalniając powódź stuleci, rwącą w nurcie zgnęzionej przeszłości i w prądach przyszłych szaleństw.

Człowiek nie zatamuje tego brudnego potoku pełnego odchodów Historii, odprowadzanego krętym łożyskiem, burzonego przez przeciwności, wzbierającego wraz z nawałnicą, przed którą nieliczni się skryją.

Vale stał na ramionach Elrika, zrywając ciemnoczerwone wiśnie z górnych gałęzi, kiedy pomyślał, że dostrzeżę falowanie w powietrzu. Zesztywniał ze strachu.

–Niebezpieczeństwo? – Wiking może kiepsko mówił po angielsku, ale doskonale rozumiał mowę ciała.

–Chyba coś widziałem! Jakby zmarszczkę zmiany!

–Zmiany? – Palce mężczyzny zacisnęły się na kolanach Vale'a tak, że chłopiec krzyknął z bólu. – 'Elric wracać?

–Nie. Stój spokojnie.

Vale rozsunął gałęzie przysłaniające widok na dolinę.

Była taka spokojna, bez śladu zmarszczek poprzedzających zmianę. I Chloe patrzyła. Chloe zawsze była czujna.

Nie chciała, by cokolwiek stało się jej ludziom. Był to jedyny pewnik w życiu Vale'a, od kiedy został porwany przez zmianę czasu.

Miał nadzieję, że zmiana nie nastąpi przez długi czas.

Było lato, mógł więc wychodzić z piwnicy na cały dzień, by badać dolinę tak znajomą w ogólnym zarysie, tak obco porośniętą po tej stronie zmiany lasami i łąkami. Dużo czasu spędzał na zbieraniu produktów do syntezy. Podajnik żywności był wspaniałym urządzeniem, ale po jakimś czasie wszystko, co się do niego wkładało, po wyjściu smakowało tak samo. Cudownie byłoby napić się czasem świeżej wody. Dobrze byłoby oczyścić płuca z piwnicznego powietrza, cuchnącego wilgotnym kamieniem, strachem i wieloma ludźmi. Jeśli kiedykolwiek wróci do czasu, z którego pochodził, już nigdy nie poskarży się na Dormitorium! Tam nie brakowało światła i okien, ciepła i przestrzeni. Tutaj ogrom przestrzeni było katogą. Szkoda, że maszyny do cięcia już się wyczerpały. Byłoby znacznie łatwiej, niemal zabawnie, ciąć kamień jak rybę – słyszeć, jak odpada kawałek po kawałku. Ale Chloe nie chciała im pozwolić na powrót do tamtego czasu. Powiedziała, że był jednym z najbardziej niebezpiecznych, mimo wszystkich cudownych rzeczy, które mogli zrabować. Ona wiedziała.

Obserwowała strumień czasu przez stulecia. Chloe była stara. Tak stara jak sam Czas.

–Widzisz? – zapytał Elric spokojnie, ale w jego niskim, basowym głosie pobrzmiwała nuta z troskania.

–Nie. Nic nie widzę – odparł Vale powściągliwie.

Zmarszczka wyglądała jak zapowiedź zmiany. Zmrużył oczy i spojrzał w dół doliny, ze strachem i z nadzieją, że zobaczy falowanie.

Tam, gdzie czasem rozpościerało się miasto albo miasteczko, albo wielka płyta szklanego kamienia, a raz regularny kompleks urbanistyczny jego czasu, zbiegały się dwie rzeki, spokojnie płynące do morza. (Vale był raz nad oceanem, na wycieczce zorganizowanej przez Dormitorium).

Tym razem nie mógł się mylić. Pejzaż falował i pływał. Może Chloe nie stała przy szczelinie okna. Może spała. Prowadziła stałe obserwacje od chwili ustabilizowania się tej zmiany.

–Mój kosz jest pełny, Elric. Pomóż mi zejść, proszę.

–Starał się mówić spokojnie, choć chciał krzyknąć ze strachu. Jeśli wystraszy wszystkich jak ostatnim razem, gdy wziął załamanie światła za początek zmiany, Steven spuści mu łanie, kiedy Chloe nie będzie w pobliżu.

–Moja też. – Elric uśmiechnął się do niego. Kiedyś w wyniku cięcia mieczem stracił połowę ust i teraz wyglądał jak zjaw

ze złego snu. Vale sumiennie sprawdził jego wielką blaszankę. Wielkie jak szufle ręce wikinga były czerwone, podobny do krwi sok ściekał mu po brodzie.

–Nie powinieneś zjadać połowy tego, co zerwałeś – zgañił go Vale. – Potrzebujemy wszystkiego, co tylko można włożyć do podajnika żywności. Jesz więcej niż inni i robisz się niemiły, gdy głodniejesz w czasie długiej zmiany.

Elric zrozumiał ton wymówki i spuścił oczy, jak mieszkaniec Bursy przesłuchiwany przez Matkę. Vale odsunął myśl o swoim czasie.

–Chodź, Elric. Zanieśmy je do piwnicy.

Narzucił jak najszybsze tempo, przekładając ciężki, nieporęczny kosz z jednego biodra na drugie. Ledwo mógł go udźwignąć, wspinając się po stromym stoku, i musiał uważać, żeby nie rozsypywać wiśni. Elric, z wielką blaszanką na szerokim ramieniu, leniwym krokiem pokonywał zbocze.

Vale zerknął przez ramię, niespokojnie wypatrując innych. Czy zdążą, jeśli to naprawdę jest zmiana? Steve z mieszkańcem Fateri pracował nad stawem poniżej wodospadów. Teo-somoli, squaw, oprawiała ryby, dwa razy szybciej niż Jean. (Nic dziwnego, Jean pochodziła z miasta, z czasu podobnego do jego). Peter, Grace i Samuel przeczesywali brzegi strumienia w poszukiwaniu ziół i rzezuchy. W głębi doliny inni zbierali mlecz. Miał gorzki smak, ale Chloe zmuszała ich do jedzenia. Tylko Elric nie dał się sterroryzować; szczyrzył zęby na wszystko oprócz mięsa i jedynie w okresach największego głodu sięgał po plastry z podajnika żywności.

Chloe posłała też ludzi do lasu, żeby zastawili sidła.

Nie zrobiłaby tego, gdyby coś zapowiadało zmianę. A ona wiedziała. Czula po kościach. Vale zastanawiał się, jakie to uczucie mieć kości, które wiedzą...

To rzeczywiście była zmiana! Teraz czuł – najokropniejsze, skręcające, powodujące wymioty, przenikające do szpiku, wstrząsające, paraliżujące umysł przeżenie!

Elric ryknął i ruszył pędem w górę stoku, wiśnie posypały się na Vale'a. Bezmyślnie zaciskając kosz w rękach, Vale zataczał się i gramolił, patrząc na jedyną rzecz, która się nie obracała, na próg piwnicy. Słyszał wycie wicherów czasu, ale gdy uderzyły, był zbyt przeżony, by ogarnąć cały kataklizm. W jednej chwili on i Elric szli po niebie, z ziemią grozącą runięciem im na głowy, w następnej szklisty stok przemienił się w solidny lód i chwytał się lodowato zimnych kępek trawy albo wbijali ręce w kopce śnieżnego puchu. Chloe stała na progu, wołając do nich, jej szeroko otwarte oczy wyglądały jak niebieskie latarnie. Wyciągała ręce, jakby chciała odeprzeć straszliwe prądy, które mogły zamknąć ich na całą wieczność w tym strumieniu czasu.

Dopóki Vale ją słyszał, dopóki widział jej wysoką sylwetkę, pomarańczową zjawę na tle czarnego wejścia do bezpiecznej bazaltowej piwnicy, dopóty miał szansę. Dopóki Chloe tam stoi, nie osuną się w rwący nurt czasu. Nie zostaną przeniesieni.

Blaszanka runęła na ziemię, gdy wielki wiking wpadł w wejście. Chloe złapała bełkoczącego wojownika bez wysiłku, jakby był niewiekszy od Vale'a, i od razu pogoniła go do zbierania cennych owoców. Vale, pokrzepiony tym widokiem, złapał drugi oddech, mocniej chwycił kosz i pobiegnął co sił w nogach. Pędził jak najszybciej, bo stok się zmieniał, skalista powierzchnia tworzyła się w miejscu łąki.

–Chloe! – wrzasnął, udręczony świadomością, że mu nie pomoże: rzadko kiedy wychodziła z piwnicy. Rozpaczliwie pragnął, żeby to zrobiła. Dla niego. Jego kochała najbardziej, zawsze tak mówiła. Był jej chłopcem, synem jej serca. – Chloe!

–Wrzuć kosz – wrzasnął mu ktoś' do ucha, przekrzykując zawrodoenie wicherury. Ziemia uciekła mu spod nóg i młócił powietrze rękami ze strachu, że zapierające mu dech w piersiach wichry czasu przeniosą go w inny strumień.

Raptem palce Chloe złapały jego dłoń i przeciągnęły go, zapłakanego, przez wyżłobiony bazaltowy próg. Ktoś inny poderwał go na nogi i popchnął w głąb korytarza, aż uderzył mocno o ścianę i upadł, szlochając, ledwo świadom kopniaków i ciężkiej stopy, która wgniatała jego palce w kamienną podłogę. Wiedział tylko, że jest bezpieczny, że Chloe wciągnęła go za drzwi. Wycie i wrzaski, płacz i krzyki złości, nawet wściekły ryk Elrika i plaśnięcie pięści po plecach nie zakłóciło jego histerycznej ulgi, gdy przyciskał policzek do zimnego, wilgotnego kamienia. To była zła zmiana, ale on był bezpieczny, bezpieczny, bezpieczny!

Okropne wycie zmiany przycichło, gdy okute żelazem, nabijane ćwiekami drzwi zamknęły się z łoskotem.

–Chłopak widział. Chłopak widział! – wołał Elric.

–Jeśli Vale coś widział – głos Steve'a przerwał jego krzyki – w takim razie, na Boga, ty też musiałaś widzieć, Chloe. Musiałaś! Kogo brakuje? Kogo pozbyłaś się tym razem, więdźmo? Kogo wyrzuciłaś?

–Nie ma Burleigha i Traversa – zawołała Jean – ani trzech nowych...

–Burleigha i Traversa? – powtórzył Steve. Pełne pogardy oskarżenie zawisło w naładowanym emocjami powietrzu.

Tłumiąc szloch strachu, Vale usiadł. Przez łzy w oczach próbował dojrzeć grupę niewyraźnych, zdenerwowanych postaci.

–Co cię teraz gryzie, Chloe? – zapytał Steve chrapliwym, rozgoryczonym głosem. – Masz kłopoty z magią?

Czy twoje czary nie działają na umysły ludzi wieku nuklearnego? A może złościsz się, bo nie możesz wyprodukować napojów miłosnych w syntetyzerze jedzenia?

–Przestań jazgotać, Steven, i zanieś' owoce do maszyny. Macie przypadkiem jakieś ryby?

Chłodny, niewzruszony głos Chloe rozproszył lodowaty strach w piersi Vale'a. Dlaczego Steve tak się unosi?

Nawet gdyby Vale krzyknął na alarm w chwili, gdy zobaczył pierwszą zmarszczkę, nie zdążyliby uratować Burleigha i jego brygady. Już się zdarzały równie nagłe zmiany.

Dlaczego Jean ciągle płacze?

–Czy potrafisz myśleć tylko o jedzeniu, ty... ty czarownico?

–Zmiany są straszne dla nas wszystkich. Nie jestem pozbawiona współczucia i zrozumienia, Steven...

–Przestań chrzanić, Chloe!

Vale wstrzymał oddech, bo zobaczył, że Steve złapał Chloe za ramię. Elric, który osunął się na kolana po zatrzaśnięciu ciężkich drzwi, teraz podniósł się, warcząc gniewnie. Był niemiły dla Steve'a, odkąd Chloe zabrała go do frontowego pokoju.

–Puść mnie, Steve! – Zrobił to, choć Chloe nie zmieniła tonu ani siły głosu. – Vale, serce moje, weź się w garść.

Przynieś światło. Musimy pozbierać owoce. Ach, Teo-somoli, przed końcem zmiany będziemy ci wdzięczni za ryby. Obawiam się, że zmiana będzie długa.

Gnany pragnieniem ucieczki od napięcia i chęcią wypełnienia polecenia Chloe, Vale przemknął obok Steve'a do frontowego pokoju. Półka, gdzie trzymano zasilane promienie, wisiała na prawo od drzwi. Jego ręka bezbłędnie zamknęła się na gładkim prostokącie plastiku.

Przesunął palcem przełącznik. Światło oślepiło go na chwilę. Zmniejszył jasność. Częstość w słabszym świetle człowiek widział więcej. I uczył się więcej w zupełnej ciemności.

Vale zadrzał. Nie chciał teraz o tym myśleć. Zauważył gałązkę z trzema wis'niami i podniósł ją. Na podłodze leżały poobijane owoce. Teo-somoli szła w stronę pomieszczenia z podajnikiem żywnos'ci, podkasując spódnicę z kozłej skóry i pokazując swoje kościste kolana. Zafascynowany i pełen nadziei Vale patrzył, póki nie skręciła za rogiem.

Zastanawiał się, co Chloe...

–Tak, pozbieramy owoce i podziękujemy za ryby – mówił Steve. Z osób obecnych w komorze tylko on i Chloe nic nie robili. – Znowu jesteś'my jedną wielką szczęśliwą rodziną, prawda? Kto jeszcze był z Burleighem i Traversem? Czy Grace wróciła? Była najdalej w dole strumienia.

–Nie, potknęła się i została wciągnięta. – Z ciemności dobiegł zduszony głos Petera.

–Próbowaliśmy ją uratować, ale szybko znalazła się poza naszym zasięgiem – dodał Samuel.

–Czysta robota, Chloe. Czysta robota – powiedział Steve. – Wszyscy dysydenci zostali wyeliminowani. No, prawie wszyscy. – Steve odszedł za Teo-somoli, stukając obcasami po kamieniach.

Była to zła zmiana, głęboka, i Vale bardzo się starał, bardzo, nie wsłuchiwać w siebie. Głębokie zmiany zawsze były poprzedzone licznymi migotaniem i drganiem. Chloe mówiła mu o tym od czasu do czasu, gdy uwierzyła, że naprawdę widzi to, co przedtem dostrzegały tylko jej oczy.

Ta zmiana była taka zła, że nawet piwnica kołysała się pod wpływem siły zaburzeń czasu.

Mamrotanie Elrika nie cichło, ale było lepsze niż histeria dziewczyn. Czy nie mogą spróbować być miłe? Chloe w końcu je usłyszała. Vale po części miał nadzieję, że też da mu napój nasenny, ale odetchnął z ulgą, gdy tego nie uczyniła.

Usiadła przy nim, co było nieskończenie lepsze. Kiedy podniósł ręce do uszu, broniąc się przed wysokim zawrozczeniem czasu, pociągnęła jego głowę na kolana. Zastanowił się przelotnie, dlaczego Burleigh nazywał ją „zimną suką”. Była taka ciepła i pachnąca przyprawami, taka inna od sterylnej czystej Matki.

Zmiana trwała i trwała, ryk prądów czasami cichł. Uspokojony bliskością Chloe, Vale próbował zasnąć. Ale gdy zapadała ta okropna, martwa cisza, wszyscy zaczęli gadać, próbując ją zapełnić ludzkimi głosami. Wszyscy z wyjątkiem Steve'a i Jean, którzy ostentacyjnie wynieśli się do niewykończonego tylnego pokoju: kolejny fakt, który inni usiłowali zignorować. Vale pomyślał, że zachowali się bardzo odważnie i bardzo niegrzecznie. Chloe była na nich zła. Czuł, jak jej ciało tężeje, choć ręce, gładzące go po głowie, pozostały delikatne.

W takich chwilach człowiek powinien być miły, nawet jeśli czuł się paskudnie, pomyślał Vale. Takie zasady panowały w Bursie i powinny obowiązywać w tej piwnicy, choć zamieszkiwali ją mężczyźni i kobiety w różnym wieku.

Gdyby tylko był grzeczny tamtego dnia, stulecia wstecz, pełniłby teraz funkcję zastępcy przewodnika. Oczywiście, jeśli skończył czternaście lat. Tutaj mierzenie subiektywnego czasu nie było możliwe, ale w jego ciele zachodziły zmiany, które oznaczały początek dojrzewania. W tym wieku w jego czasie chłopcy zostawali zastępcami i uzyskiwali dostęp do Banków Danych. Przynajmniej tak mówił Traffer.

Niestety, Vale z Bursy 143 M-82 zachował się aspołecznie i został wciągnięty przez zmianę czasu – nawet nie wiedząc, że coś takiego istnieje. Opuścił wszystko znane i znajome. Tutaj Chloe nazwała go „swoim” chłopcem, synem swego serca. Wiedział, że znajdzie mu doskonały czas, zmianę, w której sam zdecyduje o swoim życiu, bez konieczności wpasowywania się w ustalone, „miłe” ramy.

Zmianę, w której będzie miał rodzinę, matkę i siostrę, czego gorąco pragnął... Vale zadrżał z rozkoszy na samą myśl o takim bluźnierstwie. Mógłby nawet mieć dziadków, czymkolwiek byli. Ale czy będzie można ich porównać... z Chloe?

Grace mówiła, że miała dziadków, ciotki, wujów i kuzynów.

Cóż, wszyscy ci krewni wcale nie dodali jej rozumu. Była płaczliwa i niezaradna, zachowywała się nieodpowiedzialnie i głupio. Z tego powodu została porwana przez zmianę, wcale nie dlatego, że Chloe nie ostrzegła...

Upierne zawrozczenie wichrów wzmożło się, uniemożliwiając nawet myślenie.

Nie mogli wyjść przed zakończeniem zmiany. Nawet po wodę. Chloe wyjęła małą zatyczkę z drzwi i spieszenie wcisnęła ją z powrotem.

–Piekło – powiedziała spokojnie i usiadła, z rękami splecionymi na podolku, przygotowana na dalsze czekanie.

Vale trzymał się blisko niej, kiedy wyczuł, że zmiana się kończy. Chciał się przekonać, czy przecucie go nie myli. Oczywiście nic nie powiedział, i nie patrzył na nikogo. Siedział z obojętnym, choć uprzejmym wyrazem twarzy, jak Chloe, żeby nikt nie odgadł jego myśli. I wiedział, że zmiana skończyła się źle. Jeszcze zanim Chloe to oznajmiła.

Vale nienawidził czekania pomiędzy zmianami, ze śmierzdzącą wodą i śmierzdzącym powietrzem, gdy plastry z podajnika żywności coraz bardziej cieniały, a cierpliwość ludzi stopniowo się wyczerpywała. Tym razem jednak Chloe nie zmuszała nikogo do pracy nad powiększeniem tylnej komory. Nie potrzebowali jej, pomyślał Vale, po zniknięciu tylu mieszkańców. Zaczął się zastanawiać, do jakiego czasu strumień porwał Burleigha, Traversa, Grace i innych. Do czasu niczym nieskażonej natury czy może wojennej zawieruchy? Co dziwne, Chloe poznawała charakter danego czasu po samym wyglądzie doliny. Może specjalnie zostawiła Burleigha i Traversa, i Grace, w tej ślicznej epoce z wiśniami na drzewach i rybami w strumieniu, z królikami kicającymi po lesie i śpiewającymi ptakami.

Burleigh mieszkał w piwnicy, kiedy przybył Vale. Przez długi czas zajmował z Chloe frontowy pokój... dopóki nie zjawiał się

Steve.

Burleigh pochodził z czasów wysoko rozwiniętej technologii. Przyzwyczajony do serwo-mechów, nie umiał pracować rękami. Chloe kazała Fateriemu nauczyć go zastawiania pułapek na drobne zwierzęta. Wszyscy musieli coś robić, szczególnie kiedy w dolinie nie brakowało wiśni i królików.

Czasem nie było nawet ryb, tylko trawa i drzewa, albo skała, szklista i martwa.

Dlaczego Steve oskarżył Chloe, że ich wyrzuciła? Nigdy nie uprzedzała, gdy zamierzała kogoś zostawić. Wszystkich wypytywała, gdy tylko się zjawili. Vale uwielbiał słuchać ich opowieści. Często zastanawiał się, czy faktycznie mówili prawdę, czy też fantazjowali z powodu desynchronizacji. Niektóre epoki wydawały się całkiem niezłe. Na przykład epoka Steve'a. Niektórzy marzyli o czasie gorszym niż ten, z którego pochodzili. Może dlatego Elric przebywał z nimi tak długo – pragnął czasu bitew i żeglowania, burd i pijatyk. W czasie Vale'a nie znano takiego społecznego zachowania, jakie reprezentował sobą ten truteń, górnik morski. Chloe powiedziała, że piwnica przecina morze czasu jak ciężarek zawieszony na sznurze, kołyszący się w tę i z powrotem.

Vale zastanawiał się, z jakiego czasu pochodzi Chloe.

Nigdy tego nie mówiła, tylko się uśmiechała w odpowiedzi na pytania. I kiedy on zostanie przeniesiony do odpowiedniego czasu?

Druga zmiana nie trwała długo, na szczęście, bo Steve stał się bardzo niemiły, a Jean ciągle płakała i nie chciała środka nasennego, który Chloe wszystkim proponowała.

Panowała zima, sroga, lodowata, ze śniegiem zawalającym wejście do piwnicy. Nad rzeką leżało jakieś osiedle, dość duże, z budynkami tworzącymi koncentryczne kręgi. Nie było widać pojazdów ani dymu. Nawet przez lornetkę, nastawioną przez Steve'a na największe powiększenie, nie wykryto śladów życia.

–Jest życie – powiedziała Chloe. – A my potrzebujemy wody i żywnos'ci. Zaczekamy do zmroku. Wtedy ty, Steven, pójdziesz do osady.

–Ja?

Chloe obrzuciła go ostrym, badawczym spojrzeniem.

Jej duże niebieskie oczy rozświetlał wewnętrzny płomień, którego Vale bał się bardziej niż lodowatego głosu.

–Ty, Steven. Ponieważ mi nie ufasz, możesz zabrać z sobą Vale'a. Przyrowadź go bezpiecznie! Jeśli spotka go coś złego... . Vale zrozumiał tylko tyle, że wolno mu iść z grupą badawczą, i dosłownie oszalał z radości. Wcześniej nieraz błagał o pozwolenie, ale Chloe nie chciała spuścić go z oka.

–Włożymy skafandry ochronne, Chloe – mówił Steve. – Układ budynków sugeruje technologię na wysokim poziomie. Przetworniki ciepła...

–Nie potrzebujemy technologii, Steven – przerwała mu ostro Chloe, mierząc się z nim wzrokiem. – Pamiętaj o tym. Staliśmy się zbyt zależni od tych nowomodnych wymysłów.

–Syntetyzer jedzenia? Oczyszczacze powietrza? Ubrania, które nosimy? To są wymysły? – zapytał drwiąco Steve.

–Tak, to wszystko – odparła mocnym głosem, a potem odwróciła się i weszła do piwnicy.

–Naprawdę mogę iść, Steve? – zapytał Vale.

–Och, Steve, nie! – Jean z drugiej strony szarpnęła Steve'a za ramię.

Steve zaśmiał się i przytulił ją. Vale zastanowił się, dlaczego jest taki pobłażliwy dla tej beksy.

–Nic mi nie zagrazi, póki będzie ze mną oczywisty następca.

Jean spojrzała na Vale'a tak twardo, tak zimno, z tak dziwną miną, że aż się cofnął. Radość z wyprawy ustąpiła przykre mu zmieszaniu, którego nie rozumiał.

–Tak, bardzo oczywisty od ostatniej zmiany.

Chloe wróciła, by powiedzieć, że przed zmrokiem można zastawić pułapki i nazbierać gałęzi na pożywny posiłek. Teosomoli, wysłana nad staw, wyrąbała przerębę w lodzie i usadowiła się, żeby łowić ryby. Elric zabrał dużą blaszaną puszkę i poszedł po wodę.

–Gdybyś pozwoliła nam zdobyć pompę, Chloe – powiedział Peter – moglibyśmy podłączyć się do strumienia.

–Dobrze wiesz, że tylko woda trzymana bezpiecznie w piwnicy jest wolna od zanieczyszczeń czasu – odparła Chloe takim tonem, że Peter więcej nie nalegał.

Ale to nie przeszkodziło mu narzekać, gdy brnęli i ześlizgiwali się ze stoku.

–Kto dał jej władzę?

–Ta wiedźma ma ją w kościach – odparł Steve z błyskiem w oku.

–Ona nie jest wiedźmą – powiedział Vale. – Koncepcja wiedźmy jest wytworem przesądne go, nie douczone go społeczeństwa, nieświadome go wiedzy naukowej, zbyt prymitywne go, by kojarzyć skutek z przyczyną...

–I to mówi dziecko! – Steve uśmiechnął się do Vale'a i żartobliwie zmierzwił mu włosy. Chłopiec nie cierpiał takich zabaw, a jednocześnie ich pragnął.

–Już nie jest dzieckiem – powiedział Samuel złośliwie – bardzo się zmienił.

Vale popatrzył na Samuela z urazą. Ten człowiek nie ma prawa być nie miły tylko dlatego, że przyłapał go w wychodku na... Vale odwrócił się, żeby ukryć zaczerwioną twarz.

–To się zdarza nam wszystkim, Vale – powiedział Steve. Głos miał miły, a oczy pełne zadumy. – Chloe nie jest wiedźmą. Ma coś, czego my nie mamy, umiejętność albo dar przewidywania zmian. Przychylam się do racjonalizmu twoje go czasu. Wiedźmy nie istnie ją, ale... Chloe...

–Ja też widzę nadchodzące zmiany. – Vale łypnął na Samuela i Jean.

Steve obrzucił go długim, poważnym spojrzeniem.

–Tak. Jeśli...

–Jeśli, jeśli, jeśli! – mruknął Peter z goryczą.

–Jeśli Vale naprawdę umie przewidywać zmiany – wydyszała Jean, z trudem brnąc przez śnieg – wszyscy moglibyśmy uciec do jakie goś dobre go czasu.

–Co rozumiesz przez dobre czas, Jean z Miasta? – zapytał Steve, wyciągając do niej pomocną dłoń. Twarz mu się zmieniła, zauważył Vale, kiedy na nią patrzył.

–Mój własny – odparła z tak nietypową stanowczością, że wszyscy się zatrzymali i wlepili w nią oczy. Odpowiedziała im spojrzeniem. – Ja wiem, jaki był dobry!

–Na moje kości, ta dziewczyna jest realistką – powiedział Samuel. – Jednak czy może my powierzyć nasz los w ręce tego chłopaka, kole dzy podróżnicy? Vale, rozgryłeś jedną tajemnicę, ale czy jesteś na tyle dobry w innych praktykach Chloe, żeby poznać naprawdę przyjemny czas?

–Miły czas? – powtórzył Vale ze zdumieniem. Samuel ani trochę nie był miły.

–Młody Vale... vale, to po łacinie „żegnaj”... tak właśnie powinniśmy powiedzieć tej suce z piekła czasu, a może z czasu piekła? I zabrać ze sobą chłopaka, żeby ocalić jego cnotę. W przeciwnym wypadku szybko ją straci. Brakuje jej chłopca, więc łowi w morzu czasu okazją jako przynętą i pochlebstwami zamiast żyłki.

–Zamknij się, Samuel. Zróbmy, co do nas należy! – powiedział Steve, bo dotarli do lasu.

Samuel oparł się o najbliższe drzewo, zmęczony rozmową w czasie marszu. Rzadko kiedy tyle mówił.

–Po co zawracać sobie głowę? – zapytał. – Nie daleko leży śliczne miasto, z konkretnymi wiktuałami...

–Tego nie wiemy – przerwał mu Steve. – Lepiej postarajmy się o zwyczajne jedzenie.

–Ale skoro o zmroku idziemy do miasta... – zaczął Peter, ścinając gałęzie – po co zawracać sobie głowę roślinami? Syntetyzer jest w połowie pełny. Sprawdziłem.

Steve odwrócił się i popatrzył na niego gniewnie.

–Celna uwaga, kolego. Celna uwaga. – Zabrał się do pracy.

Więcej się nie odezwał. Po powrocie do piwnicy, gdy szykowali się do nocnej wyprawy, Chloe przyszła im powiedzieć, które zabudowania mają sprawdzić.

–Byłaś' tu wczes'niej, Chloe? – zapytał wtedy, patrząc na nią twardo.

–Nie umiem powiedzieć – odparła bez wahania. – Typ zabudowy i kształt osiedla wyglądają znajomo, ale z drugiej strony wszystkie czasy stają się podobne dla kogoś', kto krąży przez stulecia.

–Jak długo tu jesteś', Chloe? Kto rzucił na ciebie urok?

Chloe spojrzała w twarde oczy Steve'a.

–Sama wybrałam swój los.

–Tak każesz nam myśleć.

–Zmiana może nie trwać długo. Miej oczy otwarte, Vale. Ostrzeż innych w chwili, gdy zobaczysz falę. Nie ryzykowałabym, ale potrzebujemy więcej białka. Nie podoba mi się wzór paru zeszyłych zmian. Idźcie do pierwszego albo drugiego budynku na lewo od centrum...

–Nie zapomnisz, że należy sprawdzić, czy nie ma systemów antywłamaniowych albo czytników siatkówki oka?

Chloe obrzuciła go długim, badawczym spojrzeniem.

–Dobrze wiesz, jak podchodzić do obcego miejsca, Steven, inaczej już nie byłoby cię wśród nas.

Samuel zachichotał.

–Czy tym razem też wrócę, Chloe? – zapytał Steve.

Spojrzała na niego z uwagą.

–W swoim czasie.

Odsunęła się, żeby ich przepus'cić. Kiedy Vale ukradkiem dotknął na szczęście fałdy jej sukni, złapała go za rękę.

–Trzymaj się blisko Elrika i Fateriego, Vale – wyszeptła i pochyliła się, jakby chciała pocałować go w policzek. Gdy oboje spostrzegli, że ich oczy są na tym samym poziomie, z sykiem wciągnęła oddech i cofnęła się.

W drodze nad rzekę Fateri i Steve na zmianę oglądali osiedle przez lornetkę.

–Od kiedy leży śnieg, Fateri? – zapytał Steve.

Mieszaniec przebił pięś'cią skorupę, przesiał śnieg w palcach.

–Trzy, cztery dni.

–Widzisz ślady ludzi?

Fateri powoli pokręcił głową. Steve przez długą chwilę patrzył na osiedle, potem kazał ruszać dalej.

Zapadła noc, nim dotarli na miejsce, i Vale był zmęczony. Skulili się, pocierając zziębnięte twarze i oszronione nosy, gdy Fateri zakradł się na przedmieścia. Vale żałował, że będą tu-za krótko, by zdążył nauczyć się od niego bezszelestnego skradania i zwinnego chodzenia po śniegu.

Kiedy mieszaniec wrócił, kręcąc głową, Steve skinął na Petera i Samuela. Ruszyli prosto do najbliższego budynku i obejrzeni go dokładnie. Peter na próbę rzucił parę gałązek w stronę domu. Nic się nie stało. Podszedł, zniknął za rogami i po chwili pojawił się z drugiej strony. Wtedy we wszystkich budynkach zaczęły zapalać się światła, ogarniające miasto jak rozchodząca się fala. Odruchowo przypadli do ziemi, lecz poderwał ich krzyk Petera.

–To automat. Chodźcie, tchórze.

Steve podniósł się ostrożnie, dając znaki pozostałym.

–Nikogo tu nie ma. Uruchomiłem czujnik na froncie domu – wyjaśnił Peter z uśmiechem.

–Co to za miejsce? – zapytał Samuel, przyglądając się z bliska drzwiom.

–Może jakaś automatyczna elektrownia – odparł Steve, ale nie wydawał się przekonany. Stał na wprost drzwi, oglądając futrynę, klamkę. Popatrzył na inne budynki w tym kręgu, na puste, jednakowe wejścia.

Przykucnął, żeby obejrzeć futrynę. Chrząknął, przesuwając rękę nad progiem. Nic się nie stało. Wyprostował się i latarką dotknął klamki. Znowu chrząknął, a potem pewnie, jakby nie spodziewał się niczego złego, pchnął drzwi.

Padł jak rażony gromem. Peter i Samuel też. Ogromna ręka złapała Vale'a za ramię, poderwała go w powietrze i pociągnęła tam, skąd przyszli. Szarpnięcie było tak gwałtowne, że głowa zakolebała mu się na karku. Jak w kalejdoskopie widział oderwane obrazy: Peter, Samuel i Steve rozpostarci na śniegu przed drzwiami, krąg światła, ciemne zbocza za osiedlem, wytrzeszczone oczy i szeroko otwarte, zasapane usta Elrika, Fateri biegnący w śniegu po drugiej stronie.

To go zdezorientowało, bo wyraźnie pamiętał, że Fateri leżał płasko na śniegu, a Elric zataczał się i krzyczał.

Teraz w trójkę biegiem oddalali się od osiedla. Elric dyszał i pojękiwał, gdy dotarli w bezpieczną ciemność za kręgiem automatycznych światła. Fateri zatrzymał się, popychając towarzyszy w śnieg. Przykucnął, patrząc i nasłuchując. Vale zmusił się do spojrzenia w tył, gdzie leżeli Peter, Samuel i Steve, wyraźnie widoczni i nieruchomi.

–Nie żyją? – zapytał. Starł się szeptać, ale jego głos przypominał urywany zgrzyt.

Fateri dał mu znak ręką, by zachował milczenie. Nagle odwrócił się z oczami otwartymi tak szeroko, że widać było całe tęczówki. Wskazał w górę stoku, szarpnął Elrika, który z trudem walczył o oddech. Zaciskając silne palce na ramieniu Vale'a, ruszył w kierunku piwnicy.

–Nie możemy ich tak zostawić – sprzeciwił się Vale, próbując się uwolnić. – Może żyją.

–Zły dźwięk – powiedział Fateri, wskazując palcem niebo na południu.

–Nie możemy ich zostawić! – Vale szarpnął się mocniej.

–Nie! Chloe powiedziała, że ty wrócisz. Ty bezpieczny! – powiedział Elric, łapiąc go za drugą rękę i pociągając za sobą.

–Idź! – przynaglił mieszaniec. – Szybko!

Opór nie miał sensu, więc Vale próbował dotrzymać kroku długonogiemu wikingowi i truchtającemu niestrudzenie Fateriemu. Trzymali go mocno, choć zapewnił ich, że już nie będzie niemądry. To było podwójnie poniżające.

Pomagali mu, bo miał nogi krótsze niż Elric i słabsze niż Fateri, i ponieważ mu nie ufali.

Dotarli do osłoniętego stoku, kiedy zły dźwięk, który słyszał Fateri, zmaterializował się w samolot pionowego startu i lądowania. Maszyna zatoczyła dwa niskie kręgi nad osiedlem, zasłaniając trzech leżących mężczyzn i tych, którzy z niej wysiedli.



Fateri nie czekał dłużej. Mocno złapał Vale'a za rękę i ruszył w stronę piwnicy. Elric nawet nie drgnął. Vale miał wrażenie, że ramię wyskakuje mu ze stawu. Krzyknął z bólu. Fateri zatrzymał się i obaj popatrzyli na wikinga. Wydawało się, że jego palce są przyspawane do ręki chłopca.

Fateri ukląkł i zaczął klepać go po twarzy.

–Co się stało? – zapytał Vale. Głos mu się załamał, gdy wyobraził sobie, że nigdy nie oderwie się od tego wielkoluda.

Fateri wyprostował się i zaczął podważać zaciśnięte palce.

–Nie żyje? – zapytał Vale, uderzając mieszańca po rękach. – Żyje. Śpi. – Śpi? Nie możemy go zostawić. Umrze w śniegu.

–Nie umrze. Znajdą go. Idziemy. Szybko!

Mieszaniec uwolnił rękę Vale'a. Żelazny uścisk wikinga był niczym w porównaniu z jego siłą, gdy włókł za sobą opierającego się chłopca.

–Nie możemy ich zostawić, Fateri. Nie możemy. Pomogę ci zabrać Elrika. Nie możemy go zostawić!

Fateri tylko stękał i szarpał go brutalnie, gdy zostawał pół kroku z tyłu. Nagle Vale spostrzegł, że zmierzają ku dolnej części lasu, gdzie parę godzin temu zbierali gałęzie.

–Nie w tę stronę, Fateri. Dokąd mnie ciągniesz?

–Pójdą za nami. Nie mogą znaleźć tropu.

Fateri truchtał teraz szybciej, bo pod gęstymi gałęziami iglastych drzew leżało stosunkowo nie dużo śniegu.

Zobaczył wielki pień i stanął. Kazał Vale'owi wspiąć się na drzewo, a potem popchnął go w stronę rozwidłonego końca pierwszego konara.

–Znajdą nas tutaj, Fateri – sprzeciwił się Vale. Fateri ostro dźgnął go w pośladek, by przesunął się jeszcze dalej.

–Stój. – Fateri włożył na ten sam konar i wyminął chłopca. Złapał go za rękę i okręcił ją szerokim skórzanym pasem. Potem wskazał gałąź sąsiedniego drzewa prosto pod nimi. – Trzymaj się. Za mną.

Vale bał się i czuł się dotknięty bezceremonialnym traktowaniem, ale zrobił, co mu kazano. Dobrze, że Fateri dał mu czas na znalezienie oparcia dla stóp. Potem nagle obaj znaleźli się w powietrzu. Wrzask przestraszenia wyrwał się z ust Vale'a. Upadli na ziemię, a raczej w gęste krzaki mirtu.

–Ranny? – zapytał Fateri bez śladu współczucia.

–Nie! – Vale'a przepełniała nienawiść i gniew.

Kiedy wygramolił się z krzaków, Fateri skierował go głębiej w las, ostrożnie omijając gałęzie, żeby nie zostawiać dalszych dowodów ich przejścia. Jeszcze dwa razy wspięli się na drzewa, a gdy musieli przeciąć szeroką polanę, Fateri popchnął Vale'a przed sobą i zamiótł śnieg gałęzią.

Kiedy uznał, że zmylili pościg, zaczął truchtać przez ciemny las. Wstrząśnięty emocjonalnie po podwójnej dezercji, Vale uparcie dotrzymywał mu kroku.

Nagle wyłonili się z lasu na zboczu, którego skraj osłaniała czerniejąca nad nimi piwnica. Osiedle w dole nadal było skąpane w świetle. Leżało zbyt daleko, by dostrzec takie szczegóły jak ciała przy chronionych drzwiach, ale w rzadkim zimnym powietrzu niosło się dudnienie samolotu. Fateri stęknął i wskazał kolorowe światła maszyny krążącej nad zboczem.

–Znajdą Elrika!

Fateri stęknął i znowu złapał go za rękę. Vale nie odrywał oczu od mrugających świateł: czerwone, zielone, niebieskie, białe. Niebieskie tworzyły smukłe litery PVA. Samolot zawisł w powietrzu.

Czy był w nim Steve? I Peter, i Samuel? Czy dla Elrika nie będzie lepiej, gdy zostanie znaleziony, zamiast zamarznąć na

śmierć? Dlaczego wszyscy założyli, że ludzie tego czasu są nieprzyjaźni? Przecież ochrona własności wcale nie musi oznaczać braku człowieczeństwa. Myśl o piwnicy hez Steve'a, Petera i Samuela – z Faterim, jedynym mężczyzną – nagle stała się nie do zniesienia.

Mieszaniec jakby odgadł jego myśli, bo szarpnął go mocno.

–Szybko!

Zbliżali się do piwnicy. Vale widział wąską smugę światła. Czy Chloe patrzy? Czy widzi? Czy wiedziała, co się stanie? Ta myśl zaboląła go tak mocno, że zachwiał się i krzyknął.

–Vale! Nie jesteś ranny?

Wyraźnie słyszał głos Chloe. W głowie tłukły mu się słowa Steve'a, który błędnie założył: „Nic mi nie zagrozi, póki będzie ze mną oczywisty następca”.

Ogłuszony zrozumieniem, o co chodziło Steve'owi, Vale nie opierał się, gdy Fateri ciągnął go po śliskim zboczu do piwnicy.

–Elric też, Fateri? – zapytała Chloe, gdy mieszaniec dowlókl go przed sam próg.

–Wiedziałaś! – Vale odzyskał głos. Znalazł dość siły, by uwolnić rękę. – Wiedziałaś, co się stanie ze Steve'em.

I z Peterem, i z Samuelem.

–Vale, kochanie. – W kojącym głosie Chloe brzmiała dziwnie niepokojąca nuta. – Vale, wejdź, serce moje. Chodź, gorący gulasz rybny postawi cię na nogi.

Chloe zrobiła krok w jego stronę... wyszła z piwnicy!

Zrobiła drugi krok i złapała go za rękę, wzięła w ramiona i wciągnęła za próg. Przytuliła go do siebie, wodząc rozpalonymi rękami po jego przemarzniętym ciele.

Chloe cieszyła się, że wrócił do domu. Miała dla niego jedzenie. Naprawdę wyszła z piwnicy, żeby go przywitać.

Ustawiła go przed sobą i spojrzała mu głęboko w oczy.

Wyraz kryjący się w niebieskich głębiach przyprawił go o zdenerwowanie. I strach. Bał się bardziej niż wtedy, gdy zaczęła się ostatnia zmiana, gdy Steve upadł przy drzwiach, gdy Fateri zepchnął go z gałęzi. Był przerażony do szpiku kości. Widział to spojrzenie wcześniej. Widział, jak Chloe patrzyła w ten sposób na Steve'a i Burleigha, a raz nawet na Elrika.

I każdy z nich został przeniesiony, bez ostrzeżenia. Przeniesiony nie do swojego czasu.

Nim Chloe czy Fateri zdążyli jakkolwiek zareagować, wybiegł z piwnicy, ślizgając się na zdeptanym śniegu. Potykał się i ześlizgiwał, szlochając, lecz myślał tylko o tym, że w społeczeństwie, które chroni swoją własność, musi panować ład i uprzejmość. I że gdzieś tam znajdzie sobie matkę.

Spis treści

A więc to pani jest Annę McCaffrey? 5

Ta, która słyszała smoki 15

Aksamitne pola 58

Euterpe na wagarach 69

Obowiązek wzywa 82 Śpiąca Królowna Humpty Dumpty 115 Remedium „Mandalay” 133 Stado gęsi 149 Największa miłość 165 Cicha 231 Holomarzenie 260 Zulejka, Grace, Nimshi i przekłęci Jankesi 276 Elektrokopciuszek 303 Przewyczajenie jest starym koniem 315 Dama dworu 324 Kości kłamią 338

Skanowanie

**Skartaris**

**Wrocław 2004**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2011-03-17**

***LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/***